Czwarta część
bestsellerowego cyklu
o rodzinie Ravenelów
Lisa
Kleypas
Witaj, nieznajomy
Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Witaj, nieznajomy

Rodzina Ravenelów, tom 4

Przełożyła
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
HELLO, STRANGER

Copyright © 2018 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Ildiko Neer/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Milena Rachid Chehab

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8097-918-5

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Gregowi, który jest dla mnie wszystkim

Rozdział 1

Londyn, lato 1876

Ktoś ją śledził.

Niepokój zjeżył jej skórę na karku. Od pewnego czasu Garrett miała wrażenie, że jest obserwowana za każdym razem, gdy odbywa swą cotygodniową wizytę w izbie chorych przytułku dla ubogich. Na razie nic nie potwierdzało zasadności jej obaw – nikogo nie dostrzegła, nie słyszała żadnych kroków – ale poczucie czyjejś obecności nie ustępowało.

Zmierzała przed siebie szybkim tempem, ze skórzaną lekarską torbą w prawej ręce i hikorową laską w drugiej. Jej wzrok rejestrował każdy szczegół otoczenia. Położona we wschodnim Londynie dzielnica Clerkenwell była miejscem, gdzie należało zachować ostrożność. Na szczęście Garrett znajdowała się tylko dwie przecznice od nowej głównej ulicy, gdzie mogła liczyć na wynajęcie dorożki.

Kiedy przechodziła ażurową kładką nad Fleet Ditch, paskudny odór ścieków uderzył w jej nozdrza z taką siłą, że aż wycisnął jej łzy z oczu. Miała ochotę zakryć usta i nos perfumowaną chusteczką, ale nikt z miejscowych by tak nie zrobił, a Garrett chciała jak najmniej rzucać się w oczy.

Wśród poczerniałych od sadzy kamieniczek, ustawionych blisko siebie jak zęby w szczęce, panowała nienaturalna cisza. Większość tych najbardziej zniszczonych, opróżniona i pozamykana, czekała na wyburzenie pod nową zabudowę. Światło lamp stojących na obu końcach ulicy przedzierało się przez mgłę, która od jakiegoś czasu

wieczorami niemal zasłaniała krwisty księżyc. Lada chwila dzielnicę mieli gęsto zaludnić wszelkiego rodzaju naciągacze, kieszonkowcy, pijacy i prostytutki; Garrett miała nadzieję, że wydostanie się stamtąd, zanim to nastąpi.

Odruchowo zwolniła, kiedy z cuchnących oparów wyłoniło się kilka postaci. Trzech żołnierzy w strojach noszonych po służbie z rechotliwym śmiechem zbliżało się z naprzeciwka. Garrett przeszła na drugą stronę ulicy i starała się ukryć w cieniu. Za późno – jeden z nich zauważył ją i skręcił w jej stronę.

– To się nazywa mieć szczęście – zawołał do swoich kompanów. – Dziewczyna do wieczornej zabawy sama wpada nam w ręce.

Garrett zmierzyła ich chłodnym spojrzeniem, zaciskając palce na główce laski. Wszyscy trzej pili, prawdopodobnie spędzili cały dzień w tawernie; zwykli żołnierze w wolnym czasie mieli do wyboru niewiele rozrywek. Serce Garrett przyspieszyło.

– Pozwólcie mi przejść, panowie – odezwała się szorstko, próbując ich ominąć.

Zastąpili jej drogę, śmiali się przy tym i machali rękami.

– Mówi jak dama – stwierdził najmłodszy z nich. Nie miał czapki, skręcone rude włosy sterczały mu jak małe sprężynki.

– Żadna z niej dama – parsknął drugi, osiłek o grubo ciosanych rysach, bez kurtki. – Nie chodziłaby wieczorem całkiem sama. – Odsłonił żółte zęby w pogardliwym uśmiechu. – Stań pod murem i zadrzyj kieckę, ślicznotko. Mam ochotę na numerek za trzy pensy.

– Jest pan w błędzie – oznajmiła Garrett; chciała ich obejść, ale stanęli jej na drodze. – Nie jestem prostytutką. Są jednak w pobliżu burdele, gdzie możecie zapłacić za tego rodzaju usługi.

– Ale ja nie chcę płacić – powiedział z brzydkim grymasem największy z nich. – Chcę za darmo. Już.

Garrett nieraz była zaczepiana i obrażana przy okazji wizyt w zubożałych dzielnicach Londynu. Odbywała treningi z mistrzem fechtunku, żeby umieć się bronić w takich sytuacjach. Czuła jednak zmęczenie po obejrzeniu co najmniej dwudziestu pacjentów i złość, że musi się użerać z trzema natrętami, podczas gdy pragnęła jedynie wrócić do domu.

– A przyszło wam do głowy, że jako żołnierze Jej Królewskiej Mości macie obowiązek bronić honoru kobiety, zamiast ją napastować?

Ku jej zgorszeniu uwaga bynajmniej ich nie zawstydziła, tylko wprawiła w jeszcze większą wesołość.

– Trzeba jej dać nauczkę – włączył się trzeci, krępy, o twarzy zeszpeconej ospą i opadających powiekach.

– Chętnie się nią zajmę – zaproponował ten najmłodszy, chwytając się za krocze. Naciągnął materiał spodni, żeby uwydatnić kształt przyrodzenia.

Ten o posturze osiłka skrzywił się złośliwie.

– Pod ścianę, paniusiu. Jesteś dziwką czy nie, i tak się z tobą zabawimy.

Dziobaty wyciągnął zza paska bagnet i uniósł w górę, pokazując ząbkowane ostrze.

– Rób, co mówi, bo inaczej potnę cię jak bekon na skwarki.

Garrett poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Wyciąganie broni po służbie jest nielegalne – powiedziała chłodno, choć serce dudniło jej w uszach. – To wraz z publicznym opilstwem i gwałtem ściągnie na was karę chłosty i co najmniej dziesięciu lat więzienia.

– W takim razie może utnę ci język, żebyś nikomu nie wygadała – zadrwił.

Nie miała wątpliwości, że umiałby spełnić swoją groźbę. Jako córka byłego konstabla wiedziała, że wyciągnięcie noża oznacza gotowość do jego użycia. Niejeden raz zdarzyło jej się w przeszłości zakładać szwy na rozciętym policzku lub czole kobiety, której gwałciciel zechciał zostawić po sobie „pamiątkę".

– Keech – powiedział do niego ten młodszy – nie ma co straszyć biednej dziewczyny. – Następnie zwrócił się do Garrett: – Daj nam zrobić to, czego chcemy. Pójdzie łatwiej, jak nie będziesz się opierać.

Czerpiąc siłę z przypływu złości, Garrett przypomniała sobie, jak według rady ojca należy postępować w chwili konfrontacji. „Utrzymuj odpowiednią odległość. Nie daj się otoczyć. Mów, żeby zająć ich uwagę, kiedy będziesz wybierać dogodny moment".

– Po co stosować przemoc wobec kobiety? – spytała, ostrożnie stawiając lekarską torbę na ziemi. – Jeśli robicie to z braku pieniędzy,

dam wam tyle, żeby starczyło na wizytę w burdelu. – Ukradkiem sięgnęła do zewnętrznej kieszeni, gdzie trzymała zawinięte w skórę noże chirurgiczne. Zacisnęła palce na cienkim srebrnym trzonku skalpela i zręcznie ukryła go w dłoni. Znajomy delikatny ciężar narzędzia dodał jej otuchy.

Kątem oka dostrzegła, że krępy żołnierz z bagnetem zachodzi ją z boku.

W tym samym momencie dziobaty zaczął się do niej zbliżać.

– Weźmiemy te pieniądze – zapewnił ją. – Ale najpierw zrobimy z ciebie użytek.

Garrett poprawiła chwyt, opierając kciuk na płaskiej stronie trzonka. Potem ostrożnie ułożyła palec wskazujący na grzbiecie ostrza. Wykorzystaj to narzędzie, pomyślała. Cofnęła rękę, po czym wykonała zamach, nadgarstkiem do przodu, żeby zachować precyzję ruchu. Piekielnie ostry koniec skalpela wbił się w policzek napastnika, który ryknął wściekle, jakby z niedowierzaniem, i zastygł w bezruchu. Garrett bez chwili zwłoki odwróciła się ku łotrowi z bagnetem i z całych sił uderzyła laską w jego prawy przegub. Zaskoczony, krzyknął z bólu i wypuścił niebezpieczną broń. Garrett ponowiła atak, tym razem waląc w lewy bok, tak mocno, że usłyszała chrzęst łamanego żebra. Wtedy wycelowała końcem laski w krocze przeciwnika, a kiedy zgiął się wpół, dokończyła dzieła, wymierzając cios od dołu w szczękę.

Mężczyzna klapnął na ziemię niczym niedopieczony suflet.

Garrett pochwyciła bagnet i natychmiast wykonała obrót, żeby stawić czoło dwóm pozostałym żołnierzom. Znieruchomiała zaskoczona, tylko jej pierś falowała w przyspieszonym oddechu.

Na ulicy panowała cisza.

Obaj mężczyźni leżeli powaleni na ziemię.

Czy to miał być jakiś podstęp? Udawali nieprzytomnych, żeby ją zwabić?

Niemal dygotała od skumulowanej, wynikającej z napięcia energii; jej ciało z ociąganiem przyswajało fakt, że zagrożenie minęło. Zebrawszy w sobie odwagę, postanowiła się bliżej przyjrzeć leżącym; zrobiła ku nim parę kroków, uważając przy tym, by się trzymać poza zasięgiem ich rąk. Wprawdzie jej skalpel pozostawił krwawiącą ranę

w policzku jednego z napastników, ale nie na tyle poważną, by mogła doprowadzić do utraty świadomości. Na skroni miał czerwony ślad po ciosie wymierzonym z dużą siłą.

Przeniosła uwagę na młodszego, któremu z nosa, najprawdopodobniej złamanego, buchała krew.

– Co, u diabła… – mruknęła, rozglądając się po opustoszałej ulicy. Znów ogarnęło ją to dziwne wrażenie czyjejś niewidocznej obecności. Ktoś musiał się kryć w pobliżu. Przecież ci dwaj żołnierze nie pobili się między sobą. – Wyjdź i pokaż się – rzuciła głośno w pustkę, choć robiąc to, czuła się trochę głupio. – Nie ma potrzeby skradać się jak szczur za kredensem. Wiem, że chodzisz za mną od tygodni.

Męski głos rozległ się z tak niespodziewanej strony, że zaskoczona omal nie wyskoczyła z butów.

– Tylko we wtorki.

Odwróciła się na pięcie, wypatrując swego rozmówcy. Dostrzegła drobny ruch w progu jednej ze zrujnowanych kamieniczek i mocniej ścisnęła w dłoni uchwyt bagnetu.

Nieznajomy wychynął z cienia. Na początku widziała jedynie zarys męskiej sylwetki. Był wysoki i proporcjonalnie zbudowany, miał na sobie prostą koszulę, szare spodnie i rozpiętą kamizelkę. Głowę okrywała mu płaska czapka z niewielkim daszkiem, jakie zwykle nosili robotnicy portowi. Podszedł bliżej i zdjął ją, odsłaniając krótko przycięte, proste ciemne włosy.

Garrett odetchnęła, rozpoznawszy go w końcu.

– To znowu pan! – wykrzyknęła.

– Doktor Gibson – odpowiedział z szybkim skinieniem, po czym umieścił czapkę z powrotem na głowie. Na moment przytrzymał wyprostowane palce przy daszku w geście, który miał wyrażać uszanowanie.

Stał przed nią detektyw Ethan Ransom ze Scotland Yardu. Garrett spotkała go wcześniej dwukrotnie, pierwszy raz przed prawie dwoma laty, kiedy towarzyszyła lady Helen Winterborne podczas wizyty w niebezpiecznej części miasta. Okazało się wówczas, ku irytacji Garrett, że Ransom został wynajęty przez męża lady Helen, by je śledzić i nad nimi czuwać.

Przed miesiącem spotkała Ransoma znowu, w swojej klinice, po tym, jak młodsza siostra lady Helen, Pandora, została poważnie ranna podczas ulicznego ataku. Ransom zachowywał się wówczas bardzo spokojnie, starał się nie absorbować nikogo swoją obecnością i może nawet pozostałby niezauważony, gdyby nie to, że wyróżniał się niezwykłą, choć trochę mroczną męską urodą. Miał pociągłą twarz, usta o zdecydowanej, mocnej linii, nos prosty, nieco pogrubiony na środku, jakby kiedyś uległ złamaniu. Oczy, okolone gęstymi rzęsami, dość głęboko osadzone, patrzyły bystro i przenikliwie. Nie mogła sobie przypomnieć ich koloru.

Uznałaby go za przystojnego, gdyby nie pewna szorstkość w stylu bycia, pozbawiająca go typowego dla dżentelmena wyrafinowania. Pod powierzchowną ogładą dało się u niego wyczuć awanturniczy rys charakteru.

– Kto pana wynajął tym razem, żeby mnie pan śledził? – spytała ostro, wykonując zgrabny obrót wokół laski opartej o ziemię. Efektowny manewr w istocie stanowił popis jej zręczności, którego nie potrafiła sobie odmówić.

Twarz Ransoma rozjaśnił błysk wesołości, ale odpowiedział jej całkiem poważnym tonem:

– Nikt.

– Więc skąd pan się tu wziął?

– Jest pani jedyną lekarką w całej Anglii. Byłoby szkoda, gdyby się pani coś stało.

– Nie potrzebuję ochrony – oznajmiła. – Co więcej, gdybym potrzebowała, nie pana bym do niej zatrudniła.

Ransom posłał jej trudne do rozszyfrowania spojrzenie, po czym zbliżył się do żołnierza, którego unieszkodliwiła ciosami laski. Nieprzytomny mężczyzna leżał na boku. Ransom czubkiem buta przetoczył go na brzuch, wyciągnął z kieszeni kamizelki kawałek sznura i związał leżącemu ręce na plecach.

– Jak pan sam widział – ciągnęła Garrett – bez trudu powaliłam tego typa. I z dwoma pozostałymi też dałabym sobie radę sama.

– Nie, nie dałaby pani rady – odparł spokojnie.

Garrett żachnęła się z irytacją.

– Przeszłam szkolenie z posługiwania się laską jako bronią u jednego z najlepszych *maître d'armes* w Londynie. Umiem pokonać kilku przeciwników naraz.

– Popełniła pani błąd.

– Jaki?

Ransom wyciągnął rękę po bagnet, który niechętnie mu oddała.

– Po tym, jak wytrąciła mu pani broń z ręki, powinna ją pani kopnięciem odrzucić poza jego zasięg. Tymczasem pani się po nią schyliła, odwrócona do reszty napastników tyłem. Dopadliby panią, gdybym nie interweniował. – Spojrzał na zakrwawionych żołnierzy, którzy jęcząc, zaczynali dawać oznaki życia, i zwrócił się do nich z nieskrywaną przyjemnością: – Jeśli któryś z was się poruszy, odetnę mu jaja i wrzucę je do rzeki. – Niedbałość jego tonu tylko potęgowała grozę ostrzeżenia.

Obaj natychmiast znieruchomieli.

Ransom ponownie skupił całą uwagę na Garrett.

– Walka w studiu mistrza fechtunku to nie to samo, co walka na ulicy. Tacy ludzie… – spojrzał z pogardą na leżących na ziemi napastników – nie czekają uprzejmie na swoją kolejkę, żeby odbyć pojedynek. Atakują jednocześnie, wszyscy naraz. Wystarczyło, by jeden z nich pani dosięgnął, a laska stałaby się bezużyteczna.

– Bynajmniej – obruszyła się Garrett. – Dźgnęłabym go końcem i powaliła mocnym uderzeniem.

Ransom zbliżył się do niej. Stanął w odległości wyciągniętego ramienia i rzucił jej wyzywające spojrzenie. Garrett wytrzymała je, choć przebiegł ją dreszcz niepewności. Nie bardzo wiedziała, co myśleć o Ethanie Ransomie, który zdawał się posiadać cechy niewystępujące u zwykłych śmiertelników. Odnosiło się wrażenie, że sam stanowi groźną broń – smukły i muskularny, z kocią zręcznością w ruchach. Nawet kiedy stał nieruchomo, emanował skrywaną mocą.

– Proszę wypróbować to na mnie – zachęcił cicho, wciąż patrząc jej w oczy.

Garrett zamrugała, zbita z tropu.

– Chce pan, żebym uderzyła go laską? Teraz?

Ransom potwierdził szybkim skinieniem.

– Nie chciałabym zrobić panu krzywdy – mruknęła z wahaniem.

– Nie zrobi… – zaczął i w tym samym momencie Garrett wykonała gwałtowne pchnięcie laską.

Nie brakowało jej szybkości działania, ale Ransom zareagował błyskawicznie. Wykonał unik, odwracając się bokiem, tak że metalowy koniec jedynie przejechał mu po żebrach. Chwycił laskę w połowie długości i mocno pociągnął ku sobie, przez co Garrett straciła równowagę. Objął ją jedną ręką, a drugą odebrał jej broń. Tak łatwo, jakby rozbrajanie ludzi gołymi rękami stanowiło dla niego dziecinną zabawę.

Garrett stała unieruchomiona, przyciśnięta plecami do twardej męskiej piersi, zupełnie bezradna. Z zaskoczenia i złości nie mogła złapać oddechu.

Może to brak powietrza sprawił, że ogarnęła ją dziwna bezwolność i nagle przestała dostrzegać otaczający ich świat. Istniał tylko mężczyzna obejmujący ją od tyłu mocnymi ramionami. Przymknęła oczy, napawając się lekko cytrusowym zapachem jego oddechu, kołysana równomiernym falowaniem jego torsu, oszołomiona tumultem we własnym sercu.

Zaśmiał się cicho i natychmiast magiczny czar chwili prysł. Garrett spróbowała się wyswobodzić z uścisku.

– Proszę się ze mnie nie śmiać – powiedziała ze złością.

Ransom puścił ją ostrożnie i dopiero widząc, że stanęła pewnie na nogach, oddał jej laskę.

– Nie śmiałem się z pani. Po prostu podobało mi się, że wzięła mnie pani z zaskoczenia. – Uniósł ręce w geście poddania, oczy błyszczały mu wesołością.

Garrett powoli opuściła laskę. Miała świadomość, że rumieni się jak piwonia. Wciąż miała wrażenie, że czuje na sobie jego ramiona, jakby dotykiem odcisnął na niej trwały ślad.

Ransom sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął mały srebrny gwizdek w kształcie rurki. Dmuchnął trzykrotnie, wydobywając z urządzenia głośne, przeszywające świsty.

Garrett domyśliła się, że wzywa patrolującego okolicę konstabla.

– Nie używa pan policyjnej terkotki? – spytała. Jej ojciec, kiedy pracował w King’s Cross, zawsze nosił przy sobie taki przyrząd. Żeby

wszcząć alarm, należało wykonywać okrężny ruch drewnianym uchwytem, mechanizm zaczynał wówczas głośno klekotać.

Ransom pokręcił głową.

– Terkotki są zbyt kłopotliwe. Poza tym musiałem swoją oddać, kiedy opuszczałem policję.

– Nie pracuje pan już w policji? – wyraziła zdziwienie. – To kto pana obecnie zatrudnia?

– Nie jestem oficjalnie zatrudniony.

– Ale wykonuje pan jakieś zadania dla rządu?

– Owszem.

– Jako detektyw?

Ransom zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim udzielił odpowiedzi:

– Czasami.

Garrett zmrużyła oczy, zastanawiała się, jakież to czynności wykonywane dla rządu nie mogły być powierzone zwykłej policji.

– Czy pańskie działania są legalne?

Odsłonięte w uśmiechu zęby błysnęły bielą w zapadającym zmroku.

– Nie zawsze – przyznał Ransom.

Oboje się odwrócili, kiedy nadszedł policjant ubrany w niebieską bluzę i spodnie, z ręczną latarnią w dłoni.

– Halo – zawołał, zbliżając się do nich. – Jestem konstabl Hubble. To wy podnieśliście alarm?

– Ja – powiedział Ransom.

Hubble, zażywny mężczyzna o rumianej, spoconej z wysiłku twarzy, przyjrzał mu się uważnie spod wąskiego daszka hełmu.

– Jak pan się nazywa?

– Ransom – padła spokojna odpowiedź. – Pracowałem wcześniej w wydziale K.

Konstabl szeroko otworzył oczy.

– Słyszałem o panu, sir. Dobry wieczór. – Zmienił ton, w jego głosie pojawiła się nuta podziwu i szacunku. Co więcej, przyjął też inną pozę, niemal uniżoną, z lekko opuszczoną głową.

Ransom wskazał mu mężczyzn na ziemi.

– Przyłapałem tych trzech pijanych nicponi, kiedy napastowali i okradali damę, a wcześniej zagrozili jej tym. – Podał konstablowi bagnet.

– Na Boga! – wykrzyknął Hubble, spoglądając na winowajców z odrazą. – Do tego są żołnierzami, tym większy wstyd! Mogę spytać, czy dama ucierpiała od napaści?

– Nie – uspokoił go Ransom. – W istocie doktor Gibson miała dość przytomności umysłu, żeby odepchnąć jednego z nich laską i wybić mu tę broń z ręki.

– Doktor? – Konstabl przyjrzał się Garrett z nieskrywanym zdumieniem. – Jest pani lekarką? Tą, o której piszą w gazetach?

Garrett przytaknęła, szykując się do obrony. Ludzie rzadko dobrze przyjmowali wiadomość o kobiecie z medycznym wykształceniem.

Nie przestając się na nią gapić, Hubble pokręcił głową.

– Nie spodziewałem się, że będzie taka młoda – rzucił na boku do Ransoma, nim znów zwrócił się do Garrett: – Proszę mi wybaczyć… ale dlaczego została pani lekarzem? Przecież nie brakuje pani urody. Co tam, znam w swoim wydziale co najmniej dwóch kawalerów, którzy chętnie by się z panią ożenili. – Zamilkł na chwilę. – O ile umie pani gotować i szyć, ma się rozumieć.

Garrett prychnęła w duchu, widząc, że Ransom z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Obawiam się, że umiem zszywać jedynie rany – oznajmiła.

Największy z powalonych żołnierzy uniósł się na łokciu i wycedził z pogardą:

– Kobieta lekarz. To nienormalne. Założę się, że pod tą spódnicą ma kutasa.

Ransom zmrużył oczy. Cała wesołość wyparowała z niego w jednej chwili.

– A co powiesz na kopniaka w łeb? – rzucił, podchodząc bliżej.

– Panie Ransom – odezwała się szorstkim tonem Garrett – nie godzi się atakować przeciwnika, który już leży na ziemi.

Detektyw zatrzymał się w pół kroku i tylko groźnie spojrzał na żołnierza.

– Biorąc pod uwagę, co zamierzał pani zrobić, ma szczęście, że jeszcze oddycha.

W ostatnich słowach Ransoma Garrett usłyszała nuty irlandzkiego akcentu i to odkrycie szczerze ją zainteresowało.

– Halo! – rozległ się okrzyk kolejnego funkcjonariusza, który się do nich zbliżał. – Usłyszałem gwizdek.

Ransom podszedł do niego, żeby zamienić kilka słów, a Garrett w tym czasie sięgnęła po lekarską torbę.

– Rana na policzku tego żołnierza może wymagać szwów – zwróciła się do konstabla Hubble'a.

– Nie zbliżaj się do mnie, ty diablico! – wrzasnął ranny.

Hubble spiorunował go wzrokiem.

– Zamknij się, bo inaczej przedziurawię ci gębę z drugiej strony.

Przypomniawszy sobie, że nie odzyskała jeszcze skalpela, którym cisnęła w napastnika, Garrett zwróciła się do stróża porządku:

– Konstablu, czy mógłby pan unieść lampę wyżej i oświetlić ulicę? Chciałabym poszukać narzędzia, którym wcześniej rzuciłam w tego człowieka. – Nagle do głowy przyszła jej niepokojąca myśl. – On wciąż może je mieć.

– Nie ma – rzucił przez ramię Ransom, na moment przerywając rozmowę z drugim funkcjonariuszem. – Ja je mam.

Garrett pomyślała o dwóch rzeczach jednocześnie: Jak to możliwe, że ją słyszał, skoro prowadził rozmowę z kimś innym w pewnej odległości? A po drugie…

– Podniósł pan skalpel w trakcie walki? – spytała z oburzeniem. – Dopiero co pouczał mnie pan, żeby nigdy tego nie robić.

– Ja nie przestrzegam tych zasad – odparł szybko Ransom i powrócił do przerwanej konwersacji.

Garrett szeroko otworzyła oczy, zaskoczona spokojną arogancją tego wyznania. Marszcząc czoło, odciągnęła Hubble'a na stronę i spytała szeptem:

– Co pan wie o tym człowieku? Kim on jest?

– Pyta pani o detektywa Ransoma? – Konstabl także mówił ściszonym głosem. – Wychował się tu, w Clerkenwell. Zna każdą piędź ziemi w tym mieście i ma pełną swobodę poruszania się po nim. Kilka lat temu zgłosił się do policji i został przydzielony do wydziału K. Groźny przeciwnik w walce. Nieustraszony. Na ochotnika patrolował zakazane dzielnice, gdzie inni funkcjonariusze nie mieli

odwagi zaglądać. Mówią, że zawsze pociągała go praca detektywa. Miał bystry umysł i oko do nietypowych szczegółów. Po nocnych dyżurach w terenie szedł do policyjnego archiwum i przeglądał akta niewyjaśnionych spraw. Rozwiązał zagadkę morderstwa, z którym detektywi z jego komendy latami nie dawali sobie rady, oczyścił imię służącego niesłusznie oskarżonego o kradzież biżuterii i odzyskał pewien zaginiony obraz.

– Innymi słowy – mruknęła Garrett – przekraczał zakres służbowych obowiązków.

Hubble przytaknął ruchem głowy.

– Komisarz rozważał pociągnięcie go do odpowiedzialności za niesubordynację. Ale ostatecznie zamiast tego doradził awansowanie Ransoma z funkcjonariusza czwartej kategorii na inspektora.

Garrett zrobiła wielkie oczy.

– Chce pan powiedzieć, że pan Ransom awansował o pięć poziomów w swoim pierwszym roku pracy? – wyszeptała z niedowierzaniem.

– Nie roku, tylko w ciągu pierwszych sześciu miesięcy. Jednak zanim doszło do egzaminu na nową funkcję, Ransom wystąpił z policji. Został zwerbowany przez sir Jaspera Jenkyna.

– Któż to taki?

– Wysoka figura w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. – Hubble zamilkł, wyraźnie zakłopotany. – No cóż, tylko tyle mi wiadomo.

Garrett odwróciła się, żeby spojrzeć na sylwetkę Ransoma, rosłą i postawną, rysującą się wyraźnie w blasku lampy. Stał w swobodnej pozie, z rękoma wsuniętymi niedbale w kieszenie. Dostrzegła jednak nieznaczny ruch jego głowy, świadczący o uważnym śledzeniu otoczenia. Nic nie mogło ujść jego uwadze, nawet umykający szczur na końcu ulicy.

– Panie Ransom… – zagadnęła go niepewnie.

Natychmiast przerwał rozmowę i obrócił się do niej.

– Tak, pani doktor?

– Czy będę musiała złożyć zeznania na temat wydarzeń dzisiejszego wieczoru?

– Nie. – Ransom przeniósł wzrok z jej twarzy na twarz konstabla Hubble’a. – Lepiej dla wszystkich, żebyśmy chronili tożsamość pani…

i moją, przyznając konstablowi Hubble'owi zasługę unieszkodliwienia tych typów.

Hubble zaczął protestować.

– Sir, nie mógłbym sobie przypisywać pańskiej odwagi.

– Ja także wykazałam się odwagą – przypomniała cierpkim tonem Garrett. – Pokonałam jednego z nich za pomocą skalpela.

Ransom podszedł do niej.

– Niech pani się zgodzi – poprosił ściszonym głosem. – Dostanie pochwałę i nagrodę pieniężną. Nie jest łatwo wyżyć z pensji posterunkowego.

Znając aż za dobrze szczupłość dochodu niskich rangą stróżów prawa, Garrett mruknęła ugodowo:

– Oczywiście.

Kącik ust Ransoma wyraźnie drgnął.

– W takim razie zostawimy ich z tym bałaganem, a ja odprowadzę panią do głównej ulicy.

– Dziękuję, ale naprawdę nie potrzebuję eskorty.

– Jak pani sobie życzy – odparł Ransom, niezrażony, jakby spodziewał się odmowy.

Garrett zerknęła na niego podejrzliwie.

– I tak pan za mną pójdzie, prawda? Jak lew skradający się za zbłąkaną łanią.

Uśmiech pogłębił drobne zmarszczki wokół jego oczu. Kiedy jeden z funkcjonariuszy mijał ich z latarnią, promień światła wydobył błysk zdumiewająco błękitnych tęczówek pod długimi, gęstymi rzęsami.

– Tylko do momentu, aż bezpiecznie zasiądzie pani w dorożce – powiedział.

– W takim razie wolę, żeby pan szedł obok mnie, tak jak chodzą normalni ludzie. – Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń. – Poproszę o mój skalpel.

Ransom sięgnął pod wewnętrzną cholewkę buta i wyciągnął niewielkie lśniące narzędzie.

– Piękna rzecz – wyraził uznanie, przyglądając się z podziwem wydłużonemu ostrzu. – I ostra jak diabli. – Ostrożnie podał jej skalpel. – Czym pani ostrzy?

– Pastą diamentową. – Zapakowała skalpel, po czym jedną ręką uniosła lekarską torbę, a drugą chwyciła laskę. Zdumiała się, kiedy Ransom wyraził gotowość przejęcia od niej ciężaru.

– Proszę pozwolić – mruknął.

Garrett cofnęła się, zaciskając palce mocniej na skórzanym uchwycie.

– Mogę ją ponieść sama.

– Oczywiście. Ale ja oferuję pomoc z uprzejmości wobec damy, nie kwestionuję pani możliwości.

– Zaproponowałby pan to samo lekarzowi mężczyźnie?

– Nie.

– Wolałabym więc, żeby postrzegał mnie pan jako lekarza, nie damę.

– Dlaczego musi pani być albo jednym, albo drugim? – wyraził zdziwienie Ransom. – Jest pani i jednym, i drugim. Nie widzę problemu w niesieniu torby damie i jednocześnie żywieniu szacunku dla jej zawodowych kompetencji.

Mówił rzeczowym tonem, ale coś w jego wzroku sprawiało, że czuła się nieswojo, być może intensywność spojrzenia, niespotykana między obcymi sobie ludźmi. Widząc jej wahanie, wyciągnął rękę i ponaglił łagodnie:

– Proszę.

– Dziękuję panu, ale poradzę sobie sama.

Ruszyła w stronę głównej ulicy. Ransom zrównał z nią krok i wsunął ręce do kieszeni.

– Gdzie nauczyła się pani tak rzucać nożem?

– Na Sorbonie. Grupa studentów medycyny uczyniła z tego grę, która często stanowiła ich rozrywkę po zajęciach na uczelni. Zbudowali tarczę na tyłach jednego z laboratoriów. – Po krótkiej pauzie dodała: – Nigdy mi się nie udało dobrze opanować techniki rzutu od dołu.

– Dobry rzut z góry całkowicie wystarczy. Jak długo mieszkała pani we Francji?

– Cztery i pół roku.

– Młoda kobieta uczęszczająca do najlepszej szkoły medycznej na świecie – pomyślał na głos Ransom – daleko od domu, pobierała

nauki w obcym języku. Ma pani mocny charakter, pani doktor.

– Żadna szkoła medyczna tu, na miejscu, nie pozwoliłaby studiować kobiecie – przypomniała mu Garrett. – Nie miałam wyboru.

– Mogła pani zrezygnować.

– Tego nigdy nie brałam pod uwagę – zapewniła go z uśmiechem.

Minęli zniszczony budynek z zamkniętym sklepem od frontu; powybijane okna prowizorycznie zaklejono papierem. Ransom wyciągnął rękę, żeby przeprowadzić Garrett wokół sterty pustych muszli po ostrygach, potłuczonych naczyń i czegoś, co wyglądało na zepsuty miech do rozniecania ognia. Odruchowo żachnęła się, czując jego dłoń na ramieniu.

– Nie musi się pani obawiać mojego dotyku – powiedział. – Chciałem tylko pomóc pani sforsować przeszkodę.

– To nie strach. – Po momencie wahania, trochę speszona, wyjaśniła: – Chyba mam za mocno ugruntowany nawyk niezależności. – Nim ruszyli dalej, Garrett przyłapała Ransoma na tęsknym spojrzeniu skierowanym na jej lekarską torbę. Zachichotała pod nosem, po czym złożyła mu propozycję: – Pozwolę ją panu nieść, jeśli będzie pan do mnie mówił ze swoim prawdziwym akcentem.

Ransom zatrzymał się i popatrzył na nią zaskoczony; między jego ciemnymi brwiami zarysowała się pionowa zmarszczka.

– Kiedy mi się wymknęło?

– Usłyszałam, kiedy pan groził jednemu z żołnierzy. I ten gest, kiedy pan dotykał czapki… wolniej, niż zwykle robią to Anglicy.

– Miałem irlandzkich rodziców, ale wychowałem się tu, w Clerkenwell – oznajmił spokojnie. – Nie wstydzę się tego. Jednak czasami akcent przeszkadza. – Wyciągnął rękę i czekał, aż Garrett odda mu torbę. Wtedy uśmiechnął się i przemówił całkiem innym głosem, dźwięcznym i głębokim, jakby stopniowo podgrzewanym na wolnym ogniu: – No to jak, dziewczyno, co miałbym ci powiedzieć?

Garrett odpowiedziała dopiero po chwili, zaskoczona dziwnym napięciem, które w niej budził.

– Zanadto się pan spoufala, panie Ransom.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Och, ale taka jest cena, jeśli chce się słuchać irlandzkiego akcentu. Będzie pani musiała przystać na trochę słodkości.

– Słodkości? – spytała ostrożnie, ruszając przed siebie.

– Komplementów na temat pani wdzięku i urody.

– To się chyba nazywa bałamuceniem – odparła szorstko. – I proszę, żeby mi go pan oszczędził.

– Jest pani mądrą, intrygującą kobietą – ciągnął, jakby nie słyszał jej studzącej uwagi. – A do tego mam wielką słabość do zielonych oczu…

– Mam laskę – przypomniała mu Garrett, rozgniewana, że tak śmiało sobie z niej żartuje.

– Nie mogłaby pani mnie nią zranić.

– Być może nie – przyznała, zaciskając palce na uchwycie. Następnie wykonała błyskawiczny poziomy ruch, uderzając go nie na tyle mocno, by wyrządzić poważną szkodę, lecz wystarczająco, by udzielić surowej lekcji.

Tymczasem, ku rozczarowaniu i złości Garrett, to ona dostała nauczkę. Cios został zablokowany jej własną lekarską torbą, a Ransom odebrał jej laskę, wykręcając ją tak, że musiała puścić uchwyt. Torba upadła na ziemię, znajdujące się w środku narzędzia zadźwięczały głośno. Nim Garrett na dobre zorientowała się w sytuacji, stała przyciśnięta do piersi Ransoma, unieruchomiona laską przytkniętą do szyi.

Zniewalająco aksamitny głos odezwał się tuż przy jej uchu.

– Sygnalizujesz swoje zamiary, kochana. To niedobry zwyczaj.

– Proszę mnie puścić – wysyczała w bezsilnej złości.

Ransom nie zwolnił uścisku.

– Przekręć głowę.

– Co?

– Proszę przekręcić głowę na bok, żeby osłabić nacisk na tchawicę i móc chwycić laskę prawą ręką.

Garrett uświadomiła sobie, że Ransom instruuje ją, jak się wyswobodzić. Z ociąganiem usłuchała polecenia.

– Proszę chwycić od spodu, żeby chronić gardło – powiedział Ransom. Czekał, aż zastosuje się do jego rady. – O, właśnie tak. A teraz proszę pociągnąć za koniec laski i wbić mi lewy łokieć

w żebra. Lekko, z łaski swojej. – Kiedy wykonała zalecony ruch, pochylił się do przodu jak zgięty bólem. – Dobrze. Teraz proszę chwycić laskę obiema rękami… szerzej… i mocno skręcić, równocześnie wymykając się pod moim ramieniem.

Garrett zastosowała się do wskazówek i… jak za sprawą cudu była wolna. Odwróciła się i spojrzała na Ransoma, oszołomiona i jednocześnie zafascynowana. Nie wiedziała, czy powinna mu dziękować, czy raczej zdzielić go odzyskaną laską po głowie.

Ransom z bezczelnym uśmiechem schylił się po torbę. Nie dość tego – miał czelność podsunąć jej ramię, jakby byli stateczną parą udającą się na spacer do Hyde Parku. Ignorując jego gest, ruszyła przed siebie.

– Przyduszenie od przodu to najczęstszy sposób atakowania kobiet – odezwał się spokojnie. – Drugi to przytrzymywanie od tyłu ramieniem naciskającym na szyję. Trzeci sposób to chwyt od tyłu i uniesienie. Ten mistrz fechtunku nie nauczył pani, jak się bronić bez laski?

– Nie – przyznała niechętnie Garrett. – Nie zajmuje się nauczaniem walki wręcz.

– Dlaczego Winterborne nie zapewnił pani powozu ze stangretem na te wyjścia? Nie należy do biednych i zwykle dba o swoich ludzi.

Garrett zmarszczyła brwi na wzmiankę o Winterbornie, właścicielu kliniki, założonej na potrzeby niemal tysiąca osób pracujących w jego domu towarowym. Rhys Winterborne zatrudnił ją, podczas gdy nikt inny nie chciał dać jej szansy – i już choćby za to zyskał jej dozgonną lojalność.

– Pan Winterborne zaproponował, że odda mi do dyspozycji powóz – przyznała. – Jednak nie chcę od niego więcej, niż już mi zapewnił, a poza tym przeszłam szkolenie w zakresie samoobrony.

– Wykazuje pani nadmierną pewność siebie, pani doktor. Umie pani tyle, by stanowić zagrożenie dla samej siebie. Istnieje kilka prostych sposobów, które mogą pomóc uciec przed napastnikiem. Mógłbym panią ich nauczyć w jedno popołudnie.

Wyszli zza rogu na główną ulicę. Grupki niechlujnie odzianych ludzi wystawały w progach i przy schodach domów, a chodnikiem ciągnęły sznury pieszych w najrozmaitszych strojach. Wzdłuż torów

tramwajowych przejeżdżały konie, wozy i bryczki. Garrett stanęła przy krawężniku, żeby wypatrywać dorożki.

Czekając, zastanawiała się nad tym, co powiedział Ransom. Najwyraźniej wiedział znacznie więcej od jej nauczyciela fechtunku na temat walk ulicznych. Manewr z laską zrobił na niej duże wrażenie. Miała ochotę odesłać go do diabła, jednak musiała w duchu przyznać, że ją zaintrygował.

Mimo wcześniejszej niedorzecznej uwagi o „słodkościach" była pewna, że Ransom nie ma wobec niej żadnych romantycznych zamiarów, co zdecydowanie jej odpowiadało. Nigdy nie pragnęła związku, który mógłby jej przeszkadzać w karierze. Owszem, zdarzały jej się niewiele znaczące miłostki… pocałunek skradziony przez pewnego przystojnego studenta medycyny na Sorbonie… niewinny flirt podczas tańca… ale celowo unikała mężczyzn, którzy mogliby stanowić rzeczywistą pokusę. A jakakolwiek głębsza znajomość z tym zuchwalcem Ransomem musiała prowadzić do kłopotów.

Mimo to chciała poznać kilka sztuczek przydatnych w razie ulicznej potyczki.

– Jeśli się zgodzę, żeby pan mnie uczył – zaczęła – czy obieca pan, że przestanie mnie śledzić podczas moich wtorkowych wypraw?

– Jasne – odpowiedział szybko Ransom.

Zbyt szybko.

Garrett przyjrzała mu się sceptycznie.

– Jest pan prawdomównym człowiekiem, panie Ransom?

Zaśmiał się pod nosem.

– Przy mojej pracy? – Obejrzał się przez ramię, zobaczył nadjeżdżającą dorożkę i przywołał ją skinieniem dłoni. Następnie skupił spojrzenie na twarzy Garrett. – Przysięgam na grób mojej matki, że nie musi się pani mnie bać.

Dorożka z klekotem zatrzymała się tuż obok nich.

Garrett w jednej chwili podjęła decyzję.

– Świetnie. Zatem proszę się ze mną spotkać jutro o szesnastej w klubie szermierczym Baujarta.

W oczach Ransoma pojawił się błysk satysfakcji. Patrzył, jak Garrett wsiada do dwukołowego pojazdu. Z wprawą wynikającą

z doświadczenia ominęła zwisające lejce i wspięła się na siedzenie pasażera.

Podając jej torbę, Ransom zawołał do woźnicy:

– Jedź tak, żeby zanadto damy nie wytrzęsło. – Nim Garrett zdążyła się sprzeciwić, stanął na podnóżku i podał woźnicy kilka monet.

– Sama mogę za siebie zapłacić – zaprotestowała.

Ransom wbił w nią spojrzenie i wcisnął jej coś do ręki.

– Prezent – mruknął i zeskoczył na ziemię. – Do jutra, pani doktor. – Dotknął palcami daszka czapki i pozostał w tej pozie, dopóki dorożka nie ruszyła.

Lekko oszołomiona, Garrett spojrzała na otrzymany podarek – srebrny gwizdek, jeszcze trochę ciepły od dotyku jego ciała.

Co za tupet, pomyślała… i mocno zacisnęła gwizdek w dłoni.

Rozdział 2

Przed udaniem się do swojego mieszkania na Half Moon Street Ethan musiał odbyć jeszcze jedno spotkanie. Podjechał dorożką na Cork Street, niemal w całości przylegającą do słynnego domu towarowego Winterborne'a.

W przeszłości Ethan kilkakrotnie wykonywał pracę na rzecz właściciela, Rhysa Winterborne'a. Powierzane mu zadania były łatwe i szybkie, właściwie niewarte jego czasu, ale tylko głupiec odrzucałby prośby tak wpływowego człowieka. Jedno z nich polegało na chodzeniu za lady Helen Ravenel, wówczas narzeczoną Winterborne'a, kiedy wraz z przyjaciółką odwiedzała pewien sierociniec w niebezpiecznej portowej dzielnicy.

To było przed dwoma laty, kiedy Ethan po raz pierwszy spotkał doktor Garrett Gibson.

Ta szczupła, ciemnowłosa kobieta pobiła dwukrotnie większego od siebie napastnika precyzyjnie wymierzonymi ciosami laską. Ethanowi bardzo się podobał jej sposób działania, jakby wykonywała niezbędną czynność w rodzaju wynoszenia domowych śmieci do zbiorczego pojemnika na odpady.

Miała nadspodziewanie młodą twarz, cerę czystą i gładką jak kostka białego mydła. Do tego wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, duże zielone oczy i nieco spiczasty podbródek. Przy tych elegancko cyzelowanych rysach szczególną uwagę zwracały delikatne, zmysłowe usta, z górną wargą prawie tak samo pełną jak dolna. Tak pięknie wykrojone, że Ethanowi dziwnie miękły kolana, kiedy na nie patrzył.

Po tamtym pierwszym spotkaniu Ethan starał się unikać Garrett Gibson, ponieważ wiedział, że oznaczałaby dla niego kłopot, prawdopodobnie nawet większy, niż on stanowiłby dla niej. Przed miesiącem jednak odwiedził ją w klinice, gdzie pracowała, gdyż potrzebował informacji na temat jej pacjentki – i jego fascynacja odżyła z nową siłą.

Wszystko, co dotyczyło Garrett Gibson, było… cudowne. Przenikliwe spojrzenie, głos słodki jak polewa na cytrynowym biszkopcie. Współczucie, które kazało jej leczyć wszystkich biednych, bez oceniania, czy zasługują na pomoc. Zdecydowany krok, niespożyta energia, pewność siebie kobiety, która ani nie ukrywa swojej inteligencji, ani tym bardziej za nią nie przeprasza. Była słonecznym światłem i stalą, połączonymi w substancję, jakiej nigdy wcześniej nie widział.

Na samą myśl o niej płonął jak bryłka węgla na palenisku.

Przysiągł sobie zawczasu, że niczego nie będzie od niej chciał. Pragnął jedynie zapewnić jej bezpieczeństwo, kiedy odbywała swoje wizyty w lecznicy w Clerkenwell albo w sierocińcu w Bishopsgate czy też jakichś innych wybranych przez siebie miejscach. Na tyle sobie pozwalał.

Umówienie się z nią na następny dzień stanowiło błąd. Ethan nadal właściwie nie wiedział, jak do tego doszło – słyszał słowa wychodzące z jego własnych ust, tak jakby wypowiadał je ktoś inny. Jednak kiedy już złożył propozycję, nie mógł jej cofnąć, a potem złapał się na tym, że bardzo pragnie, by doktor Gibson się zgodziła.

Spędzi jedną godzinę w towarzystwie Garrett Gibson, a potem już nigdy się do niej nie zbliży. Tylko że w istocie marzył o tych minutach sam na sam. Chciał zyskać wspomnienie na resztę swego życia.

Dom towarowy Winterborne'a mieścił się w wielkim budynku z rzędami witryn na wyłożonej marmurem elewacji. Słynna centralna rotunda z witrażowymi oknami górowała nad czterema poziomami łukowato sklepionych pomieszczeń handlowych. Gmach, zbudowany z iście pałacowym rozmachem, miał pokazać światu, że jego ambitny właściciel, syn walijskiego sklepikarza, stał się nie tylko bogatym, lecz także ważnym człowiekiem.

Ethan przeszedł na tyły zabudowań, gdzie mieściły się dawne stajnie, plac rozładunkowy i magazyny. Na końcu ulicy stał prywatny dom Winterborne'a, połączony z domem towarowym specjalnymi pasażami. Ethan zazwyczaj korzystał z tylnego wejścia, używanego przez służbę i dostawców.

Lokaj wpuścił go do środka.

– Proszę tędy, panie Ransom.

Ethan poszedł za nim, z czapką w ręce, w stronę głównych schodów czteropiętrowej budowli. Na ścianach korytarza wisiały lampy w kształcie rożków i obrazy przedstawiające góry, morze i słoneczne, sielankowe pejzaże. Długi wąski stół z boku niemal uginał się pod ciężarem biało-niebieskich chińskich wazonów wypełnionych obficie paprociami i wielkimi bukietami orchidei.

Kiedy mijali trzy stojące obok siebie donice z palmami, Ethan dostrzegł na podłodze przy jednej z nich kilka grudek ziemi. Przystanął i schylił się, żeby zajrzeć pod zwisające pierzaste liście. Zobaczył chatkę z pudełek po zapałkach, a wokół niej pochód wyrzeźbionych z drewna figurek zwierząt, przywodzących na myśl arkę Noego. Miejsce wyglądało na dziecięcą kryjówkę. Ethan przypomniał sobie, że Winterborne'owie wychowują mniej więcej pięcioletnią przyrodnią siostrę lady Helen, i bezwiednie się uśmiechnął. Zobaczywszy, że jeden z drewnianych słoników przewrócił się na bok, ostrożnie ustawił go we właściwej pozycji.

– Sir. – Lokaj stanął i obejrzał się, zaskoczony zainteresowaniem gościa roślinami doniczkowymi.

Ethan wyprostował się z niewinną miną.

– Dorodna palma – pochwalił i ruszył za lokajem, wcześniej jednak zręcznym machnięciem kapelusza starł z doniczki wiele mówiące ślady ziemi.

Zmierzali do saloniku dla panów, gdzie Ethan wcześniej spotykał się z Winterborne'em. W pomieszczeniu o męskim wystroju unosił się przyjemny zapach oliwionej skóry, dymu z cygar, drogich trunków i kredy używanej przy grze w bilard.

Ethan wszedł do środka, ale zatrzymał się tuż za progiem.

Winterborne stał obok wielkiego globusa umieszczonego w orzechowym stojaku i niedbałym ruchem wprawiał go w ruch,

podczas gdy drugi mężczyzna wybierał kij bilardowy z gabloty na ścianie. Śmiali się z czegoś w sposób zdradzający długą zażyłość.

Zauważywszy obecność gościa, Winterborne odezwał się swobodnym tonem:

– Ransom, proszę, niech pan wejdzie.

Ethan ani drgnął. Świadomość, że jest manipulowany, napięła mu nerwy. Przecież ten łobuz Winterborne dawał mu do zrozumienia, że będą sami…

Przy wzroście ponad metra osiemdziesięciu Ethan nie należał do niskich, ale Winterborne przewyższał go o dobre dziesięć centymetrów. Był potężnie zbudowany, miał szerokie ramiona i kark zawodowego boksera, a do tego długie ręce. Widząc, że się zbliża, Ethan odruchowo zaczął obmyślać sekwencję ruchów, która pozwoliłaby mu go pokonać w razie ewentualnego starcia. Zacznij od uniku w bok, chwyć go za połę surduta, wymierz kilka lewych sierpowych w splot słoneczny i dolne żebra, dokończ kopniakiem w brzuch…

– Ethanie Ransom, proszę pozwolić, że przedstawię panu Westona Ravenela – powiedział Winterborne, wskazując na swego towarzysza. – Krewny mojej żony. Spytał, czy mógłbym zorganizować spotkanie z panem.

Ethan szybko przeniósł wzrok na nieznajomego, mężczyznę przed trzydziestką o ciemnobrązowych włosach i urodziwej, skorej do uśmiechu twarzy. Miał sylwetkę świadczącą o doskonałej kondycji i świetnie skrojone ubranie, a przy tym, co ciekawe, ogorzałą od słońca cerę i szorstkie dłonie, jak człowiek, któremu nieobca jest fizyczna praca na powietrzu.

W londyńskim towarzystwie nazwisko Ravenel kojarzono z arystokratycznymi przywilejami i władzą. Jednakże Ravenelowie nigdy nie zyskali renomy takiej jak przedstawiciele rodów Cavendishów czy Grosvenorów, głównie przez popędliwość i zuchwałość we wszelkich poczynaniach. Nazwisko o mało nie wygasło wraz ze śmiercią ostatniego earla, lecz udało się odnaleźć dalekiego kuzyna, który przejął tytuł.

– Proszę wybaczyć te knowania – odezwał się pojednawczo Weston Ravenel, podchodząc bliżej. – Chcę z panem omówić pewną sprawę,

a nie wiedziałem, jak do pana dotrzeć.

– Nie jestem zainteresowany – oznajmił chłodno Ethan, kierując się do wyjścia.

– Proszę zaczekać. Wysłuchanie mnie leży w pańskim interesie. Jeśli trzeba, zapłacę za poświęcony mi czas. Mam tylko nadzieję, że nie jest zbyt drogi.

– Owszem, jest – uprzedził go Winterborne.

– Chyba powinienem był… – zaczął Ravenel i urwał gwałtownie, znalazłszy się na tyle blisko, by przyjrzeć się Ethanowi dokładniej w pełnym świetle. – Do licha – mruknął, patrząc mu w oczy.

Ethan wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Ze wzrokiem utkwionym w ścianie rozważał istniejące możliwości. Odwracanie się na pięcie nie miało większego sensu, równie dobrze mógł się dowiedzieć, o co chodzi temu człowiekowi.

– Zostanę dziesięć minut – oświadczył bez entuzjazmu.

– Nie przedłużyłby pan ich do dwudziestu, gdyby gospodarz otworzył butelczynę jakiegoś zacnego trunku? – Ravenel spojrzał wymownie na Winterborne'a. – Za „zacny" uważam koniak gautier '64 – dodał tonem wyjaśnienia.

– Wiesz, ile on kosztuje? – żachnął się oburzony Walijczyk.

– Przyjechałem tu aż z Hampshire. Jak często masz przyjemność korzystać z mojego towarzystwa?

– Nie nazwałbym tego przyjemnością – wymruczał pod nosem Winterborne, ale poszedł zadzwonić na służbę.

Ravenel zerknął na Ethana, po czym znów przybrał wyraźnie naturalny dla siebie pogodny wyraz twarzy.

– Może usiądziemy? – zaproponował, wskazując na kilka ustawionych w krąg głębokich skórzanych foteli.

Ethan z kamiennym wyrazem twarzy zajął miejsce w jednym z nich, po czym odchylił się na oparcie i splótł dłonie na brzuchu. Następnie, milcząc, zapatrzył się na zegar z drewna różanego, z mosiężną tarczą, stojący na gzymsie kominka.

– Liczymy minuty, tak? – zaczął Ravenel. – Świetnie, zatem od razu przejdę do rzeczy. Trzy lata temu mój brat niespodziewanie odziedziczył tytuł earla. Ponieważ nie miał zielonego pojęcia o zarządzaniu posiadłością ani tym bardziej o uprawie roli, zgodziłem

się przenieść do Hampshire, żeby mu pomóc. – Urwał, usłyszawszy pukanie do drzwi.

Ochmistrz wniósł na srebrnej tacy butelkę gautiera i kieliszki w kształcie jajka. Ceremonialnie napełnił je koniakiem i rozdał. Po jego wyjściu Winterborne przysiadł na oparciu ciężkiego fotela. Trzymając kieliszek w jednej ręce, drugą niespiesznie obracał globus, jakby się zastanawiał, którą część świata chce posiąść jako następną.

– Dlaczego zdecydował się pan tak radykalnie zmienić swoje życie? – Ethan nie zdołał się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Opuszczenie Londynu po to, by się zaszyć na wiejskim odludziu, wydawało mu się szukaniem piekła na ziemi. – Przed czym próbował pan uciekać?

– Chyba przed samym sobą – odpowiedział z uśmiechem Ravenel. – Nawet rozpusta może się stać męcząca. Poza tym odkryłem, że podoba mi się prowadzenie gospodarstwa rolnego. Dzierżawcy muszą mnie słuchać, a krowy mnie śmieszą.

Ethan nie miał nastroju na żarty. Weston Ravenel przypominał mu o rzeczach, o których przez większą część swoich dwudziestu ośmiu lat starał się nie myśleć. Przyjemne ożywienie po spotkaniu z Garrett Gibson wyparowało, ustępując miejsca irytacji. Przełknął łyk koniaku tak szybko, że nawet nie poczuł jego smaku.

– Zostało panu osiemnaście minut – rzucił zgryźliwie.

Ravenel uniósł brwi.

– Dziękuję za przypomnienie, już przechodzę do sedna. Jestem tu, bo postanowiliśmy z bratem sprzedać pewną rodzinną nieruchomość w Norfolk. Składa się na nią duży dom w dobrym stanie, otoczony dwoma tysiącami hektarów ziemi. Odkryłem jednakowoż, że nie możemy nic z nią zrobić. Przez pana.

Ethan spojrzał na niego pytająco.

– Wczoraj – podjął Ravenel – spotkałem się z poprzednim zarządcą Totthillem i adwokatem rodziny Foggiem. Wyjaśnili mi, że sprzedaż posiadłości w Norfolk nie jest możliwa, ponieważ Edmund, stary earl, zostawił ją komuś w testamencie w formie tajnego trustu.

– Co to takiego? – zapytał ostrożnie Ethan. Nigdy wcześniej nie słyszał o takim rozwiązaniu.

– Deklaracja, zwykle słowna, dotycząca przekazania mienia lub pieniędzy. – Ravenel miną wyraził żartobliwe zdziwienie. – Rzecz jasna, byliśmy ciekawi, dlaczego earl zostawił tak szczodry dar człowiekowi, o którym nigdy nie słyszeliśmy. – Po długiej pauzie kontynuował już poważniejszym tonem: – Jeśli pan nie ma nic przeciwko rozmowie na ten temat, to chyba wiem…

– Nie – przerwał mu ostro Ethan. – Jeśli wola nie została spisana, proszę ją zignorować.

– Obawiam się, że to tak nie działa. Według angielskiego prawa wola wyrażona ustnie jest niepodważalna. Ignorowanie jej oznacza złamanie prawa. A została wyrażona w obecności trzech świadków: Totthilla, Fogga oraz długoletniego kamerdynera earla, Quincy'ego, który wszystko potwierdził. – Ravenel umilkł i zamieszał resztkę koniaku w swoim kieliszku. Następnie spojrzał Ethanowi prosto w oczy. – Totthill i Fogg próbowali powiadomić pana o truście po śmierci earla, ale nie mogli pana nigdzie znaleźć. Tak więc to mnie przypadła rola przekazania radosnej wieści. Gratuluję, jest pan dumnym posiadaczem majątku ziemskiego w Norfolk.

Ethan z wielką ostrożnością odstawił kieliszek na pobliski stolik.

– Nie chcę go. – Wszystkie wyuczone sztuczki mające na celu panowanie nad emocjami, takie jak kontrola oddechu czy skupienie się bez reszty na wybranych myślach, w tym momencie zawodziły. Ze zgrozą poczuł, że pot występuje mu na czoło. Wstał i okrążywszy najbliższe fotele, skierował się ku drzwiom.

Ravenel ruszył za nim.

– Do licha, niechże pan zaczeka – zawołał z rezygnacją. – Jeśli nie dokończymy tej rozmowy teraz, będę musiał znów zadać sobie kłopot, żeby pana odnaleźć.

Ethan zatrzymał się, wciąż odwrócony do niego plecami.

– Niezależnie od tego, czy chce pan ten majątek, czy nie – ciągnął Ravenel – musi pan go wziąć. Bo choć nie możemy nic zrobić z tym przeklętym miejscem, płacimy za nie coroczne podatki.

Ethan sięgnął do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów i cisnął je Ravenelowi pod nogi.

– Proszę mnie powiadomić o wysokości moich zobowiązań – warknął.

Należało oddać Ravenelowi, że nawet jeśli gest nim wstrząsnął, nie dał tego po sobie poznać. Odwracając się do Winterborne'a, rzucił lekko:

– Nikt wcześniej nie obsypywał mnie gotówką. Muszę przyznać, że to budzi natychmiastową sympatię. – Nie zwracając uwagi na rozsypane banknoty, oparł się tyłem o stół bilardowy; splótł ramiona na piersi i wbił w Ethana przenikliwe spojrzenie.

– Najwyraźniej nie bardzo pan lubił starego Edmunda. Mogę spytać dlaczego?

– Skrzywdził osobę, którą kochałem. Nie splamię jej pamięci, godząc się przyjąć cokolwiek od Ravenela.

Napięcie wiszące w powietrzu trochę zelżało. Weston Ravenel podrapał się po karku; kącik jego ust uniósł się w nieśmiałym uśmiechu.

– Czas na szczerość? W takim razie proszę mi wybaczyć, że zachowywałem się jak impertynent.

Ethan pomyślał, że gdyby jego rozmówca nie nazywał się Ravenel, mógłby go nawet polubić.

Winterborne podniósł się z miejsca i przeszedł do stolika, na którym ochmistrz zostawił tacę.

– Mógłby pan rozważyć sprzedanie posiadłości Westonowi – zwrócił się do Ethana, dolewając sobie koniaku.

To było doskonałe rozwiązanie. W ten sposób Ethan pozbyłby się niechcianej ziemi i przeciął wszelkie więzy z rodziną Ravenelów.

– Sprzedam ją panu za jednego funta – zgodził się szybko. – Proszę przygotować dokumenty, to je podpiszę.

Weston Ravenel zmarszczył czoło.

– Nie za jednego funta. Kupię ją za rozsądną cenę.

Ethan odpowiedział mu groźnym spojrzeniem, a potem stanął przy oknie, zapatrzony na mozaikę zasnutych dymem dachów. Londyn przygotowywał się do wieczornego życia, zdobił pasmami świateł, pomrukiwał w oczekiwaniu na grzeszne przyjemności.

Urodził się w tym mieście, wykarmił się nim, jego gwałtowne rytmy tkwiły w nim, wrośnięte tak trwale jak siatka jego własnych żył. Oddychał nim, miał je we krwi. Mógł pójść wszędzie – do okrytych

wiecznym mrokiem kryjówek, najpodlejszych melin czy najbardziej niebezpiecznych wylęgarni przestępstw – i niczego się nie bać.

– Będę w Londynie przez następny miesiąc – powiedział West Ravenel. – Zanim wrócę do Hampshire, każę sporządzić ofertę kupna posiadłości w Norfolk. Jeśli warunki się panu spodobają, chętnie przejmę ją z pańskich rąk. – Wyciągnął z kieszeni kamizelki białą wizytówkę. – Może i pan da mi swoją? Zgłoszę się, kiedy będę miał do zaproponowania konkretną sumę.

– Winterborne może panu powiedzieć, jak przesłać mi wiadomość – odparł Ethan. – Nie posiadam wizytówki.

– Oczywiście – mruknął Ravenel, nie cofając wyciągniętej ręki. – Mimo to proszę wziąć moją. – Na milczącą odmowę Ethana wykrzyknął: – Dobry Boże, zawsze pan się tak zachowuje? Stanowi pan doprawdy trudne towarzystwo, a mówi to człowiek, który spędza większość czasu wśród zwierząt hodowlanych. Cywilizowani ludzie wymieniają wizytówki, kiedy się poznają. Proszę ją wziąć.

Ethan postanowił ustąpić. Przyjął kartonik zapisany błyszczącymi czarnymi literami i wetknął do portfela trzymanego w wewnętrznej kieszeni surduta.

– Sam się odprowadzę – oznajmił.

Wziął swój kapelusz ze stołu, włożył na głowę i przesunął palcami po rondzie. To był jego sposób mówienia „do widzenia”; miał irlandzką niechęć do wypowiadania tego zwrotu na głos.

Rozdział 3

Garrett w damskiej gotowalni u Baujarta przebrała się w kobiecy strój do fechtunku, czyli obcisły żakiet z wysokim kołnierzem, białą spódnicę za kolana, grube białe pończochy i skórzane buty na płaskim obcasie. Wychodząc, minęła ciąg sal do indywidualnych ćwiczeń; zza zamkniętych drzwi dobiegały dobrze jej znane odgłosy: szczęk floretów, szabel i lasek, szybki tupot stóp na dębowej podłodze, komendy instruktorów.

– Przerwij walkę! Wyprostuj ramię. *En garde… longe…* Przerwij…

Monsieur Jean Baujart, syn sławnego mistrza fechtunku, uczył sztuki obrony we francuskich i włoskich akademiach, nim otworzył własny klub i szkołę w Londynie. W ciągu dwudziestu lat działalności zyskał niezrównaną reputację dzięki swym wybitnym umiejętnościom. Na jego publicznych występach zawsze stawiały się tłumy widzów, a sale jego szkoły bezustannie wypełniali uczniowie w rozmaitym wieku. W przeciwieństwie do większości monsieur Baujart nie tylko pozwalał kobietom uczęszczać do swojej szkoły, ale wręcz je do tego zachęcał.

Garrett od czterech lat uczestniczyła w zajęciach grupowych, a także brała lekcje indywidualne u Baujarta oraz jego dwóch asystentów, uczących posługiwania się zarówno floretem, jak i laską. Baujart upierał się przy klasycznym stylu walki. Stanowczo zabraniał jakichkolwiek nieprzepisowych ruchów czy naginania reguł. Jeśli szermierz wykonywał uniki, skręty ciała albo cofał się biegiem, był łagodnie wyśmiewany, a jego zachowanie na macie korygowane. U Baujarta nie „skakało się jak małpa” ani nie „wiło jak piskorz”. Chodziło przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – o formę.

Pożądanym wynikiem nauczania był wytworny styl, podziwiany przez inne szkoły fechtunku.

Po dotarciu do swojej sali ćwiczeń Garrett przystanęła w progu i zmarszczyła czoło, słysząc dźwięki dobiegające ze środka. Czyżby poprzednia lekcja się przedłużała? Ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała.

Aż wytrzeszczyła oczy na widok znajomej sylwetki monsieur Baujarta, atakującego przeciwnika serią *phrases d'armes.*

Baujart, tak jak pozostali instruktorzy w szkole, nosił czarny strój szermierczy, podczas gdy członkowie klubu i uczniowie zakładali klasyczne, jednolite białe uniformy. Twarze obu mężczyzn zakrywały druciane maski, ich dłonie ochraniały rękawice, a klatki piersiowe skórzane plastrony. Florety, zakończone dla bezpieczeństwa puntami, błyskały i krzyżowały się w szybkiej wymianie pchnięć.

Nawet gdyby Baujart nie miał na sobie kostiumu instruktora, byłby łatwy do rozpoznania przez nienaganną postawę i styl. Niewiarygodnie sprawny – jak na czterdziestolatka – przypominał artystę, który nieustannie cyzeluje swą już doskonałą sztukę. Każde pchnięcie, sparowanie czy riposta wyróżniały się precyzją i skutecznością.

Jego przeciwnik natomiast walczył w stylu, z którym Garrett nigdy wcześniej się nie spotkała. Zamiast pozwolić, by starcie przebiegało w ustalonym rytmie, nacierał niespodziewanie i cofał się, nim Baujart zdążył go trafić. W jego ruchach było coś kociego, złowrogi wdzięk, który zjeżył wszystkie włosy na jej ciele.

Zafascynowana, weszła do sali i zamknęła drzwi.

– Witam, pani doktor – odezwał się mężczyzna w bieli, nawet na nią nie patrząc. Nie wiedzieć czemu, serce dziwnie jej podskoczyło, gdy rozpoznała głos Ethana Ransoma. Odparowawszy wypad, pochylił się i zaatakował pod klingą Baujarta.

– *Arrête!* – rzucił ostro Baujart. – To natarcie było niezgodne z zasadami.

Walka została przerwana.

– Dzień dobry – odpowiedziała Garrett. – Czyżbym się pojawiła za wcześnie, panie Ransom?

– Nie. Monsieur Baujart miał wątpliwości, czy pozwolić mi na udzielanie pani lekcji, postanowił więc osobiście ocenić moje

możliwości.

– Jest gorzej, niż się obawiałem – stwierdził ponuro Baujart, odwracając ku Garrett twarz osłoniętą maską. – Ten człowiek nie posiada kwalifikacji, doktor Gibson. Nie mogę pochwalać tego, że się pani z nim zadaje. On zniszczy każdą metodę, której się tu pani nauczyła.

– Mam nadzieję – mruknął Ransom.

Garrett zacisnęła usta, żeby powstrzymać uśmiech. Nikt dotąd nie ośmielił się mówić do Baujarta z taką bezczelnością.

Mistrz fechtunku ponownie skupił całą uwagę na Ransomie.

– *Allons* – warknął.

Rozpoczął się kolejny pojedynek, tak szybki, że śmigające ostrza zlewały się w jeden stalowy błysk.

Ransom wykonał zwrot, odparował atak i umyślnie zahaczył Baujarta ramieniem, żeby wytrącić go z równowagi. Wyprowadził kolejne pchnięcie, padł na podłogę i błyskawicznie się po niej przetoczył, znów stanął na nogach i trafił Baujarta po raz drugi.

– *Arrête!* – zawołał wściekły Baujart. – Zderzanie się z przeciwnikiem? Tarzanie po ziemi? To nie bójka w tawernie, szaleńcze! Co pan wyprawia?!

Ransom opuścił broń i odwracając się do niego przodem, spokojnie odpowiedział:

– Staram się wygrać. Czyż nie o to chodzi?

– Chodzi o szermierkę zgodną z zasadami ustalonymi przez amatorską ligę tego sportu.

– I właśnie tak uczy pan doktor Gibson walczyć – stwierdził z ironią Ransom.

– *Oui!*

– Po co? Żeby mogła wziąć udział w spontanicznym pojedynku szermierczym, rozegranym w slumsie na East Endzie? Nie przyszła tu po to, żeby się nauczyć fechtować z dżentelmenami, Baujart. Potrzebna jej wiedza, jak się bronić przed mężczyznami takimi jak ja. – Zdjął maskę i szybkim ruchem głowy odrzucił włosy spadające mu na oczy. Wbił w *maître d'armes* twarde spojrzenie. – Doktor Gibson nie ma pojęcia, co robić, jeśli ktoś ją rozbroi w połowie tego wdzięcznego kręcenia młynków laseczką, którego ją pan nauczył.

Mieszkał pan w Paryżu, więc musi znać jakichś *savate.* Albo przynajmniej *chausson.* Dlaczego pan jej ich nie pokazał?

– Ponieważ są nieprawidłowe – odparł Baujart. Zdarł maskę, odsłaniając wąską, zaczerwienioną twarz i czarne oczy ziejące wściekłością.

– Nieprawidłowe? – Przez moment Ransom sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

Monsieur Baujart przeszył go pogardliwym wzrokiem.

– Tylko prostak uważa, że celem fechtunku jest dźganie przeciwnika ostrym końcem broni. To dyscyplina sportowa. Poezja dla wzroku, obwarowana regułami.

– Boże dopomóż… – westchnął Ransom, patrząc na niego z niedowierzaniem.

Garrett uznała, że czas wprowadzić nieco dyplomacji.

– Panie Ransom, nie ma co krytykować monsieur Baujarta. Uczył mnie najlepiej, jak mógł.

– Doprawdy? – zwrócił się Ransom do *maître d'armes* złowróżbnie ściszonym głosem. – Czy raczej dawał jej pan lekcje wystarczające na salonowe ćwiczenia dla pań? Innych klientów może pan uczyć ładnej postawy, ale tę kobietę trzeba nauczyć walki o życie. Ponieważ któregoś dnia może być zmuszona ją stoczyć i będzie zdana na umiejętności, które jej pan wpoił. – Skrzywił się drwiąco. – Leżąc na ulicy z poderżniętym gardłem, ma się pocieszać, że przynajmniej nie zarobiła żadnych punktów karnych?

Nastąpiła długa cisza, zakłócana jedynie szybkim oddechem Baujarta. W końcu złość z niego uleciała, pozostawiając go z miną, jakiej Garrett jeszcze u niego nie widziała.

– Rozumiem – wydukał z trudem. – Wprowadzę niezbędne zmiany w treningach.

– Włączy pan *savate*? – nie ustępował Ransom.

– Sprowadzę specjalnego nauczyciela, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Mężczyźni wymienili ukłony, Garrett także dygnęła przed swoim nauczycielem. Zmartwiło ją, że monsieur Baujart wyraźnie unika jej wzroku. Opuścił salę ćwiczeń sztywno wyprostowany, zamykając za sobą drzwi.

Zostawszy sam na sam z Ethanem Ransomem, Garrett patrzyła, jak odkłada floret i maskę do kąta.

– Był pan dość szorstki dla biednego monsieur Baujarta – odezwała się cicho.

– Nie dość szorstki – odparł, dopuszczając do głosu swój irlandzki akcent. – Powinienem przez kwadrans malować przed nim takie piekielne wizje. – Rozpiął sprzączki, zdjął plastron i rzucił na podłogę. – Potrzebuje pani praktycznych umiejętności samoobrony bardziej niż wszyscy pozostali uczniowie. Jego arogancja… czy może lenistwo wystawiły panią na ryzyko.

– Sama nie wiem, czy powinnam się czuć bardziej urażona z powodu monsieur Baujarta, czy ze względu na siebie – powiedziała cierpko Garrett.

– Nie obraziłem pani. – Ransom ściągnął rękawice i odrzucił na bok.

– Zasugerował pan, że brakuje mi umiejętności.

Odwrócił się do niej.

– Nie. Widziałem, jak pani walczy. Jest pani przeciwnikiem, z którym należy się liczyć.

– Dziękuję. – Trochę udobruchana dodała: – W takim razie daruję panu uwagę o kręceniu młynków laseczką.

Dostrzegła błysk przelotnego uśmiechu.

– Są zupełnie nieefektywne, ale bardzo przyjemne dla oka – wymruczał.

Garrett uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi go w dobrym oświetleniu. Wyraz jego niewiarygodnie niebieskich oczu wzbudzał dziwne… lecz przyjemne mrowienie pod żebrami. Rysy miał męskie, wręcz nieco grubo ciosane, z wydatnym nosem i geometryczną szczęką… ale długie czarne rzęsy ładnie zmiękczały ich surowość… a kiedy się uśmiechał, mogłaby przysiąc, że w jednym z policzków występował dołeczek.

Ransom zaczął się przechadzać pod ścianą, na której zawieszono oprawione ilustracje pozycji szermierczych; udawał, że jest nimi zainteresowany. Ten chłopięcy rys niepewności, jakby nie wiedział, jak powinien się wobec niej zachowywać, trochę rozczulił Garrett.

Prezentował się doskonale w szermierczym kostiumie, od stóp do głów w czystej bieli, która zwykle raczej nie służyła męskiej sylwetce. Płócienny żakiet zapinany po jednej stronie, mocno dopasowany, najczęściej optycznie zwężał ramiona, dodając wymiaru w pasie, a obcisłe spodnie, całkiem gładkie z przodu, uwydatniały nawet najsłabiej zarysowany brzuch. Tymczasem u Ransoma ten szczególny krój tylko podkreślał nienaganne proporcje ciała, jego smukłość i siłę.

Garrett przesunęła wzrokiem od szerokich ramion przez wąskie biodra do mocno umięśnionych ud. Uświadomiwszy sobie, że nieprzyzwoicie się na niego gapi, poderwała głowę… i spłonęła rumieńcem jak pensjonarka na widok pytania w jego oczach.

– Zwracałam uwagę na wyjątkowo rozwinięty u pana mięsień czworogłowy – wyjaśniła, przybierając profesjonalny ton.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– To miał być komplement, pani doktor?

– Bynajmniej. Zwykła obserwacja. Budowa pańskiego ciała mogłaby sugerować, że był pan marynarzem lub kowalem.

– Trochę się parałem obróbką metalu – przyznał. – Ale to były drobne rzeczy. Nic tak trudnego jak w prawdziwej kuźni.

– Co dokładnie pan robił?

Poprawił jedną z ramek na ścianie.

– Głównie zamki i klucze. Jako chłopiec praktykowałem u ślusarza. – Nie patrząc na nią, dodał: – Mój ojciec pracował jako dozorca więzienny w Clerkenwell.

W większości więzień, nie wyłączając Clerkenwell, panowały straszne warunki – było w nich brudno, niebezpiecznie i tłoczno, uważano bowiem, że ich atmosfera powinna działać odstraszająco. W przekonaniu Garrett żaden chłopiec nie powinien pracować w tego rodzaju otoczeniu.

– Raczej nieodpowiednie miejsce dla dziecka – zauważyła.

Odpowiedział nieznacznym wzruszeniem ramion.

– Było dość bezpiecznie, pod warunkiem że przestrzegałem zasad.

– Miał pan rodzeństwo?

– Nie. Jestem jedynakiem.

– Tak jak ja. – Choć Garrett zwykle niechętnie opowiadała o sobie, teraz zaskakująco łatwo przyszło jej wyznanie: – Zawsze chciałam mieć siostrę. Matka umarła przy moich narodzinach, a ojciec nie ożenił się powtórnie.

– Był konstablem w wydziale E, tak?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Owszem. Skąd pan wie?

– Przeczytałem w gazecie.

– No tak, oczywiście. – Skrzywiła się. – Dziennikarze uparcie portretują mnie jako osobliwość. Coś w rodzaju gadającego konia.

– Jest pani niezwykłą kobietą.

– Niezupełnie. Wiele tysięcy kobiet posiada odpowiedni umysł i charakter, by praktykować medycynę. Tymczasem żadna uczelnia medyczna w tym kraju nie przyjmuje studentek płci żeńskiej, dlatego musiałam studiować we Francji. Miałam szczęście, że zdobyłam uprawnienia, zanim brytyjska izba lekarska zaostrzyła przepisy, by uniemożliwić innym kobietom pójście w moje ślady.

– Co ojciec sądził o pani wyborze?

– Z początku był przeciwny. Uważał, że taki zawód jest zbyt nieprzyzwoity dla kobiety. Wie pan, patrzenie na rozebranych ludzi i tak dalej. Jednak przypomniałam mu, że zostaliśmy stworzeni na Boże podobieństwo, więc nie może być nic złego w badaniu ludzkiego ciała.

– I to zmieniło jego pogląd?

– Nie do końca. Dopiero kiedy zobaczył, jaki opór napotykam ze strony znajomych i krewnych, zaczął mnie wspierać. Nie mógł znieść, że inni chcą mi czegoś zabraniać.

Słaby uśmiech błąkał się po twarzy Ransoma, kiedy stanął obok niej. Pod gładko wygoloną skórą rysował się cień świeżego zarostu. Miał jasną karnację, kontrastującą z mocnym, ciemnym kolorem włosów.

Delikatnym ruchem odebrał jej laskę.

– Na razie nie będzie nam potrzebna.

Garrett pokiwała głową; czuła pulsowanie krwi w nadgarstkach i pod kolanami.

– Mam zdjąć rękawice? – zapytała, starając się panować nad głosem.

– Jeśli pani chce. – Ransom odłożył laskę na podłogę pod ścianą. – To będzie łatwe – zapowiedział. – Może nawet się pani spodoba. Za parę minut pozwolę pani rzucać sobą o podłogę.

Zaśmiała się nerwowo.

– Jest pan dwa razy większy ode mnie. Jak miałabym to zrobić?

– Pokażę pani. Ale zaczniemy od czegoś prostszego. – Zaczekał, aż pozbędzie się rękawic. – Pamięta pani, co mówiłem na temat ataków na kobiety, jak wyglądają najczęściej?

– Są przyduszane od przodu.

– Tak. Zwykle pod ścianą. – Ostrożnie chwycił Garrett za ramiona i poprowadził tyłem, aż dotknęła łopatkami twardej powierzchni. Następnie uniósł dłonie do jej szyi; palce miał tak silne, że mógłby nimi bez trudu zginać miedziane monety. Poczuła dreszcz lęku na kręgosłupie i odruchowo wyprostowała plecy.

Ransom natychmiast ją puścił; jego brwi złączyły się w wyrazie zatroskania.

– Nie – uspokoiła go szybko. – Ja… nic mi nie jest. Po prostu nikt dotąd nie chwytał mnie za gardło.

– Nie musi się pani niczego obawiać z mojej strony – powiedział cichym, miękkim głosem. – Nigdy.

– Oczywiście. – Po krótkiej pauzie dodała cierpko: – Chociaż kiedy wspomniałam o panu, ojciec ostrzegł mnie, że jest pan niebezpieczny.

– Bywam.

Garrett spojrzała na niego z wyższością.

– Każdy mężczyzna lubi wierzyć, że pewna część jego natury pozostaje nieujarzmiona.

– Wie pani wszystko o mężczyznach, tak? – spytał z nutą kpiny.

– Panie Ransom, płeć męska przestała stanowić dla mnie tajemnicę od pierwszych zajęć z anatomii praktycznej, podczas których przeprowadzaliśmy sekcję zwłok.

Zakładała, że to przywoła go do porządku, tymczasem on tylko cicho się zaśmiał.

– Nie wątpię, że potrafi pani pokroić mężczyznę jak duszonego zająca, pani doktor, ale to nie znaczy, że pani ich rozumie.

Garrett zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Uważa pan więc, że jestem naiwna?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie widzę w pani żadnych wad. – Niepodważalna szczerość jego tonu trochę zbiła ją z tropu.

Znów przyłożył palce, suche i ciepłe, do jej szyi, wywierając ledwie wyczuwalny nacisk. Czuła nagniotek na jego kciuku, lekko szorstki, jak dotyk kociego języka. Kontrast pomiędzy brutalną siłą jego rąk i delikatnością dotyku wywołał gęsią skórkę na całym jej ciele.

– W takiej sytuacji – zaczął, spoglądając spod opuszczonych rzęs na wrażliwy punkt na wysokości grdyki – ma pani tylko kilka sekund na obronę.

– Tak – powiedziała cicho, świadoma, że Ransom musi czuć jej oddech, puls, ruch mięśni przy przełykaniu. – Nacisk na tchawicę i tętnice szyjne bardzo szybko powoduje utratę przytomności. – Niepewnie złapała go za łokcie. – Gdybym pociągnęła tak…

– Nic by to nie dało, gdyby przeciwnik był mojej postury. Proszę opuścić podbródek, żeby osłonić szyję, i złożyć dłonie razem, jak do modlitwy. Teraz proszę je wsunąć w krąg utworzony przez moje ramiona… dobrze, wyżej… aż będę zmuszony ugiąć łokcie. Czuje pani, jak mój uścisk słabnie?

– Tak – przyznała, ucieszona odkryciem.

– Teraz proszę mnie złapać za głowę.

Zaskoczona, tylko uniosła brwi.

– No, śmiało – ponaglił.

Zachichotała, co natychmiast wprawiło ją w zakłopotanie, bo przecież nigdy jej się nie zdarzało chichotać! Odchrząknęła i zmusiła się do przyłożenia rąk po obu stronach jego czaszki. Jego krótko obcięte włosy przypominały w dotyku surowy jedwab.

– Proszę chwycić bliżej twarzy, żeby mogła pani wcisnąć mi kciuki do oczu – polecił.

Garrett się żachnęła.

– Chce pan, żebym wydłubywała komuś oczy?

– Owszem. Żadnej litości dla drania, bo on w stosunku do pani jej nie okaże.

Uważnie przesunęła dłonie, kładąc opuszki kciuków w kącikach jego oczu. Nie miała odwagi na niego patrzeć. Miał tak intensywny kolor tęczówek, że czuła się nieswojo, jakby wciągały ją w przepastny błękit, jakby miała w nich utonąć.

– Wciskając palce do oczu – instruował spokojnie – będzie pani mogła łatwo odchylić głowę do tyłu. Proszę ją opuścić tak, żeby nos napastnika uderzył o pani czoło. – Nim wykonała ruch, ostrzegł: – Powoli. Już raz miałem złamany nos i wolałbym nie powtarzać tego doświadczenia.

– Jak to się stało? – spytała, wyobrażając sobie jakąś dramatyczną, zagrażającą życiu sytuację. – Pacyfikował pan bunt? Powstrzymywał napad?

– Potknąłem się o wiadro – odparł cierpko. – Przed dwoma konstablami i celą, w której siedziało sześciu aresztantów, dezerter z wojska i człowiek zalegający z kaucją.

– Biedak – powiedziała współczująco, choć nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Opłacało się. Między osadzonymi rozpoczynała się bójka, ale wszyscy tak się śmiali, że o niej zapomnieli. – Nagle zmienił ton na całkiem poważny. – W razie prawdziwego zagrożenia proszę ciągnąć głowę przeciwnika ku sobie z całej siły. I walić go tak długo, aż puści.

– A sama przy tym nie doprowadzę się do omdlenia?

– Nie, na to jest za twardo. – Delikatnie postukał kostkami dłoni w jej czoło, jakby pukał do drzwi. – On ucierpi znacznie bardziej.

Przeniósł dłonie z powrotem na jej szyję, niemal z czułością przykładając palce do skóry.

Garrett ostrożnie przyciągnęła ku sobie jego głowę, aż poczuła na czole dotyk jego nosa i ust. Trwało to zaledwie moment, ale doznała dziwnego elektryzującego wrażenia. Powiew ciepłego oddechu i zapach czystego, zdrowego męskiego ciała rozpaliły żar, który zaczął promieniować w niej od środka.

Ransom powoli się odsunął.

– Potem mogłaby pani kopnąć w krocze… o ile spódnica pani nie okaże się za ciężka lub zbyt wąska.

– Chce pan powiedzieć, że powinnam użyć nogi do… – Mimowolnie opuściła wzrok na jego podbrzusze.

– O, tak. – Pokazał zalecony ruch, nieznacznie unosząc kolano.

– Sądzę, że w spódnicy, którą zwykle mam na sobie, byłoby to możliwe.

– W takim razie proszę się nie wahać. To najbardziej wrażliwy punkt u każdego mężczyzny. Ból dosłownie przeszywa wnętrzności.

– Nie wątpię – mruknęła Garrett. – Do moszny dochodzi nerw splotu lędźwiowego, sięgający do brzucha. – Widząc, że Ransom ucieka wzrokiem, dodała przepraszająco: – Wprawiłam pana w zakłopotanie? Bardzo przepraszam.

Kiedy na nią popatrzył, wcale nie wydawał się skrępowany, tylko rozbawiony.

– Bynajmniej. Po prostu nigdy dotąd nie słyszałem, żeby dama mówiła takie rzeczy.

– Przecież już panu powiedziałam, że nie jestem damą.

Rozdział 4

Lekcja, która nastąpiła później, w niczym nie przypominała sesji z monsieur Baujartem czy jego *prévôts*, kładącymi główny nacisk na dyscyplinę, ciszę i nienaganną prezencję. To, co robiła z Ransomem, przywodziło na myśl raczej brutalną zabawę w przepychanki. W istocie każda minuta tych skrętów, chwytów i pchnięć wymagała tyle uwagi, że Garrett zupełnie straciła poczucie czasu. I choć nie była przyzwyczajona do męskiego dotyku, Ransom zachowywał się tak ostrożnie i delikatnie, że szybko mu zaufała.

Cierpliwie demonstrował jej rozmaite ruchy i zachęcał do ich ćwiczenia, dopóki nie nabrał pewności, że prawidłowo je utrwaliła. Chwalił jej wysiłki, nazywał ją wojowniczką, amazonką, a parę razy okazał też rozbawienie jej entuzjazmem. Zgodnie z obietnicą nauczył ją, jak powalić człowieka na ziemię, używając zgiętej nogi jako dźwigni. Padając, za każdym razem przetaczał się płynnie po macie i ponownie stawał na nogi.

– Gdzie pan się tego nauczył? – spytała w pewnej chwili Garrett.

– Po tym, jak opuściłem wydział K, wysłano mnie na specjalne szkolenie.

– Dokąd?

Z jakiegoś powodu Ransom chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Do Indii.

– Do Indii? Dobry Boże! Na jak długo?

– Półtora roku – odparł, a widząc jej zainteresowanie, wyjaśnił: – Byłem szkolony przez osiemdziesięcioletniego guru, który miał sprawność szesnastolatka. Uczył sposobu walki opartego na zwierzęcych ruchach, jak u tygrysa lub węża.

– Fascynujące. – Garrett miała ochotę wypytać go o to dokładniej, ale kazał jej się odwrócić do siebie tyłem.

– A to należy zrobić, kiedy ktoś chwyta nas w niedźwiedzi uścisk. – Zawahał się. – Będę musiał panią objąć.

Garrett skinieniem wyraziła pozwolenie i nawet nie drgnęła, kiedy otoczył ją ramionami. Trzymał mocno, nie bała się zgniecenia, ale miała wrażenie, że jej podeszwy zaraz oderwą się od podłogi. Czuła ciepło jego ciała promieniujące spod szermierczej kurtki, otaczała ją surowa siła, twarda męska pierś naciskała na nią w falującym rytmie oddechu.

– Niedźwiedzie naprawdę tak chwytają? – spytała zduszonym głosem.

– Nie wiem – odpowiedział lekko Ransom, tuż przy jej uchu. – Do żadnego nie podszedłem tak blisko, żeby się przekonać. Wracając do rzeczy, ważne, żeby pani nie pozwoliła się podnieść. Proszę wysunąć biodra do tyłu i jak najmocniej zaprzeć się stopami o ziemię. – Odczekał, aż spełni prośbę. Jej ruch zmusił go do pochylenia się nad nią, co przesunęło jego punkt ciężkości. – Dobrze. Teraz proszę zrobić krok w bok, co da pani możliwość wykonania celnego ciosu ręką w krocze. – Patrzył, jak podkurcza palce. – Nie tak. Nikt pani nie uczył, jak zwinąć dłoń w pięść?

– Nie. Proszę mi pokazać.

Ransom puścił ją i odwrócił twarzą do siebie. Następnie ujął jej dłoń w obie ręce i nadał palcom pożądane ułożenie.

– Należy zwinąć palce i ułożyć kciuk na wierzchu. Nie wolno wsuwać go do środka, bo zostanie złamany podczas uderzenia. I proszę nie ściskać tak mocno, bo wtedy mały palec podwija się pani do wewnątrz. – Sprawdził napięcie mięśni w jej zwiniętej dłoni, przesuwając opuszką kciuka po kostkach. Myślała, że na tym poprzestanie, tymczasem on zbadał również wgłębienia między palcami, wypukłości paznokci i delikatne miejsce u nasady kciuka. Kiedy dotarł do wewnętrznej strony przegubu, gdzie pod skórą trzepotał puls, Garrett mimowolnie wstrzymała oddech.

– Dlaczego nosi pani imię Garrett? – spytał, chowając wzrok pod zasłoną opuszczonych rzęs.

– Matka była przekonana, że będę chłopcem. Chciała mnie nazwać po jednym ze swoich braci, który zmarł bardzo młodo. Jednak nie przeżyła porodu. Mimo protestów przyjaciół i krewnych ojciec uparł się, żeby dać mi to imię.

– Podoba mi się – mruknął.

– Pasuje do mnie. Choć nie wiem, czy matka, gdyby żyła, zgodziłaby się na nie. – Po momencie zadumy Garrett dodała, zaskakując samą siebie: – Czasami sobie wyobrażam, że cofam czas i powstrzymuję krwotok, który ją zabił.

– Dlatego została pani lekarzem?

Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem, marszcząc czoło.

– Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam. Zapewne pomaganie ludziom daje mi poczucie, że ją ratuję, wciąż od nowa. Ale studiowanie medycyny wydawało mi się fascynujące tak czy inaczej. Ludzkie ciało jest zdumiewającą maszynerią.

Gładził zewnętrzną stronę jej dłoni takim ruchem, jakby rozprostowywał jedwabną chusteczkę.

– A pan? Dlaczego wstąpił w szeregi stróżów prawa? – zrewanżowała się pytaniem.

– Jako chłopiec lubiłem obserwować konstabli, którzy co rano przyjeżdżali więzienną karetką. Wysokich, silnych mężczyzn w niebieskich mundurach i błyszczących butach. Podobało mi się to, jak wprowadzają porządek.

– I dlatego chciał pan zostać jednym z nich?

Ransom musnął po kolei każdą z wystających kostek, nieśmiało, jakby wiedział, że nie powinien tego robić.

– Ojciec zarabiał pięć funtów tygodniowo. Całkiem nieźle, zwłaszcza że pozwolono nam mieszkać w strażnicy na terenie więzienia. Mimo to czasami nie mogliśmy związać końca z końcem. Mama w obawie, że tygodniami będę musiał jeść jedynie mleko i ziemniaki albo że zabraknie na zapłacenie rachunków, wymykała się do pewnego dżentelmena. Później tata, widząc nowe zelówki w moich butach czy nowy zapas świec lub węgla… bił ją bez słowa. Następnie bił mnie za to, że próbowałem go powstrzymać, i płakał przy tym. A potem wszyscy troje zachowywaliśmy się, jakby nic się nie stało. Ale ja nie potrafiłem zapomnieć. Powtarzałem sobie, że

pewnego dnia zdołam powstrzymać tatę – i każdego innego mężczyznę – przed krzywdzeniem mamy. Do dziś widok kobiety, której dzieje się krzywda, działa na mnie jak zapalnik… – Gwałtownie puścił rękę Garrett, jakby dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że wciąż ją trzyma. – Byłem za młody, żeby rozumieć, co mama robi z tym dżentelmenem lub dlaczego tata… który niemal ją czcił… bije ją za to. Albo dlaczego mama nie pozwala mi mówić źle o ojcu. Twierdziła, że każdy mężczyzna może być poruszony do tego stopnia, by rzucić się na żonę z pięściami. Ale miała nadzieję, że ja będę lepszy. – Podniósł na nią napięty, jakby udręczony wzrok. – Powiedziałem jej, że nigdy nie uderzę kobiety, i nigdy nie uderzyłem. Prędzej bym sobie odciął rękę.

– Wierzę panu – odparła cicho Garrett. – Pańska matka się myliła. Przemoc wobec kobiet nie leży w męskiej naturze, lecz świadczy o jej zepsuciu.

– Chciałbym tak myśleć – mruknął. – Ale widziałem zbyt wiele zła, żeby być tego pewnym.

– Ja też. Mimo to wiem, że mam rację.

– Zazdroszczę pani tej pewności. – Jego uśmiech wyglądał, jakby po długim powstrzymywaniu nagle otrzymał wolność.

Garrett jeszcze nigdy w życiu nie rozmawiała w ten sposób z żadnym mężczyzną. Konwersacja przebiegała swobodnie… z wierzchu, bo w głębi duszy przypominała jej o tym, jak się czuła podczas pierwszych zajęć na Sorbonie – jednocześnie przerażona i podekscytowana światem tajemnic, które miała zgłębiać.

– Będziemy musieli wkrótce zakończyć lekcję – oznajmił Ransom, nie kryjąc żalu. – Już ją przeciągnęliśmy.

– Naprawdę? – zdziwiła się szczerze.

– Minęły prawie dwie godziny. Przećwiczymy jeszcze raz ostatni manewr i na tym zakończymy.

– Z pewnością jest jeszcze wiele rzeczy, których powinnam się nauczyć – powiedziała Garrett, uciekając wzrokiem. – Kiedy się znów spotkamy?

Ransom otoczył ją ramionami od tyłu.

– Obawiam się, że obowiązki nie pozwolą mi znaleźć czasu. – Po krótkiej pauzie dodał: – Po dzisiejszym dniu nie zobaczy mnie pani.

– Jak długo?

– Nigdy.

Garrett zamrugała gwałtownie. Stojąc w obręczy ramion Ransoma, obróciła się do niego twarzą.

– Ale… – Wstydziła się błagalnej nuty w swoim głosie. – A we wtorki?

– Nie mogę już pani towarzyszyć we wtorki. Będę musiał się ukrywać przez jakiś czas. Może już zawsze.

– Dlaczego? Planuje pan uratować Anglię? Pokonać najmożniejszego ze złoczyńców?

– Nie mogę pani powiedzieć.

– Och, gadanie. Wszystko, co pan powie, będzie chronić tajemnica lekarska.

Ransom uśmiechnął się blado.

– Nie jestem pani pacjentem.

– Może kiedyś pan będzie – stwierdziła ponuro Garrett. – Biorąc pod uwagę pański zawód.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił ją tyłem do siebie.

Natychmiast opadł ją czarny nastrój. Czy rzeczywiście mogła go nigdy więcej nie zobaczyć? I naprawdę miało to związek z jego pracą? A może tylko użył dogodnej wymówki, bo w istocie wcale nie był nią zainteresowany? To, że jej się podobał, wcale nie musiało oznaczać wzajemności. Odkrycie, że rozczarowanie aż dławi ją w gardle, tylko pogorszyło jej humor.

– Proszę pamiętać, żeby wypchnąć… – zaczął Ransom.

I wtedy drzwi otworzyły się nagle, bez wcześniejszego pukania.

Równocześnie odwrócili głowy i ujrzeli w progu kipiącego złością monsieur Baujarta.

– Potrzebuję tej sali do planowych ćwiczeń – wycedził. Zmrużył oczy, widząc, że stoją spleceni ze sobą w dziwnym uścisku. – Tak uczy pan doktor Gibson, jak się walczy o życie? – dodał głosem ociekającym ironią.

– To jeden z manewrów obronnych, monsieur – odpowiedziała mu rzeczowo Garrett. – Zaraz wykonam obezwładniające uderzenie w krocze.

Mistrz fechtunku zmierzył ich oboje ciężkim jak głaz spojrzeniem.

– Świetnie – warknął i pospiesznie wyszedł z sali, zamykając za sobą drzwi.

Zanim Garrett zdążyła się odezwać, poczuła, jak Ransom przyciska twarz do jej ramienia i chichocze jak psotny chłopiec w kościele.

– No to pani narozrabiała – odezwał się w końcu. – Baujart będzie niepocieszony, jeśli nie wyczołgam się stąd, wyjąc z bólu.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Dla dobra Anglii okażę panu litość. – Tak jak ją uczył, wypchnęła biodra do tyłu i pochyliła tułów. Stykali się ze sobą teraz dolnymi częściami ciała, ciasno jak elementy puzzli. Wszelkie myśli nagle uleciały jej z głowy, pozostało jedynie wrażenie przyjemnego, ciepłego ciężaru.

Ethan wzmocnił uścisk i wstrzymał oddech, jakby się bał głębiej odetchnąć. Zaraz potem puścił ją i opadł na matę nietypowym dla siebie, niezdarnym ruchem. Następnie objął długimi ramionami podkurczone nogi i oparł czoło o kolana.

Zaniepokojona Garrett natychmiast przyklęknęła obok niego.

– Co się stało?

– Problem z napiętym mięśniem – odparł zduszonym głosem.

Sprawa wydawała się jednak poważniejsza. Był czerwony na twarzy i oddychał z wysiłkiem.

– Ma pan zawroty głowy? – dopytywała zatroskana. Żachnął się, kiedy dotknęła jego policzka, żeby sprawdzić, czy ma gorączkę. – Proszę pozwolić, że zbadam panu puls. – Niezrażona, sięgnęła po jego nadgarstek.

Ransom gwałtownie cofnął rękę.

– Proszę mnie nie dotykać, bo… – Spojrzał na nią swymi nieziemsko błękitnymi oczyma, po czym zręcznie, jednym ruchem poderwał się na nogi. Poszedł w kąt sali, oparł się dłońmi o ścianę i opuścił głowę.

Garrett gapiła się na niego osłupiała.

Zanim się odwrócił, dostrzegła prawdopodobny powód jego zachowania. Wypukłość na szermierczych spodniach nie pozostawiała wątpliwości, że jest podniecony. I to bardzo…

Nie wiedziała, co robić, więc bezradnie klęczała na podłodze. Policzki paliły ją od rumieńca, a w środku… właściwie nie potrafiła

nazwać tego, co czuje. To nie było jedynie zakłopotanie. I nie przyjemność… chociaż miała wrażenie, że każdy nerw napina się w niej do granic możliwości.

Nie należała do kobiet, których obecność szczególnie mocno oddziałuje na mężczyzn. Po części dlatego, że nigdy nie wdawała się we flirty, zresztą nie zależało jej na roztaczaniu kobiecego uroku. A może i dlatego, że zwykle poznawała mężczyzn przy okazji zakładania im szwów czy robienia zastrzyku.

– Czy… pomogłaby panu szklanka zimnej wody? – wydukała spłoszonym, jakby nie swoim głosem.

Ransom odpowiedział z czołem przytkniętym do ściany.

– Nie… chyba że wleje mi ją pani do spodni.

Z jej gardła wyrwał się zduszony śmiech.

Ransom spojrzał na nią z ukosa; pożądanie widoczne w jego niewiarygodnie niebieskich oczach miało siłę błyskawicy. Przy całej swojej wiedzy o działaniu ludzkiego ciała Garrett dopiero zaczynała rozumieć, co może się kryć w takim rozpalonym do białości spojrzeniu.

– Sama pani to powiedziała, pani doktor… – odezwał się dziwnie schrypniętym, przesiąkniętym ironią głosem. – Pewna część natury każdego mężczyzny pozostaje nieujarzmiona.

Rozdział 5

Ico powiedział potem? – wyszeptała lady Helen Winterborne, pochylając się nad stolikiem z herbatą. Jej szaroniebieskie oczy błyszczały jak srebrne floreny. – I co ty powiedziałaś?

– Nie pamiętam – wyznała Garrett, zdziwiona, że twarz wciąż jej płonie, mimo że minęły już trzy dni. – To było takie nieoczekiwane, że miałam mętlik w głowie.

– Widziałaś już kiedyś mężczyznę… w takim stanie? – spytała ostrożnie Helen.

Garrett spojrzała na nią z politowaniem.

– Jestem nie tylko lekarzem, ale też byłą pielęgniarką. Śmiem twierdzić, że widziałam więcej erekcji niż niejedna burdelmama. – Ściągnęła brwi. – Ale dotąd żadna nie miała nic wspólnego ze mną.

Helen szybko zakryła usta płócienną serwetką, żeby skryć uśmiech.

Jak co tydzień spotkały się na lunchu w słynnej herbaciarni w domu towarowym Winterborne'a. Przestronne pomieszczenie o wysokim sklepieniu, ścianach ozdobionych mozaikami z niebieskich, białych i złotych kafelków, pełne doniczkowych palm, stanowiło przyjemne, spokojne miejsce ucieczki od skwaru i codziennej krzątaniny. Na głównym poziomie, chętnie odwiedzanym przez damy i dżentelmenów, w każdym narożniku znajdowały się wnęki ze stolikami, przy których można było swobodnie rozmawiać. Helen, jako żonę właściciela, rzecz jasna zawsze właśnie tam usadzano.

Garrett przyjaźniła się z nią od czasu, gdy zatrudniono ją jako jednego z lekarzy sprawujących opiekę zdrowotną nad personelem Winterborne'a. Szybko odkryła, że Helen jest nie tylko dobra, lojalna

i roztropna, ale też można jej ufać, bo potrafi trzymać język za zębami. Miały ze sobą wiele wspólnego, między innymi potrzebę pomagania tym, którym mniej się w życiu szczęściło. Od paru lat Helen patronowała kilku fundacjom charytatywnym wspierającym kobiety i dzieci, a także aktywnie działała na rzecz reform.

Od pewnego czasu Helen nalegała, by Garrett zaczęła brać udział w niektórych imprezach poświęconych zbieraniu funduszy, głównie organizowanych przez nią i jej męża proszonych kolacjach i koncertach.

– Nie możesz ciągle pracować – napomniała ją łagodnie, lecz stanowczo. – Od czasu do czasu musisz spędzić wieczór w towarzystwie innych ludzi.

– Codziennie jestem otoczona ludźmi – obruszyła się Garrett.

– Tak, w klinice. Ale ja mam na myśli okazje towarzyskie, gdzie trzeba wystąpić w ładnej sukni, prowadzić niezobowiązujące pogawędki i może nawet tańczyć.

– Chyba nie masz zamiaru mnie swatać? – spytała Garrett podejrzliwie.

Helen uśmiechnęła się niewinnie.

– Nie zaszkodzi poznać kilku nieżonatych dżentelmenów. Bo przecież nie masz nic przeciwko instytucji małżeństwa, prawda?

– W zasadzie nie. Ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałabym się przystosować do małżeńskiego życia. Mąż nie mógłby należeć do mężczyzn, którzy wymagają, by cała domowa codzienność kręciła się wokół ich potrzeb, nie mógłby też oczekiwać, że będę tradycyjną żoną. Musiałby być równie niekonwencjonalny jak ja. Nie jestem pewna, czy ktoś taki w ogóle istnieje. – Garrett wzruszyła ramionami z kwaśnym uśmiechem. – Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby się do mnie zalecano. Czasami takie zaloty bywają całkiem interesujące.

– Jeśli taki mężczyzna istnieje – podchwyciła Helen – to na pewno nie poznasz go, siedząc w domu. Przyjdziesz na naszą następną kolację, a to oznacza, że musimy ci obstalować nową suknię wieczorową.

– Mam już suknię wieczorową – oznajmiła Garrett, myśląc o kreacji z szafirowego brokatu, uszytej wprawdzie przed kilku laty, ale

zupełnie niezniszczonej.

– Widziałam ją, jest bardzo… ładna. – Brak entuzjazmu w głosie wyrażał prawdziwą opinię Helen o owym stroju. – Potrzebujesz jednak czegoś bardziej wytwornego. I z głębszym dekoltem. Żadna kobieta w naszym wieku nie nosi sukni wieczorowej sięgającej pod samą szyję… Ten fason nadaje się dla młodych dziewcząt i wdów.

Przyznawszy, że znajomość mody nie jest jej najmocniejszą stroną, Garrett zgodziła się po wypiciu herbaty odwiedzić wraz z Helen pracownię pani Allenby, znajdującą się na terenie domu towarowego.

Zadowolona Helen wróciła do omawiania bieżących spraw.

– Biedny pan Ransom. Bycie przyłapanym w takim stanie musi być dla mężczyzny straszliwie krępujące.

– Bez wątpienia – przyznała Garrett, skubiąc zębami miniaturową kanapkę składającą się z dwóch cienkich kromeczek francuskiej bułki i listka rukwi sklejonych kremowym serem. Tylko że Ransom wcale nie sprawiał wrażenia skrępowanego. Na wspomnienie spojrzenia, jakie jej posłał w tamtym momencie, poczuła łaskotanie w brzuchu. To był wzrok wygłodniałego tygrysa. Jakby nadludzkim wysiłkiem woli tłumił instynkt, który go ku niej popychał.

– Jak się zakończyła lekcja? – chciała wiedzieć Helen.

– Po tym, jak każde z nas się przebrało, Ransom czekał na ulicy, żeby złapać dla mnie dorożkę. Nim wsiadłam, podziękował mi za spędzony razem czas i wyraził żal, że nie możemy się spotkać ponownie. Nie wiem, co ja powiedziałam, pamiętam tylko, że podałam mu rękę, a on…

– Co…?

– On… ją ucałował – wydukała Garrett, rumieniąc się na wspomnienie jego ciemnej głowy, pochylonej nad jej dłonią odzianą w rękawiczkę. – To ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewała: że ten wielki niebieskooki brutal zrobi coś tak rycerskiego… zwłaszcza po tym, jak przez dwie godziny szamotaliśmy się ze sobą na sali do ćwiczeń. – Nieoczekiwany gest Ransoma, jego delikatność odebrały jej wówczas mowę. Nawet teraz, myśląc o tamtym zdarzeniu, czuła przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele. Co za szaleństwo… Badała i operowała tylu pacjentów, trzymała i pocieszała tylu ludzi,

a żaden gest w życiu nie wydał się jej tak intymny jak nacisk jego warg na skórę pod rękawiczką.

– Nie umiem przestać o tym myśleć – wyznała. – Wciąż od nowa wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby… – Nie potrafiła dokończyć na głos. Bezwiednie obracała w palcach łyżeczkę. – Chcę go znów zobaczyć.

– O rany… – usłyszała szept Helen.

– Nie wiem, jak do niego dotrzeć. – Garrett zerknęła nieśmiało na przyjaciółkę. – Ale twój mąż wie.

Helen wyraźnie się zmieszała.

– Skoro pan Ransom twierdzi, że nie może się z tobą spotkać, to chyba powinnaś uszanować jego decyzję.

– Mógłby się ze mną spotkać potajemnie, gdyby zechciał – rzuciła Garrett z nutą irytacji w głosie. – Ten człowiek przemyka po Londynie jak dziki kot.

– Gdyby rzeczywiście spotkał się z tobą potajemnie, dokąd by to zaprowadziło? Czy raczej dokąd chciałabyś, żeby zaprowadziło?

– Sama nie wiem. – Garrett odłożyła łyżeczkę, sięgnęła po widelczyk do owoców i nabiła nań truskawkę. Następnie, używając noża, pokroiła ją na maleńkie kawałeczki. – Oczywiście Ransom nie jest dla mnie odpowiednim towarzystwem. Powinnam całkowicie zapomnieć o nim… i jego częściach intymnych.

– Tak byłoby chyba najlepiej – przyznała ostrożnie Helen.

– Tylko że nie mogę. – Garrett odłożyła sztućce. – Nigdy nie powodowały mną niechciane myśli czy uczucia. Zawsze potrafiłam odsunąć je na bok, tak jak się chowa poskładaną bieliznę do szuflady. Co się ze mną dzieje?

Helen dotknęła chłodną, bladą dłonią zwiniętych w pięść palców przyjaciółki i uścisnęła je w geście pocieszenia.

– Stanowczo zbyt długo poświęcałaś się jedynie pracy, bez żadnych rozrywek. I nagle tajemniczy, przystojny mężczyzna wyłonił się z cienia, obronił cię przed napastnikami…

– To akurat było irytujące – przerwała jej Garrett. – Całkiem dobrze sobie radziłam, dopóki się nie wtrącił.

Helen wygięła usta w uśmiechu.

– Mimo wszystko… musiało ci to trochę pochlebić.

– Owszem – przyznała mrukliwie Garrett i skupiła wzrok na talerzu z kanapkami. Wybrała jedną, z przezroczystym plasterkiem karczocha i pasemkiem gotowanego jajka. – Prawdę mówiąc, to było aż śmieszne, kiedy wkroczył do akcji, dzielny i do tego piękny jak z obrazka. Tylko tobie się przyznam, że kiedy usłyszałam jego irlandzki akcent, niemal zaczęłam trzepotać rzęsami i mizdrzyć się jak pierwsza naiwna gwiazdka z drugorzędnego teatrzyku.

Helen zaśmiała się cicho.

– Jest coś uroczego w mężczyznach mówiących z akcentem, prawda? – podchwyciła. – Wiem, że jest uważany za defekt… zwłaszcza walijski… ale ja słyszę w nim poezję.

– W dzisiejszych czasach, jeśli masz irlandzki akcent, możesz być pewien, że będą ci zamykać drzwi przed nosem – stwierdziła ponuro Garrett. – Pewnie dlatego pan Ransom się z nim nie obnosi.

Od dziesięciu lat polityczne wystąpienia tych, którzy uważali, że Irlandia ma prawo do własnego rządu, podsycały atmosferę rosnącej nietolerancji. Krążyły plotki o spiskach, a ludzie często kierowali się uprzedzeniami. Zwłaszcza od czasu niedawnej serii działań terrorystycznych, między innymi udaremnionego zamachu na życie księcia Walii.

– Ten człowiek ani nie jest dżentelmenem, ani nie ma porządnej posady – mówiła Garrett. – Do tego jest podstępny, gwałtowny i najwyraźniej jurny jak zwierz. Przecież to niemożliwe, żeby mnie pociągał.

– Pociąg fizyczny nie bierze się z rozumowej kalkulacji – zwróciła jej uwagę Helen. – To rodzaj magnetyzmu. Siła, której nie sposób się oprzeć.

– Nie będę zakładniczką jakichś niewidzialnych sił.

Helen spojrzała na przyjaciółkę ze współczującym uśmiechem.

– To mi przypomina, co powiedziałaś, kiedy Pandora została ranna w ulicznym ataku. Mówiłaś wtedy, że cały jej system nerwowy doznał szoku. Myślę, że pan Ransom dostarczył szoku twojemu systemowi. A poza wszystkim mógł ci uświadomić, że możesz być trochę samotna.

Garrett, zawsze dumna ze swojej samowystarczalności, posłała jej spojrzenie pełne urazy.

– Niemożliwe. Jak mogłabym się czuć samotna, skoro mam ciebie i innych przyjaciół, ojca, doktora Havelocka, moich pacjentów…

– Mam na myśli inny rodzaj samotności.

Garrett zmarszczyła czoło.

– Nie jestem sentymentalnym dziewczęciem z watą cukrową zamiast mózgu. Mam nadzieję, że sięgam nieco wyższego poziomu.

– Nawet kobieta na bardzo wysokim poziomie potrafi docenić piękne… jak je nazwałaś? Mięśnie czworogłowe? – W głosie Helen wyraźnie pobrzmiewał zaczepny ton.

Garrett dopiła kolejną filiżankę herbaty i milcząc, z godnością czekała, aż kelnerka ustawi przed nimi małe szklane miseczki z cytrynowym sorbetem.

Helen odczekała, aż znów zostaną same, i dopiero wtedy ponownie się odezwała:

– Wysłuchaj mnie, zanim odmówisz; bardzo chcę cię przedstawić mojemu kuzynowi Westowi. Przyjeżdża do miasta na dwa tygodnie. Nie spotkałaś go, kiedy był ostatnio z wizytą u Pandory. Któregoś wieczoru zjemy wszyscy razem kolację w Ravenel House.

– Nie. Błagam cię, Helen, nie zadawaj mi… ani swojemu kuzynowi takiej bezcelowej tortury.

– West jest bardzo przystojny – zapewniła Helen. – Ma ciemne włosy, niebieskie oczy i mnóstwo uroku. Jestem pewna, że przypadniecie sobie do gustu. Po kilku minutach w jego towarzystwie zapomnisz całkowicie o panu Ransomie.

– Nawet gdyby zaistniała mało prawdopodobna okoliczność, że mielibyśmy się z Westem Ravenelem ku sobie, nic z tego nie będzie. Nie mogłabym mieszkać na wsi. – Garrett zaczerpnęła łyżeczką sorbetu i odczekała, aż lekko zmarznięta cierpka słodycz rozpuści się jej na języku. – A w ogóle to boję się krów.

– Z powodu ich rozmiarów?

– Nie, dlatego że tak dziwnie patrzą. Jakby coś knuły.

Helen zachichotała.

– Obiecuję, że kiedy przyjedziesz do Eversby Priory, wszystkie spiskujące krowy będą trzymane w zamknięciu. A co do mieszkania na wsi, West może zechcieć wrócić do Londynu. Jest człowiekiem

wielu zainteresowań i talentów. Och, proszę, powiedz, że przynajmniej go poznasz!

– Zastanowię się – obiecała Garrett bez entuzjazmu.

– Dziękuję, kamień spadł mi z serca. – Helen nagle spoważniała. – Obawiam się, że pan Ransom ma bardzo ważny powód, żeby trzymać się od ciebie z daleka.

Garrett popatrzyła na nią z niepokojem.

– Jaki powód?

Helen ściągnęła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Wiem coś o panu Ransomie. Nie wolno mi powiedzieć wszystkiego, ale pewnych rzeczy powinnaś być świadoma.

Garrett czekała w napięciu, podczas gdy Helen rozglądała się, by nabrać pewności, że nikt nie zbliża się do ich stolika.

– To ma związek z tamtym wydarzeniem w ratuszu w zeszłym miesiącu – zaczęła cicho. – Pamiętasz, że Pandora i lord St. Vincent brali udział w przyjęciu?

Garrett potwierdziła skinieniem; sama słyszała od Pandory, jak obluzowana deska doprowadziła do odkrycia, że pod podłogą ułożono bomby. W kilka minut ogarnięty paniką tłum w popłochu opuścił budynek. Na szczęście materiały wybuchowe zostały rozbrojone, zanim doszło do detonacji. Nie aresztowano nikogo, ale ustalono, że za próbę zamachu odpowiadała niewielka grupa radykalnych irlandzkich nacjonalistów.

– Tamtego wieczoru poniósł śmierć jeden z gości przyjęcia – mówiła dalej Helen. – Podsekretarz z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Nash Prescott.

Garrett znów pokiwała głową.

– Pamiętam, w „Timesie” pisano, iż miał słabe serce. W tym całym zamieszaniu dostał zawału i zmarł.

– To wersja oficjalna – powiedziała Helen. – Ale lord St. Vincent powiedział Winterborne’owi w zaufaniu, że Prescott zawczasu wiedział o planach podłożenia bomb. A to właśnie pan Ransom znalazł ciało Prescotta, niedaleko ratusza. – Po krótkiej pauzie dodała: – Gdzie go dogonił.

– Ransom gonił Prescotta? – Garrett wbiła w przyjaciółkę ostre spojrzenie. – Możesz mi wierzyć, że osoba w trakcie zawału nie

byłaby w stanie dokądkolwiek biec.

– No właśnie… – Helen się zawahała. – Nikt nie wie dokładnie, co spowodowało śmierć podsekretarza Prescotta. Istnieje możliwość, że pan Ransom… – Urwała, bo podejrzenie wydawało się zbyt przerażające, by wypowiedzieć je na głos.

– Dlaczego miałby to zrobić? – spytała po dłuższej chwili Garrett. – Sądzisz, że może trzymać stronę zamachowców?

– Nikt nie wie, po której jest stronie. Ale to typ człowieka, z którym nie powinnaś mieć nic wspólnego. – Helen popatrzyła na Garrett z serdeczną troską. – Mój mąż ma takie powiedzenie dotyczące podejmowania ryzyka: „Bóg jest dobry, ale nigdy nie tańcz w małej łodzi".

Chmura smutku, którą Helen ściągnęła nad głowę Garrett wiadomością o Ransomie, jeszcze zgęstniała, gdy następnego dnia ojciec pomachał jej przed nosem ostatnim wydaniem „Police Gazette".

– I co o tym sądzisz, córko? – spytał wymownym tonem.

Wzięła od niego gazetę i szybko przebiegła wzrokiem wskazany tekst.

> *W środę wieczorem do aresztu sądowego w King's Cross włamał się niezidentyfikowany osobnik, który zaatakował celę z trzema osadzonymi. Ofiarami są żołnierze z Dziewiątego Regimentu Piechoty Jej Królewskiej Mości, przetrzymywani z tytułu oskarżenia o napaść na damę, której personaliów nie ustalono. Intruz uciekł, zanim zdołano go złapać. Wszyscy trzej żołnierze pozostaną za kratami bez możliwości zwolnienia za kaucją do czasu rozprawy sądowej. Każdy, kto udzieli informacji prowadzących do schwytania włamywacza i jego skazania, otrzyma nagrodę w wysokości dziesięciu funtów.*

Oddała ojcu gazetę, starając się ukryć swoje wzburzenie. Dobry Boże, jak Ransom mógł zaatakować trzech ludzi siedzących

w areszcie?

– Nie ma dowodu, że zrobił to pan Ransom – stwierdziła cierpko.

– Tylko ktoś od Jenkyna byłby zdolny wejść do mocno strzeżonego aresztu sądowego i wyjść stamtąd, nie dając się złapać.

Garrett z trudem wytrzymała spojrzenie ojca. Po niedawnej utracie wagi skóra na jego niegdyś pełnych policzkach zwisała luźno, oczy miał podkrążone; wydawał się tak poczciwy i zmęczony, że ten widok aż ścisnął ją za gardło.

– Pan Ransom nie toleruje żadnej formy przemocy wobec kobiet – powiedziała. – Co, rzecz jasna, nie stanowi usprawiedliwienia.

– Lekceważysz to, co się stało tamtego wieczoru – ocenił trzeźwo ojciec. – Mówiłaś, że ci żołnierze tylko cię obrażali, ale było znacznie gorzej, prawda?

– Tak, papo.

– W takim razie dranie zasługiwali na to, co Ransom im zrobił, cokolwiek to było. Nawet jeśli jest zdolny z zimną krwią poderżnąć gardło i jego dusza trafi do piekła, zyskał moją wdzięczność. Sam obiłbym tych łotrów, gdybym tylko mógł.

– Nie pochwalałabym cię w tej roli, tak samo jak nie pochwalam jego. – Garrett splotła ramiona na piersi. – Samozwańczy mściciel nie jest lepszy od bandyty.

– I to zamierzasz mu powiedzieć?

Uniosła kąciki ust w kwaśnym uśmieszku.

– Próbujesz wymusić na mnie zeznanie, papo? Nie planuję się więcej spotykać z panem Ransomem.

Ojciec wydał z siebie nieokreślone parsknięcie, po czym znów zagłębił się w lekturze gazety. Po chwili zza szeleszczących szpalt dobiegł jego głos:

– To, że potrafisz kłamać, patrząc w oczy, nie oznacza, że dałem się nabrać.

Następne dni minęły Garrett na ciężkiej harówce i złości. Odebrała poród żony szefa jednego z działów domu towarowego, nastawiła złamany obojczyk i usunęła łagodny guz. Wszystkie te zabiegi

wykonywała jakby mimochodem, bez głębszego zaangażowania. Nawet ciekawy przypadek wysięku reumatycznego w stawie kolanowym nie poprawił jej humoru. Po raz pierwszy w życiu Garrett brakowało zapału do pracy, która dotąd zawsze dawała jej satysfakcję i poczucie sensu.

Do tego czasu zdołała uniknąć kolacji u Ravenelów, wymawiając się zmęczeniem po całodobowym czuwaniu przy rodzącej pacjentce, wiedziała jednak, że niedługo przyjdzie następne zaproszenie i będzie musiała je przyjąć.

We wtorek po południu, kiedy pakowała lekarską torbę przed cotygodniową wizytą w przytułku, przyszedł do niej kolega, z którym pracowała w klinice.

Wprawdzie doktor William Havelock nie krył obiekcji, kiedy Winterborne zatrudniał kobietę lekarza, ale niedługo potem stał się mentorem Garrett i zaufanym przyjacielem. W średnim wieku, z siwą czupryną i wielką głową wyglądał dokładnie tak, jak w powszechnym wyobrażeniu powinien wyglądać lekarz. Wyróżniał się zarówno umiejętnościami manualnymi, jak i celnością diagnoz, więc Garrett wiele się od niego uczyła. Należało przyznać, że mimo pewnej szorstkości w obejściu Havelock był uczciwym człowiekiem o otwartym umyśle. Po okresie początkowej nieufności zaczął wiedzę Garrett zdobytą na Sorbonie traktować raczej z zainteresowaniem niż z podejrzliwością i chętnie stosował metody antyseptyki, które poznała dzięki sir Josephowi Listerowi. W rezultacie pacjenci kliniki przy Cork Street lepiej i szybciej niż gdzie indziej dochodzili do siebie po zabiegach operacyjnych.

Garrett podniosła wzrok, kiedy doktor Havelock stanął w drzwiach magazynku z dwiema laboratoryjnymi zlewkami wypełnionymi jasnozłotym płynem.

– Przyniosłem pani tonik regenerujący – oznajmił. Podszedł bliżej i podał jej jedną ze zlewek.

Garrett, unosząc brwi, ostrożnie powąchała zawartość.

– Whisky? – zapytała z uśmiechem.

– Whisky Dewara. – Spoglądając na nią ciepło, uniósł naczynie w geście toastu. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Garrett zrobiła wielkie oczy z zaskoczenia. Ojciec nie pamiętał, a nikomu innemu nie podawała daty swoich urodzin.

– Skąd pan wiedział?

– Data widnieje na pani podaniu o pracę. Aktami zawiaduje moja żona, która wie o każdych urodzinach i o żadnych nigdy nie zapomina.

Stuknęli się szkłem i wypili. Whisky, choć mocna, gładko wchodziła do gardła, pozostawiając na języku lekko miodowy smak. Garrett zamknęła oczy, kiedy ciepłą falą spłynęła jej przełykiem do żołądka.

– Doskonała – oceniła, uśmiechając się z wdzięcznością. – Właśnie tego potrzebowałam. Dziękuję, doktorze Havelock.

– Jeszcze jeden toast: *Neque semper arcum tendit Apollo.*

Wychylili następną kolejkę.

– Co to znaczy? – chciała wiedzieć Garrett.

– Nawet Apollo nie napina swego łuku przez cały czas. – Patrzył na nią z dobrotliwą uwagą. – Ostatnio humor pani nie dopisuje. Nie znam szczegółów problemu, ale domyślam się ogólnego powodu. Jest pani oddanym lekarzem i bierze na swoje barki mnóstwo obowiązków, z których wywiązuje się tak dobrze, że wszyscy, łącznie z panią, zapominamy o czymś: że jest pani młodą kobietą.

– W wieku dwudziestu ośmiu lat? – westchnęła Garrett i pociągnęła następny łyk trunku. Nie wypuszczając z dłoni zlewki, sięgnęła po paczkę plastrów i wrzuciła ją do torby.

– Jak niewinne dziecko we wrogim, niebezpiecznym świecie – ciągnął Havelock, jakby nie usłyszał jej pytania. – I jak wszyscy młodzi ludzie buntuje się pani przeciw wymagającym przełożonym.

– Nigdy nie myślałam o panu w taki sposób – obruszyła się Garrett.

Havelock wygiął wargi w uśmiechu.

– To nie o mnie, pani doktor. Sama jest pani dla siebie wymagającym przełożonym. Rozrywka jest czymś naturalnym i koniecznym. Zapracowanie prowadzi do zgorzknienia i będzie coraz gorzej, dopóki nie znajdzie pani jakichś przyjemności poza tą kliniką.

– Nie mam innych zainteresowań – wyznała ponuro.

– Gdyby pani była mężczyzną, radziłbym spędzić wieczór w najlepszym lupanarze, na jaki panią stać. Nie wiem jednak, co polecić kobiecie w pani sytuacji. Proszę przejrzeć listę różnych hobby

i coś z niej wybrać. Wdać się w romans. Wyjechać na wakacje do miejsca, w którym jeszcze pani nie była.

Garrett zakrztusiła się whisky. Popatrzyła na niego załzawionymi od kaszlu oczyma.

– Radzi mi pan wdać się w romans? – wydukała z niedowierzaniem.

Havelock zachichotał.

– Zaskoczyłem panią, co? Cóż, nie jestem aż tak nudny, jak pani sądziła. Nie ma co patrzeć na mnie jak na cnotliwą zakonnicę. Jako lekarz doskonale pani wie, że akt seksualny można oddzielić od prokreacji, bez zniżania się do prostytucji. Pracuje pani jak mężczyzna, płacą pani jak mężczyźnie, więc może pani tak jak oni zaznawać przyjemności, pod warunkiem zachowania odpowiedniej dyskrecji.

Garrett musiała dopić resztę whisky, nim odważyła się odpowiedzieć:

– Pomijając wątpliwości moralne, ryzyko nie jest tego warte. Przyłapanie na romansie nie zrujnowałoby męskiej kariery, ale moją owszem.

– W takim razie proszę sobie znaleźć męża. Nie warto przegapić czegoś takiego jak miłość, doktor Gibson. Jak pani myśli, dlaczego ja, całkiem zadowolony z życia wdowiec, robiłem z siebie głupca przed panią Fernsby, dopóki w końcu nie zgodziła się zostać moją żoną?

– Z wygody? – zaryzykowała.

– Dobry Boże, nie! Łączenie swojego życia z cudzym bynajmniej nie jest wygodne. Małżeństwo to wyścig w workach; może znajdziecie sposób, żeby skacząc, razem dotrzeć do mety, ale dobieglibyście do niej łatwiej bez worka.

– Zatem po co to wszystko?

– Nasze istnienie, nawet nasz intelekt, kręci się wokół miłości – bez niej bylibyśmy jedynie częścią przyrody, niczym więcej.

Zdumiona, że Havelock zdobył się na tak sentymentalną przemowę, Garrett poczuła się w obowiązku zaprotestować.

– Nie tak prosto znaleźć kogoś do kochania. W pańskich ustach brzmi to równie lekko jak kupienie dobrego melona.

– Najwyraźniej nie robiła pani żadnej z tych dwóch rzeczy. Znalezienie kogoś do kochania jest znacznie łatwiejsze niż znalezienie dobrego melona.

Garrett uśmiechnęła się kwaśno.

– Z pewnością pańskie rady wypływają z dobrych intencji, ale ja nie mam ochoty ani na melony, ani na romanse. – Oddała mu puste naczynie. – Niemniej spróbuję sobie znaleźć jakieś hobby.

– To zawsze coś na początek. – Havelock ruszył do drzwi, ale w progu obejrzał się przez ramię i dodał: – Umie pani słuchać innych ludzi, moja młoda przyjaciółko. Ale słuchanie samej siebie nie wychodzi pani już tak dobrze.

Zanim Garrett zakończyła pracę w lecznicy dla ubogich, w Clerkenwell zapadł wieczór. Zmęczona i głodna, ściągnęła z siebie biały fartuch i włożyła brązowy żakiet obszyty jedwabnym warkoczem, z wąskim skórzanym paskiem w talii. Z laską i lekarską torbą opuściła teren przytułku i wyszła przed metalową bramę na chodnik nakrapiany plamami światła i cienia.

W nieco dusznej ciszy letniego wieczoru ruszyła ku głównej ulicy. Z oddali dobiegł gwizd pociągu, niosący się wysoką nutą nad zgrzytem tłoków, sykiem pary i metalicznym turkotem kół. Zwolniła kroku, uświadomiwszy sobie, że wcale nie ma ochoty wracać do domu. Nic ciekawego tam na nią nie czekało; ojciec jak co tydzień grał z przyjaciółmi w dobieranego pokera, więc bynajmniej za nią nie tęsknił. Tylko że w istocie nie miała dokąd pójść. Klinika i cały dom towarowy były zamknięte, a przecież niezaproszona nie mogła się zjawić w czyichś progach. Spod gorsetu odezwało się burczenie w brzuchu, które przypomniało jej, że nie zjadła lunchu.

Jedną z głównych zasad poruszania się po niebezpiecznych częściach miasta było zachowanie pozorów pewności siebie, a ona wlokła się, jakby nogi ciążyły jej ołowiem, i do tego przystawała na rogu ulicy. Co się z nią działo? Dlaczego tak okropnie się czuła? Wypełniały ją smutek i tęsknota, których nie mogło uśmierzyć żadne przeklęte hobby.

Może powinna złożyć Helen niezapowiedzianą wizytę, nie dbając o maniery? Helen wysłuchałaby jej zmartwień i wiedziała, co powiedzieć. Ale nie… to oznaczałoby dalsze nalegania na spotkanie z Westonem Ravenelem zamiast z mężczyzną, którego naprawdę chciała zobaczyć… z amoralnym, lubieżnym agentem specjalnym z dołeczkiem w policzku.

Wróciła myślami do rozmów, które odbyła w ostatnim tygodniu.

„Nikt nie wie, po której jest stronie. Ale to typ człowieka, z którym nie powinnaś mieć nic wspólnego".

„…jest zdolny z zimną krwią poderżnąć gardło i jego dusza trafi do piekła".

„Gdyby rzeczywiście spotkał się z tobą potajemnie, dokąd by to zaprowadziło?".

I niski głos Ransoma… „Nie widzę w pani żadnych wad".

Stojąc bez ruchu, odrętwiała od tego dziwnego nastroju, słyszała parę kłócącą się na sąsiedniej ulicy, ryczenie osła, okrzyki sprzedawcy rukwi, toczącego swój ręczny wózek chodnikiem. Skondensowane hałasy miasta nasycały każdą mijającą sekundę, kiedy dzienny tumult przechodził w dyszący podnieceniem ciepły letni wieczór. Londyn był tłustym i bogatym, lecz bezwzględnym tworem, obutym w cegły i żelazo, odzianym w gruby płaszcz fabrycznego dymu, z milionem sekretów w kieszeniach. Garrett kochała to wszystko – od kopuły katedry Świętego Pawła po najnędzniejszego rynsztokowego szczura. Londyn, przyjaciele i praca zawsze jej wystarczali. Aż do teraz.

– Chciałabym… – wyszeptała i natychmiast ugryzła się w język. Gdzie Ransom był w tym momencie?

Może miłość do rynsztokowego szczura była lekką przesadą.

– Chciałabym… – Nigdy wcześniej nie używała tego słowa.

Gdyby zamknęła oczy – jakkolwiek nie była na tyle głupia, by to robić w dzielnicy mieszczącej trzy więzienia – chyba mogłaby go zobaczyć, jak obraz schwytany w szklaną kulę wróżki.

Nagle ze zdumieniem odkryła, że ściska w dłoni srebrny policyjny gwizdek. Zupełnie nieświadomie odnalazła go w kieszeni żakietu. Przesunęła opuszką kciuka po gładkim, błyszczącym metalu.

Ulegając szalonemu impulsowi, uniosła gwizdek do ust i dmuchnęła, jednak nie dość mocno, by zaalarmować jakiegoś konstabla. Rozległ się odgłos podobny do ćwierknięcia. Zamknęła oczy i policzyła do trzech, czekając na odgłos zbliżających się kroków.

– Och, chciałabym, chciałabym…

Nic.

Uniosła powieki. Nikt się nie pojawił.

Wiedziała, że czas wracać do domu. Zasępiona schowała gwizdek z powrotem do kieszeni, odczepiła laskę z lewego przedramienia i odwróciła się, gotowa ruszyć w drogę.

– Wielkie nieba! – wyrwało się jej przy zderzeniu ze ścianą. Lekarska torba wypadła jej z ręki.

To jednak nie była ściana. To był mężczyzna. Trafiła twarzą w sam środek jego szerokiej piersi.

Zanim jej umysł w pełni pojął, co się dzieje, ciało zdążyło rozpoznać dotyk twardych mięśni, bezpieczny uścisk mocnych dłoni, świeży męski zapach, piękniejszy od wszystkich innych zapachów świata. Pociemniałe niebieskie oczy zmierzyły ją szybkim spojrzeniem, sprawdzającym, czy na pewno jest cała i zdrowa.

Ransom.

Jednak za nią szedł. Zaśmiała się niepewnie, drżąco. A kiedy podniosła wzrok na jego twarz, wesołość wypełniła ją tak, jakby wstrzyknięto ją wprost do jej głównej tętnicy. Miała wrażenie, że dusza w niej podskakuje.

– Tego gwizdka należy używać tylko do wzywania pomocy – powiedział cicho Ransom. Rysy miał ściągnięte w surowym wyrazie, ale palce mu drżały, jakby musiały stawiać opór sile przyciągania płynącej z jej ciała.

Garrett nie potrafiła stłumić uśmiechu.

– Ale ja potrzebuję pomocy – odpowiedziała, starając się zachować rzeczowy ton. – Jestem głodna.

Na moment jego twarz przybrała trudny do rozszyfrowania wyraz.

– *Acushla* – powiedział zduszonym szeptem. – Proszę tego nie robić.

– Mam dziś urodziny.

Przeszył ją gorącym spojrzeniem.

– Naprawdę?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Jestem sama i głodna w dniu swoich urodzin – dodała żałośnie.

Ransom mruknął coś pod nosem, po czym uniósł ręce i delikatnie przyłożył dłonie do jej policzków. Garrett miała wrażenie, że czuje dotyk jego palców, ciepły i przyjemny, w całym ciele. Ransom przyglądał się jej z bliska przez chwilę, a potem łagodnie pokręcił głową, jakby dziwił się wyjątkowej złośliwości losu. Schylił się, żeby podnieść z ziemi jej torbę.

– Chodźmy – rzucił krótko.

Poszła z nim, nie pytając i nie dbając o to, dokąd ją prowadzi.

Rozdział 6

Garret wzięła Ransoma pod rękę. Był ubrany jak robotnik, w kamizelkę ze skóry tak cienkiej i miękkiej jak materiał rękawiczki. Czuła pod palcami twarde mięśnie jego ramienia. Prowadził ją ulicami, wzdłuż których ciągnęły się rzędy zwartej zabudowy. Minęli piwiarnie, pub, mydlarnię i sklep z używanymi rzeczami. Na chodnikach pojawiało się coraz więcej marynarzy, mężczyzn w szynelach, ekspedientek sklepowych, straganiarzy i dobrze ubranych żon kupców. Garrett odprężyła się, wiedząc, że nikt nie ośmieli się jej zaczepić w towarzystwie potężnego, krzepkiego mężczyzny, który najwyraźniej czuł się w tym miejscu jak u siebie. W istocie to raczej on budził postrach.

Ostatnia refleksja przypomniała jej o włamaniu do więzienia.

– Nie muszę pytać, co pan robił od czasu naszego poprzedniego spotkania – zaczęła – bo czytałam w „Police Gazette" o pańskich najświeższych dokonaniach.

– Jakich dokonaniach?

– Włamaniu do aresztu. I zaatakowaniu tych trzech żołnierzy. To było bardzo niestosowne i zupełnie niepotrzebne.

– Wcale ich nie atakowałem. Owszem, na początku wdałem się w drobną przepychankę, ale tylko po to, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. A potem przez kilka minut przemawiałem im do słuchu.

– Włamał się pan po to, żeby udzielić im reprymendy? – spytała z niedowierzaniem.

– Dałem jasno do zrozumienia, że każdy, kto spróbuje zrobić pani krzywdę, zostanie przeze mnie stłuczony na miazgę. A jeśli się dowiem, że zaczepiali inną kobietę, to… – Urwał, najwidoczniej

dochodząc do wniosku, że lepiej nie powtarzać dosłownie swoich pogróżek. – Ostrzegłem po prostu, żeby więcej tego nie robili.

– I dlatego opisano pana jako nieznanego intruza? Bo za bardzo się bali, żeby ujawnić pańską tożsamość?

– Jestem dobry w straszeniu ludzi – pochwalił się.

– Wygląda na to, że mianował się pan sędzią, ławą przysięgłych i wykonawcą wyroku w jednym. Tymczasem wszystkie te funkcje należy pozostawić brytyjskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

– Prawo nie zawsze działa skutecznie w przypadku takich ludzi. Do nich przemawiają jedynie strach i zemsta. – Zamilkł na chwilę. – Jeśli nawet miałbym wyrzuty sumienia, to nie z powodu tych drani. A teraz proszę mi opowiedzieć o swojej wizycie w przytułku.

Garrett opisała mu pacjentów, którym udzieliła pomocy w lecznicy, i wyraziła swe obawy związane z marną kondycją tego miejsca. Nieodpowiednia dieta, składająca się głównie z owsianki i chleba, szczególnie szkodziła dzieciom. Pozbawione niezbędnych składników odżywczych słabo się rozwijały i wykazywały podatność na choroby. Tymczasem jej apele skierowane do władz nie znajdowały posłuchu.

– Twierdzą, że gdyby poprawili wyżywienie, zbyt wielu ludzi by się po nie zgłaszało.

– To samo mówią o więziennym jedzeniu – powiedział Ransom z cierpkim humorem. – Jak będzie za dobre, według nich, to ludzie będą łamać prawo tylko po to, żeby ich karmiono. Tylko że nie mówi tego nikt, komu zdarzyło się kiedykolwiek znaleźć po złej stronie więziennej bramy. A jedyną przewiną prowadzącą do przytułku jest bieda.

– Najwyraźniej potrzeba tu zdrowego rozsądku – podchwyciła Garrett. – Dlatego postanowiłam sporządzić raport dla biura sekretarza spraw wewnętrznych i lokalnych władz, żeby im szczegółowo wyjaśnić, dlaczego administracja przytułku powinna przyjąć jakieś choćby minimalne standardy. To kwestia zdrowia publicznego.

Ransom odpowiedział słabym uśmiechem.

– Wiecznie w kieracie – mruknął. – Czy kiedykolwiek robi sobie pani przerwę na jakieś przyjemności, pani doktor?

– Praca sprawia mi przyjemność.

– Mam na myśli prawdziwą rozrywkę.

– Odbyłam dziś podobną rozmowę z doktorem Havelockiem – przyznała Garrett. – Nazwał mnie zgorzkniałą… i pewnie pan przyznałby mu rację.

Mężczyzna parsknął rozbawiony.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Gorycz odstrasza, a pani przyciąga słodyczą.

– Oczywiście, jestem niepoprawną słodką kusicielką – zakpiła, żeby pokryć skrępowanie. – Widać to już na pierwszy rzut oka.

– Myśli pani, że sobie żartuję?

– Panie Ransom, powiedzieć miły komplement to jedno, ale sugerować, że jestem jak Kleopatra, to coś całkiem innego.

Zamiast okazać skruchę, lub przynajmniej się zawstydzić, Ransom popatrzył na nią jakby ze złością.

– Proszę pójść ze mną – mruknął, po czym chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę wąskiego zaułka, gdzie uliczni sprzedawcy trzymali swoje kramy i wózki po godzinach handlu, odwrócone tyłem i pospinane razem łańcuchami, z dyszlami sterczącymi do góry. Z pobliskiego pensjonatu dobiegał silny zapach pieczonego śledzia i przypalanych orzechów.

– W ciemną uliczkę? Raczej nie.

– Wolałbym nie omawiać tego na środku chodnika.

– Tu nie ma czego omawiać. Już przedstawiłam swój pogląd.

– Teraz moja kolej. – Ani myślał ją puścić. Nie wyrwała mu się tylko dlatego, że była ciekawa, co powie.

Zatrzymali się w pustej bramie, Ransom położył na ziemi torbę i laskę, po czym odwrócił się przodem do Garrett.

– Niezależnie od tego, co pani o mnie myśli – zaczął ponuro – nigdy nie bawiłbym się z panią w takie gierki. Nie wiem, jak pani może wątpić w to, że mi się podoba, po naszej lekcji u Baujarta. Nie zauważyła pani, co się ze mną działo, kiedy staliśmy blisko siebie?

– Zauważyłam – odpowiedziała szeptem. – Tylko że męska erekcja nie zawsze wynika z seksualnego pożądania.

Patrzył na nią osłupiały.

– O czym pani mówi?

– Spontaniczny priapizm może być wywołany przez otarcie moszny, uraz krocza, atak podagry, zapalenie prostaty… – Urwała, kiedy Ransom przyciągnął ją mocno do siebie.

Poczuła, że cały drży, i bardzo ją to zaniepokoiło. Dopiero gdy usłyszała charakterystyczne parsknięcie tuż przy uchu, zrozumiała, że starał się powstrzymać śmiech.

– Dlaczego pana to bawi? – spytała z twarzą na jego piersi. W odpowiedzi tylko gwałtownie pokręcił głową. – Jako lekarz – ciągnęła niezrażona – mogę pana zapewnić, że w mimowolnych erekcjach nie ma nic śmiesznego.

Ransom omal nie wpadł w histerię.

– Na Boga – wydusił błagalnie – dość tego lekarskiego gadania. Proszę…

Garrett zamilkła, czekała, aż Ransom dojdzie do siebie.

– To nie z powodu otarcia moszny – powiedział w końcu, jeszcze trochę zmienionym od śmiechu głosem. Następnie z westchnieniem dotknął policzkiem jej włosów. – A żeby nie mielić słów na darmo, powiem pani, co jest powodem: trzymanie w ramionach kobiety, o której marzyłem bardziej, niż powinienem. Sama pani obecność burzy we mnie krew. Ale to daremne pragnienie. Nie powinienem był tu dziś przychodzić.

Z początku zaskoczenie odebrało Garrett mowę. Pomyślała, że Ransom używa szczerości jako broni. Przy jego tajemniczości wyznanie tym bardziej zdumiewało.

– Nie miał pan wyboru – odparła. – Wezwałam pana. – Wtulając na moment twarz w jego ramię, dodała: – Mój dżin z gwizdka.

– Nie spełniam życzeń – uprzedził.

– Dżin drugiej kategorii. Powinnam wiedzieć, że taki mi się dostanie.

Poczuła ostatnie parsknięcie śmiechu we włosach, a potem dotyk jego palców na krawędzi ucha.

Uniosła głowę. Kiedy zobaczyła, jak blisko są jego usta, i poczuła czysty, ciepły powiew oddechu, motyle zatańczyły jej w brzuchu.

Była już wcześniej całowana, raz przez pewnego uroczego lekarza, kiedy pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Świętego Tomasza, a potem przez kolegę ze studiów medycznych na Sorbonie. W obu

przypadkach doznała rozczarowania. Dotyk męskich ust wprawdzie nie sprawił jej przykrości, ale też nie mogła zrozumieć, jak można uważać całowanie za przeżycie niezwykłe i ekscytujące.

Z Ethanem Ransomem jednak… mogło być inaczej.

Stał nieruchomo, ze spojrzeniem utkwionym w jej twarzy, tak intensywnym, że aż poczuła się nieswojo. Pomyślała, że zamierza ją pocałować, i zastygła w oczekiwaniu, z głośno walącym sercem, na miękkich kolanach.

Ale on puścił ją gwałtownie, wykrzywiając usta w ironicznym uśmieszku.

– Obiecałem coś do jedzenia. Musimy utrzymać pani sportową formę.

Wrócili na główną ulicę i kierowali się w stronę, skąd dochodził jednostajny gwar. Po wyjściu zza rogu Garrett ujrzała zatłoczony skwer Clerkenwell Green. Wszystkie witryny sklepów jarzyły się światłem, handel odbywał się też na co najmniej stu przenośnych stoiskach ustawionych w podwójnych rzędach. Niegdyś wiejska łąka z drzewami i koszoną trawą, pocięta ścieżkami do spacerowania, zmieniła się w brukowany plac otoczony domami, sklepami, gospodami, warsztatami, pubami i kawiarniami. Na pozostawionym w środku pustym placu ludzie tańczyli do muzyki granej na skrzypcach i kornecie. Uliczni śpiewacy przeciskali się wśród ciżby, przystając raz po raz, żeby zaprezentować jakąś komiczną przyśpiewkę albo sentymentalną balladę.

Garrett rozglądała się, nie kryjąc zdumienia.

– To wygląda jak festyn.

– Ludzie świętują otwarcie nowej linii metra London Ironstone. Potentat kolejowy Tom Severin finansuje z własnej kieszeni jarmarki i koncerty w całym mieście.

– Może pan Severin przypisuje sobie zasługę organizowania tych festynów, ale zapewniam pana, że ani jeden szyling nie pochodzi z jego własnej kieszeni – oznajmiła kwaśno Garrett.

Ransom posłał jej szybkie spojrzenie.

– Zna pani Severina?

– Trochę – przyznała. – Przyjaźni się z panem Winterborne'em.

– Ale nie z panią.

– Chyba mogę go nazwać dość bliskim znajomym. – Z radością dostrzegła linię rysującą się między brwiami Ransoma. Czyżby był zazdrosny? – Pan Severin jest intrygantem. Oportunistą. We wszystkim szuka dla siebie korzyści, nawet kosztem swoich przyjaciół.

– Czyli jest biznesmenem – mruknął Ransom.

– O, tak – potwierdziła ze śmiechem.

Przeszli przez tłum, kierując się do rzędu straganów, z których każdy miał własne oświetlenie – lampę gazową, naftową lub świece zabezpieczone specjalnymi osłonami. Jedzenie podgrzewano w wielkich kotłach ustawionych na żelaznych palnikach albo w miedzianych naczyniach. Z małych kominków na ich pokrywkach wydobywały się smużki aromatycznej pary.

– Na jaką potrawę miałaby pani… – zaczął Ransom, ale urwał w pół zdania, jako że jego uwagę przyciągnęła drobna burda w przejściu między stoiskami.

Pulchna kobieta o rumianej twarzy, w filcowym kapeluszu przybranym kolorowymi wstążkami, ściskała w ręku długi, płaski koszyk, który próbował jej siłą odebrać rudowłosy policjant. Ludzie przystawali, żeby patrzeć na tę scenę; jedni się śmiali, inni rzucali pod adresem konstabla obraźliwe słowa.

– To Maggie Friel – odezwał się Ransom ze współczuciem. – Dobrze znam tę rodzinę, kolegowałem się z jej bratem. Ma pani coś przeciwko temu, żebym interweniował?

– Ależ skąd.

Ransom podszedł do kłócącej się pary, Garrett także stanęła bliżej.

– O co chodzi, McSheehy? – zapytał stróża prawa.

– Konfiskuję jej wstążki za pyskowanie, o to chodzi – odburknął funkcjonariusz, wyrywając kobiecie koszyk. W środku znajdowały się nici, kawałki materiałów oraz długi kołek z nawiniętymi nań koronkami i wstążkami.

Kobieta, chlipiąc, zwróciła się do Ransoma.

– Nie może mi zabrać wstążek tylko dlatego, że mu się postawiłam.

– Mogę i zabiorę – rzucił ostro konstabl. Czerwony ze złości i wysiłku, ze swoimi rudymi włosami i brwiami, wyglądał jak płonąca pochodnia.

– Ty wielki brutalu – łkała kobieta. – Żeby cię kot zjadł, a kota diabeł!

– Cicho już, przestań trajkotać, Maggie – przerwał jej łagodnie Ransom. – *Colleen*, nie mogłabyś uprzejmiej mówić do człowieka, który odpowiada za utrzymywanie porządku i spokoju? – Widząc, że zamierza mu odpowiedzieć, uciszył ją gestem uniesionej dłoni, po czym zwrócił się do policjanta, ściszając głos: – Bill, przecież wiesz, że ona żyje ze sprzedawania tych wstążek. Zabierać je to jak odjąć jej chleb od ust. Miejże serce, człowieku.

– Ubliżyła mi o jeden raz za dużo.

– Bo powiedziałam, że masz krzywe nogi? O to ci chodzi?

Konstabl niebezpiecznie zmrużył oczy.

– Maggie – ostrzegł Ransom, posyłając kobiecie wymowne spojrzenie. – Przestań dręczyć tego biednego człowieka. Na twoim miejscu szukałbym zgody i zaproponował mu kawałek wstążki dla ukochanej.

– Nie mam ukochanej – warknął konstabl.

– Nie dziwota – syknęła Maggie.

Ransom ostrzegawczo dotknął palcem jej podbródka.

– No dobrze, dam ci tę wstążkę – powiedziała do konstabla z westchnieniem.

– Niby po co? – mruknął skonfundowany McSheehy.

– Głuchy jesteś? – obruszyła się Maggie. – Nie wiesz, jak sobie znaleźć ukochaną? Daj wstążkę dziewczynie, która ci się podoba, i powiedz, że podkreśla kolor jej oczu.

Policjant z ociąganiem oddał jej koszyk.

– *Slán*, Ēatán – powiedziała Maggie i zaczęła odmierzać wstążkę odwiniętą ze szpulki.

Kiedy już się oddalali, Garrett spytała Ransoma:

– Co ona do pana powiedziała?

– Irlandczycy są przesądni w kwestii pożegnań. Nie lubią zwrotu „do widzenia”, zamiast tego mówią: „idź bezpiecznie”.

– A to drugie słowo? …Aja…tan. Co znaczy?

– Irlandczycy tak wymawiają moje imię.

Garrett uznała, że brzmi uroczo, wręcz posiada muzyczny wdzięk.

– Podoba mi się – powiedziała cicho. – A pańskie nazwisko… Ransom… chyba jest angielskie?

– Ransomowie żyją w Westmeath od ponad trzystu lat. Proszę mi nie kazać publicznie udowadniać, że jestem Irlandczykiem… bo dojdzie do sytuacji krępującej dla nas obojga.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniła go z uśmiechem.

Idąc, lekko dotykał wolną ręką jej talii.

– Była pani już kiedyś na Clerkenwell Green?

– Kiedyś, dawno. – Garrett ruchem głowy wskazała kościół z pojedynczą wieżą zakończoną iglicą, stojący na lekkim wzniesieniu. – To kościół Świętego Jakuba, prawda?

– Tak, a tam dalej stoi Canonbury House, gdzie dawno temu mieszkał burmistrz ze swoją córką Elżbietą. – Pokazał jej rezydencję widoczną w oddali. – Kiedy odkrył, że Elżbieta zakochała się w młodym lordzie Comptonie, zabronił jej wychodzić za mąż i zamknął w wieży. Jednak Compton zdołał ją wykraść z domu w koszu piekarza i wkrótce potem się pobrali.

– Jakim cudem zmieściła się w środku? – zdziwiła się Garrett.

– Kosz piekarza był tak duży, że noszono go na plecach.

– Nadal jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– To byłoby całkiem łatwe, gdyby przypominała panią. – Prześlizgnął się spojrzeniem po filigranowej sylwetce Garrett i dodał: – Miała kieszonkowy rozmiar.

Nieprzyzwyczajona do tego rodzaju docinków, Garrett parsknęła śmiechem i zarumieniła się jak piwonia.

Mijając stragany i wózki handlarzy, słyszała najrozmaitsze akcenty: irlandzki, walijski, włoski i francuski. Ransom znał tam wielu ludzi, wdawał się w krótkie pogawędki, wymieniał żartobliwe obelgi. Przy okazji Garrett usłyszała niejedno życzliwe ostrzeżenie, by nie zadawała się z tym „bałamutnym łobuzem” czy „gładkim na gębie wagabundą”, i niezliczone rady, jak przywołać niesfornego młodzieńca do porządku.

Różnorodność oferowanych potraw przyprawiała o zawrót głowy: stosy brązowych łupaczy smażonych na maśle, zupa z zielonego groszku, gęsta od kawałków solonej wieprzowiny, pieczone ziemniaki, rozcinane i smarowane masłem na poczekaniu, ostrygi

smażone w muszlach, marynowane trąbiki, kołduny rozmiaru kurzych jaj ułożone w stosy na płytkich, szerokich talerzach. Mięsne paszteciki miały kształt półksiężyca, wygodny do trzymania w ręce. Z kiełbas, czerwonej wieprzowej i bolońskiej, peklowanych ozorów i wędzonej szynki z białym rąbkiem tłuszczu robiono kanapki.

Nieco dalej wystawiono słodycze: puddingi, ciasta, lukrowane bułeczki, torty cytrynowe, orzechowe pierniczki z posypką oraz tarty z porzeczkami, agrestem, rabarbarem i czereśniami.

Ransom prowadził Garrett od stoiska do stoiska, kupując wszystko, co wzbudziło jej zainteresowanie: papierową tutkę pełną gorącego zielonego groszku z bekonem, kawałek ciasta ze śliwkami. Namówił ją na spróbowanie pikantnego włoskiego gulaszu z cielęciny, który okazał się tak pyszny, że niemal wylizała miskę do czysta. Nic jednak nie zdołało skłonić jej do skosztowania choćby odrobiny spaghetti, czyli wijących się białych nitek utopionych w śmietanowym sosie.

– Nie, dziękuję – odmówiła z niepewną miną.

– To rodzaj makaronu – nie poddawał się Ransom – tylko cieńszy i dłuższy.

Garrett aż się wzdrygnęła.

– Wygląda jak robaki.

– Nie ma nic wspólnego z robakami. Jest zrobiony z mąki i jajek. Proszę spróbować.

– Nie mogę, naprawdę. – Garrett zbladła, widząc, jak Ransom nawija długie pasmo na widelec. – Dobry Boże, proszę, niech pan nie je tego przy mnie!

– Taka pani wrażliwa? – zdziwił się rozbawiony. – I została pani lekarzem?

– Proszę to zabrać… – rzuciła błagalnie.

Pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Niech pani tu zaczeka. – Oddał talerz chłopcom stojącym w pobliżu i poszedł kupić coś innego.

Wrócił z napojem w brązowej szklanej butelce.

– Piwo imbirowe? – spytała Garrett domyślnie.

– *Brachetto rosso.*

Niepewnie pociągnęła łyk i aż zamruczała z uznania dla smaku słodkiego wina. Jeszcze kilka razy podniosła butelkę do ust, kiedy szli

skrajem tłumu zebranego na środku skweru.

– Na co oni wszyscy czekają? – spytała.

– Wkrótce się pani dowie. – Ransom poprowadził ją na zachodnią część placu, gdzie stał imponujący gmach sądu, z klasycznym frontonem wspartym na gigantycznych kolumnach.

– Dyrektorka mojej szkoły, panna Primrose, byłaby wstrząśnięta, widząc mnie teraz – powiedziała z uśmiechem Garrett. – Zawsze powtarzała, że jedzenie na ulicy dowodzi niskiego urodzenia.

– Gdzie pani pobierała nauki?

– W Highgate. Moja ciotka Maria płaciła za mnie czesne w eksperymentalnej szkole z internatem. Uczyli dziewczęta tego samego co chłopców: matematyki, łaciny i przedmiotów ścisłych.

– I tak powstał problem – stwierdził Ransom. – Nikt pani nie powiedział, że dziewczynki nie mogą zgłębiać nauk ścisłych.

Garrett parsknęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc, mówiła tak cała rodzina ojca. Oburzał ich pomysł wysłania mnie do takiej szkoły. Babka uważała, że edukacja do tego stopnia nadwereży kobiecy umysł, że będę osłabiona zarówno mentalnie, jak i fizycznie przez resztę życia. Nie dość tego, również moje przyszłe dzieci będą upośledzone! Jednak ciotka Maria się uparła, dzięki Bogu. Ojciec w końcu przystał na jej plan, głównie dlatego, że skończyłam dziesięć lat i nie wiedział, co ze mną robić.

Gdy znaleźli się przy budynku sądu, Ransom pociągnął ją w zaciszne miejsce między jedną z kolumn i wielkimi kamiennymi schodami. Panowały tam chłód i półmrok oraz ledwie wyczuwalny zapach wilgoci.

Położył na ziemi torbę i laskę, stanął naprzeciw Garrett i przyjrzał się jej z nieskrywaną ciekawością.

– Podobało się pani w szkole z internatem?

– Owszem. Byłam wdzięczna, że zapewniono mi prawdziwą edukację. Odmieniła moje życie. – Oparta plecami o chłodną kamienną ścianę, pociągnęła łyk wina z butelki i podjęła z zadumą: – Oczywiście życie w szkole z internatem różniło się od posiadania rodziny. Uczniów zniechęcano do nawiązywania bliższych więzi z nauczycielami. Jeśli mieliśmy jakieś zmartwienia, nie zwierzaliśmy się z nich, tylko próbowaliśmy być cały czas czymś zajęci. Panna

Primrose chciała nas nauczyć wytrzymałości i polegania tylko na sobie. – Urwała, przygryzając lekko dolną wargę. – Czasami myślę… że, być może… wzięłam sobie te nauki za bardzo do serca.

– Dlaczego tak pani uważa? – Oparł się ramieniem o mur; kiedy tak na nią patrzył, trochę z góry, wydawał się jej jeszcze większy.

Garrett uświadomiła sobie, że mówi prawie bez przerwy.

– Męczę pana, rozprawiając bez umiaru o swoim dzieciństwie. Zmieńmy temat. Jak pan…

– Ten temat mi się podoba – przerwał jej, zniżając głos do aksamitnego szeptu. – Co miała pani zamiar powiedzieć?

Garrett napiła się wina, żeby uspokoić nerwy.

– Po prostu… zwykle trzymam ludzi na dystans. Nawet przy bliskiej przyjaciółce, takiej jak lady Helen, nie wspominam o rzeczach, które mogłyby zszokować lub zmartwić. Moja praca… to, jak mnie ukształtowała… i być może utrata matki… chyba nie potrafię się zbliżyć do innych.

– To kwestia przyzwyczajenia. – Światło lampy wydobywało szafirowe błyski z jego źrenic. – Pewnego dnia zaufa pani komuś na tyle, by opuścić gardę. I już nie będzie dystansu.

Rozmowę przerwało im nadejście młodej dziewczyny; zbliżając się chodnikiem, wołała głośno:

– Kwiaty! Świeżo cięte kwiaty! – Stanęła przed nimi i zagadnęła Ransoma: – Bukiecik dla damy, sir? – Dziewczyna miała kolorowy szal na ciemnych włosach, patchworkowy fartuch na czarnej sukience, a w ręku płaski kosz kwiatów powiązanych w bukiety, z łodyżkami okręconymi barwną wstążką.

– Nie ma potrzeby… – zaczęła Garrett, ale Ransom jej nie słuchał, zajęty oglądaniem malutkich bukietów róż, narcyzów, fiołków, niezapominajek i goździków.

– Ile? – zwrócił się do dziewczyny.

– Ćwierć pensa, sir.

Spojrzał na Garrett przez ramię.

– Lubi pani fiołki?

– Tak… – odparła z wahaniem.

Ransom dał kwiaciarce monetę i wybrał jeden z bukiecików.

– Dziękuję, sir! – Dziewczyna oddaliła się pospiesznie, jakby w obawie, że kupujący może zmienić zdanie.

Ransom odwrócił się do Garrett z pęczkiem drobnych fioletowych kwiatków. Ujął połę jej żakietu i zręcznie zatknął owinięte we wstążkę łodyżki w dziurkę od guzika.

– Z fiołków sporządza się doskonały tonik czyszczący krew – wydukała Garrett, czując potrzebę przerwania niezręcznej ciszy. – Są też dobre jako lekarstwo na kaszel czy gorączkę.

W policzku Ransoma pokazał się dołeczek.

– Ładnie też zdobią kobiety o zielonych oczach.

Nieśmiało opuściła wzrok na fiołki i dotknęła jednego z aksamitnych płatków.

– Dziękuję. Po raz pierwszy dostałam kwiaty od mężczyzny.

– Och, moja droga… – Popatrzył jej w twarz. – Czyżby aż tak bardzo ich pani onieśmielała?

– Owszem, jestem okropna – przyznała Garrett i parsknęła śmiechem. – Jestem niezależna i zadufana w sobie, a do tego uwielbiam mówić ludziom, co mają robić. Nie ma we mnie ani krzty kobiecej delikatności. Mój zawód również obraża… albo przeraża mężczyzn. A czasami ich odstrasza. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego nigdy nie dostałam nawet pojedynczego polnego kwiatka. Ale za to żyję, jak chcę.

Ransom wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Jest pani królową – odezwał się cicho. – Mógłbym przez resztę życia podróżować po świecie i nie znaleźć kobiety dorównującej pani nawet w połowie.

Garrett miała wrażenie, że kolana dziwnie jej miękną, a mózg pracuje jakby na zwolnionych obrotach. Zanikające poczucie rozsądku mówiło jej, że nie bez powodu czuje miłe ciepło i większą niż zwykle chęć do rozmowy. Uniosła butelkę w wyciągniętej dłoni i przyjrzała się jej podejrzliwie.

– Dość już wypiłam – powiedziała, oddając ją Ransomowi. – Nie chcę być wstawiona.

– Taką ilością nawet polna mysz by się nie wstawiła – odparł, ściągając brwi.

– Nie chodzi tylko o wino. Doktor Havelock nalał mi wcześniej whisky z okazji urodzin. A muszę zachować trzeźwość.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Ransom pociągnął ją głębiej w cień. Przygarnął jej głowę do swojego ramienia. Wtulona w miękką skórę jego kamizelki, czuła, jak gładzi ją po policzku; dotyk jego palców, pachnących fiołkami, był delikatny jak muśnięcie skrzydła małego ptaszka. Pomyślała półprzytomnie, że przez resztę życia zapach fiołków będzie jej przypominać ten moment.

– Przywykła pani do brania odpowiedzialności za każdą sekundę – odezwał się prawie szeptem. – A nie ma nikogo, kto by panią złapał przy potknięciu. – Niski, dźwięczny głos pieścił jej ucho. – Daję pani wieczór swobody. Moje ramiona są do pani dyspozycji, podtrzymają panią niezawodnie. Jeśli pani chce, może pić wino w każdej ilości. Później będzie muzyka i tańce. Kupię pani wstążkę do włosów i zatańczę z panią walca o północy. Co pani na to?

– Wyglądalibyśmy jak para głupców – oceniła… i przylgnęła do niego mocniej.

Miękkie, ciepłe muśnięcie na skroni wzbudziło w niej dreszcz. Oddech jej przyspieszył, by po chwili zlać się w jeden rytm z jego oddechem. Kątem oka widziała, że inne pary również szukają w pobliżu odosobnienia, żeby wymienić ukradkowe pieszczoty czy skraść całusa. Aż do tego wieczoru Garrett nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie pozwalają sobie na tak bezwstydne zachowania w miejscach publicznych. Teraz już wiedziała. Cień nie zawsze krył zagrożenie. Czasami tylko tam znajdowała miejsce odrobina magii.

Światła w witrynach sklepów i warsztatach powoli gasły. Gdzieś w pobliżu rozlegał się kobiecy śpiew – jedna z ulicznych artystek prezentowała słuchaczom celtycką balladę. Wysokim, dźwięcznym głosem odtwarzała skomplikowaną melodię nasyconą miłosnym cierpieniem.

– Co to za piosenka? – spytała Garrett.

– *Donal Og*. Jedna z ulubionych melodii mojej mamy.

– O czym mówią słowa?

Ransom jakby się ociągał z odpowiedzią. Dopiero po dłuższej chwili zaczął jej tłumaczyć cicho, tuż przy uchu:

– Czarny jak węgiel jest żal, który mnie otacza. Ukradłeś mi przyszłość i przeszłość, zabrałeś mi Wschód i Zachód. Zabrałeś mi słońce, księżyc i gwiazdy z mojego nieba… i Boga też, o ile się nie mylę.

Głęboko poruszona, Garrett nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Ethan Ransom nie mógł pasować do życia, jakie było jej udziałem obecnie, ani do żadnego, jakie mogła wieść w przyszłości. Stanowił anomalię, oszałamiającą, lecz przelotną. Był jak spadająca gwiazda, płonąca od tarcia wywołanego własną prędkością.

Pragnęła, by ten mężczyzna należał do niej. Pragnęła tego tak bardzo, że zaczynała brać szalone pomysły za całkiem rozsądne plany.

Tłum zgromadzony na skwerze ożywił się, wyraźnie czegoś wyczekując. Ransom chwycił Garrett za ramiona, żeby ustawić ją tyłem do siebie, mimo jej nieśmiałych protestów.

– Musi pani się odwrócić, żeby widzieć – wyjaśnił.

– Co widzieć? – spytała niepocieszona, bo wolała zostać w dotychczasowej pozycji.

Już odwróconą przyciągnął do siebie i objął ramieniem w talii. W następnej minucie powietrze przeszył długi, ogłuszający świst, przerywany serią wybuchów, po których z ciemnego nieboskłonu posypały się pióropusze niebieskich iskier. Garrett odruchowo zadarła głowę, a Ransom chwycił ją mocniej; kiedy się zaśmiał, jego oddech połaskotał ją w ucho.

Niebo nad centralnym Londynem eksplodowało około trzydziestoma równocześnie wypuszczonymi racami. Tłum wznosił radosne okrzyki i wiwaty, kiedy pirotechniczne salwy wyczarowywały w powietrzu istny deszcz barwnych iskier. Pojedyncze wystrzały mieszały się z jednostajnym terkotem ognistych kołowrotów, rozpościerając nad zachwyconymi widzami iście baśniową poświatę.

Garrett oparła się o Ransoma i odchyliła głowę na jego ramię. Szczęście mieszało się w niej ze zdumieniem, stan jej uczuć przywodził na myśl gatunek jedwabiu, który zmieniał odcień

w zależności od tego, pod jakim kątem się na niego patrzyło. Czy to się działo naprawdę? Zamiast bezpiecznie leżeć w łóżku we własnym domu, stała nocą w środku miasta, oddychała zapachem fiołków i fosforu, obserwowała pokaz fajerwerków w męskich objęciach.

Mimo oddzielającej ich podwójnej warstwy ubrań wyczuwała twardość jego mięśni, odpowiadających napięciem na jej każdy, nawet najdrobniejszy ruch. W pewnym momencie opuścił głowę i poczuła delikatny, gorący nacisk z boku szyi.

Przebiegł ją dreszcz, czysty i wyraźny jak wibracje dobrze nastrojonej struny w harfie. Usta Ransoma odnalazły najbardziej wrażliwe miejsce i pozostały przy nim pieszczotą tak pełną erotyzmu, że Garrett mimowolnie podkurczyła palce stóp w swoich solidnych trzewikach. Nie protestowała, więc przesunął wargi niżej, przyjemnie łaskocząc jej skórę kiełkującym zarostem. Nastąpił kolejny pocałunek, ostrożny i powolny, jakby chciał nim uspokoić jej szaleńczo przyspieszony puls. Miała wrażenie, że przez jej ciało przelatują rozpalone strzałki i trafiają we wszystkie czułe miejsca. Wnętrza jej dłoni i zagłębienia pod kolanami zrosił pot, a w dole brzucha odezwało się nieznane, niemal bolesne mrowienie.

Wraz z coraz szybszym biciem serca rósł w niej żar, nogi jej drżały, jakby zaraz miała się osunąć na ziemię, ale trzymał ją tak mocno, że z pewnością nie groził jej upadek. Wstrzymała oddech, napięta w wyczekiwaniu, kiedy w końcu uniósł głowę i dotknął palcami miejsca pieszczonego wcześniej przez usta.

Ledwie do niej docierało, że pokaz sztucznych ogni dobiega końca. Tłum zaczął się rozpraszać, niektórzy wracali do stoisk z jedzeniem, inni przeszli na środek skweru, gdzie zespół muzyczny grał pierwsze melodie. Ransom nie wypuszczał Garrett z objęć, stali przyklejeni do siebie, ukryci w ciemnym zakątku przed budynkiem sądu. Patrzyli, jak ludzie klaszczą i tańczą.

Ojcowie i matki trzymali dzieci na ramionach, grupki starszych kobiet śpiewały dobrze zapamiętane piosenki, starsi mężczyźni pykali fajki, chłopcy biegali, szukając okazji do psot.

Ransom odezwał się nagle, z policzkiem wtulonym w jej włosy:

– Dla polityków i arystokracji wszyscy jesteśmy tacy sami. Uważają człowieka pracującego za zwierzę juczne, bez rozumu i bez duszy.

Myślą, że ból utraty nie może go przeszywać tak głęboko jak ich, bo przecież nawykł do trudów i przeciwności. Ale każdy z tych ludzi posiada tyle samo uczuć i honoru co książę i jego krewni. Nie są pionkami. Żaden z nich nie zasługuje na to, by być ofiarą.

– Czyją ofiarą? – spytała Garrett.

– Samolubnych drani, którzy dbają jedynie o władzę i profity.

Milcząc, zastanawiała się, czy za „samolubnych drani" uważał ludzi, dla których pracował. A może miał na myśli członków parlamentu przeciwnych irlandzkiej niepodległości. Jakie zajmował stanowisko wobec „kwestii irlandzkiej"? Czyżby sympatyzował z tajnymi ugrupowaniami, jak to, które zorganizowało zamach bombowy w ratuszu? Wydawało się niemożliwe, by poprzez konspirację był gotów krzywdzić niewinnych ludzi, zwłaszcza po tym, co właśnie powiedział. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że w obecnym stanie oczarowania jego urokiem nie potrafiła go trzeźwo ocenić.

Odwróciła się do niego twarzą, nie do końca pewna, czy chce znać prawdę. Nie bądź tchórzem, powiedziała sobie w duchu i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ēatán… – Poczuła lekkie napięcie w obejmującym ją ramieniu. – Słyszałam różne plotki o panu i pańskiej pracy. Nie wiem, w co wierzyć. Ale…

– Proszę nie pytać. – Puścił ją gwałtownie. – Byłoby z pani strony głupotą wierzyć w jakąkolwiek moją odpowiedź.

– Okłamałby mnie pan?

– Wszystkich okłamuję.

– Mimo wszystko muszę spytać o tamten wieczór w ratuszu… Człowiek, który umarł… Czy miał pan coś wspólnego z jego śmiercią?

Uciszył ją, dotykając jej ust końcami palców.

– Znając prawdę, myślałabym o panu lepiej czy gorzej? – nie ustępowała.

– To bez znaczenia. Jutro znów będziemy sobie obcy. Jakby dzisiejszy wieczór nigdy się nie zdarzył. – Ton nie pozostawiał wątpliwości, że nic nie zmieni jego przekonania.

W przeszłości, ilekroć głowa Garrett nie zgadzała się z sercem, to zawsze przegrywało. Tym razem jednak nie chciało się poddać bez walki. Nie umiała sobie wyobrazić, że miałaby tak po prostu

zakończyć znajomość, która zapowiadała się na coś wyjątkowego, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła.

– Nie rozumiem, jak to możliwe… – powiedziała cicho.

– Oboje wiemy, że nie nadaję się dla kogoś takiego jak pani. Pewnego dnia znajdzie pani dobrego, przyzwoitego męża, który da pani gromadkę dzieci i będzie co niedzielę zabierał do kościoła. Mężczyznę o delikatnej naturze.

– Dziękuję, że pozwala mi pan samodzielnie wybierać dla siebie towarzystwo – mruknęła Garrett. – Wychodząc za mąż, z pewnością wybiorę jakiegoś safandułę.

– Proszę nie mylić delikatności ze słabością. Tylko silny mężczyzna potrafi delikatnie traktować kobietę.

Garrett zbyła uwagę niedbałym machnięciem dłoni; nie miała cierpliwości do słownych subtelności, gdy tak wiele myśli kłębiło się w jej głowie.

– Nie planuję też posiadania dzieci. Mam swoją pracę. Nie każda kobieta jest stworzona do macierzyństwa.

Ransom przyjrzał się jej z ukosa.

– Mężczyźni lekarze mogą mieć rodziny. Dlaczego pani nie może?

– Bo… nie, nie dam się wciągnąć w bezsensowną dyskusję. Chcę z panem porozmawiać.

– Rozmawiamy.

Zniecierpliwienie zmieszane z pożądaniem kazało jej zapomnieć o rozwadze.

– Nie tutaj. Gdzieś na osobności. Ma pan jakiś wynajęty pokój? Mieszkanie?

– Nie mogę zabrać pani tam, gdzie mieszkam.

– Dlaczego? Czy jest tam niebezpiecznie?

Ransom potrzebował nienaturalnie dużo czasu na odpowiedź.

– Dla pani, owszem.

Garrett miała wrażenie, że miejsca na szyi, gdzie ją całował, płoną, jakby rozpalił je dotykiem swoich ust.

– To mnie nie przeraża.

– A powinno.

Teraz zamilkła na dłużej. Powietrze stało się dziwnie gęste, jakby brakowało w nim tlenu. Ten wieczór okazał się jednym

z najszczęśliwszych w jej życiu, był prezentem, który spadł jej z nieba. Nigdy specjalnie się nie zastanawiała nad swoim osobistym losem, zbyt zajęta pracą i dążeniem do wyznaczonych celów.

I oto proszę, jak typowa spragniona miłości kobieta w wieku prawie staropanieńskim zakochała się w tajemniczym nieznajomym. Z upływem czasu mroczny, niebezpieczny urok Ethana Ransoma z pewnością by wyparował, a on sam wydałby się jej pospolitym, nieróżniącym się od innych mężczyzną.

Jednak teraz, patrząc w jego ukrytą w cieniu twarz, pomyślała: Nigdy nie wydałby mi się pospolity, nawet gdyby taki był w istocie.

Usłyszała własny głos:

– Proszę, niech mnie pan odprowadzi do domu.

Rozdział 7

Niezależnie od pory dnia czy nocy jazda dorożką przebiegała szybko i hałaśliwie, co uniemożliwiało prowadzenie rozmowy. Te użyteczne pojazdy zwykle niemiłosiernie kołysały i trzęsły, za nic mając przepisy ruchu drogowego i prawa fizyki, a zakręty brały tak nonszalancko, że zewnętrzne koła niemal odrywały się od ulicy.

Garrett Gibson, dobrze obeznana z przebiegiem takich podróży, nie wykazywała żadnych śladów zdenerwowania. Wciśnięta w kąt siedzenia, ze stoickim spokojem obserwowała mijane widoki.

Ethan rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, ale nie potrafił odczytać jej nastroju. Umilkła po tym, jak nie zechciał odpowiedzieć na jej pytanie o tamto pamiętne przyjęcie w ratuszu. Domyślał się, że zaczyna rozpoznawać jego prawdziwy charakter i wraca jej rozsądek. I dobrze. Odtąd pewnie będzie chciała, żeby się trzymał od niej z daleka.

Ten wieczór pokazał mu z całą jasnością, jak wielkie zagrożenie stanowiła dla niego Garrett. Przy niej nie był sobą… a może właśnie był sobą i na tym polegał cały problem. Tak czy inaczej, przez nią nie był zdolny do pracy, i to w czasie, kiedy najbardziej potrzebował zachować zimną krew.

„Jeśli chcesz ocalić życie, nie może ci na niczym zależeć”, powiedział mu kiedyś inny z ludzi Jenkyna, William Gamble. To była prawda. Jeśli zaczynało ci zależeć, zmieniały się twoje odruchowe wybory, nawet te dotyczące drobnych rzeczy, jak zrobić unik: w lewo czy w prawo. Przy jego działalności ludzkie pragnienie chronienia własnego życia zwykle prowadziło do zguby. Do tej pory Ethan

w podejściu do swojej przyszłości stosował filozofię: co ma być, to będzie.

Ostatnio jednak ta narzucona sobie beznamiętność zaczynała pękać. Przyłapywał się na tym, że pragnie rzeczy, o których nie powinien nawet myśleć. Tego wieczoru zachowywał się jak szalony – flirtował i napawał się towarzystwem Garrett Gibson. Pobiegł do niej jak dobrze wytresowany owczarek, ledwie dmuchnęła w gwizdek. Spacerował z nią po mieście i oglądał pokaz fajerwerków, błądząc rękami po jej ciele. Kompletnie postradał rozum, skoro wystawiał się na takie ryzyko.

Tylko jak mężczyzna miał zachować rozsądek przy takiej kobiecie? Garrett zawładnęła jego wyobraźnią, jakby rzuciła na niego jakiś miłosny czar. Była jednocześnie konserwatywna i wywrotowa, światowa i niewinna. Słuchanie, jak rozprawia o „mimowolnej erekcji" tym swoim dystyngowanym głosem, było dla niego chyba najlepszym wydarzeniem roku.

Pragnął jej tak bardzo, że aż go to przerażało. Ta kobieta, w jego łóżku… zadrżał na samą myśl. Z pewnością bardzo by się starała zachować godność, musiałby ją stopniowo oswajać, całując wgłębienia między palcami jej stóp, miękkie zagięcia kolan…

Dosyć, skarcił się w duchu. Nie należała do niego. I wiedział, że nigdy nie będzie do niego należeć.

Zbliżyli się do rzędu identycznych domków szeregowych w stylu georgiańskim, stojących przy porządnej ulicy z brukowanym chodnikiem i kilkoma mizernymi drzewami, zamieszkiwanej przez klasę średnią. Dorożka zatrzymała się gwałtownie przed budynkiem z czerwonej cegły, z oddzielnym wejściem do sutereny, przeznaczonym dla służby i dostawców. Jedno z pięter było rzęsiście oświetlone, a z otwartego okna dobiegały głosy trzech… nie, czterech mężczyzn.

Ethan wysiadł z dorożki z lekarską torbą i laską; Garrett, choć nie potrzebowała asysty, chwyciła jego wyciągniętą rękę i wyskoczyła ze sprężystością, której nawet gorset nie zdołał ograniczyć.

– Zaczekaj tu – rzucił Ethan do woźnicy. – Odprowadzę panią do drzwi.

– Za czekanie jest dodatkowa opłata – padło ostrzeżenie, które Ransom skwitował szybkim skinieniem głowy.

Garrett patrzyła na niego z otwartością i powagą, które ujęły go tysiąckroć mocniej niż jakiekolwiek zalotne miny. Miała w spojrzeniu bezpośredniość, jakiej nie widział dotąd u żadnej kobiety.

– Wejdzie pan ze mną do środka, panie Ransom?

Wiedział, że powinien odejść… a raczej uciec – najszybciej jak się da. Tymczasem pytanie wisiało między nimi przez długą chwilę jego wahania.

– Ma pani gości – odezwał się w końcu, spoglądając w górę, ku jaśniejącym oknom.

– Ojciec jak co tydzień gra z przyjaciółmi w dobieranego pokera. Zwykle przesiadują na górze do północy. Mój gabinet zajmuje większą część parteru… możemy tam spokojnie porozmawiać.

Ethan nadal się wahał. Zaczął ten wieczór z zamiarem eskortowania doktor Garrett z zachowaniem bezpiecznej odległości, a teraz rozważał wejście do jej domu, w którym znajdował się jej ojciec z przyjaciółmi. Jak, u diabła, do tego doszło?

– *Acushla* – zaczął mrukliwie – nie mogę…

– Mam salę operacyjną i małe laboratorium – powiedziała Garrett rzeczowym tonem.

Wzmianka o laboratorium obudziła w nim ciekawość.

– Co pani tam trzyma? – wyrwało mu się. – Szczury i króliki? Naczynia z bakteriami?

– Niestety nie. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Używam laboratorium do przygotowywania leków i sterylizowania sprzętu. I oglądania próbek pod mikroskopem.

– Ma pani mikroskop?

– Najnowocześniejszy mikroskop medyczny – pochwaliła się, widząc jego zainteresowanie. – Z dwoma okularami, niemieckimi soczewkami i kondensorem achromatycznym do korygowania zniekształceń. – Uśmiechnęła się na widok jego miny. – Pokażę panu. Widział pan kiedyś skrzydło motyla powiększone sto razy?

Dorożkarz przysłuchiwał się ich rozmowie, nie kryjąc zaciekawienia.

– Chłopcze, durny jesteś czy co? – rzucił z kozła. – Nie stój jak cielę, tylko idź za panią!

Ethan zganił go spojrzeniem, po czym wcisnął mu w garść kilka monet i kazał odjechać.

– Ale nie zostanę długo – zapowiedział, podążając za Garrett w stronę głównego wejścia do domu. – I niech mnie pani, broń Boże, nikomu nie przedstawia.

– Nie mam zamiaru. Choć nie da się uniknąć spotkania z moją służącą.

Gdy Garrett wyjmowała klucz z kieszeni żakietu, Ethan dokładnie przyjrzał się drzwiom. Do jednej z górnych desek przytwierdzono mosiężną tabliczkę z napisem „Doktor G. Gibson”. Opuścił wzrok niżej i ze zdumieniem ujrzał obok klamki metalowy skrzynkowy zamek, jakich nie widywał od czasu, gdy praktykował u więziennego ślusarza.

– Chwileczkę – rzucił, nim Garrett wsunęła klucz do dziurki. Marszcząc czoło, podał jej torbę i laskę, po czym przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć. Prymitywny mechanizm, założony prawdopodobnie tuż po wybudowaniu domu, zupełnie się nie nadawał do zewnętrznych drzwi od ulicy. – To bardzo staroświecki zamek – ocenił z niedowierzaniem.

– Owszem, całkiem dobry, solidny – potwierdziła Garrett, wyraźnie zadowolona.

– Nie! Wręcz przeciwnie! Nawet nie ma zapadki. Równie dobrze mogłaby pani zostawiać te drzwi otwarte. – Obejrzał konstrukcję z każdej strony. – Dlaczego pani ojciec nic z tym nie zrobił? Powinien wiedzieć, że to niebezpieczne.

– Nie mieliśmy z tym zamkiem żadnych kłopotów.

– Bóg strzegł. – Ethanem wstrząsnęła świadomość, że Garrett co noc kładła się spać oddzielona jedynie kawałkiem blachy, nie lepszym od łapki na szczury, od całej kryminalnej populacji Londynu. Serce załomotało mu z niepokoju. Miał okazję widywać, co się może przytrafić kobietom, które nie są wystarczająco chronione przed ludzkimi drapieżnikami. A Garrett była osobą publiczną i oprócz podziwu wzbudzała też kontrowersje. Ktoś mógł wejść do jej domu bez najmniejszej trudności…

Garrett przyglądała mu się z lekkim uśmiechem, jakby uważała jego obawy za przesadne.

Ethan nie mógł znaleźć odpowiednich słów, żeby przekonać ją o powadze zagrożenia. Nadal przykucnięty przed drzwiami, machnięciem wskazał na jej nakrycie głowy – płaski aksamitny toczek ozdobiony wstążką i wiązką drobnych piórek.

– Proszę mi to dać.

– Mój kapelusz? – Wyraziła zdumienie uniesieniem brwi.

– Samą spinkę. – Czekał z wyciągniętą ręką.

Nie zadając więcej pytań, Garrett wyjęła szpilkę mocującą toczek do fryzury, zakończoną małym mosiężnym medalionem.

Ethan zagiął długą metalową końcówkę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, włożył do dziurki, ostrożnie przekręcił i zaraz potem zamek otworzył się z metalicznym szczęknięciem. Wtedy wyciągnął szpilkę i oddał Garrett.

– Otworzył pan te drzwi szybciej szpilką do kapelusza, niż ja je otwieram kluczem! – wykrzyknęła, spoglądając na zgiętą końcówkę. – Ależ pan ma dryg.

– Nie w tym rzecz. Każdy, nawet najgłupszy włamywacz, mógłby zrobić to co ja.

– Och… – Ściągnęła usta w wyrazie namysłu. – Może powinnam zainwestować w nowy zamek?

– Owszem. Pochodzący z obecnego wieku!

Ku jego rozpaczy Garrett wcale nie sprawiała wrażenia przejętej. Zmrużyła oczy.

– Miło, że pan się troszczy o moje bezpieczeństwo, ale ojciec jest byłym policjantem.

– Jest za stary, żeby skakać przez płot – obruszył się Ethan.

– A ja potrafię się bronić całkiem…

– Dość – ostrzegł twardym tonem; bał się, że wybuchnie, jeśli przyjdzie mu słuchać jej zapewnień, że umie o siebie zadbać i że nie ma się czego bać, bo przecież wie, jak machać laską. – Musi pani natychmiast wymienić ten zamek i ściągnąć z drzwi tę tabliczkę.

– Dlaczego?

– Bo jest na niej pani nazwisko.

– Wszyscy lekarze takie mają – zaprotestowała. – Jeśli ją usunę, pacjenci do mnie nie trafią.

– To może od razu wywiesi pani na drzwiach ogłoszenie: „Bezbronna kobieta z darmowymi lekarstwami”? – Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dodał: – Dlaczego nie ma krat w oknach sutereny i na parterze?

– Bo staram się przyciągać pacjentów, a nie ich odstraszać.

Ethan zamyślił się, trąc podbródek.

– Obcy ludzie wchodzą i wychodzą swobodnie – wymruczał. – Mogą robić, co chcą, niepowstrzymywani. A jeśli wpuści pani szaleńca?

– Szaleńcy też potrzebują opieki medycznej – zwróciła mu uwagę Garrett.

Posłał jej wymowne spojrzenie.

– Czy chociaż okna mają blokady po zamknięciu?

– Niektóre chyba tak… – odparła niezdecydowanym tonem. Słysząc jego zduszone przekleństwo, dodała nieco pewniej: – Naprawdę nie musi się pan obawiać, nie trzymamy tu przecież klejnotów koronnych.

– Pani jest klejnotem – wydukał.

Garrett wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma, bez mrugnięcia, w niezręcznie przeciągającej się ciszy.

Nikt w dorosłym życiu Ethana tak naprawdę go nie znał, nawet Jenkyn. Tymczasem stojąc tutaj, na progu domu Garrett Gibson, zahipnotyzowany jej spojrzeniem, uświadomił sobie, że nie potrafiłby przed nią nic ukryć. Wszystko, co czuł w tym momencie, mogła bez trudu wyczytać z jego twarzy.

Niech to diabli…

– Proszę wejść – odezwała się cicho.

Po zamknięciu drzwi od środka Ethan stanął w przedsionku i z czapką w rękach zafascynowany patrzył, jak Garrett zdejmuje rękawiczki, pociągając za materiał na końcach palców. Z giemzowej skóry wyłaniały się piękne dłonie, elegancko smukłe i precyzyjne.

Odgłos kroków zapowiedział czyjeś nadejście. Pojawiła się zażywna kobieta o rumianych policzkach i żywych brązowych oczach, ubrana w czepek i biały fartuch.

– Dobry wieczór, doktor Gibson. – Wzięła od Garrett rękawiczki i kapelusz. – Późno pani dziś wróciła. – Spojrzała w stronę Ethana

i jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. – Sir – zwróciła się do niego z dygnięciem. – Czy mogę wziąć pańską czapkę?

Ethan pokręcił głową.

– Niedługo wychodzę.

– Ten pan jest pacjentem – wyjaśniła służącej Garrett. Przed oddaniem jej żakietu wyciągnęła z dziurki od guzika bukiecik fiołków. – Przyprowadziłam go na konsultację… Proszę, dopilnuj, żeby nam nie przeszkadzano.

– Żeby co skonsultować? – spytała rzeczowo kobieta, mierząc Ethana spojrzeniem od czubka głowy do stóp i z powrotem. – Nie wygląda mi na schorowanego.

Garrett ściągnęła brwi.

– Wiesz, że nie powinnaś komentować wyglądu pacjentów.

Kobieta nachyliła się do Garrett i powiedziała scenicznym szeptem:

– Chciałam tylko wyrazić nadzieję, że zdoła pani pomóc temu biednemu, choremu nieborakowi.

– Wystarczy, Elizo – syknęła Garrett. – Możesz już iść.

Rozbawiony bezczelnością służącej, Ethan wbił wzrok w podłogę, starając się powstrzymać uśmiech.

Po odejściu Elizy Garrett próbowała się tłumaczyć, jednak bez przekonania:

– Zwykle nie jest aż tak impertynencka. Zresztą, no dobrze… – poddała się. – Jest. – Poprowadziła go do otwartego pomieszczenia po prawej stronie od wejścia. – To poczekalnia dla pacjentów i ich rodzin.

Zajęła się zamykaniem okiennic, podczas gdy Ethan obchodził przestronne wnętrze, umeblowane długą, niską sofą, dwoma tapicerowanymi fotelami i dwoma małymi stolikami. Był tam również kominek z gzymsem pomalowanym na biało, sekretarzyk i obraz na ścianie. Wszystko prezentowało się niezwykle schludnie, wypolerowane drewno lśniło, szyby w oknach błyszczały czystością. Większość domów wydawała mu się duszna i niewygodna, podłogi nadmiernie zastawione sprzętami, ściany oklejone zbyt krzykliwą tapetą, natomiast to miejsce tchnęło kojącą prostotą. Podszedł bliżej do malowidła, które przedstawiało stado tłustych białych gęsi defilujących przed drzwiami wiejskiej chaty.

– Kiedyś będzie mnie stać na prawdziwą sztukę – powiedziała Garrett, stając obok niego. – Na razie to musi wystarczyć.

Uwagę Ethana zwróciły maleńkie inicjały umieszczone w rogu płótna: „G.G.”. Domyślny uśmiech powoli wpełzł mu na usta.

– Pani sama to namalowała?

– Na zajęciach plastycznych w szkole z internatem – potwierdziła. – Nieźle mi wychodziły szkice, ale jedynym obiektem, który potrafiłam namalować, były gęsi. W pewnym momencie próbowałam rozszerzyć repertuar na kaczki, ale dostawałam za nie gorsze oceny, więc wróciłam do gęsi.

Ethan uśmiechnął się, wyobrażając sobie Garrett jako pilną uczennicę z długimi warkoczami. Światło kulistej lampy prześlizgnęło się po jej starannie upiętych włosach, wydobywając z nich błyski czerwieni i złota. Miała nieskazitelną, cudownie jasną skórę o gładkości różanego płatka.

– Dlaczego namalowała pani akurat gęsi?

– Naprzeciwko szkoły był staw, w którym pływały – wyjaśniła Garrett, gapiąc się na obraz nieobecnym wzrokiem. – Czasami widywałam pannę Primrose, jak obserwowała je z okna przez lornetkę. Pewnego dnia odważyłam się spytać, co ją tak ciekawi w gęsiach, na co odpowiedziała, że mają zdolność przywiązywania się i żalu niemal równą ludzkiej. Twierdziła, że dobierają się w pary na całe życie. Jeśli gęś doznaje rany, gąsior zostaje z nią, nawet gdy reszta stada odlatuje na południe. Kiedy jedno z pary umiera, drugie traci apetyt i w odosobnieniu przeżywa żałobę. – Wzruszyła szczupłymi ramionami. – Od tamtego czasu lubię gęsi.

– Ja też – wyznał Ethan. – Zwłaszcza pieczone z orzechowym nadzieniem.

Garrett ostrzegła go ze śmiechem:

– W tym domu nie traktujemy drobiu z lekceważeniem. – Mrużąc oczy, pogroziła mu palcem. – Chodźmy, pokażę panu gabinet.

Przeszli do sali zabiegowej na tyłach domu. W powietrzu unosił się ostry zapach środków dezynfekujących: kwasu karbolowego, alkoholu, benzenu oraz innych chemikaliów, których nie umiał zidentyfikować. Garrett zapaliła kilka lamp oksywodorowych, których światło rozgoniło cienie z ceramicznej podłogi i wyłożonych

szklanymi panelami ścian. Środek pomieszczenia zajmował stół operacyjny zbudowany na podstawie z szafek. Z metalowego stojaka umieszczonego w rogu wystawały ramiona z lusterkami, przytwierdzone do przekładni zębatych i kulowych przegubów; wszystko to razem przypominało mechaniczną ośmiornicę.

– Wykorzystuję metody opracowane przez sir Josepha Listera – powiedziała Garrett, rozglądając się po sali z nieskrywaną dumą. – Uczęszczałam na prowadzone przez niego zajęcia na Sorbonie i asystowałam przy niektórych jego operacjach. Opiera swą pracę na teorii Pasteura, że rany ropieją z powodu zarazków, które wnikają do ciała i się mnożą. Mój sprzęt chirurgiczny i narzędzia są zawsze sterylizowane, a rany opatruję za pomocą płynów odkażających i sterylnej gazy. Wszystko to daje moim pacjentom znacznie większe szanse na przeżycie.

Ethana zdumiewała jej gotowość do brania odpowiedzialności za życie lub śmierć, nawet ze świadomością, że skutki zabiegu mogą być opłakane.

– Jak pani wytrzymuje to napięcie? – spytał cicho.

– Człowiek się przyzwyczaja. A czasami ryzyko i nerwy pomagają mi działać na poziomie sprawności, o jaki sama bym siebie nie podejrzewała.

– Rozumiem – mruknął.

– Tak… z pewnością.

Ich spojrzenia się spotkały i Ethan poczuł, że pali go skóra na twarzy. Doktor Gibson była taka piękna – z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i zdecydowaną linią podbródka… I zmysłowo miękką czerwienią ust…

– Pani doktor – wydusił z siebie – chyba powinienem…

– Laboratorium jest tam – przerwała mu, przechodząc do drugiej części pomieszczenia, oddzielonej składanym przepierzeniem. Zapaliła kolejny zestaw nowoczesnych lamp, oświetlając kamienny zlew z kurkami od zimnej i gorącej wody, ciężką miedzianą suszarkę z palnikami, metalowe stoły i marmurowe lady oraz półki pełne starannie ułożonych pojemników, podstawek, butelek i przyrządów o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu.

Podeszła do zlewu, odkręciła wodę i napełniła probówkę. Umieściwszy w niej bukiecik fiołków, wstawiła ją do jednego z otworów w drewnianym stojaku. Następnie wydobyła mikroskop z kasetki z drewna różanego i ustawiła obok lampy.

– Używał pan już kiedyś takiego sprzętu? – zapytała.

– Raz. Należał do pewnego chemika z Fleet Street.

– W jakim celu?

– Potrzebowałem pomocy w zbadaniu dowodu. – Patrzył, jak ustawia maleńkie lusterka i soczewki. – Kiedy jeszcze pracowałem w wydziale K, badałem sprawę niewyjaśnionego morderstwa. Twierdzono, że ofiara popełniła samobójstwo własną składaną brzytwą, którą znaleziono na podłodze obok ciała. Tylko że brzytwa była prawie całkiem złożona. Domniemanie, że ten człowiek miałby składać brzytwę po tym, jak poderżnął sobie gardło, wydało mi się bezsensowne. – Ethan od razu pożałował swoich słów. Mówił rzeczy zupełnie niestosowne, zważywszy na osobę rozmówczyni i na sytuację.

– Jak głębokie było cięcie? – zaskoczyła go pytaniem Garrett.

– Obie tętnice i żyły szyjne zostały przerwane.

– Zatem śmierć nastąpiła natychmiast. W przypadku samobójstwa nie żyłby wystarczająco długo, żeby złożyć brzytwę.

Ethanowi zaczynało się podobać, że może prowadzić tego rodzaju rozmowę z kobietą.

– Głównym podejrzanym był szwagier, który miał zarówno motyw, jak i sposobność. Kilka godzin po zdarzeniu znaleziono plamę krwi na rękawie jego płaszcza. Twierdził, że tego popołudnia był na zakupach u rzeźnika i niechcący przejechał rękawem po ladzie. Nie dało się stwierdzić, czy to krew zwierzęca, czy ludzka. Sprawę zawieszono, a dowody zdeponowano w wydziałowym archiwum. Przeczytałem akta, wziąłem brzytwę i próbkę zakrwawionego materiału do chemika, który zbadał je pod mikroskopem. Znalazł dwa rodzaje włókna zaczepione o nit brzytwy. Jedno z nich idealnie pasowało do niebieskiego wełnianego płaszcza.

– A drugie?

– Było sierścią białego pudla. Okazało się, że szwagier ofiary posiadał psa tej rasy i jego sierść przeniosła się z płaszcza na

narzędzie zbrodni. W trakcie przesłuchania ten człowiek przyznał się do winy.

– Mądrze pan zrobił, podchodząc do sprawy od strony naukowej.

Ethan wzruszył ramionami. Starał się nie dać po sobie poznać, jak wielką przyjemność sprawia mu podziw w oczach Garrett.

– Może zaciekawi pana wiadomość, że obecnie istnieje sposób odróżniania krwi zwierzęcej od ludzkiej – powiedziała. – U ptaków, ryb i gadów krwinki mają owalny kształt, natomiast u ssaków, łącznie z ludźmi, krwinki są okrągłe. Co więcej, te ludzkie mają większą średnicę niż większość pozostałych.

– Skąd pani tyle wie o komórkach krwi?

– Staram się jak najwięcej uczyć. – Cień przemknął po jej twarzy. – Mój ojciec cierpi na chorobę krwi.

– Poważną? – spytał ze współczuciem.

Odpowiedziała ledwie dostrzegalnym skinieniem.

Pełen zrozumienia dla jej troski i obaw o przyszłość ojca, Ethan miał ochotę wyciągnąć do niej ramiona, mocno ją przytulić i obiecać, że we wszystkim jej pomoże. Świadomość, że nie może tego zrobić, obudziła w nim nutę gniewu – uczucie, z którym był najlepiej obeznany.

Oboje równocześnie spojrzeli na zamknięte drzwi, kiedy schody zaskrzypiały pod ciężkimi krokami. Zaraz potem z przedsionka dobiegły męskie głosy, najwyraźniej karciani partnerzy ojca Garrett już wychodzili.

– Elizo – odezwał się jeden z nich do służącej – dlaczego doktor Gibson tym razem nas nie odwiedziła?

– Pani doktor późno dziś wróciła, sir – padła odpowiedź.

– Gdzie teraz jest? Chciałbym jej chociaż życzyć dobrej nocy.

Glos Elizy przybrał wyższe tony:

– Och, to niemożliwe, panie Gleig, jest z pacjentem.

– O tej porze? – spytał z oburzeniem inny z gości.

– Owszem, panie Oxley – potwierdziła służąca i w przypływie fantazji dodała: – Biedny chłopak złamał sobie kość pistrzałową.

Słysząc nieznane słowo, Ethan spojrzał pytająco na Garrett.

– Piszczelową – sprostowała, po czym w geście rezygnacji oparła czoło o jego ramię.

Ethan objął ją odruchowo. Pachniała świeżo wypranym ubraniem z ledwie wyczuwalną nutą słonawego chłodu. Miał wielką ochotę przywrzeć ustami do jej szyi.

Tymczasem za drzwiami Eliza zaczęła wyjaśniać niebezpieczną naturę urazów „pistrzału", które jeśli nie są odpowiednio leczone, mogą prowadzić do „utykania kolan", „spięć w łydkach", a nawet do „imputacji". Garrett żachnęła się, poirytowana niedorzecznym wykładem służącej.

– Ona nas kryje – próbował bronić konspiratorki rozbawiony Ethan.

– Tak, ale oni po wyjściu stąd zaczną powtarzać te jej bzdury i ani się obejrzę, jak poczekalnia zapełni się pacjentami z chorym „pistrzałem".

– To nowe medyczne wyzwanie. Będzie pani pionierem.

Usłyszał jej stłumiony chichot. Nadal stała oparta o niego, kiedy trzej konstable wyrażali współczucie dla nieszczęsnego chorego. W końcu serdeczne pożegnania dobiegły końca i goście wyszli. Wtedy Ethan odkrył, że jego drugie ramię niepostrzeżenie również spoczęło na plecach Garrett. Wiedział, że powinien ją puścić, ale było to równie trudne jak rozgięcie stalowej sprężyny.

– Powinna pani iść na górę do ojca – wydusił z trudem.

– Eliza się nim zajmie. Potrzebuję jeszcze paru minut, żeby panu pokazać kilka eksponatów. Mam skrzydła owadów… pyłki roślinne… płatki kwiatów… Co chciałby pan zobaczyć?

– Wnętrze dorożki – odpowiedział cicho. – Nie mogę przebywać z panią sam na sam, moja droga.

Garrett dotknęła klap jego kamizelki, zacisnęła palce na miękkiej skórze.

– Ethanie… – Twarz jej lekko spąsowiała, jakby światło przebijało przez matową różową szybę. – Nie chcę, żeby to się skończyło. My… moglibyśmy się spotykać potajemnie, od czasu do czasu. Nikt nie musiałby wiedzieć. Nie mielibyśmy wobec siebie żadnych praw. Po prostu… sprawialibyśmy sobie przyjemność.

Potykała się o słowa, ona, która zawsze wyrażała się tak precyzyjnie. Ethan mógł się jedynie domyślać, jak wiele dumy musiała przełknąć, zdobywając się na taką propozycję. Nie był pewien, co właściwie mu proponuje… i czy ona sama to wie. Zresztą

nie to wydawało mu się najważniejsze. Gorąco pragnął wszystkiego, co mogła mu dać… ale musiał jej uświadomić, że domaga się niemożliwego.

– Była pani już kiedyś w tego rodzaju związku z mężczyzną? – Zmusił się do zadania tego pytania.

Jej zielone oczy przywodziły na myśl bujną roślinność w pełni lata.

– Jestem kobietą, która samodzielnie podejmuje decyzje i ponosi ich konsekwencje.

– To znaczy, że nie – odpowiedział sam sobie. Nie odzywała się, więc mówił dalej. – Wystawiłaby pani na ryzyko swoją reputację. Swoją karierę.

– Proszę mi wierzyć, rozumiem to lepiej niż pan.

– Dzieliła pani kiedyś łóżko z mężczyzną? Choć raz?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

Wymijająca odpowiedź sprawiła mu przyjemność.

– To znaczy, że nie – powtórzył. Odetchnął głęboko, próbując ukryć radość z faktu, że czekała na niego. Była mu przeznaczona. Pragnął jej jak jeszcze nigdy niczego na świecie. Tylko że jej dobro znaczyło po tysiąckroć więcej niż jego pragnienie.

– Garrett… jestem człowiekiem, który ściąga na siebie same kłopoty. Kiedy przysięgałem, że nie dopuszczę, by spotkała cię krzywda, miałem na myśli również siebie.

Zmarszczyła czoło i zacisnęła palce tak mocno, że aż zbielały jej kostki.

– Nie boję się ani ciebie, ani twoich kłopotów. – Przyciągnęła go do siebie i poprosiła szeptem: – Pocałuj mnie.

– Muszę już iść. – Próbował się wyswobodzić i odejść, póki jeszcze był do tego zdolny.

Jednak Garrett ani myślała ustąpić. Chwyciła go za głowę, tak jak ją uczył u Baujarta, wykazując zdumiewającą siłę w rękach.

– Pocałuj mnie – powtórzyła tonem żądania – albo złamię ci nos.

Zadrżał rozśmieszony groźbą. Pokręcił głową, nie odrywając oczu od tej przerażająco zdolnej kobiety, która lubiła gęsi i bała się spaghetti, a do tego umiała nie tylko władać skalpelem podczas skomplikowanych zabiegów chirurgicznych, lecz także rzucać nim jak nożem.

Zawsze w trudnych momentach mógł polegać na swym chłodnym osądzie i zdrowym rozsądku… tylko że w tym momencie, kiedy najbardziej ich potrzebował, najwidoczniej go opuściły. Miał wrażenie, że rozpada się wewnętrznie i już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem, którym był dotąd.

– Chryste, doprowadzasz mnie do zguby… – wyszeptał.

Kiedy przywarła do jego ust, ostatecznie się poddał. Odwzajemnił pocałunek z takim zapamiętaniem, jakby świat zaraz miał przestać istnieć.

Przynajmniej dla niego.

Rozdział 8

Tak naprawdę zaczęło się trochę niezdarnie. Garrett ułożyła wargi w niewinny dzióbek, jak do cmoknięcia w policzek. Ethana pewnie by to rozśmieszyło, gdyby nie trawiąca go gorączka pożądania. Napierając delikatnie, bez słownych wskazówek skłonił ją do rozchylenia ust.

Niezaspokojony głód z całego życia, lata gorzkich zmagań doprowadziły go do tego momentu. Blizny na duszy, służące mu za zbroję, znikały pod jej dotykiem. Pozwoliła na delikatną inwazję jego języka, wydała cichy odgłos zadowolenia, a nawet, ku zachwytowi Ethana, próbowała wciągnąć go głębiej. Uniosła cudownie szczupłe dłonie, które tak podziwiał, i wsunęła mu palce we włosy za uszami.

Pocałunek nabrał zmysłowości, były w nim żar i tęsknota, czułość i łapczywość. Ethan czcił Garrett i pragnął jej od tak dawna, ale nigdy nie marzył, że będzie ją trzymał w ramionach. Nie wyobrażał sobie, że podda mu się, tak naturalnie i bez wahania. Przyciągnął ją do siebie mocniej, jakby próbował ją osłonić całym swoim ciałem, na co z jękiem wtuliła się w niego, a nogi same zgięły się jej w kolanach.

Uniósł ją bez trudu, posadził na krawędzi metalowego stołu i naciskiem ciała skłonił do rozsunięcia ud i objęcia go nogami z obu stron. Czuł, jak jej oddech przyspiesza, a serce zaczyna trzepotać jak skrzydła małego ptaszka.

Posiądź ją tu i teraz, podpowiadał oszołomiony pożądaniem mózg. Ethan miał świadomość, że może doprowadzić do tego, by sama chciała więcej, by wręcz go o to błagała. I byłoby im cholernie

dobrze, jak jeszcze nigdy żadnemu z nich nie było. Pomyślał, że może warto, za wszelką cenę…

– Nie ufaj mi… – wydusił z siebie chrapliwie.

– Dlaczego? – szepnęła tuż przy jego szyi, tak blisko, że owiało go ciepło jej oddechu. – Zamierzasz mnie uwieść w moim własnym laboratorium?

Najwyraźniej nie miała pojęcia, jak niewiele brakowało, by to zrobił.

Przycisnął wargi do jej włosów i powiódł wzrokiem po półkach wypełnionych groźnie wyglądającymi przyrządami oraz butelkami tajemniczych płynów.

– Który mężczyzna nie dałby się ponieść emocjom w takim otoczeniu? – spytał, wysilając się na cierpki ton. W istocie była jakaś prowokująca przewrotność w kontraście pomiędzy surowym, raczej bezbarwnym pomieszczeniem i śliczną zielonooką istotą w jego ramionach. Stanowiła tam jedyny miękki, delikatny akcent.

– Nauka ma w sobie romantyzm – potwierdziła z rozmarzeniem, jakby zupełnie nie wychwyciła ironii. – Różne tajemnice i cuda tylko czekają, żeby je odkryć w tym laboratorium.

Ethan przesunął dłonią w dół po jej plecach.

– Jedynym cudem, jaki tu widzę, jesteś ty, *acushla.*

Garrett odsunęła się na tyle, by widzieć jego twarz; niemal stykali się końcami nosów.

– Co znaczy to słowo?

– *Acushla*? To… kobieta przyjaciółka.

Po momencie zastanowienia krzywym uśmiechem okazała niedowierzanie.

– Nie…

Pocałował ją, zanim impuls, by to zrobić, zdążył wyjść z jego mózgu. Tym razem bez ponaglania rozchyliła usta, swą gorliwością sprawiając, że mruknął z satysfakcją. Poczuł niewinny nacisk jej ud na biodrach i natychmiast zrobiło mu się gorąco.

Przeklinając w duchu samego siebie, sięgnął do guzików jej stanika. Kolejne minuty miały mu dać wspomnienia, którymi zamierzał się karmić przez resztę życia. Pod stanikiem ukazała się koszula zawiązana na cienką jedwabną wstążeczkę i prosty biały

gorset z elastycznymi usztywnieniami, jaki kobiety zwykle nosiły podczas jazdy konnej lub gimnastyki. Ostrożnie rozwiązał wstążkę i włożył palec pod materiał koszuli. Samo dotknięcie jędrnej krągłości wzbudziło w nim falę podniecenia tak wielką, że z trudem łapał oddech. Zsunął koszulę, odsłaniając delikatne różowe brodawki.

Pochylił głowę i objął wargami jedną z nich. Kiedy pod wpływem pieszczoty języka nabrzmiała w twardy pączek, Garrett zadrżała, wstrzymując oddech, a potem odchyliła się i kilkakrotnie zacisnęła palce na jego ramieniu, jak kot ugniatający legowisko.

Dla Ethana akt seksualny dotąd oznaczał transakcję albo rodzaj broni. Szkolono go w sztuce uwodzenia, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, w celu wydobycia ich najbardziej strzeżonych sekretów. Znał niezliczone sposoby pobudzania, dręczenia i zaspokajania, umiał doprowadzać do stanu zatracenia z pożądania. Robił… i jemu robiono rzeczy, które większość ludzi uznałaby za nieprzyzwoite. Nigdy jednak nie doświadczył bliskości takiej jak w tym momencie.

Wytyczył pocałunkami ścieżkę do drugiej piersi, napawając się niewiarygodną gładkością jej skóry. Gdy natrafił wargami na brzeg koszuli, Garrett próbowała się jej pozbyć, ciągnąc za luźny materiał. Mimo podniecenia wypierającego z głowy wszelkie myśli Ethan uśmiechnął się rozczulony jej niecierpliwością. Objął pierś od spodu i całował, umyślnie omijając najwrażliwszy środek. Garrett wsunęła mu palce we włosy i usiłowała nakierować jego usta na miejsce, w którym najbardziej pragnęła je poczuć. Stawił jej opór, tylko dmuchnął lekko na różową wypukłość. Kiedy zastygł nieruchomo, przedłużając wyczekiwanie, nie kryła rozczarowania. W końcu się poddał, objął brodawkę wargami i zaczął delikatnie ssać.

Szybko jednak musiał przerwać pieszczotę; a gdy Garrett wychyliła się, by go pocałować, delikatnie ją od siebie odsunął, kręcąc przy tym głową bez słowa. Jeszcze nigdy nie był aż tak podniecony, napięcie w całym jego ciele graniczyło z bólem.

– Muszę przestać… – wychrypiał. – Póki jeszcze mogę.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zostań ze mną na noc.

Przepełniony żądzą i tęsknotą, potarł nosem o jej zaróżowiony policzek.

– Och, skarbie – powiedział szeptem – nie chcesz tego. To wcale nie byłoby przyjemne. Doprowadziłbym cię do granicy szaleństwa i trzymał tam, krzyczącą z rozkoszy, tak głośno, że słyszeliby cię wszyscy sąsiedzi. A potem przerzuciłbym cię przez kolano i ukarał klapsem za robienie hałasu. Naprawdę tego chcesz? Chcesz spędzić całą noc w łóżku z wielkim, brutalnym draniem?

– Tak… – wymruczała w jego ramię.

Śmiech załaskotał go w gardle.

Siedziała na stole, machając nogami w białych bawełnianych pończochach i solidnych trzewikach. W takiej pozycji, z rozsuniętymi udami, powinna sprawiać wrażenie rozwiązłej, tymczasem przywodziła mu na myśl młodego urwisa. Nie mógł uwierzyć, że była gotowa postawić się dla niego w takiej sytuacji, otwarta i całkowicie bezbronna.

Przywarł do jej ust pocałunkiem. Zadrżała i napięła mięśnie, kiedy się zorientowała, że wsunął jej rękę pod spódnicę i zmierza nią ku górze.

Nawet najelegantsze kobiece majtki posiadały długie rozcięcie w kroku. Taki krój pozwalał zachować pełną skromność podczas stania, ale w pozycji siedzącej było zupełnie inaczej. Dłoń Ethana dotarła do brzegu rozcięcia i natrafiła na miękką skórę przy pachwinie.

Garrett przerwała pocałunek i ukryła twarz w zagłębieniu jego obojczyka.

Ethan mocniej objął jej plecy i wsunął palce w trójkąt jedwabistych włosów.

– W Indiach – zaczął z ustami tuż przy jej uchu – zanim mężczyzna się ożeni, jest uczony, jak zaspokajać żonę w oparciu o starożytne teksty poświęcone *ars amandi.* Dowiaduje się o objęciach, pocałunkach, sposobach dotykania i kąsania, które sprawiają rozkosz…

– Kąsania? – spytała półprzytomnie.

– Chodzi o szczególny rodzaj kąsania, skarbie. Nieszkodliwy. – Żeby zademonstrować, co ma na myśli, nachylił się do jej szyi i leciutko uszczypnął skórę zębami. Pisnęła cicho i wygięła się w jego stronę, jakby wychodziła mu naprzeciw. – Mówi się, że połączenie dobrze

dobranych partnerów daje szczególny związek – ciągnął szeptem. – A jeśli ich miłosna więź jest tak silna, że zostawia ślady na skórze, to namiętność między nimi nie wygaśnie i przez sto lat.

Garrett odezwała się słabym głosem:

– Przyswoiłeś sobie któreś z reguł tej sztuki?

Kąciki ust same mu się uniosły.

– Owszem, ale nadal jestem w niej nowicjuszem. Znam tylko sto dwadzieścia pozycji.

– Sto… – Urwała gwałtownie, bo w tym momencie wsunął w nią dwa palce i zaczął nimi wolno poruszać. Głośno przełknęła ślinę, po czym wydusiła z trudem: – Wątpię, żeby to było możliwe anatomicznie.

Skubnął zębami skórę na linii jej podbródka.

– Wiesz wszystko o medycynie – zakpił łagodnie. – Kimże jestem, by się z tobą spierać?

Koniec jego palca przeniósł się na ten najbardziej czuły punkt.

– Kto cię uczył?

– Pewna kobieta w Kalkucie. Nie znałem jej wcześniej. Przez pierwsze dwie noce w ogóle nie mieliśmy fizycznego kontaktu. Siedzieliśmy na podłodze na bambusowych matach i rozmawialiśmy.

– O czym? – Patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami.

– Pierwszej nocy tłumaczyła mi, co to jest *Kama…* to określenie na pragnienie i tęsknotę – podjął, nie zaprzestając intymnej pieszczoty. – Ale odnosi się też do dobrostanu duszy i zmysłów… ma związek z podziwianiem piękna, sztuki, natury. Drugiej nocy rozmawialiśmy o przyjemnościach ciała. Powiedziała, że prawdziwy mężczyzna wykorzystuje panowanie nad swoją wolą do czczenia kobiety i zaspokajania jej tak, by nie pożądała już żadnego innego.

Trzeciej nocy rozebrała go i położyła jego rękę na swoim ciele, szepcząc: „Kobiety, z powodu swej delikatnej natury, pragną delikatnego wstępu”.

To było dla Ethana najtrudniejsze – okazanie delikatności. Nie tylko tamtej kobiecie, lecz komukolwiek. Zawsze czuł lęk przed tym, że mógłby odkryć w sobie słabość. Nie miał jednak wyboru, musiał robić wszystko, co było konieczne, by sprostać wymaganiom, jakie postawił mu Jenkyn.

Przy Garrett czuł się inaczej. Zawładnęła nim całym, jego spokojem i gwałtownością, tym, co było w nim dobre, i tym, co złe.

Nachylił się nad nią do długiego pocałunku, podczas którego uczył się, co wprawia ją w drżenie i przyspiesza jej oddech. Przez cały ten czas trzymał rękę między jej udami i pocierał wilgotne fałdki jak płatki kwiatu, z których chce się wydobyć aromat. Poruszał się dookoła, celowo omijając ten najczulszy, nabrzmiały w oczekiwaniu punkt. Garrett z gardłowym jękiem naparła na jego dłoń, jakby go ponaglała, zachęcała do jeszcze większej śmiałości.

– Proszę… – szepnęła, oszołomiona słodką torturą.

Stopniowo zmniejszał zataczane palcami kręgi, aż lekkie muśnięcia skupiły się na samym środku. Kiedy z jękiem oplotła go nogami i uniosła biodra, zawieszona na krawędzi rozkoszy, nagle cofnął rękę. Chwyciła go za szyję, niemal ze złością, i spróbowała do siebie przyciągnąć.

– Spokojnie, skarbie – wymruczał i zaśmiał się nerwowo, choć sam aż się pocił pod wpływem przedłużanego napięcia. – Uduszenie mnie nic ci nie da.

Szybko przeniosła dłonie na poły kamizelki.

– Dlaczego przestałeś? – spytała z wyrzutem.

Ethan pochylił głowę, tak że zetknęli się czołami.

– Uczono mnie, że zaspokojenie kobiety powinno trwać przynajmniej tyle, ile przygotowanie ciasta na chleb.

Garrett poruszyła się niespokojnie.

– Czyli jak długo?

– Nie wiesz? – spytał rozbawiony.

– Nie, nie umiem gotować. Jak długo to trwa?

Nie przestając się uśmiechać, musnął wargami jej policzek.

– Gdybym ci powiedział, pewnie zaczęłabyś odmierzać czas.

Ponownie sięgnął między jej nogi i kontynuował pieszczotę, gładził i ugniatał miękki wzgórek, dopóki nie zrobiła się wilgotna i gorąca. Wsunął w nią koniec palca i natychmiast poczuł, że bezwiednie napina mięśnie, jakby się przed nim zamykała. Wymruczał kilka irlandzkich słów, miękkich, niemal melodyjnych, po czym ostrożnie naparł mocniej. Garrett zastygła w bezruchu.

– Odpręż się – poprosił szeptem – to będę mógł dotrzeć do miejsc, które dadzą ci rozkosz.

Garrett spojrzała na niego półprzytomnie.

– Jakich miejsc? Studiowałam fizjologię reprodukcyjną i nie ma… – Urwała z cichym piśnięciem, bo leciutko ścisnął brodawkę jej piersi i w odpowiedzi wewnętrzne mięśnie zacisnęły się wokół jego palca. Gdy ich napięcie zelżało, sięgnął głębiej, a ona rozpostarła szerzej uda pod spódnicą.

Tym razem nie napotkał już oporu – przeciwnie, miał wrażenie, że wilgotny żar jej wnętrza tylko czeka, by go uśmierzył. Zaczął przesuwać palcami, naśladując ruchy wykonywane podczas pełnego zespolenia.

Nie pozwolił się ponaglać, dbał, by przyjemność narastała w niej stopniowo, choć ta powolność stanowiła mękę również dla niego. W końcu usłyszał jej ciche kwilenie i zaraz potem wstrząsnęły nią gwałtowne skurcze rozkoszy. Ściśnięty po bokach jej udami, zdusił wzbierający w niej krzyk pocałunkiem, a potem, kiedy oparła mu głowę na ramieniu, jakby nie miała siły jej utrzymać, mocno ją przytulił.

– Kochałbym się z tobą dzień i noc, gdybym mógł – odezwał się szeptem. – Nie istniałyby dla nas żadne granice. Ani wstyd. Ty i ja, w ciemności… tylko tego pragnę. – Delikatnie ujął jej pierś i pocałował przed umieszczeniem z powrotem w miseczce gorsetu. Następnie zrobił to samo z drugą piersią i wziął się do zapinania sukni.

Garrett siedziała przed nim bez słowa. Kiedy się uporał z ostatnimi guzikami, położyła mu dłoń na sercu.

– Wróć do mnie – wyszeptała. – Znajdź jakiś sposób, żeby się ze mną zobaczyć.

Ethan przygarnął ją do siebie ponownie i ukrył twarz w jej włosach.

– Nie mogę.

– Mógłbyś, gdybyś zechciał.

– Nie. – Byłoby lepiej pozwolić jej sądzić o nim jak najgorzej, zwłaszcza po tym wieczorze. Nie mógł jednak znieść myśli, że miałby ją oszukiwać. Była jedyną osobą na świecie, przed którą nie chciał kłamać. – Garrett… niedługo zostanę napiętnowany. Zdradziłem

kogoś, kto uważał się za mojego mentora. Kiedy się dowie, moje życie będzie niewarte szylinga.

Garrett milczała przez chwilę, bawiąc się zapięciem jego koszuli.

– Masz na myśli sir Jaspera – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak.

– Czy to ma coś wspólnego z tamtym przyjęciem w ratuszu? I z człowiekiem, który wtedy umarł? Panem Prescottem?

Odgadła tak łatwo i celnie, że aż się uśmiechnął z podziwem. Pomyślał, że gdyby tylko dać jej szansę, szybko dobrałaby się do jego tajemnic, jak do pudełka ze słodyczami.

Biorąc jego milczenie za przytaknięcie, spytała beznamiętnym tonem:

– Zabiłeś go?

– Jeśli ci powiem, moje życie będzie w twoich rękach.

– Jestem do tego przyzwyczajona.

Uświadomił sobie ze zdumieniem, że to prawda. Prawdopodobnie miała do czynienia ze sprawami życia i śmierci jeszcze częściej od niego. Patrząc w jej ściągniętą wyczekiwaniem twarz, powiedział powoli:

– Pomogłem upozorować jego śmierć i wywieźć go z kraju w zamian za informacje.

– Na jaki temat?

Zawahał się, ale w końcu odpowiedział:

– Spisku z udziałem urzędników rządowych. Jeśli uda mi się dowieść ich winy, z Bożą pomocą, to uznam, że było warto.

– Nie, jeśli ceną ma być twoje życie.

– Życie jednego człowieka nie jest ważne, gdy chodzi o wielu innych.

– Nieprawda. – Ścisnęła w palcach materiał koszuli. – O każde życie warto walczyć.

– Twój zawód każe ci w to wierzyć. Mój każe mi wierzyć w coś dokładnie przeciwnego. Jestem spisany na straty.

– Nie mów tak. Powiedz, co planujesz…

– Garrett – przerwał jej łagodnie. Ujął jej twarz w obie dłonie. – Nie lubię słów pożegnania. Zamiast nich wolę całusa.

– Ale…

Nakrył jej usta pocałunkiem. Czuł się tak, jakby przebiegł długą drogę pośród mroku i przemocy i niespodziewanie pewnego chłodnego wiosennego poranka znalazł się w cudownie spokojnym, niemal rajskim miejscu. Dała mu radość, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Tylko że jak wszystkie ziemskie przyjemności, ta radość była naznaczona słodko-gorzką świadomością przemijania.

– Zapomnij o mnie – poprosił, oderwawszy się od niej w końcu.

A potem wyszedł szybko, nie oglądając się za siebie.

Następnego ranka Garrett wstała po niespokojnym śnie i zaczęła dzień tak samo jak zwykle. Obudziła ojca i podała mu lekarstwa, po czym, czytając gazetę, zjadła śniadanie, składające się z chleba, masła i herbaty.

Natychmiast po przyjściu do kliniki na Cork Street zajrzała do leżących pacjentów, uzupełniła ich karty, wydała polecenia pielęgniarkom i zaczęła przyjmować chorych umówionych na ten dzień.

Z pozoru wszystko przebiegało tak jak zawsze. Wypełniały ją jednak żal i wstyd, a do tego kręciło się jej w głowie. Wysiłek, żeby zachować równowagę – zarówno fizyczną, jak i emocjonalną – był niezwykle wyczerpujący.

Czy pisane jej było jeszcze kiedyś zobaczyć Ethana Ransoma? Jak, na litość boską, miałaby o nim zapomnieć po tym, co z nią robił? Ilekroć przypomniała sobie jego zręczne ręce, niespieszne pocałunki i miękkie szepty, miała wrażenie, że rozpływa się w środku jak topniejący lód. „Ty i ja… w ciemności… tylko tego pragnę”.

Wiedziała, że myślenie o nim może ją doprowadzić do szaleństwa, jeśli nie weźmie się w garść.

Nic nie szło tak jak trzeba. Zirytowało ją radosne powitanie pielęgniarek. W szafkach ze sprzętem panował bałagan. Personel zachowywał się zbyt głośno na korytarzach i w pomieszczeniach wspólnych. W porze lunchu poszła coś zjeść do kantyny, ale działał jej na nerwy panujący tam gwar, który dotąd uważała za miły. Obojętna na prowadzone wokół niej rozmowy, z grobową miną

dziobała widelcem plastry kurczaka, sałatkę z rukwi i ogórka, a potem tak samo potraktowała łyżeczką deser z czereśni i tapioki.

Po południu miała jeszcze kilku pacjentów, załatwiła korespondencję, popłaciła rachunki, aż przyszedł czas powrotu do domu. Ponura i zmęczona, wysiadła z dorożki, podeszła do drzwi swojego domu… i stanęła jak wryta, marszcząc czoło w wyrazie zaskoczenia.

Tabliczka z nazwiskiem nadal wisiała na swoim miejscu, ale staroświecki zamek został wymieniony na nowy – solidną konstrukcję z mosiądzu. Była też nowa gałka i kołatka w kształcie głowy lwa, z ciężkim kółkiem w dolnej szczęce. Tylko że zamiast typowego modelu ze zmrużonymi groźnie ślepiami i paszczą otwartą do ryku, lew z jej kołatki miał całkiem przyjazny wyraz pyska. Obudowa drzwi została naprawiona i wzmocniona, a stare zawiasy zastąpione nowymi, grubszymi. Specjalna uszczelka doklejona do dolnej listwy miała chronić przed przeciągami.

Garrett z wahaniem sięgnęła do kołatki. Kółko uderzyło w rzeźbioną podkładkę z przyjemnym dla ucha dźwiękiem. Zanim zdążyła zapukać po raz drugi, w progu stanęła rozpromieniona Eliza.

– Dobry wieczór, doktor Gibson. – Wzięła od Garrett torbę i laskę. – Proszę spojrzeć na drzwi! Założę się, że teraz mamy najładniejsze w całym King’s Cross.

– Kto to zrobił? – wydukała Garrett, wchodząc za służącą do środka.

Eliza zrobiła dziwną minę.

– Nie najmowała pani ślusarza?

– Absolutnie nie. – Garrett oddała jej kapelusz i rękawiczki. – Jak się przedstawił? Kiedy tu był?

– Dziś rano, zaraz po pani wyjściu. Zabrałam pana Gibsona na przechadzkę do parku. Nie było nas najwyżej godzinę, a kiedy wróciliśmy, jakiś człowiek pracował przy drzwiach. Nie pytałam go o nazwisko. Wymienili z pani ojcem parę grzeczności, po czym dał nam pęk stalowych kluczy i odszedł.

– Czy to był ten sam mężczyzna, którego widziałaś wczoraj? Mój pacjent?

– Nie, ten był stary. Miał siwe włosy i przygarbioną sylwetkę.

– Obcy człowiek wszedł do domu, zmienił zamek i ani mój ojciec, ani ty nie spytaliście, jak się nazywa? – zdziwiła się Garrett. – Dobry Boże, Elizo, mógł nas okraść do ostatniego pensa.

– Sądziłam, że pani o wszystkim wie – próbowała się bronić służąca, gdy weszły do gabinetu.

Zaniepokojona Garrett sprawdzała, czy nie brakuje jakichś narzędzi lub leków. Wszystko wyglądało tak jak zawsze. Odsunęła zasłonę dzielącą pomieszczenie i upewniła się, czy mikroskop jest na swoim miejscu w kasetce. Odwróciła się, powiodła wzrokiem po półkach… i zamarła.

Wszystkie dwanaście probówek w drewnianym stojaku było wypełnionych fiołkami. Niebieskie płatki lśniły jak klejnoty w surowym, czysto użytkowym otoczeniu. Nad ukwieconym stojakiem unosił się oszałamiający zapach.

– A te skąd się tu wzięły? – spytała Eliza, stając obok niej.

– Nasz tajemniczy ślusarz musiał je zostawić dla żartu. – Garrett wyjęła jeden z bukiecików i przytknęła go do ust. Palce jej drżały. – Teraz wszystkie moje probówki są zanieczyszczone – powiedziała, udając złość.

– Doktor Gibson, czy pani… czy pani będzie płakać?

– Oczywiście, że nie! – obruszyła się Garrett. – Wiesz, że nigdy mi się to nie zdarza.

– Jest pani czerwona na twarzy. I ma mokre oczy.

– To podrażnienie. Jestem nadwrażliwa na fiołki.

– Czy mam je wyrzucić? – spytała zaniepokojona Eliza.

– Nie! – Garrett odchrząknęła i powtórzyła łagodniejszym tonem: – Nie. Chcę je zatrzymać.

– Wszystko w porządku, pani doktor?

Garrett odetchnęła głęboko, starając się opanować.

– Jestem po prostu zmęczona, Elizo. Nie ma się czym przejmować.

Nie miała się komu zwierzyć. Ze względu na Ethana musiała zachować milczenie. Należało zrobić to, o co prosił – zapomnieć o nim. Świat był pełen mężczyzn. Mogła sobie znaleźć innego.

„Dobrego, przyzwoitego męża, który da pani gromadkę dzieci…”. Czy Ethan chciałby kiedyś mieć dzieci? A czy ona by tego chciała? Nie istniał dla niej logiczny powód, żeby mieć dzieci czy w ogóle

wychodzić za mąż, ale ze zdumieniem uświadomiła sobie, że mogłaby rozważyć taką ewentualność.

Nagle przyszła jej do głowy budząca pokorę myśl: kiedy spotykasz właściwego mężczyznę, lista rzeczy, których nigdy byś nie zrobiła, nagle znacznie się skraca.

Rozdział 9

Drzwi do biura Jenkyna były lekko uchylone. Ethan przystanął w progu, żeby zapukać o framugę; starał się udawać odprężonego, choć dręczyły go złe przeczucia. Zdolność odcinania się od własnych emocji – jedna z jego najbardziej przydatnych cech – całkowicie go opuściła. Był kłębkiem nerwów i świeżo obudzonych pragnień. Miał wrażenie, że jest przezroczysty jak szkło, a musiał się umiejętnie poruszać w sieci kłamstw i pozorów.

Czuł się tak od tygodnia, od tamtego wieczoru spędzonego z Garrett Gibson. Stanowiła oś każdej jego myśli, jakby nadawała sens jego istnieniu.

Życie wydawało się o wiele prostsze, kiedy nie miał nic do stracenia. Teraz cierpiał, że nie może do niej pójść. A powstrzymywała go przed tym jedynie konieczność zapewnienia jej bezpieczeństwa.

– Wejść – rozległ się swobodny głos Jenkyna.

Ethan dostał się do nowego budynku rządowego tylnym wejściem, używanym przez służbę i młodszy personel. Nie tylko z potrzeby zachowania dyskrecji wolał to niż defilowanie przez okazałą główną bramę i sale recepcyjne ze złoconą sztukaterią i marmurowymi kolumnami wyrastającymi z lazurowych posadzek. Ethana przytłaczało to otoczenie, ostentacyjny przepych mający świadczyć o potędze i wspaniałości imperium, które władało jedną czwartą powierzchni Ziemi i nie zamierzało nawet o centymetr uszczuplić swego terytorium.

To na skutek nalegań Jenkyna sąsiadujące ze sobą pod jednym dachem urzędy w najnowszym gmachu przy Whitehall zostały

od siebie poodcinane. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych trzymało wszystkie drzwi zamknięte na klucz, więc nie dało się stamtąd przejść prosto do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, do Biura Indii czy Biura Kolonialnego. Należało wyjść na ulicę, pokonać na zewnątrz całą długość gmachu i wrócić do środka inną klatką schodową. Swobodna komunikacja pomiędzy biurami znacząco utrudniłaby intrygi i spiski Jenkyna.

Z narożnego biura rozpościerał się widok na pobliski budynek, który pierwotnie mieścił arenę do walk kogutów. W przekonaniu Ethana Jenkyn żałował, że już jej tam nie ma, bo należał do ludzi lubiących krwawe sporty.

W pomieszczeniu panowała trudna do wytrzymania temperatura. Jenkyn zawsze kazał palić w kominku, nawet w lecie. Mistrz szpiegostwa, wysoki i szczupły jak sztylet, siedział elegancko upozowany w jednym z dwóch obszernych skórzanych foteli ustawionych przy palenisku. Pomarańczowe błyski od ognia padały na jego rzednące blond włosy i surowe rysy, kiedy przyglądał się Ethanowi poprzez spiralę dymu z cygara. Cynamonowy odcień jego brązowych oczu powinien się wydawać ciepły, ale nigdy taki nie był.

– Ransom – odezwał się przyjaźnie, podsuwając w stronę Ethana pudełko z cygarami. – Mamy wiele do omówienia.

Ethan nienawidził smaku tytoniu, ale cygaro od Jenkyna stanowiło przywilej, którego nikt nie odrzucał. Usiadł więc i sięgnął do rzeźbionej hebanowej kasetki. Świadomy, że gospodarz czujnie go obserwuje, starannie odegrał stosowny rytuał zapalania. Jenkyn zawsze podkreślał ważność szczegółów: dżentelmen wiedział, jak zapalać cygaro, jak dosiadać konia, jak prawidłowo dokonywać prezentacji. „Nigdy nie dorównasz dżentelmenom z urodzenia – powiedział mu kiedyś Jenkyn – ale przynajmniej będziesz mógł się obracać w lepszym towarzystwie, nie zwracając na siebie uwagi".

Po obcięciu końca rzeźbioną srebrną gilotynką Ethan zapalił długą zapałkę i podgrzał pierścień. Następnie włożył cygaro do ust. Obracając wolno, czekał, aż środek zajmie się żarem, i z wyczuciem wciągnął dym.

Jenkyn wygiął wargi w uśmiechu – rzadko się uśmiechał, być może wiedząc, że wygląda wówczas jak drapieżnik pożerający zdobycz.

– Przejdźmy do interesów. Spotkałeś się z Felbriggiem?

– Tak, sir.

– O co tym razem mu chodzi? – spytał Jenkyn lekceważąco.

Między Jenkynem i Fredem Felbriggiem, komendantem metropolitalnej policji, trwała bezwzględna rywalizacja. Jenkyn i jego ośmiu tajnych agentów otwarcie współzawodniczyli z doborową drużyną Felbrigga, składającą się z sześciu „aktywnych funkcjonariuszy" w cywilnych ubraniach. Jenkyn odnosił się do Scotland Yardu z nieskrywaną pogardą, odmawiając współpracy czy wymiany informacji. Oświadczył kiedyś publicznie, że londyńska policja jest niekompetentna, bo tworzy ją banda głupców, dlatego zamiast korzystać z jej wsparcia, posłał po irlandzkich konstabli z Dublina.

Jakby tego było mało, stanowisko zajmowane przez Jenkyna w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych miało charakter nieoficjalny – on i jego tajni agenci nigdy nie zostali zatwierdzeni przez parlament. W tej sytuacji nie dziwiła niechęć Freda Felbrigga i całego Scotland Yardu.

Niemniej Jenkynowi zdobywanie władzy przychodziło równie łatwo jak oddychanie. Jego wpływy sięgały dosłownie wszędzie, nawet do odległych zagranicznych portów i konsulatów. Stworzył międzynarodową siatkę szpiegów, agentów i informatorów, wszyscy oni odpowiadali wyłącznie przed nim.

– Narzeka, że od roku nie widział żadnych raportów wywiadowczych z ambasad – zaczął Ethan. – Twierdzi, że wiadomości przepływają bezpośrednio z konsulatów do pana, a pan nie wyjawia nawet jednego słowa.

Mina Jenkyna zdradzała jego próżność.

– Gdy stawką jest bezpieczeństwo narodowe, mam prawo robić to, co uważam za stosowne.

– Felbrigg zamierza się spotkać z ministrem spraw wewnętrznych, żeby poruszyć z nim tę kwestię.

– Idiota. Sądzi, że coś zyska, wypłakując się przed nim jak uczniak?

– Będzie nie tylko płakał – ostrzegł Ethan. – Twierdzi, że posiada dane wywiadu świadczące o tym, że naraża pan brytyjskich obywateli, utajniając ważne informacje.

Jenkyn spiorunował go wzrokiem.

– Jakie dane?

– Raport mówiący o tym, że jakieś dwa dni temu z Hawru wypłynął do Londynu szkuner z ośmioma tonami dynamitu i dwudziestoma skrzyniami zapalników. Felbrigg ma zamiar powiedzieć ministrowi, że pan o tym wiedział, ale zachował tę wiadomość dla siebie. – Ethan zaciągnął się cygarem, wypuścił w powietrze smużkę dymu i dopiero wtedy podjął: – Londyńska policja portowa nie została nawet ostrzeżona. A teraz cały ładunek tajemniczo zniknął.

– Moi ludzie się nim zajęli. Policja portowa nie musi wiedzieć. Tylko sknociliby sprawę. – Po krótkiej pauzie rzucił pytanie: – Kto powiadomił Felbrigga?

– Urzędnik portowy z Hawru.

– Chcę jego nazwisko.

– Tak jest, sir.

Zapadła cisza. Ethan był wdzięczny za cygaro, bo dzięki niemu miał na czym skupić wzrok i uwagę. Jenkyn zawsze umiał go rozszyfrować, z taką łatwością, że niczego nie potrafił przed nim ukryć. Dlatego nie zadał pytania o zaginiony dynamit, choć domyślał się, że Jenkyn potrzebuje materiałów wybuchowych, bo zamierza zrobić coś złego. Ta świadomość doprowadzała go do pasji.

Jednak nie tylko dlatego bolało go serce. On i Jenkyn zbliżyli się do siebie w ciągu ostatnich sześciu lat. Młody człowiek, który potrzebował mentora, i starszy, który chciał ukształtować kogoś na swoje podobieństwo.

Ethan dobrze pamiętał wczesne lata ich znajomości, kiedy dosłownie czcił Jenkyna, widząc w nim źródło wszelkiej wiedzy i mądrości. Odbywał wówczas niekończące się treningi z różnymi instruktorami, szkolił się w gromadzeniu informacji, w sztukach walki i strzelectwie, dokonywaniu włamań, sabotażu, sztuce przetrwania, telegrafii bezprzewodowej, kodach i szyfrach. Jednak bywały też dni spędzane z Jenkynem, kiedy ten osobiście uczył go degustacji wina, etykiety, gry w karty, obycia wśród ludzi z wyższych sfer. Traktował go wtedy… po ojcowsku.

Pewnego dnia Jenkyn zabrał go do krawca na Savile Row, gdzie chcąc obstalować usługę, należało być zarekomendowanym przez

stałego klienta. „Zawsze każ sobie szyć kamizelki z czterema kieszeniami – radził, rozbawiony zachwytem Ethana, który po raz pierwszy wkładał na siebie ubranie szyte na miarę. – Górna boczna jest na bilety kolejowe i klucz od zasuwy. Ta druga na kilka suwerenów. W dolnych trzyma się zegarek, chusteczkę i banknoty. Pamiętaj, dżentelmen nigdy nie trzyma banknotów i monet w tej samej kieszeni".

To wspomnienie, podobnie jak niezliczone inne, budziło wdzięczność, której nawet osiem ton zaginionego dynamitu nie mogło do końca obrócić w proch.

Z rozmyślań wyrwał go suchy głos Jenkyna:

– Nie zamierzasz spytać, co zrobiłem z tymi materiałami wybuchowymi?

Ethan uniósł głowę i z lekkim uśmiechem wytrzymał przenikliwe spojrzenie mentora.

– Nie, sir.

Wyraźnie zadowolony, Jenkyn umościł się głębiej w fotelu.

– Dobry chłopak – mruknął. Ethan ze złością poczuł, że pochwała przyprawiła go o rumieniec. – Patrzymy na świat tak samo, ty i ja – ciągnął Jenkyn. – Większość ludzi nie potrafi stawić czoła brzydkiej prawdzie, że życie niektórych ludzi trzeba poświęcić dla dobra większej, ważniejszej sprawy.

Ostatnia uwaga sugerowała, że materiały wybuchowe mogą zostać użyte do kolejnego zamachu terrorystycznego, czegoś podobnego do akcji przeprowadzonej w ratuszu.

– A jeśli niektóre z ofiar okażą się Anglikami? – spytał Ethan.

– Nie bądź naiwny, mój chłopcze. Celem muszą być nasi ludzie… im bardziej prominentni, tym lepiej. Gdyby zamach w ratuszu się powiódł, cały naród byłby wstrząśnięty i wściekły. Opinia publiczna zwróciłaby się przeciwko irlandzkim radykałom, którzy mieli czelność zaatakować niewinnych brytyjskich obywateli, i skończyłyby się wszelkie rojenia o irlandzkiej niepodległości.

– Ale to nie irlandzcy radykałowie byli odpowiedzialni – przypomniał mu ostrożnie Ethan. – Tylko my.

– Nazwałbym to przedsięwzięciem łączonym. – Jenkyn strzepnął popiół do kryształowej popielniczki. – Zapewniam cię, że nie brakuje

irlandzkich buntowników. I jeśli nie będziemy nadal wspierać ich wysiłków, szalony pomysł na własny rząd może w końcu stać się obowiązującym prawem. – Kiedy się zaciągał, koniec cygara świecił jak złośliwe czerwone oko. – Każdy, kto uważa, że Irlandczycy są zdolni sami sobą rządzić, jest głupcem. To brutalne plemię bez szacunku dla praworządności.

– Może bardziej szanowaliby prawo, gdyby ich tak nie gnębiło – wyrwało się Ethanowi. – Irlandczycy płacą wyższe podatki niż Anglicy, w zamian za co są traktowani o połowę mniej sprawiedliwie. Trudno spełniać obowiązek, kiedy nie wierzy się w jego słuszność.

Jenkyn wypuścił smugę dymu.

– Oczywiście masz rację – przyznał po chwili. – Nawet najzagorzalsi przeciwnicy zmian nie mogą twierdzić, że Irlandia jest traktowana sprawiedliwie. Jednakże irlandzka niepodległość nie stanowi rozwiązania. Nie da się oszacować strat, jakie by przyniosła imperium. Obchodzi nas tylko to, co jest najlepsze dla interesów Anglii.

– Wie pan, że żyję dla królowej i kraju, sir – rzucił lekko Ethan.

Jenkyn nie dał się zwieść, popatrzył na niego z uwagą.

– Ciąży ci na sumieniu, że w wyniku naszych działań zginą niewinni ludzie?

Ransom odpowiedział mu cynicznym spojrzeniem.

– Nie używam sumienia, podobnie jak krawatów. Czasem muszę założyć krawat na pokaz, ale poza tym mogą dla mnie nie istnieć.

Jenkyn zachichotał.

– W tym tygodniu chcę, żebyś pomógł Gamble'owi w zorganizowaniu ochrony. Chodzi o imprezę dobroczynną w prywatnej rezydencji ministra spraw wewnętrznych. Weźmie w niej udział kilku posłów i wysokiej rangi urzędników ministerialnych. Zważywszy na obecną sytuację polityczną, trzeba zachować najwyższe środki ostrożności.

Ethan poczuł, jak puls mu przyspiesza. Londyńska siedziba ministra, lorda Tathama, była miejscem, do którego już dawno chciał się dostać. Stropił się jednak na wzmiankę o Williamie Gamble'u, znajomym agencie, który bardzo chętnie by go zastrzelił, gdyby

dostał taki rozkaz. Jenkyn lubił ich rozgrywać przeciwko sobie – jak parę bulterierów hodowanych do walk.

– Zapewnianie bezpieczeństwa nie należy do mocnych stron Gamble'a – powiedział Ethan. – Wolałbym sam się wszystkim zająć.

– Już go ustanowiłem dowódcą tej akcji. Wykonuj dokładnie wszystkie jego polecenia. Chcę, żebyś się skupił na otoczeniu domu i dostarczył Gamble'owi analizę wszystkich występujących tam obiektów, które mogą stanowić potencjalne zagrożenie.

Ethan posłał zwierzchnikowi niechętne spojrzenie, ale nie zaprotestował.

– Obaj weźmiecie udział w tej imprezie – ciągnął Jenkyn. – I przez cały czas, ma się rozumieć, będziecie mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Gamble będzie udawał lokaja.

– A ja? – spytał ostrożnie Ethan.

– Ty będziesz przedsiębiorcą budowlanym z Durham.

Przydział ról nieco udobruchał Ransoma. Pomyślał, że może uda mu się zagrać Gamble'owi na nosie. Jednakże następna uwaga Jenkyna zgasiła płomyk zadowolenia.

– Jako przedsiębiorczy młody człowiek powinieneś wystąpić z damą u boku. To uwiarygodni twoje wcielenie. Może powinniśmy ci znaleźć kogoś odpowiedniego. Jakąś atrakcyjną i niegłupią kobietę, ale nie aż tak wysoko urodzoną, by była poza twoim zasięgiem.

Słowa nie zawierały poważnej groźby, ale Ethana i tak coś ścisnęło w środku. Odruchowo zaczął regulować oddech, tak jak go nauczył pewien guru w Indiach. „Niech powietrze przepływa swobodnie… licz do czterech przy wdechu i do czterech przy wydechu".

– Nie znam żadnej damy – odparł spokojnie.

– Czyżby? – zdziwił się Jenkyn. – Odniosłem wrażenie, że ostatnio dotrzymywałeś towarzystwa całkiem interesującej kobiecie. Doktor Garrett Gibson.

Ethanowi wydawało się, że jego żołądek wyskoczył przez okno i pikuje w dół pośród kawałków tłuczonego szkła. Za każdym razem, gdy Jenkyn wymieniał czyjeś nazwisko, życie tej osoby kończyło się przedwcześnie.

Gdzieś w głębi swego zmrożonego lękiem mózgu zarejestrował, że Jenkyn mówi dalej:

– Nigdy nie gaś cygara w taki sposób, Ransom. Nie zasługuje na gwałtowną śmierć. Niech się dopali z godnością. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Ethan opuścił wzrok na cygaro; nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że zgniótł je na popielniczce.

– Jakie pytanie?

– Chciałbym, żebyś mi opowiedział o swoim związku z doktor Gibson, rzecz jasna.

Ransom miał wrażenie, że skóra na twarzy mu zesztywniała, jakby nałożono na nią gips i pozostawiono do zastygnięcia. Wiedział, że powinien wykrzesać z siebie pogodną minę, więc gorączkowo przedzierał się przez chaos w myślach, aż w końcu przypomniał sobie „mimowolną erekcję". To wystarczyło, by bezwiednie odsłonił zęby w uśmiechu. Odchylił się wygodnie w fotelu i spojrzał na Jenkyna; ucieszył się, widząc w jego oczach zaskoczenie.

– Nie ma żadnego związku – rzekł lekkim tonem. – Kto panu powiedział, że jest?

Jenkyn zignorował pytanie.

– Szedłeś za doktor Gibson do Clerkenwell. Towarzyszyłeś jej podczas wieczornego festynu na skwerze, a później odwiedziłeś w domu. Jak to nazwiesz?

– Po prostu miło spędzaliśmy czas. – Wiele go kosztowało zachowanie spokoju, kiedy zrozumiał, że był śledzony przez innego agenta. I to prawdopodobnie przez tego nielojalnego bydlaka Gamble'a.

– Doktor Gibson nie jest kobietą, z którą tak po prostu miło się spędza czas – stwierdził Jenkyn. – Jest wyjątkowa. Jedyna kobieta wśród brytyjskich lekarzy… Co trzeba mieć, żeby to osiągnąć? Wielką inteligencję, opanowanie i męską odwagę. Nie dość tego, podobno jest też całkiem przyjemna dla oka. Wręcz piękna. Uważana za świętą w pewnych kręgach, w innych zaś za diablicę. Musisz być nią zafascynowany.

– Jest ciekawym zjawiskiem, to wszystko.

– Och, daj spokój… – Jenkyn nie krył rozbawienia. – Jest czymś znacznie więcej. Nawet najgorętsi krytycy doktor Gibson nie zaprzeczą, że jest niezwykła.

Ethan pokręcił głową.

– Ma wyniosły sposób bycia. Jest twarda jak skała.

– Nie mam nic przeciwko temu, że jesteś nią zainteresowany, chłopcze. Wręcz przeciwnie.

– Zawsze pan twierdził, że kobiety przeszkadzają.

– Bo tak jest. Jednak nigdy nie wymagałem, żebyś żył jak mnich. Należy dawać upust naturalnym męskim namiętnościom, byle z umiarem. Przedłużający się celibat powoduje drażliwość.

– Nie jestem drażliwy – warknął Ethan. – I nie jestem zainteresowany doktor Gibson bardziej niż gapieniem się w wiaderko z ziemią.

Jenkyn zrobił dziwną minę, jakby chciało mu się śmiać.

– „Sądzę, że dama ta zbyt wiele przyrzeka”[1] – powiedział, a widząc, że Ethan nie rozumie, o co mu chodzi, spytał: – Nie czytałeś *Hamleta*, którego ci dałem?

– Nie skończyłem – odburknął Ethan.

Jenkyn nie krył rozczarowania.

– Dlaczego?

– Hamlet bez przerwy tylko gada i gada. Nigdy niczego nie robi. To sztuka o zemście bez zemsty.

– Skąd wiesz, skoro nie doczytałeś do końca?

Ethan wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi mnie, jak się kończy.

– To sztuka o człowieku, który jest zmuszony stawić czoło ludzkiej demoralizacji. Żyje w upadłym świecie, w którym ocenia, co jest właściwe i niewłaściwe, według własnego uznania. „Nie ma rzeczy dobrych ani złych, a jedynie myślenie czyni je takimi”. Zakładałem, że starczy ci wyobraźni, by postawić się na miejscu Hamleta.

– Gdybym był na jego miejscu – odparł ponuro Ransom – nie poprzestałbym na wygłaszaniu mów.

Jenkyn przyglądał mu się z sympatią zaprawioną nutą pobłażliwości. To spojrzenie przebiło się do serca Ethana, w którym wciąż tliła się tęsknota za ojcem. I zabolało.

– Ta sztuka jest lustrem trzymanym przed ludzką duszą – powiedział Jenkyn. – Doczytaj i powiedz mi, jakie odbicie zobaczyłeś.

Ostatnią rzeczą, jaką Ethan chciałby zobaczyć, było odbicie jego duszy. Mogłaby się okazać zbyt podobna do człowieka, który siedział naprzeciwko niego.

Jednak miał też w sobie coś z matki. Od jakiegoś czasu coraz częściej myślał o tym, jak bardzo się wstydziła grzechów, które popełniała, zmuszona przez okoliczności, i o jej wielkiej nadziei, że syn wyrośnie na dobrego człowieka. Pod koniec życia wzmożona religijność kazała jej się bezustannie martwić o zbawienie – nie tylko własne, ale i Ethana. Zmarła na cholerę niedługo po jego wstąpieniu do wydziału K. Jednym z ostatnich wspomnień Ethana o matce był jej płacz – z dumy, kiedy po raz pierwszy ujrzała go w niebieskim mundurze.

Och, jakże by nienawidziła sir Jaspera Jenkyna…

– A co do doktor Gibson – ciągnął Jenkyn – muszę szczerze pochwalić twój gust. Kobieta posiadająca mózg jest interesująca nie tylko w łóżku, ale też poza nim.

Gdyby Jenkyn sądził, że Ethanowi zależy na Garrett, użyłby jej jako pionka, żeby nim manipulować. Mogłoby jej z tego powodu coś grozić albo wręcz by ucierpiała. Mogłaby zniknąć pewnego dnia i nigdy więcej się nie pojawić, gdyby Ethan odmówił zrobienia najgorszej rzeczy, jakiej Jenkyn by od niego zażądał.

– Wolę kobietę, z którą łatwo się rozmawia i której łatwo się pozbyć – oznajmił. – Inną niż doktor Gibson.

– Jak obaj dobrze wiemy, Ransom… każdego można się pozbyć – odpowiedział Jenkyn tonem mrożącym krew w żyłach.

Ethan opuścił Whitehall na piechotę i skierował się na północ. Idąc na skróty, dotarł do Victoria Embankment, ulicy i spacerowego traktu nad Tamizą. Nowo wybudowana jezdnia wzdłuż granitowego nabrzeża miała rozładować ruch na Charing Cross, Fleet Street i Strandzie, ale nie spełniała tych oczekiwań. Wieczorem jednak było tam dość spokojnie. Kłęby dymu lub pary wydostające się od czasu do czasu z metalowych krat wentylacyjnych przypominały przechodniom o podziemnym świecie pod ich stopami: tunelach,

kablach telegraficznych, wagonach metra oraz rurach z gazem i wodą.

Ethan minął przystań, gdzie wyładowywano węgiel i paszę, i dotarł do labiryntu wąskich uliczek zatłoczonych sprzętem wydobywczym i warsztatami sezonowych pracowników budowlanych. Schował się za kombajnem do kamienia i czekał.

Po niecałych dwóch minutach zza węgła wychynęła ciemna postać.

Gamble – tak jak Ethan się spodziewał. Pociągła, wilcza twarz i ostro zarysowane brwi rzucały się w oczy, nawet w półmroku. Podobnie jak Ethan był wysoki, nie na tyle jednak, by wyróżniać się w tłumie. Jego siła skupiała się głównie w górnej połowie ciała, w potężnych ramionach i klatce piersiowej jak u buldoga.

Wiele cech Williama Gamble'a można było podziwiać, ale nie dało się go lubić. Ponadprzeciętnie sprawny fizycznie i agresywny, tolerował brutalne kary i wciąż wracał po więcej. Niezwykła wytrzymałość kazała mu trenować ciężej niż reszta ludzi Jenkyna. Nigdy nie narzekał i nie unikał wysiłku, nigdy nie przesadzał ani się nie przechwalał. I na tym kończyły się przymioty, które Ethan szanował.

Gamble przyszedł na świat w górniczej rodzinie w Newcastle. Rozpaczliwa bieda z okresu dzieciństwa zrodziła w nim zaciekłość, która wypaliła wszelkie łagodniejsze uczucia. Jego szacunek do Jenkyna graniczył z fanatyzmem. Nieuleganie sentymentom i zupełny brak empatii, które kiedyś Ethan postrzegał jako oznaki siły, okazały się słabością. Gamble zwykle przegapiał drobne sygnały, jakie ludzie nieświadomie dają podczas rozmowy. W rezultacie zadawał nie zawsze właściwe pytania i często błędnie interpretował odpowiedzi.

Ethan, przyczajony, patrzył, jak Gamble wchodzi głębiej pomiędzy zabudowania. Poczekał, aż będzie odwrócony do niego plecami, i zaskoczył go od tyłu z prędkością atakującej kobry. Objął go zgiętym ramieniem za masywną szyję i przyciągnął do swojej klatki piersiowej. Następnie, ignorując gwałtowną szamotaninę Gamble'a, drugą ręką nacisnął na tył jego głowy, żeby wzmóc ucisk na krtań. Ból w połączeniu z niedostatkiem tlenu wystarczył, by Gamble poddał się po paru sekundach i znieruchomiał.

– Od jak dawna donosisz na mnie Jenkynowi? – spytał Ethan złowrogim tonem tuż przy jego uchu.

– Od tygodni… – stęknął Gamble, próbując oderwać duszące go ramię. – Sam się podkładałeś, idioto…

– Uważaj, bo ten idiota zaraz zmiażdży ci tchawicę – ostrzegł Ethan, wzmacniając chwyt. – Naraziłeś na niebezpieczeństwo niewinną kobietę. Jeśli coś jej się stanie, zatłukę cię i powieszę na haku jak soloną wieprzową tuszę.

Gamble nie odpowiedział, z trudem łapał powietrze.

Przez moment Ethan walczył z przemożną chęcią rozprawienia się z nim raz na zawsze. Jakże łatwo byłoby jeszcze trochę napiąć mięśnie i przytrzymać drania, dopóki się nie udusi.

Zmełł w ustach przekleństwo i gwałtownie cofnął ramię.

Gamble, oddychając z wysiłkiem, obrócił się do niego twarzą.

– Jeśli coś jej się stanie – wychrypiał – to będzie twoja wina. Myślałeś, że Jenkyn się nie dowie? Gdybym ja tego nie zrobił, powiedziałby mu ktoś inny.

– Jesteś głupi jak but, jeśli sądzisz, że Jenkyn bardziej cię polubi za kapowanie. – Widząc, że Gamble przybiera bojową pozę, Ethan napiął mięśnie, gotów odeprzeć ewentualny atak. – Gdybym zamierzał cię zabić, już bym to zrobił – rzucił kpiąco.

– Powinieneś był.

– Nie jestem wrogiem – westchnął Ethan z rezygnacją. – Czemu, na Boga, marnujesz czas i siły, walcząc przeciwko mnie?

– „Eliminuj każdego rywala bez litości – zacytował Gamble – bo inaczej pewnego dnia spróbuje zająć twoje miejsce”.

Ethan parsknął wzgardliwie.

– Powtarzając po Jenkynie, sprawiasz wrażenie jeszcze głupszego, niż w istocie jesteś.

– Odkąd go znam, jeszcze w żadnej sprawie się nie pomylił. Zanim wyjechaliśmy do Indii, przewidział, że kiedyś jeden z nas zabije drugiego. Powiedziałem mu, że ja pozostanę tym żywym.

Ransom uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Widzisz, mnie powiedział dokładnie to samo. Odparłem wtedy, żeby pocałował mnie w dupę. Jenkyn to cholerny manipulant.

Dlaczego mamy się zmieniać w tańczące małpy za każdym razem, gdy zakręci korbą katarynki?

– Bo na tym polega nasza praca.

Ethan wolno pokręcił głową.

– Nie, Gamble – wycedził. – Bo każdy z nas chce być jego faworytem. Wybrał nas, bo wiedział, że zrobimy wszystko, nawet to, co najgorsze, żeby zyskać jego aprobatę. Ale ja mam dość. To nie jest praca, to pakt z diabłem. Nie jestem specjalnie oczytany, ale mam wrażenie, że takie układy nigdy nie kończą się dobrze.

To był okropny tydzień. Kolejne dni mijały Garrett na mechanicznych czynnościach, w smutku i poczuciu pustki. Jedzenie nie miało smaku. Kwiaty nie miały zapachu. Oczy ją piekły z braku snu. Nie mogła się skupić na nikim i na niczym. Przyszłość wydawała się monotonna i pozbawiona nadziei.

Najgorszy moment nastąpił we wtorek wieczorem, kiedy poszła na cotygodniową wizytę do przytułku i w drodze powrotnej odważyła się dmuchnąć w swój srebrny gwizdek.

Nie było żadnego odzewu.

Nawet jeśli Ethan znajdował się gdzieś w pobliżu i miał na nią oko… nie zamierzał do niej podejść.

Świadomość, że prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczy, strasznie ją przygnębiała.

Ojciec nie rozumiał powodu jej fatalnego nastroju, zapewniał tylko, że każdego kiedyś dopada chandra, wcześniej czy później, a najlepszym lekarstwem na nią jest spędzanie czasu z wesołymi ludźmi.

– Jest jakaś inna możliwość? – spytała ponuro Garrett. – Bo aktualnie mam ochotę wpychać wszystkich wesołych ludzi pod nadjeżdżający powóz.

Jednak następnego ranka doszły w niej do głosu także inne uczucia. Stało się tak podczas wizyty w klinice nowej pacjentki, żony zegarmistrza, pani Notley, która osiem miesięcy po porodzie

obawiała się, że znów jest brzemienna. Po badaniu Garrett mogła ją uspokoić, że nie ma mowy o ciąży.

– Nie ma żadnych objawów, które by ją potwierdzały – oznajmiła kobiecie. – Choć pani niepokój jest zrozumiały, ponieważ zdarza się, że miesiączka występuje nieregularnie podczas karmienia piersią.

Pani Notley nie kryła ulgi.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła, dotykając oczu chusteczką. – Nie wiedzieliśmy z mężem, jak sobie poradzimy. Mamy już czwórkę maluchów i nie możemy sobie pozwolić na następne tak szybko. Żyjemy w ciągłym strachu przed ewentualną kolejną ciążą.

– Jaką metodę zapobiegania stosujecie?

Kobieta zarumieniła się, wyraźnie skrępowana bezpośrednim pytaniem.

– Liczymy dni po każdej miesiączce…

– A stosunek przerywany?

– Och, nie, pani doktor! Nasz pastor mówi, że to grzech, kiedy mężczyzna robi to poza ciałem żony.

– Brała pani pod uwagę irygacje lub gąbki? – dociekała Garrett.

Pani Notley sprawiała wrażenie oburzonej.

– To wbrew naturze.

Mimo wzbierającej irytacji Garrett zachowała uprzejmy wyraz twarzy.

– Czasami trzeba powstrzymać naturę przed postawieniem na swoim, inaczej nie mielibyśmy wynalazków takich jak wodociąg czy sznurowane trzewiki. Jako nowoczesne kobiety nie musimy wydawać na świat więcej potomstwa, niż jesteśmy w stanie odpowiednio wyżywić, odziać i wychować na porządnych dorosłych. Proszę pozwolić, że przedstawię pani bezpieczne możliwości ograniczenia ryzyka niechcianej ciąży.

– Nie, dziękuję.

Garrett ściągnęła brwi.

– Mogę spytać dlaczego nie?

– Nasz pastor mówi, że liczna rodzina jest błogosławieństwem i nie można odmawiać przyjęcia darów od Boga.

Każdego innego dnia i w każdym innym nastroju Garrett pewnie namawiałaby pacjentkę na przyjrzenie się sprawie z innej

perspektywy. Tym razem jednak upomniała ją ostro:

– Radzę powiedzieć waszemu pastorowi, że nic mu do tego, ile macie dzieci, chyba że zamierza pomóc w ich utrzymaniu. Wątpię, by dobry Bóg życzył pani i całej waszej rodzinie trafienia do przytułku dla ubogich.

Pani Notley, zdumiona i wyraźnie urażona, podniosła się z krzesła, ściskając w dłoni mokrą od łez chusteczkę.

– Powinnam była się spodziewać bluźnierstwa ze strony kobiety lekarza – warknęła, kierując się do wyjścia.

Garrett zwiesiła głowę nad biurkiem, przepełniona rozczarowaniem i poczuciem winy.

– Boże drogi… – wymruczała pod nosem.

Po niecałych pięciu minutach w progu stanął doktor Havelock. Jeszcze zanim się odezwał, po jego minie Garrett poznała, że wie, co się stało.

– Z przykrością muszę pani przypomnieć, że nasi pacjenci są czującymi istotami – odezwał się rzeczowym tonem. – Przychodzą do nas z fizycznymi i duchowymi – podkreślił intonacją ostatnie dwa słowa – zmartwieniami. Ma pani obowiązek traktować ich opinie i uczucia z szacunkiem.

– Dlaczego pastor pani Notley udziela porad medycznych? – próbowała się bronić. – Powinien się trzymać swojej dziedziny i nie wtrącać w moją. Ja nie chodzę do jego kościoła, żeby wygłaszać kazania.

– Za co jego parafianie żywią głęboką wdzięczność – zapewnił ją Havelock.

Garrett opuściła wzrok i przetarła twarz gestem wyrażającym zniechęcenie.

– Moja matka zmarła przy porodzie, bo nie miała odpowiedniej opieki medycznej. Chciałabym, żeby pacjentki wiedziały, jak się chronić i jak o siebie dbać. A już przynajmniej powinny rozumieć, jak działa ich system rozrodczy.

Głos Havelocka wyraźnie złagodniał.

– Jak pani dobrze wie, dziewczęta są od wczesnego dzieciństwa uczone, że wszelkiego zainteresowania własnym ciałem należy się wstydzić. Młoda kobieta jest chwalona i podziwiana za ignorancję

w sprawach seksu aż do nocy poślubnej, kiedy to w końcu poznaje życie intymne, obolała i skołowana. Niektóre z pacjentek są tak niechętne rozmowom o anatomii, że pokazują mi na lalce, które miejsce je boli. Można sobie wyobrazić, jak trudno kobiecie wziąć odpowiedzialność za własne zdrowie, skoro zawsze słyszała, że zabrania jej tego moralne prawo. Wiem natomiast, że ani ja, ani pani nie możemy jej osądzać. Kiedy rozmawia pani z pacjentką taką jak pani Notley, proszę pamiętać, że kobiety otrzymują wystarczającą dawkę protekcjonalności i arogancji od mężczyzn lekarzy… więc nie potrzebują jej jeszcze od pani.

– Napiszę do niej list z przeprosinami – wymamrotała skruszona Garrett.

– Wypadałoby – skwitował Havelock. Po krótkiej pauzie stwierdził: – Od tygodnia ma pani okropny humor. Jeżeli powodem są problemy osobiste, nie ma na nie miejsca w pracy. Proszę wziąć urlop, jeśli to konieczne.

Wziąć urlop? Gdzie, na litość boską, miałaby według niego się udać? I co miałaby robić?

Havelock przyglądał się jej z posępną miną.

– Zważywszy na pani obecny nastrój, waham się, czy o tym wspominać… ale chciałbym, by mi pani towarzyszyła podczas przyjęcia w prywatnej rezydencji ministra spraw wewnętrznych, na prośbę mojego wieloletniego kolegi doktora George'a Saltera.

– Nie, dziękuję. – Garrett znów opuściła głowę i wbiła wzrok w blat biurka.

– Doktora George'a Saltera – powtórzył Havelock z naciskiem. – To nazwisko nic pani nie mówi?

– Prawdę mówiąc, nie – przyznała bezradnie.

– Ostatnio mianowano go medycznym szefem Tajnej Rady. Dowiedziawszy się o raporcie, który pani pisze na temat warunków w przytułkach, Salter poprosił mnie, żebym przyprowadził panią na to przyjęcie.

– Wolałabym się podpalić.

– Dobry Boże, kobieto, Salter jest doradcą królowej! Pomaga tworzyć prawo i administrację dla systemu opieki zdrowotnej w całym imperium brytyjskim! Chciałby wziąć pod uwagę kobiecy

punkt widzenia na te kwestie, zwłaszcza że w wielkim stopniu dotyczą one kobiet i dzieci. Nie ma osoby o lepszych kwalifikacjach, niż pani posiada, żeby udzielić mu stosownych rad i rekomendacji. Taka okazja zdarza się raz w życiu.

Garrett miała świadomość, że powinna się cieszyć. Jednak na myśl o strojeniu się na tego rodzaju występ i spotkaniu z tłumem polityków jej zły humor jeszcze się spotęgował. Uniosła głowę i posłała przełożonemu ciężkie spojrzenie.

– Wolałabym nie spotykać się z nim w takich rozrywkowych okolicznościach. Dlaczego po prostu nie mogę pójść do jego biura? Nie da się omawiać poważnych spraw, podrygując w rytm polki.

Krzaczaste siwe brwi Havelocka złączyły się u nasady nosa.

– Powagi ma pani w sobie aż nadto. Proszę spróbować wykrzesać też trochę wdzięku.

– Wybrałam zawód lekarza również z tego powodu, żeby nigdy nie musieć się wdzięczyć.

– Akurat ten cel osiągnęła pani z wielkim sukcesem – podsumował kwaśno mężczyzna. – Niemniej jednak nalegam, by poszła pani ze mną na to przyjęcie i spróbowała być miła.

– Pani Havelock też pójdzie?

– Nie. Wyjechała do swojej siostry w Norwich. – Doktor wyjął z kieszeni chusteczkę i podał Garrett.

– Nie potrzebuję – odparła poirytowana.

– Owszem, potrzebuje pani.

– Przecież nie płaczę.

– Nie. Ale ma pani grafit z ołówka przyklejony do czoła. – Havelock wprawdzie zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, ale do jego tonu przedarła się nuta satysfakcji.

1 Wszystkie cytaty z *Hamleta* w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

Rozdział 10

Nawet dobra wróżka nie spisałaby się lepiej od lady Helen Winterborne, która z entuzjazmem podjęła się przygotowania Garrett do tego ważnego wydarzenia. Zatrudniła szefową szwaczek w domu towarowym, panią Allenby, by dokonała przeróbek w jej nowej sukni, której nigdy jeszcze nie nosiła, i odmówiła przyjęcia za to pieniędzy od Garrett.

– Zrobiłaś tak wiele dla mnie i dla mojej rodziny – przekonywała. – Nie pozbawiaj mnie radości zrobienia w zamian czegoś dla ciebie. Zamierzam cię wystroić w suknię, która podkreśli twoją urodę.

W wieczór przyjęcia Garrett siedziała przed toaletką w przestronnej gotowalni Helen. Lady Winterborne poprosiła własną pokojówkę, żeby zajęła się fryzurą doktor Gibson.

W odróżnieniu od innych pokojówek, które przybierały francuskie imiona i akcent, żeby się przypochlebić pracodawczyniom, Pauline rzeczywiście pochodziła z Francji. Była atrakcyjną kobietą średniego wzrostu, chudą jak kij od miotły, z mądrymi oczyma kogoś, kto na wcześniejszych etapach życia doświadczył wielu trudów. Kiedy Garrett wdała się z nią w rozmowę po francusku, Pauline wyznała, że w młodości pracowała w Paryżu jako szwaczka i omal nie umarła z głodu, harując po osiemnaście godzin na dobę przy szyciu koszul. Skromny zapis po zmarłej kuzynce umożliwił jej przeprowadzkę do Londynu i znalezienie pracy w charakterze służącej, gdzie po jakimś czasie przeszkolono ją na osobistą pokojówkę pani domu.

Pauline bardzo poważnie traktowała przygotowania do wieczornego wyjścia. Przyjrzawszy się Garrett uważnie, chwyciła pęsetę, palcami wolnej ręki naciągnęła skórę na jej czole i zaczęła wyskubywać brwi.

Garrett wzdrygała się z syknięciem przy stracie każdego włoska.

– Czy to konieczne?

– *Oui.* – Pauline ani myślała przestać.

– Nie są już wystarczająco cienkie?

– Wyglądają jak gąsienice – oceniła, bezlitośnie manewrując pęsetą.

Helen wtrąciła się pojednawczym tonem:

– Pauline usuwa jedynie kilka odstających włosków, Garrett. U mnie też to robi.

Spojrzawszy na piękne, nieskazitelnie równe brwi przyjaciółki, Garrett w końcu się poddała. Zadowolona z efektu pierwszego zabiegu upiększającego, Pauline miękką szczoteczką nałożyła na twarz lekarki warstwę perłowego pudru, nadając cerze atłasową gładkość.

Garrett zjeżyła się, widząc, jak kładzie żelazko do kręcenia włosów na metalowej podstawce ze spirytusowym palnikiem, żeby je podgrzać.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytała nieufnie. – Nie mogę wystąpić w lokach. Jestem lekarzem.

Niewzruszona uwagą, Pauline podzieliła jej włosy na pasma, większość podpięła, jedno starannie rozczesała i zręcznie nawinęła na metalowy pręt urządzenia. Widząc obłoczek pary, Garrett znieruchomiała w obawie, że każdy gwałtowny ruch mógłby się skończyć oparzeniem czoła. Po mniej więcej dziesięciu sekundach Pauline zwolniła uścisk żelazka.

Garrett zbladła, dotykając długiego pasma skręconego niczym korkociąg.

– Dobry Boże… Będę wyglądała jak Maria Antonina!

– Chyba każę przynieść wina – odezwała się radośnie Helen i szybko sięgnęła po sznur dzwonka.

Pauline metodycznie zmieniała kolejne kosmyki w elastyczne spirale, podczas gdy Helen zabawiała przyjaciółkę rozmową. Gdy zegar wybił ósmą, do pokoju weszła przyrodnia siostra Helen, mała Carys. Sześciolatka, ubrana w falbaniastą nocną koszulkę, miała śliczne jasne włoski powiązane wokół główki w perkalowe papiloty.

Ostrożnie wyciągnęła rączkę, żeby dotknąć jednego z loków Garrett.

– Idzie pani na bal?

– Na przyjęcie.

– A co to takiego?

– Uroczysty wieczór z muzyką i wykwintnym jedzeniem.

Carys usiadła na kolanie starszej siostry.

– Helen, czy piękny książę też przychodzi na przyjęcia? – spytała całkiem poważnie.

Helen objęła dziewczynkę i przyciągnęła do siebie.

– Czasami tak, kochanie. Dlaczego pytasz?

– Bo doktor Gibson jeszcze nie złapała męża.

Garrett parsknęła śmiechem.

– Prędzej złapię katar niż męża. Nie chcę wychodzić za mąż.

Carys posłała jej dorosłe spojrzenie.

– Będzie pani chciała, jak się trochę zestarzeje.

Helen ukryła rozbawienie, wtulając twarz w sterczące zawiniątka na głowie dziewczynki.

Tymczasem Pauline odwróciła Garrett razem z krzesłem plecami do toaletki i zaczęła upinać loki. Używała grzebienia o specjalnych zębach, podnoszącego włosy u nasady, dzięki czemu pasma zyskiwały na objętości.

– *C'est finie* – oznajmiła w końcu i wręczyła Garrett lusterko, żeby mogła obejrzeć jej dzieło z różnych stron.

Garrett przeżyła miłe zaskoczenie, bo fryzura okazała się naprawdę śliczna. Przód zdobiły delikatne fale, z kilkoma skręconymi kosmykami puszczonymi luźno przy skroniach. Resztę Pauline upięła w miękką koronę na czubku głowy, pozostawiając szyję i uszy odsłonięte. Na koniec wsunęła kilka szpilek zakończonych szklanymi paciorkami, które ładnie błyszczały na kasztanowym tle.

– I co? Nie ma żadnej Marii Antoniny? – spytała z chytrym uśmieszkiem.

– No nie ma – przyznała całkowicie rozbrojona Garrett. – Dziękuję, Pauline. Świetnie się spisałaś. *Tu est artiste!*

Pokojówka z wielką ostrożnością pomogła lekarce włożyć elegancką jedwabną suknię w bladym morskim odcieniu z błyszczącą

przezroczystą narzutką. Jedyną ozdobę stanowiła wąska falbanka przy dekolcie. Fałdy spódnicy, upięte z tyłu dla podkreślenia talii i bioder, spływały wdzięcznie do ziemi. Garrett martwiła się, że dekolt jest zbyt głęboki, choć Pauline i Helen zgodnie zapewniały ją, że wygląda doskonale. Przez tiulowe bufiaste rękawy widać było całe ręce, aż po pachy. Unosząc brzeg spódnicy, wsunęła na stopy wieczorowe pantofelki na wysokim obcasie, pokryte niebieskim jedwabiem i wyszywane błyszczącymi kryształkami.

Gdy podeszła do wysokiego lustra, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia na widok samej siebie w nowym wcieleniu. Jakże dziwnie się czuła w tym luksusowym stroju, który tak wiele odsłaniał! Czy aby nie popełniała błędu, pokazując się tak publicznie?

– Nie wyglądam głupio? – spytała niepewnie. – Chyba nie wypada…

– Mój Boże, nic podobnego – przerwała jej zdecydowanie Helen. – Jeszcze nigdy nie widziałam cię takiej pięknej. Jesteś… jak proza zmieniona w poezję. Dlaczego miałabyś wyglądać głupio?

– Widząc mnie w tym stroju, ludzie będą uważać, że nie wyglądam jak lekarz. – Zamilkła na moment zadumana. – Z drugiej strony… już tak mówią – stwierdziła cierpkim tonem. – Nawet kiedy mam na sobie chirurgiczny czepek i fartuch.

Carys, zajęta teraz zabawą resztkami koralików na toaletce, wtrąciła niewinnie:

– Dla mnie zawsze wygląda pani jak lekarz.

Helen uśmiechnęła się do młodszej siostry.

– Carys, wiedziałaś, że doktor Gibson jest jedyną lekarką w całej Anglii?

Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy i spojrzała na Garrett z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Dlaczego nie ma innych?

– Wielu ludzi uważa, że kobiety nie nadają się do pracy w tym zawodzie – odpowiedziała z uśmiechem doktor Gibson.

– Ale kobiety mogą być pielęgniarkami – przypomniała im Carys z czystą dziecięcą logiką. – To dlaczego nie mogą być lekarkami?

– W istocie jest wiele kobiet lekarzy w krajach takich jak Ameryka i Francja. Niestety, tutaj kobietom nie wolno zdobywać dyplomów medycznych. Na razie.

– To niesprawiedliwe.

Garrett uśmiechnęła się do przejętego dziecka.

– Zawsze znajdą się ludzie, którzy mówią, że twoje marzenia nie mogą się spełnić – powiedziała. – Ale nie mogą cię powstrzymać, chyba że się z nimi zgadzasz.

Po przybyciu do rezydencji Winterborne'ów doktor Havelock przyjrzał się Garrett z uznaniem. Powiedział, że „całkiem ładnie się prezentuje", i zaprosił do swojego powozu. Zmierzali do prywatnej siedziby ministra na Grafton Street, przy północnym końcu Albemarle. Wiele z sąsiednich domów zamieszkiwali wysocy rangą politycy, którzy upierali się, że ze względu na swój status potrzebują żyć w wytwornym otoczeniu na koszt podatników. „Praca w salonie – twierdzili – jest przedłużeniem pracy w biurze", dlatego wystawne rozrywki towarzyskie, takie jak przyjęcie, na które zmierzali, urządzano wyłącznie „dla dobra publicznego". Garrett pomyślała, że być może to prawda, jednak na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że chodzi o pławienie się w luksusach związanych ze sprawowaniem wysokiego urzędu.

Zostali powitani w bogato urządzonym domu, udekorowanym wielkimi bukietami kwiatów. Pokoje ze ścianami pokrytymi jedwabną lub papierową ręcznie malowaną tapetą były pełne dzieł sztuki. Natychmiast stało się jasne, że zaproszono co najmniej czterystu gości, choć w domu mogła się wygodnie pomieścić mniej więcej połowa z tej liczby. Przez ścisk i wysoką temperaturę panie pociły się w swoich jedwabiach i atłasach, a panowie niemal gotowali w czarnych wieczorowych strojach. Służący krążyli pośród stłoczonych gości, roznosząc na tacach kieliszki z mrożonym szampanem i sorbetem.

Żona ministra, lady Tatham, uparła się, że weźmie Garrett pod swoje skrzydła. Srebrnowłosa, obwieszona biżuterią dama zręcznie

poprowadziła ją przez tłum, przedstawiając po drodze każdemu po kolei. W końcu dotarły do grupy eleganckich starszych dżentelmenów; wszyscy sprawiali wrażenie poważnych i trochę zmartwionych, jakby stali wokół studni, do której właśnie ktoś wpadł.

– Doktorze Salter! – wykrzyknęła lady Tatham, na co odwrócił się jeden z nich, z siwymi bokobrodami. Niski, mocno zbudowany, miał dobroduszną twarz ze schludnie przyciętą brodą, spod której wyzierał obfity drugi podbródek. – Ta urocza istota – zaszczebiotała lady Tatham – to doktor Gibson.

Salter zawahał się, jakby nie wiedział, jak powinien się zwracać do Garrett, po czym najwidoczniej podjął decyzję w tej kwestii, bo uścisnął jej dłoń, mocno, jak mężczyźnie. Gest świadczył o tym, że uważa ją za równą sobie.

Garrett natychmiast go polubiła.

– Jedna z protegowanych Listera, tak? – Oczy Saltera błyszczały za ośmiokątnymi szkłami okularów. – Czytałem w „Lancecie" o operacji, którą przeprowadziła pani miesiąc temu. Podwójne podwiązanie arterii podobojczykowej… po raz pierwszy zakończone sukcesem. Godna pochwały zręczność, pani doktor.

– Na szczęście mogłam wykorzystać nowe ligatury wynalezione przez sir Josepha – odpowiedziała skromnie Garrett. – To pozwoliło nam zminimalizować ryzyko zakażenia i krwotoku.

– Czytałem o tym materiale – przyznał Salter. – Jest zrobiony z baranich jelit, prawda?

– Owszem, sir.

– Jak się na nim pracuje?

Kiedy rozmawiali o najnowszych postępach w chirurgii, Garrett czuła się w towarzystwie doktora Saltera bardzo swobodnie. Był uprzejmym człowiekiem o otwartym umyśle, bynajmniej nie należał do ludzi gotowych traktować ją protekcjonalnie. W istocie dość znacząco przypominał jej dawnego mentora, sir Josepha Listera. Poczuła wyrzuty sumienia, że narzekała, kiedy doktor Havelock zapraszał ją na to przyjęcie. Postanowiła go przeprosić i przyznać, że miał rację, a ona się myliła.

– Jeśli można – powiedział w pewnym momencie Salter – chciałbym od czasu do czasu usłyszeć pani opinię na tematy związane z kwestiami zdrowia publicznego.

– Z wielką chęcią pomogę w każdy możliwy sposób – zapewniła go Garrett.

– Doskonale.

W tym momencie wtrąciła się lady Tatham, kładąc upierścienioną dłoń na jej ramieniu:

– Obawiam się, doktorze Salter, że muszę ukraść doktor Gibson. Jest rozchwytywana, moi goście koniecznie chcą ją poznać.

– Co trudno mieć im za złe – odparł szarmancko Salter i skłonił się przed Garrett. – Nie mogę się doczekać naszego następnego spotkania w moim biurze w Whitehall, pani doktor.

Choć niechętnie, Garrett dała się pociągnąć w tłum. Miała wielką ochotę na kontynuowanie rozmowy z doktorem Salterem i upór lady Tatham trochę ją zirytował. Ze słów gospodyni można by wnosić, że ludzie ustawiają się w kolejce, by ją poznać, a przecież wcale tak nie było.

Lady Tatham wiodła ją zdecydowanie w stronę wielkiego lustra w złotej ramie, wypełniającego ścianę między dwoma oknami.

– Musi pani poznać pewnego dżentelmena – zagadywała radośnie. – To bliski współpracownik i przyjaciel mojego męża. Trudno przecenić jego rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa narodowego. Do tego jest przerażająco inteligentnym człowiekiem… mój biedny umysł ledwie za nim nadąża.

Zbliżyły się do jasnowłosego mężczyzny stojącego przy lustrze. Miał nienaturalnie wydłużoną sylwetkę – jak postać z dzieła średniowiecznego francuskiego artysty. Było w nim coś uderzającego, odpychającego i jednocześnie zniewalającego, choć Garrett nie potrafiła rozpoznać, która z jego cech budziła to odczucie. Wiedziała tylko tyle, że gdy napotkała jego spojrzenie, poczuła w środku nieprzyjemny ucisk. Nie mrugnął. Jego oczy o miedzianym odcieniu, jak u żmii, były głęboko osadzone w wąskiej twarzy.

– Sir Jasper Jenkyn, doktor Gibson – dokonała prezentacji lady Tatham.

Jenkyn skłonił się, nie odrywając świdrującego wzroku od twarzy Garrett.

Ucieszyła się, czując, że ogarnia ją chłodny spokój, jak zawsze przed szczególnie trudnym zabiegiem chirurgicznym czy w sytuacji zagrożenia czyjegoś życia. Jednak pod warstwą zewnętrznego opanowania myśli dziko się w niej kłębiły. To ten człowiek stanowił zagrożenie dla Ethana Ransoma. Mógł kazać go zabić. Dlaczego lady Tatham uparła się, żeby ich sobie przedstawić? Czyżby Jenkyn dowiedział się, że zna Ethana? A jeśli tak, czego od niej chciał?

– Sir Jasper jest jednym z ludzi zamieszkujących wewnętrzne sanktuarium mojego męża – powiedziała lekkim tonem lady Tatham. – Przyznaję, że nigdy nie wiem, jak opisać jego stanowisko… Chyba tylko tak, że jest „oficjalnym nieoficjalnym doradcą" lorda Tathama.

Jenkyn przyjął żartobliwą rekomendację z parsknięciem, które zapewne miało wyrażać rozbawienie. Nie miał naturalnej skłonności do uśmiechu, jakby mięśnie jego twarzy nie były do tego przystosowane.

– Ten opis jest równie celny jak każdy inny, milady.

„Zdradliwy łotr" również?, pomyślała Garrett.

– Miło mi, sir – wyrecytowała z nienagannie uprzejmą miną.

– Bardzo chciałem panią poznać, doktor Gibson. Jest pani wyjątkową istotą. Jedyną kobietą zaproszoną na to przyjęcie dla niej samej, nie zaś w charakterze dodatku do jakiegoś dżentelmena.

– Dodatku? – powtórzyła, unosząc brwi w grymasie niedowierzania. – Nie sądzę, by obecne tu damy zasługiwały na taką ocenę.

– Właśnie tę rolę wybiera dla siebie większość kobiet.

– Jedynie z braku innych możliwości.

Lady Tatham zaśmiała się nerwowo i lekko pacnęła ramię Jenkyna wachlarzem.

– Sir Jasper lubi się droczyć – wyjaśniła z pobłażliwością.

Jenkyn przyprawiał Garrett o nieprzyjemny dreszcz. Miał w sobie jakąś złowrogą energię, którą ludzie mogli opacznie brać za magnetyzm zamiast za oznakę zepsucia.

– Może pani potrzebuje „dodatku", doktor Gibson? Znajdźmy jakiś dorodny męski okaz, żeby zajął miejsce u pani boku.

– Mam już męską eskortę.

– A tak, szacownego doktora Havelocka. Widzę go po drugiej stronie pokoju. Mam panią do niego odprowadzić?

Garrett się zawahała. Nie chciała spędzać ani sekundy więcej w towarzystwie Jenkyna, ale też nie miała najmniejszej ochoty dotykać jego ramienia. Niestety, reguły etykiety zabraniały kobiecie samotnie wędrować wśród gości na formalnym przyjęciu.

– Byłabym zobowiązana – powiedziała bez entuzjazmu.

Jenkyn spojrzał w dal ponad jej ramieniem.

– Och, zaczekajmy moment… zbliża się do nas mój znajomy, który chyba chce panią poznać. Proszę pozwolić, że dokonam prezentacji.

– Wolałabym nie.

Lady Tatham nachyliła się do ucha Garrett i szepnęła:

– Musi pani poznać tego młodego człowieka, moja droga. Może brak mu odpowiednich rodzinnych powiązań, ale jest wolny i bogaty. To przedsiębiorca budowlany z Durham. I do tego wyjątkowo przystojny. Niebieskookie bóstwo, jak nazywa go jedna z moich znajomych.

Garrett nagle dziwnie się poczuła. Podniosła wzrok na lustro wypełnione zlewającymi się ze sobą barwnymi punktami niczym obraz Moneta. Dostrzegła siebie w mozaice odbić… błyszcząca niebieskozielona suknia, blada twarz okolona lokami. Przez tłum przedzierała się w jej stronę ciemna postać, z kocią gracją w ruchach, jaką widziała dotąd tylko u jednego mężczyzny…

Zaalarmowana nagłym przyspieszeniem pulsu na przegubach i szyi, na moment opuściła powieki. Wiedziała, kim będzie to „niebieskookie bóstwo”, była tego pewna; mózg ostrzegał ją, że coś jest bardzo nie w porządku, ale zmysły szalały, napięte oczekiwaniem.

Czuła na twarzy ciepło zapowiadające rumieniec i coraz większe podniecenie. Nie potrafiła go w sobie stłumić. W pomieszczeniu było strasznie gorąco, a do tego zapięto jej gorset trochę ciaśniej niż zwykle, żeby mogła się zmieścić w sukni uszytej na szczuplejszą od niej Helen. Do tego momentu nie było problemu, ale nagle odniosła wrażenie, że brakuje jej tchu.

Ktoś stanął za nią i czekał, aż tłum rozstąpi się na tyle, by mógł zająć miejsce przy jej boku. Mimo obezwładniającego gorąca miała

gęsią skórkę na całym ciele.

Niemal dygocząc z nerwów, odwróciła się… i ujrzała nieznane wcielenie Ethana Ransoma, w czerni i bieli, eleganckiego jak spod igły.

– Co pani tu robi? – spytał cicho z nienagannym angielskim akcentem. Nie mogła uwierzyć, że zna ten drugi, irlandzki.

Oszołomiona, nie wiedząc, jak się zachować – bo chyba powinni udawać nieznajomych? – odezwała się słabym głosem:

– M-my się znamy?

Napięcie w jego twarzy jakby trochę zelżało.

– Sir Jasper wie, że się znamy. Wyznaczył mnie do pomocy przy zabezpieczaniu dzisiejszego przyjęcia, ale zapomniał powiedzieć, że pani też tu będzie. Z jakiegoś powodu pani nazwiska nie ma na liście gości. – Ethan wbił twarde spojrzenie w swego pryncypała.

– Poprosiłem lorda i lady Tatham, by zadbali o obecność doktor Gibson – wyjaśnił Jenkyn spokojnie. – Pomyślałem, że ożywi ten wieczór, zwłaszcza dla ciebie, Ransom. Tak bardzo lubię patrzeć, jak młodzi ludzie dobrze się razem bawią…

Ethan zacisnął zęby.

– Najwyraźniej zapomniał pan, że mam tu pracę do wykonania.

Jenkyn rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Nie wątpiłem, że potrafisz się skupić na więcej niż jednej rzeczy w tym samym czasie. – Przeniósł wzrok z Ethana na Garrett. – Może powinieneś zabrać doktor Gibson do bufetu na szampana? Sprawia wrażenie zaskoczonej moją małą niespodzianką.

Mężczyźni przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem; odnosiło się wrażenie, że powietrze gęstnieje od napięcia i zaraz posypią się iskry. Nieco bezmyślny uśmiech lady Tatham stopniowo bladł. W końcu Ethan podsunął Garrett ramię, które przyjęła, zaciskając palce na miękkim rękawie fraka.

– Jestem zaszczycony, że mogłem panią poznać, doktor Gibson – powiedział Jenkyn. – Tak jak się spodziewałem, ma pani umysł jak brzytwa. – Po sekundzie dodał: – I jeszcze ostrzejszy język.

Gdyby nie oszołomienie bliską obecnością Ethana, Garrett pewnie wystąpiłaby z jakąś ciętą ripostą. Zamiast tego odpowiedziała trochę nieuważnym skinieniem i pozwoliła się odprowadzić.

Nie mieli szans na rozmowę w gęstym tłumie; goście stali ściśnięci jak oliwki w słoju. Dla Garrett nie miało to właściwie znaczenia, bo i tak nie byłaby w stanie sklecić sensownego zdania. Nie mogła uwierzyć, że Ethan jest przy niej. Popatrzyła na jego kształtne ucho i natychmiast wezbrała w niej chęć, by je pocałować. Miała ochotę przytknąć usta do miejsca, gdzie zaczynała się jego schludnie wygolona broda, i przesuwać niżej, na szyję, gdzie mogła słyszeć jego oddech. Jednak wydawał się taki nieugięty i niedostępny w swym zmrożonym gniewie, że wcale nie była pewna, czy może liczyć na wzajemność.

Ethan bez słowa prowadził ją przez ciąg połączonych ze sobą pokoi, aż wyszli na podest schodów, z kompozycją palm doniczkowych w jednym z kątów. Rośliny ustawiono tak, by zasłaniały niepokaźne drzwi, które musiały prowadzić do używanej przez służbę części domu.

W końcu, choć nie bez trudu, Garrett udało się wydobyć z siebie głos:

– Czy to tego człowieka nazywałeś swoim mentorem? Dlaczego chciał, żebym tu dziś była?

– To ostrzeżenie dla mnie – odpowiedział Ethan, nie patrząc na nią.

– Ostrzeżenie przed czym?

Pytanie jakby przekłuło bańkę jego pozornego opanowania.

– On wie, że kiedy chodzi o ciebie… ja… wolę…

Pociągnął ją za palmy i otworzył drzwi. Znaleźli się w klatce schodowej dla służby. Nagłe odcięcie od hałasu przyniosło obojgu niewysłowioną ulgę. Miejsce było chłodne i słabo oświetlone, przez otwory wentylacyjne wpadał do środka słaby powiew świeżego powietrza z zewnątrz.

– Co masz na myśli? – spytała zaciekawiona. – Wolisz mnie od czego?

Stał przed nią – oświetlony od tyłu ścienną lampą, tak że widziała tylko zarys jego ciemnej sylwetki. Kiedy się nad nią pochylił, miała wrażenie, że zaczyna w niej rozbrzmiewać cudowna wewnętrzna muzyka.

– Wolę cię od wszystkiego innego – rzekł poważnie i przywarł wargami do jej ust.

Rozdział 11

Wtuliła się w niego z tęsknym westchnieniem. Czuła twarde mięśnie, surową męską siłę pod cywilizowaną powłoką eleganckiego ubrania. Wsunęła ręce pod frak, obwiodła dłońmi zarysy wypukłych muskułów na klatce piersiowej. Ethan zadrżał pod zmysłowym dotykiem i mocniej naparł na jej usta. Ale i to jej nie wystarczało. Chciała czuć więcej, czuć go całego… Chwyciła go za biodra, przyciągnęła do siebie mocno i aż wstrzymała oddech, kiedy odkryła, jak bardzo jest podniecony.

Ethan przerwał pocałunek i z głuchym pomrukiem delikatnie skubnął zębami jej ucho; ciepły powiew jego oddechu połaskotał jej skórę. Garrett zakręciło się w głowie, a gdzieś głęboko w jej wnętrzu buchnął żar i zaczął się rozchodzić po całym ciele.

Gwałtownie oderwał się od niej i położył jej palec na ustach. Garrett starała się nasłuchiwać pomimo szumu krwi w uszach.

Echo kroków dobiegało z dołu klatki schodowej. Słyszała brzęk szkła i sapanie; ktoś ze służby niósł ciężką, wyładowaną tacę z kuchni. Serce jej zamarło, gdy uświadomiła sobie, że zaraz zostanie przyłapana w skandalicznej sytuacji. Ethan popchnął ją delikatnie w kąt przy zbiegu dwóch ścian i zasłonił swoją znacznie większą sylwetką. Skuliła się odruchowo, schowana za szeroką tarczą jego piersi, i zacisnęła palce na klapach fraka.

Kroki rozległy się bliżej, a potem ustały.

– Nie zwracaj na nas uwagi – rzucił Ethan przez ramię. – Nie zabawimy tu długo.

– Tak, proszę pana – powiedział lokaj i się oddalił.

Ransom odczekał, aż opuści klatkę schodową, zanim dotknął ustami jej upiętych loków.

– Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza. Chociaż nie powinno cię tu być.

– Ja nie…

– Wiem. To sprawka Jenkyna.

Odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. Na jej twarzy malowała się troska, jednak nie o siebie, lecz o niego.

– Jak odkrył, że się znamy?

– Jeden z jego ludzi mnie śledził i widział nas tamtego wieczoru na skwerze. Odtąd Jenkyn będzie próbował cię wykorzystywać, żeby mną manipulować. Uważa się za arcymistrza szachowego, a całą resztę z nas za pionki. Wie, że zrobiłbym wszystko, żeby cię chronić.

Zamrugała bezradnie.

– Mamy udawać, że zerwaliśmy znajomość?

Ethan pokręcił głową.

– Przejrzy ten wybieg.

– W takim razie co robić?

– Możesz zacząć od opuszczenia tego przyjęcia. Powiedz lady Tatham, że masz wapory, a ja znajdę dla ciebie powóz.

Garrett odsunęła się i popatrzyła na niego z urazą.

– Wapory to atak histerii. Wiesz, co by się stało z moją karierą, gdyby ludzie myśleli, że mogę dostać waporów podczas jakiegoś zabiegu medycznego? Poza tym teraz, kiedy sir Jasper wie o naszym wzajemnym przywiązaniu, wcale nie będę bardziej bezpieczna w domu niż tutaj.

Ethan spojrzał na nią czujnie.

– Wzajemnym?

– A niby dlaczego chowam się z tobą na schodach dla służby? – spytała cierpkim tonem. – Oczywiście, że jest wzajemne. Choć nie umiem ująć tego tak ładnie jak ty…

Nie dokończyła, bo znów przywarł do jej ust. Przyłożył dłoń do jej policzka, a ona wspięła się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję i gorliwie odwzajemniła pocałunek.

Po chwili chwycił ją za ręce i delikatnie od siebie odsunął.

– Musisz stąd wyjść, Garrett – powiedział zduszonym głosem.

Próbowała zebrać myśli, ale nie przychodziło jej to łatwo.

– Dlaczego nie mogę zostać?

– Mam do zrobienia coś ważnego.

– Co?

Nieprzywykły do wtajemniczania kogokolwiek w swoje sprawy, zawahał się i dopiero po chwili odpowiedział:

– Muszę coś zdobyć. Niezauważony przez nikogo.

– Również przez Jenkyna?

– Zwłaszcza przez niego.

– Pomogę ci – zaproponowała bez namysłu.

– Nie potrzebuję pomocy. Potrzebuję, żebyś się znalazła daleko stąd.

– Nie mogę teraz wyjść. To by wyglądało dziwnie. No i muszę brać pod uwagę swoją reputację. Poza tym moja obecność daje pretekst, żeby się wymknąć i ukraść to, o co ci chodzi. Weź mnie ze sobą, a sir Jasper pomyśli, że poszliśmy gdzieś… robić to, co teraz robimy.

Twarz Ethana była jak wyciosana z granitu, ale dotyk miał miękki, kiedy wierzchem dłoni pogłaskał ją po policzku.

– Słyszałaś kiedyś zwrot „jak nie kijem go, to pałką”?

– Nie.

– Znaczy tyle, że czekają cię kłopoty niezależnie od tego, co zrobisz.

Garrett na moment przytknęła usta do jego dłoni.

– Więc tak czy inaczej, zostaję z tobą.

Zrozumiawszy, że nie uda mu się jej odesłać, Ethan zaklął pod nosem i przygarnął ją do siebie tak mocno, że jej stopy oderwały się od podłogi. Dotknął wargami jej szyi w pieszczocie, która była ni to pocałunkiem, ni to czułym ugryzieniem. Jednocześnie musnął skórę językiem, wywołując w niej przyjemny dreszcz, który dotarł aż między uda.

– Dziś wieczorem nazywam się Edward Randolph – powiedział cicho. – I jestem przedsiębiorcą budowlanym z Durham.

Garrett natychmiast podjęła grę.

– Po co przyjechał pan aż z Durham, panie Randolph?

– Żeby przekonać kilku członków parlamentu do głosowania przeciwko ustawie o regulacjach budowlanych. A skoro już tu

jestem, staram się zobaczyć trochę Londynu.

– Co najbardziej pana interesuje? Tower? The British Museum?

– To, na co teraz patrzę. – Ethan wbił w nią gorące spojrzenie.

Stali tak jeszcze przez parę sekund, po czym zabrał ją do bufetu.

Rozdział 12

Otoczyły ich monotonne odgłosy: rozmowy, śmiech, skrzypienie podłogi pod stopami, brzęk sztućców, porcelany i szkła, grzechot naczyń na tacach, miarowy szmer wachlarzy. Goście tłoczyli się przy długich stołach, sięgając po lemoniadę lub różne rodzaje lodów. Ethanowi udało się porwać jedną porcję wprost z tacy, zanim wylądowała w miejscu przeznaczenia. Zrobił to tak szybko i zręcznie, że niosący tacę lokaj nawet się nie zorientował.

Ze zdobyczą w ręce zaprowadził Garrett za wysoką pierzastą palmę w terakotowej doniczce i podał jej szklany pucharek, w którym znajdowała się kulka oszronionych lodów cytrynowych i maleńka łyżeczka.

Z wdzięcznością przyjęła deser i od razu go spróbowała. Puszysty lodowy krem rozpływał się na języku, słodki i cudownie orzeźwiający. Ogarnęło ją błogie poczucie odrealnienia; patrzyła na twarz Ethana Ransoma, podziwiając surową doskonałość jego rysów. Zjadła jeszcze trochę lodów i dopiero wtedy odezwała się z nutą wahania:

– Jak się miewałeś od czasu naszego ostatniego spotkania?

– Dość dobrze – odpowiedział Ethan, choć jego mina dowodziła czegoś zgoła przeciwnego.

– Próbowałam sobie wyobrażać, co robisz, ale nie mam pojęcia, jak wygląda twój typowy dzień.

Sprawiał wrażenie lekko rozbawionego.

– Ja nie miewam typowych dni.

Garrett przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się z ukosa.

– A nie chciałbyś mieć? To znaczy, nie chciałbyś żyć według ustalonych reguł?

– Tak byłoby wygodniej, gdyby praca mnie interesowała.

– Co byś robił, gdybyś mógł wybierać?

– Prawdopodobnie działałbym w służbie prawa. – Omiótł pomieszczenie trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem. – Mam hobby, któremu chętnie poświęcałbym więcej czasu.

– Tak?

– Projektuję zamki – wyjaśnił.

Garrett popatrzyła na niego niepewnie.

– Mówisz to jako Randolph?

Uśmiechnął się do niej.

– Nie, majstrowałem przy zamkach już jako mały chłopiec.

– Nic dziwnego, że tak krytycznie oceniłeś moje drzwi. – Garrett walczyła z pokusą dotknięcia uroczego dołeczka w jego policzku. – Swoją drogą, dziękuję za ulepszenie… zamka i zawiasów… no i za kołatkę. Bardzo mi się podoba.

– A fiołki ci się podobały? – spytał cicho, a gdy się zawahała, a następnie pokręciła głową, dodał: – Dlaczego?

– Przypomniały mi, że mogę cię nigdy więcej nie zobaczyć.

– Po dzisiejszym wieczorze prawdopodobnie tak będzie.

– Mówisz to przy każdym naszym spotkaniu. A potem wyskakujesz jak filip z konopi, co budzi we mnie wątpliwości. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała speszona: – I nadzieję.

Objął jej twarz spojrzeniem czułym niczym pieszczota.

– Garrett Gibson, dopóki jestem na tym świecie, zawsze chciałbym być przy tobie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Chyba tylko ty jeden. Przez ostatnie dwa tygodnie miałam okropny humor. Obraziłam prawie wszystkich, których znam, a nawet odstraszyłam kilku pacjentów.

– Potrzebowałaś mnie, żebym poprawił ci nastrój.

– Owszem – przyznała, zbyt skrępowana, by spojrzeć mu w oczy.

Oboje zamilkli, świadomi wzajemnej bliskości; ich ciała wysyłały do siebie niewidoczne sygnały, jakby łączyło je jakieś tajemne porozumienie. Garrett zmusiła się do zjedzenia resztki lodów, była ich dosłownie odrobina, ale i tak nie chciały jej przejść przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

Ethan wziął od niej pucharek i oddał przechodzącemu lokajowi. Następnie odprowadził ją do salonu, gdzie dołączyli do grupy około dziesięciu dam i dżentelmenów. Ethan okazał się całkiem dobrze obeznany z zasadami etykiety i biegły w prowadzeniu błyskotliwych, acz niezobowiązujących towarzyskich rozmów. Garrett od razu zauważyła, że przyciąga spojrzenia wszystkich pań obecnych w pobliżu. Trzepotały rzęsami i wyciągały szyje, a jedna nawet zuchwale wypięła biust, próbując zwrócić na siebie uwagę. I pomimo że starała się dobrze bawić, szybko przeważyło w niej uczucie irytacji.

Pogawędkę przerwało im pojawienie się ministra, lorda Tathama, który stanął w progu, by zaprosić gości do sąsiedniego pomieszczenia na występ muzyczny. Spocony, ledwo dyszący z gorąca tłum ruszył do wyjścia jak stado. Ethan przytrzymał Garrett, pozwalając, by wyminęła ich napierająca ciżba.

– Zostaną najgorsze miejsca w ostatnim rzędzie – ostrzegła. – O ile w ogóle jakieś będą wolne.

– No właśnie.

Domyśliła się, że Ethan zamierza dokonać planowanej kradzieży w czasie, gdy goście będą zabawiani muzyką.

Nagle zaskoczył ją znajomy głos, wdzierając się w jej rozmyślania:

– Wygląda na to, że ktoś mnie zastąpił u pani boku, doktor Gibson. – To był doktor Havelock, w doskonałym nastroju. – Skoro jednak przebywa pani w towarzystwie pana Ravenela, chętnie zrzeknę się swej roli.

Garrett zamrugała zaskoczona, bo bystremu Havelockowi nie zdarzały się wcześniej tego rodzaju pomyłki. Zerknęła przelotnie na niewzruszoną twarz Ethana, po czym wyjaśniła starszemu koledze:

– Doktorze Havelock, to pan Randolph z Durham.

Skonsternowany Havelock przyjrzał się Ethanowi uważniej.

– Proszę mi wybaczyć, sir. Mógłbym przysiąc, że należy pan do rodziny Ravenelów. Wygląda na młodszego brata earla, nie sądzi pani? – zwrócił się bezpośrednio do Garrett.

– Nie mogę potwierdzić, bo nie byliśmy sobie jeszcze przedstawieni – odparła. – Choć lady Helen obiecała, że kiedyś to nastąpi.

– Pan Ravenel przyszedł do naszej kliniki odwiedzić lady Pandorę po operacji – przypomniał jej doktor Havelock. – Nie poznała go pani wtedy?

– Niestety nie.

Havelock wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Ethana.

– Czyli Randolph, tak? Miło mi. – Wymienili uścisk dłoni. – Gdyby pan nie wiedział, zacny człowieku, towarzyszy panu jedna z najmądrzejszych i najzdolniejszych kobiet w Anglii. Powiedziałbym wręcz, że doktor Gibson ma męski umysł w kobiecym ciele.

Garrett skrzywiła się, słysząc ostatnią uwagę, choć wiedziała, że jej zwierzchnik wygłosił ją jako komplement.

– Dziękuję, doktorze.

– Choć krótko cieszę się znajomością z doktor Gibson – odparł Ethan – jej umysł wydaje mi się całkowicie kobiecy. – Garrett lekko zesztywniała, spodziewając się kpiącego komentarza, czegoś na temat kobiecej zmienności czy innego stereotypu. Jednak w tonie Ethana nie znalazła nawet cienia ironii. – Przenikliwy, subtelny, bystry, ze współczuciem wspierającym intelekt… tak, ma umysł kobiety.

Zbita z tropu, popatrzyła na niego ze zdziwieniem. W tym momencie Ethan wyglądał tak, jakby rzeczywiście wolał ją od wszystkiego innego na świecie. Jakby widział ją całościowo, ze wszystkim, co dobre i co złe, i niczego nie chciał w niej zmieniać.

Usłyszała głos doktora Havelocka, dobiegający jakby z oddali:

– Pani nowy znajomy ma zaiste srebrny język, doktor Gibson.

– Owszem – potwierdziła, z trudem odrywając wzrok od Ethana. – Ma pan coś przeciwko temu, bym nadal dotrzymywała towarzystwa panu Randolphowi?

– Bynajmniej – zapewnił ją Havelock. – Dzięki temu nie muszę słuchać popisów muzycznych, kiedy wolałbym nacieszyć się cygarem w palarni z przyjaciółmi.

– Cygarem? – powtórzyła Garrett z udawanym oburzeniem. – A tyle razy słyszałam, że uważa pan tytoń za „trujący luksus". Niedawno mi pan powiedział, że nie zapalił ani jednego cygara od czasu ślubu.

– Niewielu mężczyzn może się pochwalić tak silną wolą jak moja – oświadczył dumnie. – Ale, na Jowisza, naprawdę tak było.

Po jego odejściu Garrett przyjrzała się uważnie Ethanowi.

– On miał rację… rzeczywiście wyglądasz jak Ravenel – stwierdziła. – Masz ich oczy. Nie wiem, czemu wcześniej tego nie zauważyłam. Co za dziwny zbieg okoliczności.

Ethan nie ustosunkował się do jej odkrycia, tylko marszcząc czoło, spytał:

– Dlaczego lady Helen chce ci przedstawić Westona Ravenela?

– Chyba uważa, że przypadniemy sobie do gustu. Ale na razie nie miałam czasu go poznać.

– I dobrze. Nie zbliżaj się do tego nicponia.

– Dlaczego? Co takiego zrobił?

– Jest Ravenelem. To wystarczający powód.

Garrett uniosła brwi.

– Jesteś źle nastawiony do tej rodziny?

– Owszem.

– Nawet do lady Helen? Jest najlepszą i najmilszą kobietą, jaką znam. Nie sposób jej nie lubić.

– Moja nienawiść nie dotyczy żadnego z nich z osobna – powiedział cicho Ethan – tylko wszystkich razem. Jeśli kiedyś zainteresujesz się jakimś Ravenelem, będę musiał go udusić gołymi rękami.

Garrett na moment straciła mowę; wpatrywała się w Ethana z chłodną dezaprobatą.

– Rozumiem. Pod tym świetnie skrojonym frakiem kryje się zazdrosny brutal, który nie potrafi panować nad swoimi prymitywnymi popędami, tak?

Patrzył na nią spode łba; dopiero po chwili dostrzegła w jego oczach błysk humoru. Pochylił się i wymruczał:

– Chyba będzie lepiej, *acushla*, jeśli nigdy się nie dowiesz, co jest pod moim wieczorowym ubraniem.

Garrett nigdy nie należała do kobiet, które łatwo płoną rumieńcem, ale tym razem zaczerwieniła się aż po czubki uszu. Uciekła wzrokiem, próbując ukryć nieprzystojny kolor.

– Jak można nienawidzić całej rodziny? – spytała. – Przecież wszyscy nie mogli ci się narazić.

– To nieistotne.

Najwyraźniej prawda wyglądała inaczej. Jednak Helen nie wspominała ani słowem o jakimkolwiek konflikcie pomiędzy Ravenelami i Ethanem Ransomem. Dlaczego więc był do nich tak wrogo nastawiony? Postanowiła omówić z nim tę sprawę w przyszłości.

Czekali, aż większość gości przejdzie do sali muzycznej, i dopiero wtedy ruszyli z miejsca, wraz z ostatnimi maruderami. Z oddali dobiegł ich głos lady Tatham, zapowiadającej pierwszy z występów, a potem spokojne nuty *Poloneza As-dur* Chopina wlały się do holu niczym czyste, chłodne wody strumienia. Jednak zamiast podążyć w stronę muzyki, Ethan poprowadził Garrett korytarzem na drugi koniec domu, a potem w dół bocznymi schodami.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Do prywatnego gabinetu Tathama.

Zeszli na parter, przecięli główny hol i skręcili w cichy korytarz. Gdy dotarli do drzwi na jego końcu, Ethan nacisnął klamkę. Były zamknięte.

Przykucnął i dokładnie obejrzał zamek.

– Umiesz go otworzyć? – spytała szeptem Garrett.

– Zamek bolcowy bębenkowy? – rzucił, jakby odpowiedź była oczywista.

Z wewnętrznej kieszeni fraka wyjął cienkie metalowe narzędzia, ostrożnie wsunął jedno, z zagiętym końcem, w dolną część dziurki od klucza, a drugim zaczął naciskać odpowiednie miejsca w środku. Klik, klik, klik. Po paru sekundach drzwi stanęły przed nimi otworem.

Ethan wprowadził Garrett do ciemnego pokoju, wyciągnął z kieszeni stalowe pudełeczko z zapałkami i zapalił przegubową lampę wystającą ze ściany. W szklanym kloszu pokazał się szeroki płomień, który zalał białym światłem cały pokój.

Garrett zaczęła się rozglądać i aż wstrzymała oddech na widok irlandzkiego setera siedzącego spokojnie przy kominku. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zwierzę jest wypchane. Gabinet obficie zapełniały ozdobne przedmioty: pawie pióra zatknięte do wazonu o wąskiej szyjce, figurki z brązu i innych materiałów oraz rzeźbione kasetki. Większość ścian pokrywały wysokie czarne regały z drewna

orzechowego z szufladami i półkami; niektóre z szuflad miały z przodu doprawione zamki. Nieliczne wolne miejsca obwieszono malowidłami przedstawiającymi psy i sceny myśliwskie, a także drobnymi przedmiotami i próbkami materiałów umieszczonymi w oszklonych ramkach. Po odciągnięciu aksamitnych zasłon ukazały się kute metalowe kraty na każdym oknie.

Ethan wszedł za biurko i zaczął wodzić palcami po półce mniej więcej w połowie regału.

– Czego szukasz?

– Ksiąg rachunkowych. – Nacisnął fragment rzeźbionej listwy, zwalniając ukryty zatrzask. Regał powoli się otworzył, ukazując dziwny obiekt – masywną stalową kulę przymocowaną do żelaznego postumentu.

– Co to jest? – spytała Garrett, stając za Ethanem.

– Sejf kulowy.

– Dlaczego nie jest prostokątny?

– Taki jest bezpieczniejszy. Nie da się wysadzić drzwi, nie ma gdzie umieścić materiału wybuchowego. Żadnych bolców, nitów czy śrub, które dałoby się wykręcić, żadnych połączeń do podważenia klinem. – Przykucnął, żeby obejrzeć mosiężne pokrętło z cyframi i nacięciami na brzegach, przymocowane do frontowej płaszczyzny. – Zamek bez klucza – mruknął, zanim Garrett zdążyła zadać kolejne pytanie.

Znowu sięgnął do kieszeni, tym razem po metalowy dysk, który po strzepnięciu rozłożył się w wąski stożek. Była to składana trąbka, jakiej używało wielu starszych, przygłuchych pacjentów Garrett. Patrzyła z zaciekawieniem, jak Ethan zakłada ją na ucho, a potem, nachylony, słucha dźwięków wydawanych przez obracane pokrętło.

– Muszę odkryć sekwencję cyfr otwierającą zamek – wyjaśnił. – Odgłos wewnętrznego mechanizmu powie mi, ile liczb tworzy kombinację. – Ponownie skupił się na sejfie. Po dłuższej chwili oznajmił: – Trzy liczby. Przede mną trudniejsze zadanie: odgadnięcie jakie.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie… to jest… – Urwał, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. – Umiesz narysować wykres?

– Mam nadzieję – odpowiedziała Garrett, przykucając obok niego. – Inaczej nie mogłabym prowadzić kart moich pacjentów. Punkty mają być połączone czy tylko zaznaczone?

– Połączone. – Spojrzał na nią i lekko pokręcił głową; przy uśmiechu pokazał mu się dołeczek w policzku. Wyjął z kieszeni mały notes ze stronicami w bladą kratkę i podał jej. – Liczby z pozycji startowej są na osi poziomej. Te z punktów stycznych na pionowej. Będę sprawdzał cyfry na pokrętle i mówił ci, które zaznaczyć.

– Nie miałam pojęcia, że włamywacze używają papieru w kratkę i rysują wykresy – odparła, biorąc od niego miniaturowy ołówek.

– Nie używają. Przynajmniej na razie. W tym momencie jestem prawdopodobnie jedynym człowiekiem w Anglii, który może sobie poradzić z tym zamkiem. To urządzenie mechaniczne z własnymi regułami działania. Nawet rzemieślnicy produkujący takie sprzęty tego nie potrafią.

– Kto cię nauczył?

– Później ci wyjaśnię – odpowiedział po chwili wahania.

Znów się pochylił i przyłożył trąbkę do sejfu. Delikatnie obracał pokrętłem, słuchał odgłosów i cicho dyktował Garrett liczby, które ta nanosiła na papier. Skończyli po dziesięciu minutach. Oddała mu notatnik i ołówek. Ethan obejrzał wykres i zaznaczył krzyżykami punkty, na których linie się zbiegały. – Trzydzieści siedem… dwa… szesnaście.

– W jakiej kolejności występują?

– Tego się dowiem metodą prób i błędów.

Wybrał liczby w kolejności od największej do najmniejszej, bez skutku. Następnie spróbował odwrotnego porządku, od najmniejszej do największej. I wtedy, jakby za sprawą magii, z wnętrza sejfu dobiegł niezbyt głośny szczęk mechanizmu.

– Udało się! – wykrzyknęła triumfalnie Garrett.

Ethan starał się zachować skupienie, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Widzę zadatki na świetną włamywaczkę, pani doktor.

Podniósł się i nacisnął klamkę sejfu. Okrągłe drzwi, grube na co najmniej piętnaście centymetrów, otworzyły się bezszelestnie, ukazując zawartość.

Nie wyglądała ona zbyt efektownie – w sejfie znajdował się pojedynczy stos teczek i ksiąg – jednak Ethan, wyraźnie podekscytowany, wyjął je i umieścił na biurku. Przejrzał je szybko, znalazł tę, o którą mu chodziło, i rozłożył ją na blacie. Zaczął gorączkowo przerzucać strony, obejmując wzrokiem po kilka wpisów naraz.

– Spodziewam się, że niedługo zostaniemy przyłapani – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Podejdź do drzwi i wyglądaj przez szczelinę. Daj znać, jeśli ktoś nadejdzie. – Głos miał opanowany, ruchy szybkie i precyzyjne.

Garrett poczuła, jak wszystko napina się w niej ze strachu. Posłusznie zbliżyła się do drzwi i odkryła pęknięcie w drewnie, tuż przy framudze, na tyle szerokie, by mogła wyjrzeć na zewnątrz. Najwyraźniej nic nie uchodziło uwadze Ethana, skoro dostrzegł nawet tak nierzucający się w oczy szczegół.

Minęły dwie lub trzy minuty, a Ethan wciąż wertował księgę. Wyjął składany nóż i otworzył go strzepnięciem; ostrze błysnęło, kiedy wycinał kilka stron, ostrożnie, tak by nie było widać, że zniknęły.

– Kończysz już? – spytała Garrett szeptem.

Odpowiedział jej szybkim skinieniem. Podziwiała jego niezmącony spokój, podczas gdy sama aż dygotała z nerwów.

Nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch w korytarzu.

– Ktoś idzie – wyszeptała. Nie słysząc odpowiedzi, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Ethan wkłada teczki i księgi z powrotem do sejfu. – Ktoś…

– Słyszałem.

Ponownie wyjrzała przez szczelinę. Postać szybko się zbliżała… doszła do drzwi… Garrett zrobiła kilka kroków do tyłu, wpatrzona w ruszającą się gałkę.

Przerażona zobaczyła, że Ethan umieścił już papiery na swoim miejscu i robi coś przy zamku.

W drzwiach zachrobotał klucz.

Garrett miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Gorączkowo zastanawiała się, co robić. Jak powinna się zachować? Przez opary paniki usłyszała spokojny głos Ransoma:

– Nie ruszaj się.

Posłusznie zastygła w bezruchu, choć opanowanie drżących mięśni kosztowało ją sporo wysiłku.

Ethan z szybkością przeczącą prawom fizyki zamknął sejf i pchnął regał na miejsce. Wycięte kartki poskładał i schował do wewnętrznej kieszeni. Równocześnie z odgłosem przekręcanego w drzwiach klucza zwinnym skokiem przesadził biurko, ledwie wspierając się o blat palcami.

Garrett odwróciła się do niego gwałtownie w momencie, gdy z kocią zwinnością wylądował obok niej. Zaraz potem znalazła się w jego objęciach i odchyliła głowę do tyłu pod naporem namiętnego pocałunku. Ethan przytrzymał ją za szyję i wsunął język w jej rozchylone usta. Pocałunek stawał się coraz bardziej intensywny, aż w końcu odniosła wrażenie, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa i zaraz zapadnie się w ciemność.

Pogładził ją po policzku, oderwał się od niej i przycisnął jej głowę do swojego ramienia. Delikatność jego dotyku ostro kontrastowała z szorstkością głosu, gdy zwrócił się do człowieka, który właśnie wszedł do gabinetu:

– Czego chcesz, Gamble?

Rozdział 13

Nie wolno wchodzić do tego pokoju – powiedział ostro mężczyzna. – Co tu robicie?

– To chyba jasne? – odpowiedział pytaniem Ethan.

– Mam zamiar zgłosić to Jenkynowi.

Ukryta bezpiecznie na piersi Ethana, Garrett zaryzykowała szybkie zerknięcie na intruza, który – choć ubrany w liberię – wcale nie zachowywał się jak lokaj. Miał w sobie tę samą czujność i sprężystość co Ethan, ale był drobniejszej budowy. Czarne, ostrzyżone tuż przy skórze włosy podkreślały agresywną linię brwi. Młodzieńczą, wolną od zmarszczek cerę znaczyło kilka śladów po ospie na policzkach i szczęce. Nienaturalnie gruba szyja naciskała z przodu na stójkę kurtki tak mocno, że trochę ją rozchylała. Spojrzawszy w jego oczy, twarde i płaskie jak kuchenne fajerki, Garrett pomyślała, że widząc kogoś takiego, przeszłaby na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania.

Wyczuwając jej napięcie, Ethan pogłaskał ją po miękkich włosach na karku. Czuły dotyk podziałał uspokajająco, jak niewypowiedziane słowa otuchy.

– Dlaczego ze wszystkich pomieszczeń wybraliście właśnie to? – dopytywał Gamble. – Dlaczego gabinet Tathama?

– Pomyślałem, że mu pomogę i posegreguję papiery – zadrwił Ethan.

– Masz pomagać w zapewnieniu bezpieczeństwa.

– Ty też.

Konflikt wisiał w powietrzu. Garrett poruszyła się niespokojnie w ramionach Ethana. Miała wrażenie, że stoją przed nią dwa wilki,

najeżone i gotowe do ataku.

Gamble patrzył na nią tak, jakby mierzył do niej ze strzelby.

– Obserwuję panią. – W pierwszej chwili pomyślała, że ma na myśli jej obecność na przyjęciu. Ale zaraz wyprowadził ją z błędu: – Chodzi pani, gdzie tylko jej się podoba, o każdej porze dnia i nocy. Wykonuje męską pracę, podczas gdy powinna siedzieć w domu i cerować pończochy. Zrobiłaby pani w ten sposób więcej dla świata, niż próbując stać się mężczyzną.

– Wcale nie zamierzam się stać mężczyzną – oznajmiła chłodno. – To oznaczałoby cofnięcie się w rozwoju. – Czując, jak ramię Ethana tężeje, zacisnęła na nim palce w bezgłośnej prośbie, żeby nie dał się sprowokować.

Jej wzrok przyciągnęła stójka uniformu Gamble'a; z jednej strony była odchylona trochę bardziej niż z drugiej. Nad jej krawędzią tworzyła się ledwie widoczna opuchlizna.

– Od jak dawna ma pan to zgrubienie na szyi? – spytała.

Zaskoczony Gamble tylko wytrzeszczył oczy.

Kiedy stało się jasne, że nie zamierza jej odpowiedzieć, Garrett stwierdziła:

– Usytuowanie na tarczycy wskazuje, że to wole. A jeśli tak, da się je łatwo wyleczyć kroplami jodyny.

Przyglądał się jej z jawną wrogością.

– Odpieprz się – warknął po chwili.

Ethan wydał z siebie gardłowy pomruk, gotowy rzucić się na Gamble'a, ale Garrett odwróciła się szybko i oparła mu obie dłonie na piersi.

– Nie – powiedziała cicho. – To nie jest najlepszy pomysł. – W duchu zaś dodała: Zwłaszcza kiedy masz w kieszeni dokumenty ukradzione z prywatnego sejfu ministra spraw wewnętrznych.

Stopniowo twardość mięśni zaczęła ustępować pod jej dotykiem.

– Jeśli nie będzie leczył tego wola, ile czasu upłynie, nim go zadusi? – spytał z nadzieją Ethan.

– Wynocha – warknął Gamble. – Albo zaraz ja zaduszę cię swoją pięścią.

Po opuszczeniu gabinetu Ethan poprowadził Garrett do zacisznego, chłodnego miejsca pod wielkimi schodami. Z dala od wścibskich spojrzeń mógł wreszcie napawać się jej wyglądem, eleganckim i kobiecym, w pięknej błyszczącej sukni, z kryształkami połyskującymi we włosach.

Poza ujmującą delikatnością miała w sobie także niezłomność, którą coraz bardziej podziwiał. Wybrane przez nią życie wiązało się z koniecznością ciągłego demonstrowania, kim jest, kim nie jest i kim może być kobieta. Ludzie nie pozwalali jej na błędy ani na zwykłą, ludzką słabość. Wytrzymywała rzeczy, z którymi on tak łatwo by sobie nie poradził. Myśląc o tym, jak przywołała Gamble'a do porządku, przyznał z pewnym zakłopotaniem:

– To zgrubienie na szyi Gamble'a… możliwe, że ma je przeze mnie.

– Jakim cudem?

– Kilka dni temu, kiedy odkryłem, że mnie śledzi i donosi Jenkynowi, przyłapałem go w ciemnej uliczce i… trochę przydusiłem.

Garrett kilka razy cmoknęła z dezaprobatą.

– Znowu przemoc…

– Naraził cię na niebezpieczeństwo – próbował się bronić Ethan. – A przy okazji mnie zdradził.

– Nie musiałeś się uciekać do tak brutalnych metod. Zemsta nie jest jedynym rozwiązaniem.

Ethan wprawdzie mógłby przytoczyć niejeden doskonały argument przemawiający za brutalną zemstą, ale tylko zwiesił głowę z udawaną skruchą.

– Tak czy inaczej, to nie ty spowodowałeś zgrubienie na szyi pana Gamble'a. Jestem raczej pewna, że to wole. – Wyjrzała na korytarz, żeby się upewnić, czy przypadkiem nikt nie nadchodzi. – Nie zostawiłeś żadnych śladów w gabinecie ministra?

– Nie. Ale odkryją, że było włamanie, kiedy będą próbowali otworzyć sejf. Zmieniłem kombinację cyfr, żeby chronić księgi rachunkowe.

Podeszła do niego bliżej.

– A informacje, które uzyskałeś? – spytała szeptem.

Miał wrażenie, że ukryte w kieszeni skradzione kartki mimo warstw ubrania wypalą mu dziurę w piersi. Tak jak powiedział mu Nash

Prescott, księgi zawierały bezcenne dane. Tajemnica, którą miał w posiadaniu, mogła zniszczyć lub uratować ludzkie życie. Co najmniej dziesięć osób chciałoby go zastrzelić, gdyby wiedziały, co zrobił.

– Znalazłem dowód, że Jenkyn, Tatham i inni z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych spiskowali z politycznymi radykałami, żeby organizować zamachy bombowe na brytyjskich obywateli.

– Co zamierzasz?

Ethan miał świadomość, że powiedział Garrett za dużo, i był przerażony, że tak głęboko wciągnął ją w swoje sprawy. Jednak gdyby szybko dostarczył informacje do właściwych rąk, uchroniłby ją od stania się celem ewentualnego ataku.

– Zaniosę te kartki do Scotland Yardu – powiedział. – Komendant z radością pozbędzie się Jenkyna. Jutro w Whitehall rozpęta się prawdziwe piekło.

Garrett położyła rękę na klapie jego fraka.

– Czy jeśli wszystko pójdzie dobrze, ty i ja będziemy mogli…

– Nie – przerwał jej łagodnie. – Już ci mówiłem, że nie nadaję się na partnera dla ciebie. – Widząc jej zdumienie, zaczął szukać w myślach odpowiednich słów, które pomogłyby jej zrozumieć jego ograniczenia, to, że kiedyś zapragnęłaby rzeczy, których on nie mógł jej dać. – Garrett… nigdy nie miałem takiego życia, z dzwonkiem wzywającym na obiad, z zegarem na gzymsie kominka i piciem herbaty w salonie. Włóczę się pół nocy, a potem odsypiam pół dnia. Mieszkam w wynajętej kwaterze na Half Moon Street, z pustą spiżarnią i gołymi deskami na podłodze. Jedyną dekorację stanowi obraz z cyrkową małpą w cylindrze, jeżdżącą na rowerze. Zostawił go człowiek, który mieszkał tam przede mną. Zbyt mocno przywykłem do samotności. Widziałem najgorsze rzeczy, jakie ludzie robią sobie nawzajem, i cały czas o nich pamiętam. Nie ufam nikomu. A to, co się dzieje w mojej głowie… lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

Garrett długo milczała zamyślona.

– Ja też widziałam trochę tych najgorszych rzeczy, jakie ludzie mogą sobie wyrządzać – odezwała się w końcu. – Śmiem twierdzić, że niewiele na tym świecie jest w stanie mnie zszokować. Wiem,

jakie życie prowadziłeś, i na pewno nie próbowałabym zrobić z ciebie pantoflarza.

– Jestem zbyt zatwardziały w swoich przyzwyczajeniach.

– W twoim wieku? – Uniosła brwi w wyrazie zdziwienia.

Ethan był jednocześnie rozbawiony i urażony tonem, jakim z nim rozmawiała – jakby miała go za zarozumialca, który uważa się za bardziej doświadczonego, niż wynikałoby to z jego wieku.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat.

– No właśnie. – Ucieszyła się, jakby to potwierdzało jej przypuszczenia. – Więc nie możesz być aż tak zatwardziałym przypadkiem.

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy. – Rozmowa wkraczała na coraz bardziej niebezpieczne tory. Ethan czuł ściskanie w dołku na myśl o tym, o co mogłaby go prosić… i co mógłby jej obiecać w chwili szaleńczego uniesienia. – Garrett… ja nigdy nie będę pasował do normalnego życia.

Uniosła kąciki ust w zagadkowym uśmieszku.

– Uważasz, że moje życie jest normalne?

– W porównaniu z moim.

Czuł się tak, jakby zaglądała mu do środka, próbowała go ocenić. Stał przed nią bezbronny; jej zielone oczy trzymały go mocniej niż czterdzieści metrów okrętowego łańcucha. Przepełniały go żal i tęsknota za tym, czego nigdy nie będzie mógł z nią przeżyć. Nie miał prawa jej pożądać. Tacy ludzie jak on mieli do zapłacenia rachunek, od którego nie sposób uciec.

– Czyli nic nie będę z ciebie miała? – westchnęła. – Kilka zasuszonych fiołków między kartkami książki i nowy zamek przy wejściowych drzwiach… tylko tyle zostanie mi na pamiątkę?

– A co byś chciała? Tylko powiedz. Ukradnę dla ciebie jeden z klejnotów koronnych.

Spojrzenie Garrett złagodniało. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

– Wolałabym ten obraz z małpą.

Ethan patrzył na nią zaskoczony, pewny, że się przesłyszał.

– Chciałabym, żebyś mi go przyniósł po tym, jak już załatwisz swoje sprawy – powiedziała całkiem poważnie. – Proszę.

– Kiedy?

– Dziś w nocy.

Ethan sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Wyglądała tak niewinnie, a proponowała coś, co łamało wszelkie zasady.

– *Acushla*… – wydukał. – Nie mogę spędzić z tobą nocy. To prawo przysługuje mężczyźnie, którego poślubisz.

Garrett bez mrugnięcia wytrzymała jego spojrzenie.

– Moje ciało należy do mnie i mogę nim dysponować według własnej woli. – Wspięła się na palce i miękko pocałowała go w usta. Rozpostarte dłonie przyłożyła do jego policzków, kciukami objęła podbródek. – Pokaż mi, co potrafisz… – wyszeptała. – Może zechcę spróbować kilku z tych stu dwudziestu pozycji.

Był tak podniecony, że utrzymanie wyprostowanej postawy sprawiało mu niemałą trudność. Pochylił głowę i zetknęli się czołami. Tylko w taki sposób mógł jej dotknąć; gdyby ją objął, całkowicie straciłby panowanie nad swą żądzą.

– Nie nadaję się dla dziewic – powiedział nienaturalnie chropawym głosem.

– No to pokaż mi, jak się kochasz z dziewicą.

– Do licha, Garrett… – wymruczał. Pewnych rzeczy wolałby o niej nie wiedzieć, wolałby nie poznać linii wygięcia jej nagich pleców, sekretnych zapachów i smaków jej skóry. Jej oddechu na swojej szyi, kiedy będzie w nią wchodził. Wspólnego, coraz szybszego rytmu ich złączonych ciał. Jeśli pozna to wszystko, ból rozstania nigdy nie zelżeje, a życie bez niej będzie gorsze od śmierci.

Z drugiej strony istniała możliwość, że skończy w obciążonym worku na dnie Tamizy jeszcze przed końcem tygodnia.

Garrett stała przed nim i patrzyła mu w twarz oczyma błyszczącymi wyzwaniem.

– Moja sypialnia jest na drugim piętrze, na prawo od schodów. Zostawię zapaloną lampę. – Uśmiechnęła się lekko. – Zostawiłabym też otwarte drzwi na dole… ale w twoim przypadku chyba nie ma takiej potrzeby.

Rozdział 14

Prosto z przyjęcia Ethan udał się do eleganckiej dzielnicy Belgravia, do domu komendanta policji metropolitalnej Freda Felbrigga. Dostarczenie mu ukradzionych dowodów było logicznym posunięciem, jako że posiadał on zarówno władzę, jak i motywację, żeby postawić konspiratorów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przed sądem.

Ujawnienie knowań Tathama i Jenkyna pociągało za sobą wiele nieprzyjemności: aresztowania, dymisje, powoływanie specjalnych komisji śledczych, przesłuchania i procesy. Ale jeśli po kimś można było się spodziewać, że zrobi to, co należy, to właśnie po Felbriggu – człowieku głęboko religijnym, ceniącym porządek i przestrzeganie procedur. Poza tym komendant policji gardził Jenkynem. W Scotland Yardzie wszyscy wiedzieli, że Felbrigg jest oburzony nieformalną pozycją szpiegowskiego guru w ministerstwie, a także metodami zbierania informacji przez jego specjalnie dobranych agentów.

Niezadowolony, że musi wstawać z łóżka w środku nocy, Felbrigg zszedł do gabinetu w szlafroku zarzuconym na piżamę. Niski, o sylwetce wrzeciona, z rudymi bokobrodami i w miękkiej szlafmycy z pomponem, który dyndał mu z tyłu głowy, wyglądał jak elf. Zagniewany elf.

– Co to jest? – spytał, patrząc na kartki, które Ethan rozłożył na blacie biurka.

– Dowód na powiązania operacyjne między Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i zamachowcami z ratusza – odpowiedział spokojnie Ransom.

Wstrząśnięty wiadomością, Felbrigg opadł na krzesło, a Ethan zaczął mu opowiadać o sejfie ministra i tajnych rządowych funduszach przekazanych radykałom znanym z wrogiej wobec państwa działalności.

– Tu jest zapis dotyczący zaginionego transportu materiałów wybuchowych z Hawru – powiedział, podsuwając komendantowi jedną z kartek. – Dynamit został przekazany rezydującej w Londynie grupie Fenian. Otrzymali również gotówkę oraz pozwolenie wstępu na galerię dla gości w Izbie Gmin.

Felbrigg ściągnął szlafmycę i wytarł nią zroszone potem czoło.

– Po co mieliby odwiedzać Izbę Gmin?

– Może chcieli przeprowadzić rozpoznanie. – Widząc pytające spojrzenie, Ethan dodał rzeczowym tonem: – Na wypadek ewentualnego ataku na Westminster. – W głębi ducha rozumiał, dlaczego Jenkynowi zawsze udawało się przechytrzyć Felbrigga; nazwanie komendanta ślamazarnym mogło być trochę niesprawiedliwe, ale dość dobrze charakteryzowało jego osobę.

Felbrigg pochylił głowę. Oddychał powoli.

Patrząc na komendanta zagłębionego w lekturze, Ethan poczuł dziwny, trudny do określenia niepokój. W jego przekonaniu Felbrigg nigdy nie przymknąłby oczu na podejrzenia, że Jenkyn macza palce w zmowie mającej na celu zabijanie obywateli, których przysięgał chronić. Felbrigg nienawidził Jenkyna, doznał od niego wielu zniewag i przykrości, więc miał wszelkie powody, osobiste i zawodowe, żeby wykorzystać przeciwko niemu pozyskane przez Ethana informacje.

Mimo to w Ethanie uporczywie odzywało się dyktowane instynktem zwątpienie. Felbrigg pocił się, napięty i zdenerwowany; lecz choć można by tę reakcję tłumaczyć zaskoczeniem, jego zachowanie dziwiło Ethana. Sam okazał wściekłość – i być może cień triumfu – zdobywając dowody upadku swego wroga. Może dlatego blada twarz Felbrigga i jego milczenie tak go denerwowały.

Tak czy inaczej, wykonał krok, którego nie dało się już cofnąć. Machina została wprawiona w ruch i cokolwiek miało nastąpić, Ethan mógł jedynie trzymać się w cieniu, dopóki Felbrigg nie podejmie działania.

– Gdzie pan będzie jutro? – spytał w końcu komendant.

– Tu i tam – odparł wymijająco Ransom.

– Jak będziemy mogli się z panem skontaktować?

– Macie dość dowodów, żeby przeprowadzić dochodzenie i postawić kogo trzeba przed sądem. – Ethan zmierzył Felbrigga czujnym spojrzeniem. – Sam się z wami skontaktuję w razie potrzeby.

– Czy księgi rachunkowe nadal spoczywają w sejfie lorda Tathama?

– Tak – potwierdził, nie wspominając jednak, że zmienił kombinację cyfr w zamku. Nie spuszczał wzroku z twarzy komendanta, który był w stanie wytrzymać jego spojrzenie tylko przez parę sekund.

Czego mi nie mówisz, draniu…?

– Ten problem zostanie rozwiązany niezwłocznie i we właściwy sposób – zapewnił Felbrigg.

– Wiem, że tak będzie. Uchodzi pan za człowieka honoru. Przysięgał pan przed sędzią w Westminsterze wypełniać swoje obowiązki „niezawodnie, bezstronnie i uczciwie".

– Tak, pamiętam – odburknął wyraźnie rozgniewany funkcjonariusz. – Skoro już pan zburzył mój nocny spoczynek, Ransom, życzę panu dobrej nocy, a sam zajmę się tym przeklętym bałaganem, który zwalił mi pan na głowę.

Słysząc to, Ethan poczuł się trochę lepiej.

Wrócił do swojego mieszkania i przebrał się w robotniczy strój: bawełniane spodnie, surdut, koszulę i skórzane buty. Chodząc po pokojach, zastanawiał się – chyba po raz pierwszy – dlaczego od tak dawna prowadzi żywot samotnika. Mieszka w gołych ścianach, z byle jakimi sprzętami, podczas gdy mógłby sobie pozwolić na ładny dom. Sam wybrał to miejsce, bo jego praca wymagała anonimowości, odizolowania, a do tego wszystko w niej kręciło się wokół osoby Jenkyna. To także wynikało z jego wyboru, którego powodów nie rozumiał i nie chciał zgłębiać.

Stanął przed obrazem przedstawiającym małpę i dokładnie mu się przyjrzał. Co Garrett mogła o nim pomyśleć? Malowidło powstało jako ilustracja do reklamy, tylko usunięto nazwę produktu. Uśmiechnięta małpa w cylindrze zataczała na rowerze koła przed widzami trzymającymi się w pewnej odległości. W oczach zwierzęcia czaiła się melancholia… a może szaleństwo, nie potrafił do końca

odróżnić. Czy gdzieś poza zasięgiem wzroku stał treser, który ubrał małpę i przygotował cały pokaz? I czy małpie wolno było przestać pedałować, kiedy się zmęczyła?

Dlaczego Garrett poprosiła, żeby przyniósł jej ten cholerny obraz? Sądziła, że z jego treści dowie się czegoś o nim? Nonsens… Doszedł do wniosku, że nie może jej go pokazać, chyba umarłby ze wstydu. Dlaczego zostawił go na ścianie? I dlaczego w ogóle o nim wspomniał?

Byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby tego wieczoru zniknął na dobre. Mógłby pojechać na drugi koniec świata, zmienić nazwisko, stać się kimś innym. Bóg jeden wie, że to zwiększyłoby jego szanse na długie życie. Garrett stałaby się jeszcze bardziej znana, może nawet zbudowałaby szpital, nauczała, inspirowała. Mogłaby wyjść za mąż i mieć dzieci.

A dla Ethana pozostałaby marzeniem ukrytym w najgłębszym zakamarku jego pamięci. Niektóre słowa już zawsze by mu ją przypominały. Podobnie jak dźwięk policyjnego gwizdka. I zapach fiołków, widok zielonych oczu, fajerwerki rozbłyskujące na niebie i smak lodów cytrynowych.

Sięgnął po obraz, zaklął… i cofnął rękę.

Gdyby do niej poszedł… Boże… Myśl o takiej możliwości przepełniła go lękiem… i zachwytem. A także nadzieją, uczuciem zabójczym dla ludzi jego fachu.

Ile warta była jedna noc? I ile miała kosztować każde z nich?

Garrett obudziło delikatne ciepło na twarzy, jakby ogrzane słońcem płatki kwiatów spadały na jej skórę. Powiew oddechu rozgrzał jej policzek. Ethan. Uśmiechnęła się półprzytomnie; po raz pierwszy w życiu budziła się w obecności mężczyzny. Pachniał nocnym powietrzem i mgłą. Z sennym mruknięciem uniosła się, wychodząc naprzeciw aksamitnej pieszczocie, i podkurczyła palce stóp pod kołdrą.

– Nie słyszałam cię – wyszeptała.

Miała lekki sen, a do tego podłoga w jej pokoju skrzypiała, jak więc udało mu się wejść całkiem niepostrzeżenie?

Ethan pochylał się nad nią i głaskał ją po włosach. Kładąc się spać, zebrała długie loki z tyłu głowy i związała je wstążką. Spod opuszczonych rzęs, gęstych i długich, wodził wzrokiem po jej ciele, odzianym w prostą nocną koszulę z drobnymi plisami przy wycięciu pod szyją. Delikatnie położył dłoń nad jej piersiami, na mocno bijącym sercu, po czym wrócił wzrokiem do jej twarzy.

– Garrett… jeśli to zrobimy, wszystko stanie się trudniejsze.

Przytknęła usta do gładko ogolonego podbródka i wciągnęła głęboko w nozdrza jego cudowny zapach.

– Ściągnij ubranie – poprosiła szeptem.

Ethan wziął głęboki oddech i wstał. Bez pośpiechu zaczął się rozbierać.

Usiadła na łóżku i patrzyła, jak części męskiej garderoby, jedna po drugiej, spadają na podłogę.

Miał najpiękniejsze ciało, jakie kiedykolwiek widziała – smukłe i gładkie, z szerokim torsem, mięśniami twardymi od wieloletnich intensywnych ćwiczeń. Światło padające spod mlecznego abażura lampy podkreślało wypukłości muskułów grających pod skórą przy każdym ruchu. Wiedziała już, że jest hojnie wyposażony przez naturę, ale to nie było to samo, co zobaczyć go w całej okazałości. A doprawdy było na co popatrzeć… Stanowił uosobienie męskiej siły i urody. I wydawał się zupełnie nieskrępowany swoją nagością.

Ona natomiast, z racji zawodu oswojona z cielesnością, aż drżała z nerwów… i z pożądania.

Wracając do łóżka, Ethan omiótł wzrokiem osobiste przedmioty leżące na toaletce: szczotkę do włosów z uchwytem z macicy perłowej, serwetkę wyhaftowaną przez Garrett jeszcze w szkole, pudełko na spinki z szydełkowanym wieczkiem – prezent sprzed lat od panny Primrose – i mały porcelanowy flakonik z olejkiem migdałowym. Przystanął, żeby się lepiej przyjrzeć ramce wiszącej na ścianie. Pod szkłem umieszczono parę maleńkich dziecięcych rękawiczek zrobionych na drutach i ozdobionych kwiatuszkami z wstążki.

– Matka wydziergała je dla mnie – wyjaśniła Garrett, widząc jego zaciekawienie. – Może to głupie eksponować je na ścianie, ale zostało mi po niej bardzo niewiele pamiątek. Miała bardzo zręczne ręce.

Ethan usiadł na brzegu łóżka. Ujął dłonie Garrett i podniósł je do ust, by ucałować po kolei wszystkie palce.

– W takim razie masz to po niej.

Pochyliła się i przycisnęła policzek do jego gęstych włosów.

– Przyniosłeś obraz? – spytała.

– Postawiłem przy drzwiach.

Na moment oparła podbródek na jego barku i spojrzała na opakowaną w papier prostokątną paczkę opartą o ścianę.

– Mogę go obejrzeć?

– Później – mruknął Ethan. – Bóg wie, czego się w nim doszukasz. Ta małpa wygląda morderczo.

– Z pewnością ma ku temu powody – odparła Garrett i spojrzała mu w oczy. – Siodełka rowerowe mogą powodować otarcia i drętwienie krocza.

Z jakiegoś powodu ta rzeczowa uwaga wydała się mu niezwykle zabawna. Jego oczy rozbłysły wesołością, w policzku ukazał się znajomy dołek. Garrett nie zdołała się powstrzymać – najpierw dotknęła palcem uroczego zagłębienia, a potem musnęła je ustami.

– Za każdym razem, jak się pojawia, mam ochotę go pocałować – wyznała.

– Co pocałować?

– Twój dołeczek.

Ethan sprawiał wrażenie szczerze zakłopotanego.

– Nie mam żadnego dołeczka.

– Owszem, masz. Widać go, kiedy się uśmiechasz. Nikt ci o nim nie powiedział?

– Nie.

– I nie widziałeś w lustrze?

W kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

– Zwykle nie uśmiecham się do lustra. – Objął ją za szyję, przyciągnął do siebie i nakrył jej usta ciepłym, łapczywym pocałunkiem. Rozchyliła wargi, spragniona jego smaku, i natychmiast

poczuła napór języka. Opuścił ją na posłanie i całował, rozpalając w niej ogień, przyprawiając ją o zawrót głowy. Wodził dłońmi po jej ciele, jakby przez cienką muślinową tkaninę uczył się rozpoznawać jej kształt.

Ostrożnie dotknęła jego piersi; skręcone włoski zarostu uginały się miękko pod jej palcami. Objęła go, przenosząc dłonie na plecy… i szeroko otworzyła oczy.

– Wielkie nieba!

Ethan uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

– Niesamowity *trapezius* i *deltoideus* – powiedziała z rozmarzeniem, gładząc wymieniane mięśnie. – *Latissimus dorsi* też idealnie rozwinięty.

Zaśmiał się gardłowo i rozpiął jej koszulę.

– Zawstydzasz mnie tymi kwiecistymi komplementami.

Zawisł nad nią, podparty na łokciu, i kolanem rozsunął jej nogi. Poczuła jego wargi na piersiach, błądzące po odkrytej skórze, i dłonie pod koszulą. Już po chwili była naga, a on częściowo leżał na niej, jednocześnie szorstki i gładki, twardy i jedwabiście miękki. W pełni nad sobą panował, prowadził ją w świat, w którym on był mistrzem, a ona nowicjuszką.

Muskając jej skórę z lekkością puchu, wyszeptał:

– Tak długo o tym marzyłem… Gdy tylko cię poznałem, wiedziałem, że chcę tylko ciebie.

Uśmiechnęła się z twarzą przy jego piersi; potarła nosem o sprężysty zarost, a następnie polizała brązową otoczkę brodawki.

– Czemu więc się do mnie nie zalecałeś?

– Wiedziałem, że nie jesteś dla mnie. Za wysokie progi.

– Nie – zaprotestowała łagodnie. – Nie jestem wysoko urodzoną damą. Mam całkiem pospolite korzenie.

– Nie ma w tobie nic pospolitego. – Zaczął się bawić jej włosami, patrzył, jak spływają mu między palcami, chwytał końce i przesuwał nimi po ustach i policzku. – Chcesz wiedzieć, dlaczego dałem ci fiołki? Są małe i śliczne, ale tak silne, że potrafią rosnąć nawet między płytami chodnikowymi. Nieraz widywałem je w różnych mrocznych miejscach, barwne jak klejnoty pod ceglanym murem albo przy zrujnowanych schodach. Nawet bez słońca czy dobrego

podłoża kwitną, wykonując swoje zadanie. – Pochylił się, żeby przycisnąć wargi do gładkiej krągłości piersi, jakby chciał skosztować padającego na nie miodowego światła. – Nie musiałaś zostawiać zapalonej lampy – wyszeptał. – Znalazłbym cię wszędzie, w blasku dnia i w ciemności. – Wyznaczał pocałunkami ślad na jej skórze; jego oddech sprowadzał przyjemne wrażenie chłodu w wilgotnych miejscach. Nagle znieruchomiał, zaintrygowany zapachem, który zwrócił jego uwagę. – Cytryna – stwierdził, wciągając powietrze.

– To… z gąbki – powiedziała niepewnie Garrett, rumieniąc się na twarzy i szyi. Jednym ze sposobów zapobiegania niechcianej ciąży było użycie kawałka miękkiej gąbki nasączonej sokiem z cytryny. – Wkłada się… tam.

– Tak, wiem – mruknął Ethan, przesuwając usta niżej, na brzuch.

– Wiesz?

Uśmiechnął się, nie podnosząc głowy.

– Nie jestem żółtodziobem.

Delikatnie rozsunął jej nogi i końcami palców zaczął przesuwać po wewnętrznej stronie ud, tam i z powrotem, w dół i w górę, jednostajnym, hipnotyzującym ruchem. W końcu palce wśliznęły się w trójkąt miękkich kędziorów okrywających płeć. Przez chwilę gładził je i ugniatał, a potem długim, powolnym liźnięciem rozdzielił nabrzmiałe fałdy.

Garrett głośno westchnęła i chwyciła go za głowę.

Ethan podparł się na łokciach i popatrzył na nią z czułym rozbawieniem w oczach.

– Czyżbym cię zszokował, skarbie?

Miała trudności z zebraniem myśli. Drżała na całym ciele.

– Trochę… – przyznała niepewnie. – To mój pierwszy raz.

– A wcześniej tak śmiało rozprawiałaś o pozycjach. – Jakby od niechcenia poruszał palcami, przeczesywał nimi drobne, jedwabiste loczki.

Garrett miała wrażenie, że cała promieniuje pożądaniem, niemal oczekiwała, że jej skóra zacznie nim parować.

– Ja… myślałam, że zaczniemy konwencjonalnie i dopiero później przejdziemy do bardziej wymyślnych rzeczy.

Kącik ust Ethana uniósł się w leniwym uśmiechu.

– Zapraszając mnie do swojego łóżka, nie spodziewałaś się chyba konwencjonalnego kochanka. – Wsunął w nią palec i zatoczył małe kółko w ciasnym, wilgotnym wnętrzu, budząc w niej dreszcz rozchodzący się ze środka brzucha po całym ciele.

Patrzył na nią tak, jakby czytał w jej myślach.

– Chciałaś się przekonać, ile doznań zdołam ci dostarczyć. Chciałaś się dowiedzieć, jak to jest dać się ponieść namiętności, całkowicie i bez reszty, a potem spoczywać bezpiecznie w moich ramionach. Jestem tu i będę się z tobą kochać, dam ci wszystko, co mam.

Oszołomiona patrzyła, jak opuszcza głowę i przywiera ustami do miejsca u zbiegu ud. Zaczął powoli poruszać językiem w pieszczocie, która przypominała słodką torturę. Garrett miała wrażenie, że zaraz zemdleje, ogarnięta przyjemną bezwolnością czuła, że w środku staje się coraz bardziej wilgotna i gorąca. Jej wewnętrzne mięśnie na przemian napinały się i wiotczały, nie mając się na czym zacisnąć. Miała ochotę go błagać, ale była w stanie wydobyć z siebie jedynie ciche westchnienie. Pożądanie, które w niej wzbudził, nie pozostawiało miejsca na wstyd czy jakiekolwiek zahamowania.

Nic nie mogło odciągnąć jej uwagi od niego i tego, co z nią robił. Gdyby w tym momencie przez pokój przemaszerowała wojskowa orkiestra, pewnie nawet by tego nie zauważyła. Całe jej jestestwo skupiło się na czysto cielesnych doznaniach. Nieświadoma własnego zachowania, wiła się pod Ethanem, dopóki nie objął jej za biodra i nie przytrzymał nieruchomo. Chciała zacisnąć dłonie na jego ramionach, ale twarde muskuły nawet nie drgnęły pod skórą, nie dawały palcom zaczepienia.

Język Ethana trafił na nabrzmiałą wypukłość łechtaczki i zaczął ją drażnić rytmicznymi liźnięciami. Garrett poczuła w całym ciele przyjemne mrowienie, które nasilało się coraz bardziej, aż wezbrało w potężną falę rozkoszy. Dała się jej porwać, wygięta w łuk wstrzymała oddech i płynęła, dopóki nie wstrząsnął nią potężny dreszcz… jeden… drugi… trzeci, aż w końcu ogarnęła ją błoga słabość.

Ethan położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

– Podobało ci się – stwierdził z samczym zadowoleniem.

Garrett z rozmarzeniem pokiwała głową.

Leżeli na boku, zwróceni przodem do siebie.

– Będziesz musiała się odprężyć, żebym mógł w ciebie wejść – powiedział szeptem.

Czuła jego męskość napierającą na jej brzuch, twardą i gorącą. Dowód jego pożądania dodatkowo ją podniecał, budził potrzebę całkowitego zespolenia. Objęła go i próbowała na siebie wciągnąć, przetaczając się na plecy, ale jej na to nie pozwolił; zatrzymał ją w pozycji na boku i zarzucił sobie jej nogę na biodro. Nachylił się i pocałował ją w szyję, leciutko skubiąc zębami skórę.

Następnie sięgnął między nich i nakierował swój męski narząd pod odpowiednim kątem między jej uda. Garrett stężała, przygotowana na to, co w jej przekonaniu miało nastąpić, tymczasem Ethan nie napierał, tylko zatrzymał się w przedsionku jej kobiecości. Jednocześnie przywarł do jej ust pocałunkiem, który stawał się coraz głębszy i bardziej namiętny. Objął pierś i najpierw wnętrzem otwartej dłoni pocierał brodawkę, a potem, gdy nabrzmiała w sztywny pączek, zaczął ją obracać między palcami.

Pobudzona doznaniem, Garrett bezwiednie wypchnęła biodra do przodu, co sprawiło, że otworzyła się szerzej. Wydawało się jej, że jest gotowa go przyjąć, ale Ethan znów wsunął w nią palce. Poruszał nimi wolno, kontrolując narastające w niej napięcie.

– Oddychaj – poprosił szeptem.

Kiedy w końcu w nią wszedł, syknęła z bólu i zadrżała. Znieruchomiał i powrócił do pieszczoty palców. Odczekał cierpliwie dłuższą chwilę, zanim podjął kolejną próbę i wsunął się nieco głębiej. Tym razem jej wewnętrzne mięśnie, oswojone z naciskiem, nie stawiały oporu.

Uniósł Garrett, usiadł na posłaniu i posadził na sobie. Przytrzymywał ją za pośladki, żeby nie sprawić jej bólu zbyt głęboką penetracją. Kiedy oplotła go nogami, spojrzał jej w twarz pociemniałymi, lekko zamglonymi oczyma.

– Nigdy bym nie pomyślał, że będąc w tobie… mogę czuć aż tyle i od tego nie umrzeć – powiedział zduszonym szeptem.

– Powiedz mi, co mam robić – poprosiła, przytykając czoło do jego czoła.

– Nie ruszaj się. Poczuj, jak bardzo cię pragnę. – Dysząc głośno, zaczął rytmicznie napinać uda. Garrett przymknęła oczy, miała wrażenie, że pod jej opuszczonymi powiekami wybuchają snopy iskier. Po omacku odszukała ustami jego wargi, na co odpowiedział gwałtownym, łapczywym pocałunkiem, nie przestając kołysać biodrami. Jego ciało, piękne i silne, było pod nią, wokół niej, tak łatwo mógł ją zgnieść, ale trzymał ją ostrożnie i czule, jakby była czymś niesłychanie cennym i kruchym.

Musnęła ustami jego ramię i poczuła na języku smak słonego męskiego potu. Ethan tkwił w niej bardzo głęboko, ale nie czuła już w ogóle bólu, jedynie zachwyt i coś na kształt niedowierzania. Poruszał się coraz szybciej, aż w końcu wykonał ostatnie, najmocniejsze pchnięcie i z twarzą przy jej szyi wydał z siebie odgłos przywodzący na myśl wołanie jakiejś zagubionej, dzikiej istoty. Objęła ramionami jego głowę i wtuliła usta w gęste, miękkie włosy, kiedy wypełniał ją płynny żar jego spełnienia.

Leżeli splątani ze sobą, wymieniając półsenne pieszczoty, aż noc pojaśniała, przechodząc w świt. Ethan przeciągnął się, usiadł na łóżku i opuścił nogi na podłogę.

Garrett uklękła za nim i objęła go od tyłu, napierając piersiami na jego plecy.

Nie odchodź!, krzyczało w niej wszystko, ale powiedziała tylko:

– Przyjdź do mnie, kiedy tylko będziesz mógł.

– Spróbuję, *acushla* – odparł Ethan po długiej chwili milczenia.

– Jeśli sprawy potoczą się nie tak, jak powinny… jeśli będziesz musiał wyjechać… obiecaj, że zabierzesz mnie ze sobą.

Dopiero wtedy odwrócił się i na nią spojrzał.

– Kochanie… – Pokręcił głową. – Nie mógłbym ci tego zrobić. Twoja rodzina i przyjaciele, twoi pacjenci, praktyka lekarska… wszystko jest tutaj. Porzucenie tego zrujnowałoby ci życie.

– Bez ciebie moje życie byłoby ruiną. – Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów Garrett uświadomiła sobie, że taka właśnie jest prawda. – Jako lekarz mogę pracować wszędzie. Mam trochę oszczędności. Kiedy gdzieś osiądziemy, będę mogła zarabiać dość, by nas utrzymać, zanim znajdziesz odpowiednie zajęcie. Damy sobie

radę. Obawiam się, że musielibyśmy zabrać ze sobą mojego ojca, ale…

– Garrett. – Na twarzy Ethana malowały się trudne do odczytania emocje, usta wykrzywiał mu dziwny uśmiech. Chwycił ją za głowę i wycisnął na jej ustach szybki, mocny pocałunek. – Nie musiałabyś mnie utrzymywać. Mam dość, żeby… nieważne. Nie dojdzie do tego. – Przytulił ją do piersi i znów pocałował, tym razem we włosy. – Przyjdę do ciebie, jeśli będę mógł. Przysięgam.

Z ulgą zamknęła oczy i otoczyła go ramionami.

Następnego wieczoru Ethan szedł chodnikiem mostu Blackfriars, konstrukcji łączącej najniższe brzegi Tamizy niczym zapinany na sprzączkę pasek do mocowania bagażu. Pięć przęseł z kutego metalu ustawiono na ogromnych filarach z czerwonego granitu; przejście na drugą stronę zabierało sporo czasu.

Mimo że zaczynało zmierzchać, powietrze nadal było gęste od pomruków fabryk, portowej krzątaniny i głośnego klekotu pociągów na pobliskim moście kolejowym.

Minął ciąg wnęk przypominających kształtem ambony, w których spali włóczędzy przykryci podartymi gazetami. Żaden z nich nawet nie drgnął ani nie wydał najmniejszego dźwięku, kiedy przechodził obok. Znalazł miejsce przy balustradzie i zaczął jeść danie kupione na stoisku rybnym po stronie Southwark. Za pensa każdy klient mógł tam otrzymać posiłek godny bogacza: filet ze świeżego łupacza lub dorsza usmażony w panierce z bułki w głębokim tłuszczu na piecu węglowym. Kiedy środek był już gotowy, a panierka brązowa i chrupka, filet zawijano w pergamin z gorącym kawałkiem cytryny i kilkoma gałązkami usmażonej z solą natki pietruszki.

Oparty o barierkę, posilał się wolno i rozmyślał nad swoją sytuacją. Przez cały dzień wędrował po mieście, między zamiataczami chodników i śmieciarzami, ludźmi noszącymi na sobie tablice reklamowe, czyścibutami, sprzedawcami ciastek i kieszonkowcami. Ledwie żył ze zmęczenia, ale czuł się bezpieczniej na ulicach niż uwięziony w zamkniętej przestrzeni swojego mieszkania.

Zwinął pergamin w kulkę, rzucił i patrzył, jak spada ponad dziesięć metrów, zanim uderzył w brudną, czarną wodę. Mimo nieustających wysiłków – surowszych przepisów, nowych rur i przepompowni – by ograniczyć ilość cuchnących ścieków wpuszczanych do Tamizy, w wodzie wciąż było za mało tlenu, by mogły w niej przetrwać ryby czy ssaki.

Papierowa kulka powoli zniknęła pod opalizującą powierzchnią.

Ethan podniósł wzrok na kopułę katedry Świętego Pawła, najwyższej londyńskiej budowli. Za nią w oddali połyskiwał mlecznym blaskiem welon chmur; różowe i pomarańczowe smugi przecinały go w kilku miejscach niczym żyły pulsujące światłem.

Myślał o Garrett, jak zawsze w chwilach spokoju. O tej porze dnia zwykle była już w domu. Niedaleko od mostu, na którym stał, mniej niż pięć kilometrów. Zawsze odruchowo próbował ustalić miejsce jej przebywania i dzielącą ich odległość. Myślenie o niej sprawiało mu przyjemność i pozwalało czuć się człowiekiem – bardziej niż cokolwiek innego.

Głośne dudnienie zapowiedziało przejazd pociągu między mostami Blackfriars i Southwark. Choć Ethan był przyzwyczajony do tego rodzaju hałasu, aż się skulił pod gwałtownym grzechotem blachownic, metalowych podkładów i sprzęgów między wagonami. Ciągły syk pary przerywało rytmiczne zgrzytanie tłoków. Odwrócił się od wody i ruszył chodnikiem.

Zaskoczyło go nagłe uderzenie w pierś, tak mocne, jakby ktoś walnął go maczugą. Odrzucony do tyłu, wylądował na ziemi bez tchu. Krztusząc się, usiłował nabrać powietrza do płuc, czemu towarzyszył dziwny odgłos, jakby brzęczenie w klatce piersiowej.

Resztką sił podniósł się na nogi. Kończyny odmawiały mu posłuszeństwa, mięśnie drżały i napinały się w odpowiedzi na pomieszane sygnały płynące z mózgu. Brzęczenie przeszło w straszny, palący ból; wydawało się niemożliwe, by ludzkie ciało mogło go wytrzymać. Oszołomiony opuścił głowę i spojrzał na siebie półprzytomnie. Na gorsie koszuli zobaczył powiększającą się ciemną plamę.

Został postrzelony.

Zamglonym wzrokiem dostrzegł Williama Gamble'a idącego w jego stronę z małym policyjnym rewolwerem w dłoni.

Ogłuszający hałas pociągu nie ustawał. Ethan oparł się plecami o balustradę mostu, żeby nie upaść.

– Liczyłeś na honor Felbrigga, co? – odezwał się Gamble, gdy pociąg w końcu odjechał. – To urodzony biurokrata. Zawsze ulegnie temu, który stoi wyżej od niego. Tatham i Jenkyn przekonali go, że ich plany służą dobru większości.

Ethan wpatrywał się w niego zupełnie osłupiały. Jezu Chryste… Komendant policji zamierzał pozwolić, by mnóstwo niewinnych ludzi, w tym kobiet i dzieci, zostało okaleczonych i pomordowanych… a wszystko dla politycznych korzyści.

– …obrobiłeś sejf Tathama podczas mojej służby, draniu – mówił ze złością Gamble. – Jenkyn nie palnął mi w łeb tylko dlatego, że sam wywołał zamęt, zapraszając doktor Gibson na to przyjęcie. – Wolno podszedł do Ransoma. – Nie chciałem cię wykończyć w taki sposób. Chciałem to zrobić w uczciwej walce.

– Było wystarczająco uczciwie – wykrztusił Ethan. – Powinienem był… zobaczyć, że się zbliżasz. – Słony płyn bulgotał mu w gardle. Odkaszlnął i zobaczył krople krwi spadające na ziemię. Pochylony spojrzał przez ażur balustrady na czarną wodę w dole. Podciągnął się i zaczepił rękami o szeroką poręcz.

Nie było szans na wygraną. Nie przeżyje.

– Powinieneś był – przyznał Gamble. – Ale od tygodni byłeś rozkojarzony, myślałeś tylko o tej zielonookiej suce. To ona do tego doprowadziła.

Garrett.

Miała się nigdy nie dowiedzieć, że właśnie o niej myślał w tych ostatnich chwilach. O tym, ile dla niego znaczyła. O ileż łatwiej byłoby umierać, gdyby jej to powiedział. Na szczęście wiedział, że poradzi sobie bez niego, tak jak dotąd sobie radziła. Była twardą, dzielną kobietą, silną z natury.

Martwił się tylko, że nikt nie będzie jej przynosił kwiatów. Dziwne, że w momencie, gdy jego życie tak gwałtownie dobiegało końca, nie było w nim złości ani strachu, tylko paląca duszę miłość. Rozpływał

się w niej. Przestawało istnieć wszystko inne poza tym, co czuł do Garrett.

– Była tego warta? – zadrwił Gamble.

Uczepiony poręczy, Ethan uśmiechnął się resztką sił.

– O, tak…

Zaraz potem odchylił się do tyłu, pozwolił, by siła ciężkości poderwała mu nogi, i przeleciał przez balustradę. Spadając, nogami naprzód, jak przez mgłę słyszał kolejne strzały. Wstrzymał oddech, przygotowany na uderzenie o wodę.

Świat eksplodował cuchnącą, lodowatą czernią, odrażającą jak piekło po wygaszeniu wszystkich kotłów z siarką i smołą. Płynna śmierć. Próbował poruszyć kończynami, choć nic nie widział i brakowało mu tchu. W końcu doznał obrażeń, których jego ciało nie mogło znieść.

Osuwał się w głębię, w głuchą ciszę, bez światła, bez czasu. Znikał na dnie rzeki milionowego miasta, pod jego nieprzeniknionym niebem; po istnieniu Ethana Ransoma nie pozostawały nawet śmiertelne szczątki. Jego zwalniające serce wybijało już tylko rytm jednego imienia… Garrett… Garrett… Była gdzieś tam, całkiem niedaleko. Rozpaczliwie trzymał się myśli o niej, kiedy nurt rzeki spychał go ku przeznaczeniu.

Rozdział 15

Elizo – odezwała się Garrett zmęczonym głosem i przetarła oczy – to, że mój ojciec czegoś chce, nie znaczy, że musisz mu to dawać.

Służąca stała przed nią naburmuszona. Powietrze w kuchni wypełniał ciężki, słodki zapach ciasta z bakaliami.

– Dałam mu malutki kawałek, nie grubszy od pani palca… proszę spojrzeć, pokażę pani ile…

– Nie chcę niczego oglądać. Chcę, żebyś się trzymała tygodniowego jadłospisu, który ci dałam.

– On nie lubi takiego jedzenia, mówi, że to jak dla inwalidy.

– On jest inwalidą.

Po wielu godzinach pracy w klinice Garrett wróciła do domu i odkryła, że Eliza z własnej woli postanowiła upiec jeden z ulubionych przysmaków ojca – wielki placek z bakaliami, stanowczo zbyt ciężki dla wrażliwego układu trawiennego starszego pana. Poza tym wypiek był przerażająco kosztowny, bo zużyła prawie trzy kilo porzeczek i rodzynek, półtora kilo jabłek, półtora kilo tłuszczu, kilo cukru, kilo wołowiny, po pół litra wina i brandy oraz rozmaite przyprawy; wszystko to zostało zapieczone na kruchym spodzie na ciemną, lepką masę.

Z pokoju ojca na piętrze nie dochodził żaden odgłos – Eliza zdążyła mu już zanieść placek i prawdopodobnie zjadał go w pośpiechu.

– Za godzinę lub dwie będzie się skarżył na ból żołądka – powiedziała Garrett z wyrzutem. – Wszystkie te składniki są dla niego niezdrowe, poczynając od tłuszczu, na cukrze kończąc.

– Pan Gibson kiedyś jadał taki placek co niedzielę – odparła Eliza tonem ni to wyjaśnienia, ni przeprosin. – A teraz nie wolno mu

nawet kawałeczka. Jakie przyjemności mu zostały? Nie ma żony, nie je słodyczy, ledwo chodzi, słabe oczy nie pozwalają mu czytać… Tylko siedzi u siebie i odlicza dni do następnej gry w pokera. Według mnie trzeba mu sprawić trochę radości od czasu do czasu.

Garrett już miała na końcu języka uszczypliwą odpowiedź, ale przełknęła ją, zastanowiwszy się nad słowami Elizy.

Służąca miała rację. Stanley Gibson, kiedyś pełen wigoru, aktywny mężczyzna – konstabl londyńskiej policji – obecnie spędzał większość czasu w zaciszu swojego pokoju. Ładnie urządzonego i wygodnego, co nie zmieniało faktu, że czasami musiał się w nim czuć jak w więzieniu. Co szkodziło trochę mu pofolgować? Troszcząc się o zachowanie resztek fizycznego zdrowia ojca, nie mogła mu odmawiać wszystkich drobnych przyjemności, dzięki którym życie jest znośne.

– Masz rację – przyznała z ociąganiem.

Eliza aż otworzyła usta z niedowierzania.

– Naprawdę?

– Przyznaję, że każdy zasługuje na odrobinę radości od czasu do czasu.

– Jest pani mądrą kobietą, pani doktor.

– Jeśli jednak ta „odrobina” nie pozwoli mu spać pół nocy z powodu boleści, będziesz musiała mi pomóc.

– Tak, pani doktor – odpowiedziała służąca, uśmiechając się od ucha do ucha.

Po wizycie u ojca, który sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego i upierał się, że nie będzie mieć żadnych kłopotów z żołądkiem, Garrett zeszła na dół do swojego gabinetu. Usiadła przy blacie sekretarzyka i sortując pocztę, skubała placek, który przyniosła jej Eliza. Udało się jej przełknąć najwyżej dwa kęsy. Nigdy nie przepadała za daniami łączącymi słodkie i wytrawne smaki, a już z pewnością nie podzielała upodobania ojca do tego wypieku. Jej zdaniem taka różnorodność składników nie miała prawa trafić do jednego ciasta, bo powstawała z tego ciężka, tłusta masa odporna na działanie enzymów trawiennych.

Jeszcze przed spróbowaniem placka czuła dziwne gniecenie w brzuchu. Przez cały dzień się martwiła, wiedząc, że Ethan

dostarczył już obciążające materiały do Scotland Yardu. Machina wymiaru sprawiedliwości została wprawiona w ruch, więc lord Tatham i sir Jasper z pewnością musieli się bronić, ratując własne głowy. Pocieszała się świadomością, że Ethan zna każdą piędź ziemi w Londynie, a do tego jest wyjątkowo bystry i sprawny. Potrafił o siebie zadbać.

Za kilka dni, kiedy konspiratorzy znajdą się za kratkami, Ethan z pewnością mnie odwiedzi, pomyślała. Z radością wyobraziła sobie, jak staje w progu, rosły i przystojny, może trochę zdenerwowany, a ona zaprasza go, by wszedł do środka. Porozmawiają o przyszłości… o ich przyszłości… i przekona go, że mimo jego obaw będą bardziej szczęśliwi razem niż osobno. A jeśli nie zdobędzie się na poproszenie jej o rękę, po prostu sama mu się oświadczy.

Właściwie jak powinny wyglądać oświadczyny?

W powieściach para wracała ze spaceru przy świetle księżyca już zaręczona, po *fait accompli*, a czytelnik miał sobie wyobrazić tę scenę w dowolny sposób. Garrett słyszała, że oświadczający się klęka na jedno kolano, czego rzecz jasna nie zamierzała robić dla nikogo… chyba że pomagając włożyć chorego na szpitalne nosze.

Ponieważ recytowanie romantycznych fraz raczej nie leżało w jej naturze, w istocie byłoby lepiej, gdyby to Ethan wystąpił z małżeńską propozycją. Powiedziałby coś ładnego tym swoim uroczym irlandzkim akcentem. Tak, postanowiła znaleźć sposób, by go do tego nakłonić.

Czy naprawdę rozważała małżeństwo z mężczyzną, którego tak słabo znała? Gdyby chodziło o inną kobietę, radziłaby jej zaczekać, dowiedzieć się więcej o przyszłym małżonku. Istniało wszak więcej możliwości, że coś pójdzie źle, niż że ułoży się pomyślnie.

Ale musiałam w życiu czekać na tak wiele rzeczy, pomyślała. Przez lata studiowała i pracowała, podczas gdy inne kobiety były adorowane i się do nich zalecano. Zawód lekarza był jej marzeniem i powołaniem. Nie wierzyła, że w przyszłości znajdzie stałego kochającego partnera, który otoczy ją opieką. Nie chciała być od nikogo zależna z konieczności.

Niczego nie żałowała, wiodła dokładnie takie życie, jakiego pragnęła. Z drugiej strony jednak… zmęczyła ją ciągła ostrożność,

odpowiedzialność. Tęskniła za tym, by móc się poczuć kochaną i pożądaną, przyjmować i okazywać namiętność. Ethan Ransom był jedynym mężczyzną, dla którego chciała podjąć ryzyko wynikające z prawdziwej bliskości – nie tylko cielesnej, ale też uczuciowej. Czuła, że może go dopuścić do swoich najskrytszych myśli, bo nigdy by jej nie wyśmiał ani umyślnie nie zranił. Nie chciałby też więcej od niej brać, niż jej dawać. Jednocześnie byłby wymagającym kochankiem, nie pozwoliłby jej niczego przed sobą ukrywać czy przed niczym się wzbraniać, co trochę ją przerażało… i podniecało zarazem.

Ostry łomot kołatki wyrwał Garrett z zamyślenia. Było już dawno po godzinach przyjęć pacjentów i dostaw. Nie minęło jednak pięć sekund, gdy uporczywe stukanie rozległo się ponownie.

Eliza podbiegła do drzwi, mamrocząc pod nosem coś o ludziach, którzy dobijają się tak, że mogliby zbudzić umarłego.

– Dobry wieczór – Garrett usłyszała jej szorstki głos. – W jakiej sprawie?

Nastąpiła stłumiona wymiana zdań.

Nie mogąc dosłyszeć, o co chodzi, obróciła się na krześle i spojrzała w stronę drzwi.

Wkrótce stanęła w nich Eliza z poskładaną kartką w ręce.

– To jeden z lokai lorda Treneara, pani doktor. Kazał pani to oddać. Czeka.

Garrett wyciągnęła rękę po list. Przełamała lakową pieczęć i zobaczyła kilka linijek napisanych w widocznym pośpiechu nieco pochyłym pismem; tam ogonek za bardzo wystawał, tu brakowało kropki. Autorką była lady Kathleen Trenear, żona earla.

Doktor Gibson,

jeśli Pani może, proszę przyjechać jak najszybciej do Ravenel House. Jednemu z gości zdarzył się wypadek. Ponieważ sprawa jest delikatna, proszę o całkowitą dyskrecję. Dziękuję, droga Przyjaciółko.

K.

Garrett wstała tak gwałtownie, że krzesło omal nie przewróciło się na ziemię.

– Ktoś został ranny – powiedziała do Elizy. – Jadę do Ravenel House. Upewnij się, czy zestaw narzędzi chirurgicznych jest w torbie, a potem przynieś mi płaszcz i kapelusz.

Eliza na szczęście nie traciła czasu na zbędne dopytywanie, tylko od razu pobiegła spełnić polecenia. Pomagała doktor Gibson w wielu sytuacjach, kiedy szybkość działania decydowała o losie pacjenta.

Choć Garrett pełniła funkcję osobistej lekarki lady Helen i Pandory, reszta Ravenelów zwykle polegała na usługach zaufanego lekarza rodzinnego. Dlaczego nie posłali po niego? Był niedostępny czy może zdecydowali, że Garrett lepiej się sprawdzi w tym przypadku?

Lokaj, wysoki jasnowłosy chłopak, usłuchał natychmiast, kiedy kazała mu pójść za sobą do gabinetu.

– Kto został ranny? – spytała bez wstępów.

– Niestety, nie wiem, panno… to znaczy proszę pani doktor. Ktoś obcy.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Co mu się stało? – Widząc wahanie chłopaka, dodała niecierpliwie: – Muszę znać rodzaj obrażeń, żeby wziąć odpowiednie narzędzia i leki.

– To był wypadek z bronią.

– W porządku – mruknęła. Chwyciła druciany koszyk z różnymi drobiazgami i wysypała jego zawartość na podłogę. Następnie podeszła szybko do szafki z lekami, zaczęła wybierać różne rzeczy i wkładać je do opróżnionego koszyka. Chloroform, eter, kwas karbolowy, jodoform, kolodium, roztwór bizmutu, gaza, bandaże, gliceryna, ligatura, alkohol izopropylowy, sole metaliczne… – Weź to. – Przesunęła koszyk w jego stronę. – I to. – Podała mu wielki słój sterylizowanej wody. Otoczył go wolnym ramieniem i lekko się zachwiał. – Chodź – rzuciła Garrett, kierując się do wyjścia, przy którym czekała już Eliza z kapeluszem i płaszczem.

– Nie wiem, jak długo tam zabawię – zwróciła się do niej Garrett, wciągając na siebie wierzchnie okrycie. – Jeśli ojciec będzie się

skarżył na żołądek, daj mu jedną dawkę toniku na trawienie z szafki w jego sypialni.

– Dobrze, pani doktor. – Eliza podała jej ciężką lekarską torbę i laskę.

Lokaj szybko podszedł do drzwi i próbował je otworzyć, ale szło mu opornie, bo obie ręce miał zajęte. Służąca rzuciła mu się na pomoc.

Garrett zatrzymała się w progu, widząc czarny powóz bez żadnych symboli pozwalających zidentyfikować właściciela. Zerknęła podejrzliwie na lokaja.

– Dlaczego jest nieoznaczony? – spytała. – Powóz Ravenelów ma rodzinny herb wymalowany na drzwiczkach.

– Lord Trenear tak zdecydował. Powiedział mi, że chodzi o prywatną sprawę.

Nadal stała w miejscu.

– Jakie imiona noszą psy należące do rodziny?

Lokaj sprawiał wrażenie urażonego.

– Napoleon i Józefina. To małe czarne spaniele.

– Powiedz jakieś słowo Pandory.

Pandora, jedna z bliźniaczek, często używała wymyślonych przez siebie określeń, kiedy te istniejące jej nie odpowiadały. Mimo że starała się zwalczać u siebie ten nawyk, nadal od czasu do czasu coś jej się wymykało.

Lokaj zamyślił się na moment.

– Figatura? – rzekł z nadzieją, że to jej wystarczy. – Powiedziała tak, próbując figowych konfitur naszej kucharki.

Pasowało do Pandory. Garrett zdecydowanie pokiwała głową.

– Ruszajmy.

Odległość z King’s Cross do Ravenel House na South Audley wynosiła mniej więcej pięć i pół kilometra, ale wydawała się Garrett o wiele dłuższa. Drżąc z niecierpliwości, jedną ręką ściskała torbę spoczywającą na jej kolanach, drugą przytrzymywała koszyk z grzechoczącymi szkłem medycznymi zapasami. Zamierzała zrobić co tylko będzie mogła dla Ravenelów, którzy zawsze byli jej życzliwi i nigdy się nie wywyższali mimo swego statusu.

Obecny earl, lord Devon Trenear, był dalekim kuzynem, który niespodziewanie odziedziczył tytuł, gdy dwaj poprzedni earlowie

zmarli, jeden szybko po drugim. Choć Devon był młody i nie miał żadnego doświadczenia w zarządzaniu wielką posiadłością i wypełnianiu związanych z tym finansowych zobowiązań, dobrze sobie radził. Wziął też odpowiedzialność za trzy siostry Ravenel: Helen, Pandorę i Cassandrę, wówczas wszystkie niezamężne, choć z łatwością mógł się od niej wymigać.

W końcu ukazała się przed nimi rozłożysta jakobińska budowla; sam w sobie mało efektowny, prostokątny kształt fasady zdobiły liczne gzymsy z wzorem zawijasów, kolumny, łuki i balustrady. Mimo potężnych gabarytów rezydencja sprawiała wrażenie ciepłej i przytulnej, zapewne dzięki patynie czasu. Gdy tylko powóz się zatrzymał, jeden lokaj rzucił się do otwierania drzwi, drugi zajrzał do środka, gotów pomóc Garrett wysiąść.

– Weź to – poleciła, wręczając mu koszyk. – I uważaj, bo większość z tych substancji jest żrąca i łatwopalna.

Lokaj spojrzał na nią, starając się nie okazać strachu, po czym ostrożnie zajął się koszykiem.

Garrett wyskoczyła z powozu i niemal biegiem pokonała kamienny chodnik prowadzący do wejściowych schodów.

Na progu czekały na nią dwie kobiety: pulchna siwowłosa gospodyni pani Abbot i lady Cassandra, jasnowłosa dziewczyna o niebieskich oczach, z twarzą, jakie widuje się na kameach. Za ich plecami w wielkim holu wejściowym panowała nerwowa krzątanina, pokojówki i lokaje biegali tam i z powrotem z dzbankami wody i czymś, co wyglądało na zabrudzone ręczniki i bieliznę pościelową.

Garrett zmarszczyła nos, wychwytując w powietrzu dziwny zapach czegoś organicznego zmieszanego ze żrącymi chemikaliami… Skądkolwiek pochodził, był odpychający.

Gospodyni pomogła jej zdjąć płaszcz i kapelusz.

– Doktor Gibson – odezwała się Cassandra. Jej piękne rysy ściągał niepokój. – Dzięki Bogu, że przyjechała pani tak szybko.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Właściwie nie wiem dokładnie. Policja rzeczna przywiozła tu jakiegoś mężczyznę… Prosili, żeby nikomu o tym nie mówić. Został wrzucony do rzeki i podobno, kiedy go wyciągali, sądzili, że nie żyje, ale potem zaczął kaszleć i jęczeć. Przywieźli go tutaj, bo miał przy

sobie wizytówkę kuzyna Westa, a nie znali żadnego innego odpowiedniego miejsca.

– Biedak – powiedziała cicho Garrett. Nawet zdrowy człowiek wystawiony na toksyczne działanie wód Tamizy poważnie by się rozchorował. – Gdzie jest teraz?

– Zanieśli go do podwójnej biblioteki – odpowiedziała pani Abbot, wskazując na pobliski korytarz. – Straszny tam bałagan. Lord i lady Trenear próbują zmyć z niego brud, żeby się poczuł lepiej. – Pokręciła głową zmartwiona. – Dywany… meble… bez wątpienia wszystko zniszczone.

– Dlaczego earl i hrabina osobiście zajmują się obcym? – wyraziła zdziwienie Garrett.

Z korytarza wyszedł mężczyzna i przyłączył się do rozmowy:

– On nie jest obcy. – Miał przyjemny, niski głos i akcent świadczący o przynależności do wyższej sfery.

Garrett odwróciła się ku niemu gwałtownie i wstrzymała oddech, ucieszona… i skonsternowana. Ethan. Niebieskie, bardzo niebieskie oczy… ciemne włosy… atletyczna sylwetka… Ale to nie był on. Rozczarowanie miało ciężar ołowiu, a zaraz po nim opadły ją złe przeczucia.

– Jestem West Ravenel – przedstawił się, po czym spojrzał nad ramieniem Garrett na Cassandrę. – Kochanie, pozwól mi zamienić parę słów z panią doktor.

Dziewczyna natychmiast się oddaliła, a w krok za nią gospodyni.

– Ranny mężczyzna jest pani znajomym – powiedział cicho West. – Jest pani tu, bo prosił, żeby panią wezwać.

Garrett poczuła, jak od środka skuwa ją lód. Miała wrażenie, że zjedzone wcześniej kawałki placka wracają jej do przełyku. Starając się zapanować nad nudnościami, wydusiła:

– Czy to pan Ransom?

– Tak.

Ostre kolce wbijały jej się w serce, utrzymując je w miejscu. Czuła, że twarz wykrzywia jej niemożliwy do powstrzymania grymas.

Ravenel mówił powoli, dając jej czas na oswojenie się z kolejnymi porcjami wiadomości.

– Ma w piersi kulę. Stracił dużo krwi. Rana chyba już nie broczy, ale on sam jest w bardzo złym stanie. Na przemian traci i odzyskuje świadomość. Posłaliśmy po panią nie w nadziei, że pani go uleczy, tylko dlatego, że chciał panią zobaczyć ostatni raz.

Garrett mimo obezwładniającego przerażenia starała się zachować względną jasność umysłu. Miała ochotę krzyczeć, płakać, rzucić się na ziemię. Jednak kiedy pomyślała o ludziach, którzy go skrzywdzili, poprzez rozpacz wezbrała w niej furia. Jak śmieli mu to zrobić?! Gniew uspokoił ją i dodał jej sił. Jej palce same zacisnęły się na uchwycie lekarskiej torby.

– Zaprowadźcie mnie do niego – usłyszała własny, pewny głos. – Wyleczę go.

Rozdział 16

Chyba nie zdaje pani sobie sprawy, w jakim jest stanie – powiedział West Ravenel, prowadząc ją do podwójnej biblioteki. – Jego życie wisi na włosku.

– Całkiem dobrze zdaję sobie sprawę – odparła Garrett, idąc szybko korytarzem. – Każde przebicie klatki piersiowej zagraża życiu. Co więcej, Tamiza jest skażona bakteriami, azotanami i trującymi chemikaliami. Trudno go zdezynfekować.

– Ale uważa pani, że jest szansa, by go uratować? – spytał Ravenel tonem pełnym sceptycyzmu.

– Ja go uratuję. – Potrząsnęła głową ze złością, słysząc drżenie we własnym głosie.

Weszli do biblioteki – dwóch połączonych ze sobą przestronnych pokoi, gdzie całe ściany pokrywały mahoniowe półki z książkami. Wnętrze urządzono kilkoma masywnymi meblami, wśród których były potężny stół na środku i długa, niska kanapa. Na wielkim perskim dywanie, mocno już przemoczonym, walały się ręczniki i stały naczynia z wodą. Nieznośny smród mieszał się z ostrym zapachem karbolowego mydła, używanego zwykle przy koniach i obiektach trudnych do umycia w inny sposób.

Drobna sylwetka lady Kathleen Trenear i znacznie większa jej męża Devona pochylały się nad nieruchomą postacią leżącą na kanapie.

Garrett, niemal ogłuszona waleniem swojego serca, miała wrażenie, że oświetlenie pokoju pulsuje jej przed oczyma.

– Dobry wieczór – odezwała się, próbując, bez sukcesu, udawać spokój.

Oboje odwrócili się w jej stronę.

Kathleen, rudowłosa kobieta o delikatnej, nieco kociej urodzie, patrzyła na nią z troską.

– Doktor Gibson – powiedziała cicho.

– Hrabino – powitała ją Garrett, po czym skinęła ciemnowłosemu earlowi. – Lordzie Trenear.

Dopiero wtedy popatrzyła na Ethana.

Gdyby nie ciągłe drżenie wstrząsające jego długim ciałem, byłaby pewna, że już jest martwy. Cerę miał woskową, wargi sine, oczy głęboko zapadnięte. Przykryto go kołdrą, ale barki i jedno ramię pozostały odsłonięte. Dłoń, leżąca wewnętrzną stroną do góry, miała podkurczone palce z fioletowymi paznokciami.

Garrett postawiła na ziemi lekarską torbę, uklękła na złożonym ręczniku obok kanapy i sięgnęła po nadgarstek rannego, żeby zmierzyć mu puls. Był prawie niewyczuwalny. O Boże… Stracił zbyt wiele krwi. Każda jej czynność mogła go zabić.

Ethan poruszył się nieznacznie, kiedy go dotknęła. Gęste rzęsy uniosły się, ukazując błysk nieziemskiego błękitu. Z trudem skupił na niej wzrok i na jego ustach wykwitł blady cień uśmiechu.

– Garrett… Mój czas… nie trwał długo.

– Nonsens – odparła stanowczo. – Wkrótce postawię cię na nogi.

Zaczęła naciągać na niego kołdrę, ale powstrzymał ją, kładąc swą dużą, zimną dłoń na jej ręce.

– Ja umieram, kochanie… – wyszeptał.

Te słowa wstrząsnęły nią jak jeszcze nic w życiu. Sama nie rozumiała, jakim cudem zdołała odpowiedzieć normalnym głosem:

– Będę wdzięczna, jeśli to mnie pozostawisz stawianie diagnozy.

Dotyk jego palców, pozbawionych naturalnego ciepła i siły, wydał się jej obcy.

– Garrett…

Wolną ręką odsunęła kołdrę, żeby obejrzeć ranę od kuli. Ujrzała zdumiewająco czystą, małą dziurkę. Biorąc pod uwagę elastyczność skóry, należało zakładać, że kula jest większa niż średnica otworu wlotowego.

Ethan nie spuszczał z niej wzroku.

– Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś tą jedyną – mówił z wysiłkiem. – Zawsze cię kochałem. Gdybym mógł

decydować o swoim losie, nie chciałbym nigdy się z tobą rozstawać. *Acushla…* jesteś moim sercem i duszą… nie ma na tym świecie kobiety lepszej i piękniejszej od ciebie. Twój cień jest dla mnie słońcem.

Zamilkł i opuścił powieki. Przebiegł go dreszcz. Ból ściągnął mu brwi, jakby się na czymś bardzo mocno skupiał.

Garrett puściła go i niezręcznie zaczęła grzebać w torbie. Serce rozpadało się jej na kawałki, miała ochotę rzucić się na Ethana i wyć z rozpaczy. Nie mam na to dość siły, myślała. Nie wytrzymam tego. Boże, proszę, nie pozwól na to… proszę…

Kiedy jednak spojrzała na szarą jak popiół twarz Ethana, jej cierpienie przerodziło się w spokojną determinację. Przysięgła sobie, że nie pozwoli mu umrzeć. Nie mogła go stracić.

Wyjęła z torby stetoskop i zaczęła go przykładać do różnych punktów na jego klatce piersiowej, od miejsca tuż przy obojczyku po wgłębienie pod najniższym żebrem. Wprawdzie oddychał stanowczo za szybko i płytko, ale wyglądało na to, że płuca nie są zniszczone. Uczepiona tej jednej dobrej wieści odszukała pudełko z igłami i przygotowała zastrzyk morfiny.

– Ethanie, możesz mi powiedzieć, jaka to była broń? – spytała cicho. – Widziałeś, w jakiej odległości stał strzelający?

Uchylił powieki i spojrzał na nią półprzytomnie.

Lord Trenear odpowiedział zza pleców Garrett:

– Sądząc po śladach prochu, strzelano do niego z bardzo bliska. Nie ma rany wylotowej. Według mnie to był pocisk dużego kalibru lecący z małą prędkością.

Miała nadzieję, że się nie myli. Droga przejścia większej kuli przez ciało byłaby szersza, co ułatwiłoby jej poszukiwanie i usunięcie.

– Powiedział, że to był jeden z ludzi Jenkyna – mówił dalej lord Trenear. – Profesjonalny zabójca użyłby bardziej nowoczesnej broni, nie z okrągłymi, tylko ze stożkowatymi kulami, częściowo powleczonymi miedzianą lub stalową osłoną.

– Dziękuję, milordzie. – Ostry koniec pozwolił zakładać, że kula szła prosto, bez rykoszetowania wewnątrz rany. A jeśli miała twardą osłonę, to ołów się nie rozpadł na kawałki.

Trenear chyba się domyślił, że Garrett zamierza operować Ethana natychmiast, podejmując rozpaczliwy wysiłek ratowania mu życia, bo popatrzył na nią ze zrozumieniem. Zauważyła, że ma ciemnoniebieskie tęczówki z czarną obwódką… Oczy Ethana. Czyżby traciła zmysły? Postanowiła myśleć wyłącznie o czekającym ją zadaniu.

– Czego pani potrzebuje? – spytała Kathleen, stając u jej boku. – Mamy trzy duże dzbany przegotowanej wody, a następne już się grzeją. Używaliśmy jej do mycia go karbolowym mydłem.

– Doskonale – pochwaliła lekarka. – Lokaj wniósł tu koszyk z różnymi środkami chirurgicznymi. Jeśli pani zechce pomóc, milady, proszę znaleźć butelkę opisaną jako podchloryn sodu i wlać całą jej zawartość do jednego z dzbanków z wodą. Należy jej użyć do bardzo dokładnego zdezynfekowania stołu, a potem nakryć blat czystymi lnianymi prześcieradłami. Będziemy tu potrzebować tylu lamp, ile tylko można zgromadzić. – Odwróciła się do Devona. – Milordzie, może pan kogoś wysłać po doktora Havelocka?

– Przywiozę go osobiście.

– Dziękuję. Proszę też dopilnować, żeby przywiózł ze sobą aparat Roussela. Będzie protestował, ale proszę nie pozwolić mu przyjechać bez tego urządzenia. – Cały czas klęcząc przy kanapie, Garrett posmarowała ramię Ethana roztworem antyseptycznym. Następnie uniosła strzykawkę z morfiną i zaczęła pewnym ruchem naciskać tłok, usuwając powietrze, aż na końcu igły ukazała się kropelka płynu.

Ethan poruszył się i mrugnął, jakby odzyskiwał czucie.

– Garrett… – odezwał się spowolniałym głosem, jakby ją znał, ale nie był do końca pewien imienia. Popatrzył na strzykawkę. – Nie potrzebuję tego.

– Docenisz, kiedy zacznę szukać kuli.

Pierś mu się unosiła i opadała w wysilonym oddechu.

– Nawet nie myśl o tym, żeby mnie otwierać, jak… puszkę szynki.

– Otrzymasz właściwe leczenie – oznajmiła rzeczowo.

– Jeśli nawet przetrwam operację, zabije mnie gorączka.

– Przetrwasz operację i z pewnością będziesz potem gorączkował. I to mocno. Po kąpieli w tej brudnej rzece aż się w tobie roi

od chorobotwórczych mikrobów. Na szczęście przywiozłam ze sobą różne środki odkażające. Dopilnuję, żebyś wkrótce był czysty jak łza.

– Na litość boską, kobieto… Och, do licha, co to jest?

– Morfina – odpowiedziała, wpuszczając zawartość strzykawki w mięsień jego ramienia.

Ethan zrozumiał, że nic jej nie powstrzyma.

– Nie masz w sobie ani grama romantyzmu… – wymamrotał.

To brzmiało tak typowo dla dawnego Ethana, że niemal się uśmiechnęła.

– Na studiach medycznych bardzo dokładnie poznałam ludzkie ciało. Uwierz mi, nie ma w nim czegoś takiego jak romantyzm.

Odwrócił twarz w drugą stronę.

Miłość i żal dosłownie skręcały Garrett od środka. Musiała zaciskać wargi, tak mocno jej drżały. Wiedziała, że Ethan rozumie swoje położenie, wie, jak bliski jest śmierci, i poddaje się temu, co uważa za nieuniknione. Chciał spędzić ostatnie minuty życia świadomie, w ramionach kobiety, którą kochał. Tymczasem ona, zamiast pieszczotą koić jego ból, sięgała po narzędzia chirurgiczne. Zamiast patrzeć na niego z czułością, zamierzała oglądać jego poszarpane trzewia.

Nie, z całą pewnością nie była romantyczką.

Ale też nie byłaby kobietą, którą pokochał, gdyby nie wykorzystała wszystkich swoich umiejętności, żeby go ratować.

Odłożyła strzykawkę i spojrzała na idealny kształt jego ucha. Następnie pochyliła się i leciutko musnęła wargami małżowinę.

– Ethanie – powiedziała szeptem – posłuchaj mnie. Przeprowadzę cię przez to i będę się tobą opiekować. Będę przy tobie cały czas. Zaufaj mi.

Nieznacznie odwrócił ku niej głowę. Widziała, że jej nie wierzy. Światło w jego oczach zblakło, dostrzegła ostatnie, słabe błyski, jak płomień świecy, która zaraz zgaśnie.

– Powiedz mi, że mnie kochasz – poprosił szeptem.

Kocham cię i potrzebuję, o Boże, proszę, zostań ze mną, cisnęło się jej na usta, ale miała mrożące krew w żyłach przeczucie, że mówiąc to na głos, pozwoliłaby mu się poddać. Jakby udzielała mu zgody na spokojne odejście, zamiast zmuszać go do walki o życie.

– Później – szepnęła. – Powiem ci, kiedy się obudzisz.

Zanim przyjechał doktor Havelock, Ethana przeniesiono na masywny dębowy stół. West Ravenel i trzej lokaje zrobili to, zachowując najwyższą ostrożność, by nie dopuścić do przemieszczenia odłamków kości lub kawałków ołowiu i nie spowodować innych obrażeń. Ethan wpadł w stan delirium, od czasu do czasu jęczał tylko lub wydawał stłumione okrzyki.

Z pomocą Kathleen Garrett wytarła całe jego ciało środkiem dezynfekującym i wygoliła skórę wokół rany, przygotowując pole do operacji. Dla zachowania przyzwoitości ułożyły mu ręcznik w poprzek bioder, a potem okryły go czystymi bawełnianymi kocami. Kredowa bladość skóry nadała mu wygląd marmurowego posągu, perfekcyjnego w formie i wypolerowanego na jedwabistą gładkość. Widok atletycznego mężczyzny, jeszcze niedawno tryskającego zdrowiem, w tak opłakanym stanie sprawiał tym bardziej tragiczne wrażenie. Choć morfina działała, najwyraźniej odczuwał ból, ale Garrett obawiała się zwiększyć dawkę ze względu na jego bardzo niskie ciśnienie.

Jeszcze nikogo w życiu nie witała z taką ulgą jak doktora Havelocka. Obecność starszego kolegi dodała jej otuchy. Uwierzyła, że razem zdołają uratować Ethana. Śnieżnobiała czupryna Havelocka została w pośpiechu zaczesana do tyłu, a na jego podbródku kiełkowała szczecina siwego zarostu. Zbadał Ethana szybko, lecz dokładnie, odpowiadając na jego majaczenie kilkoma uspokajającymi słowami.

Kiedy Havelock miał już pełny obraz sytuacji, Garrett poszła z nim w odległy kąt biblioteki, żeby się naradzić na osobności.

– Jest na skraju niewydolności krążenia – powiedział doktor z troską. – Prawdę mówiąc, jeszcze nie widziałem pacjenta, który przeżyłby tak potężny krwotok. Kula przebiła lewy mięsień piersiowy. Nie zdziwiłbym się, gdyby tętnica została całkowicie przerwana.

– Też tak pomyślałam… ale w takim przypadku powinien natychmiast nastąpić zgon. Dlaczego krwawienie ustało? Gdyby

nastąpił przeciek do klatki piersiowej, funkcja płuc byłaby upośledzona, a nie jest.

– Możliwe, że tętnica się obkurczyła i tym samym czasowo uszczelniła.

– Jeśli to tętnica pachowa, czy wystarczy krwi dla ramienia, jeśli je podwiążę?

– Owszem, pozostanie dostateczne krążenie oboczne, ale nie zalecałbym takiego rozwiązania.

– Zatem co pan zaleca?

Havelock długo na nią patrzył. Wyraz jego oczu wcale jej się nie spodobał.

– Proszę zrobić, co się da, żeby biedak nie cierpiał, i pozwolić mu umrzeć w spokoju.

Żachnęła się, jakby ją spoliczkował.

– Co? Nie! Zamierzam go uratować.

– Nie może pani. Z tego wszystkiego, co mnie pani nauczyła o antyseptyce, wnoszę, że ten człowiek jest tak skażony, wewnątrz i na zewnątrz, że nie ma już dla niego nadziei. Poddawanie go niepotrzebnym zabiegom chirurgicznym jest szalone i egoistyczne. Gdybyśmy zdołali opóźnić jego śmierć o dzień lub dwa, czekałaby go niesłychanie bolesna agonia. Posocznica obejmie całe ciało i zrujnuje wszystkie organy. Nie chcę mieć tego na sumieniu i pani też nie życzę.

– Pozwoli pan, że osobiście zadbam o własne sumienie. Proszę mi po prostu pomóc, doktorze Havelock. Sama sobie nie poradzę.

– Operowanie wbrew medycznym faktom… i sprawianie pacjentowi niepotrzebnych cierpień jest błędem lekarskim i nadużyciem.

– Nie obchodzi mnie to – ucięła ostro Garrett.

– Będzie obchodziło, jeśli zniszczy pani swoją karierę. Znajdzie się wielu takich, którzy tylko czekają na pani potknięcie. Pierwsza kobieta lekarz pozbawiona prawa do wykonywania zawodu z powodu skandalu i błędu w sztuce… Co to będzie oznaczało dla kobiet, które marzą o pójściu w pani ślady? Co z pacjentami, którym nie będzie pani już mogła pomagać w przyszłości?

– Jeśli nie zrobię nic dla tego człowieka, już nigdy nikomu się nie przydam! – wybuchnęła Garrett, roztrzęsiona z emocji. – Będzie

mnie to prześladować do końca moich dni. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że istniała szansa, by go uratować, a ja nie spróbowałam jej wykorzystać. Nie zna go pan. Gdyby sytuacja była odwrotna, zrobiłby dla mnie wszystko. Teraz ja muszę walczyć dla niego. Muszę.

Havelock patrzył na nią tak, jakby jej nie poznawał.

– Nie myśli pani racjonalnie.

– Nigdy w życiu nie myślałam bardziej racjonalnie, doktorze.

– Poznała pani tego człowieka ledwie wczoraj wieczorem w domu lorda Tathama.

Garrett zarumieniła się, ale nie spuściła wzroku.

– Znaliśmy się już wcześniej – przyznała. – On jest moim… jest… jest dla mnie ważny.

– Rozumiem. – Havelock w milczeniu gładził się po bokobrodach, podczas gdy cenne sekundy życia Ethana mijały bezpowrotnie.

– Przywiózł pan ze sobą aparat Roussela? – spytała zniecierpliwiona Garrett, chcąc jak najszybciej podjąć działanie.

Havelock jeszcze bardziej się zasępił.

– Próbowałem zastosować transfuzję w siedmiu różnych przypadkach i wszystkie poza jednym zakończyły się wstrząsem, bólem i udarem lub zatrzymaniem krążenia. Nikt jeszcze nie odkrył, dlaczego jedna krew nadaje się do przetoczenia, a inna nie. Nie widziała pani, co się dzieje w razie niepowodzenia. Ja widziałem. Nigdy więcej świadomie nie narażę pacjenta na takie cierpienie.

– Przywiózł pan? – powtórzyła z uporem.

– Przywiozłem. Boże, dopomóż, jeśli spróbuje pani z niego skorzystać. Proszę uczciwie postawić sprawę, doktor Gibson: kieruje panią dobro pacjenta czy własne?

– Obojga z nas! Robię to dla nas obojga.

Po minie Havelocka poznała, że to niewłaściwa odpowiedź.

– Nie mogę pomóc pani w czymś, co nie posłuży ani pani, ani jemu. To szaleństwo, Garrett. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

W pełnej napięcia ciszy patrzył na nią wzrokiem, w którym wyczytała zarazem prośbę, jak i zdecydowanie. A potem ruszył do drzwi.

– Odchodzi pan? – wydukała z niedowierzaniem.

Nie odpowiedział, zniknął za progiem.

Garrett poczuła odrętwienie. Doktor William Havelock, jej partner, mentor i zaufany doradca, człowiek z umiejętnością niezawodnego rozróżniania dobra od zła nawet w najbardziej skomplikowanych sytuacjach, po prostu ją opuścił. Nie chciał brać udziału w tym, co robiła. Nie dlatego, że się mylił – dlatego że ona nie miała racji. Trwał przy swoich zasadach, podczas gdy ona…

Nie miała zasad, kiedy chodziło o Ethana Ransoma. Kierowała się tylko miłością do niego.

Wstrząśnięta, zrozpaczona, zamrugała, żeby powstrzymać łzy. Dławiła się własnym oddechem. Do diabła, płakała.

Wtedy ktoś stanął w drzwiach. West Ravenel, oparty mocnym ramieniem o framugę, przyglądał się Garrett nieruchomym spojrzeniem. Niebieskie oczy błyszczały na tle opalonej twarzy.

Opuściła głowę i kilka razy przełknęła, żeby pozbyć się kłującego bólu w gardle. Zabrakło jej argumentów. Musiał czuć do niej pogardę – albo litość, albo jedno i drugie. Mógł ją pogrążyć jednym słowem.

– Niech się pani zabiera do roboty – odezwał się takim tonem, jakby chodziło o prostą czynność. – Ja pani pomogę.

Gwałtownie poderwała głowę. Gapiła się na niego, zupełnie osłupiała. Dopiero po chwili do niej dotarło, że chce jej asystować przy operacji. Musiała dwukrotnie odchrząknąć, by napięte mięśnie pozwoliły jej wydobyć z siebie głos.

– Ma pan za sobą jakieś medyczne przeszkolenie?

– Żadnego. Ale będę robił wszystko, co mi pani każe.

– Czy widok krwi stanowi dla pana jakiś problem?

– Boże, nie! Jestem farmerem. Cały czas mam do czynienia z krwią, zarówno zwierzęcą, jak i ludzką.

Garrett przyjrzała mu się z powątpiewaniem, po czym otarła łzy rękawem.

– Uprawa ziemi jest aż tak krwawa?

Ravenel odpowiedział uśmiechem.

– Nie mówiłem, że dobrze mi idzie. – Uśmiechnięty tak bardzo przypominał Ethana, że serce jej się ścisnęło. Wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta chusteczkę i podszedł, żeby jej podać.

Zawstydzona, że widział ją płaczącą, wytarła oczy i twarz, a potem wydmuchała nos.

– Ile pan usłyszał?

– Prawie wszystko. W tej bibliotece jest szczególna akustyka.

– Uważa pan, że Havelock miał rację?

– W czym?

– Że powinnam ulżyć cierpieniu pana Ransoma w jego ostatnich minutach na tej ziemi, zamiast torturować go operacją?

– Już pani zepsuła jedną wzruszającą scenę na łożu śmierci. Nie mogłem się doczekać, co nastąpi po: „twój cień jest dla mnie słońcem", ale pani zaczęła wydawać rozkazy jak sierżant podczas musztry. Może pani operować Ransoma, i tak już dziś nie powie nic ciekawego.

Garrett wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Ten człowiek albo nie wiedział, albo nie dbał o to, jak niestosowne są żarty w takich okolicznościach. Podejrzewała raczej tę drugą ewentualność. Z drugiej strony jego niefrasobliwość trochę ją uspokoiła. Wyczuwała, że West Ravenel potrafi być zimnym draniem, kiedy mu pasuje, a w tym momencie właśnie tego potrzebowała.

– Dobrze. Proszę iść do kuchni i wymyć górną połowę ciała karbolowym mydłem i gorącą wodą – poleciła. – I szczególnie dokładnie wyszorować miejsca pod paznokciami. – Popatrzyła na jego ręce, z długimi palcami, nienagannie czyste. Paznokcie miał obcięte najkrócej, jak się dało, biały półksiężyc był prawie niewidoczny.

– Co mam na siebie włożyć? – spytał rzeczowo.

– Wygotowaną lnianą lub bawełnianą koszulę. Potem proszę niczego nie dotykać, zwłaszcza stołów i klamek, i przyjść od razu tutaj.

Skłonił się przed nią i szybko odszedł wypełnić polecenie.

– Pani Abbot – usłyszała jego głos dobiegający z korytarza – idę do kuchni się umyć. Pewnie zechce pani ostrzec podkuchenne, żeby zakryły oczy przed widokiem mojego męskiego torsu.

Lady Trenear podeszła do Garrett.

– Czyje podkuchenne ma na myśli? – rzuciła cierpko. – Bo nasze będą się czaić w spiżarni, żeby jak najwięcej zobaczyć.

– Można na nim polegać? – spytała ją Garrett.

– O, tak, zdecydowanie. West zarządza gospodarstwem należącym do majątku i dzierżawionymi farmami, ma doświadczenie na każdym polu, od wiosennych porodów owiec do pielęgnowania chorego bydła. Wytrzyma wszystko, nawet najgorszy widok. Ja też zwykle jestem odporna, ale… – Urwała zmieszana. – Znowu spodziewam się dziecka i…

Garrett popatrzyła z troską na bladą, wilgotną od potu twarz hrabiny. Odór skażonej wody musiał wzbudzać w niej mdłości.

– Nie powinna pani się stykać z trującymi substancjami – stwierdziła. – Proszę natychmiast wziąć kąpiel i położyć się w dobrze wentylowanym pokoju. I niech pani podadzą herbaty ze świeżym korzeniem imbiru. Powinna uspokoić żołądek.

– Dobrze. – Kathleen podziękowała uśmiechem. – Będzie pani mieć Westa i służbę do pomocy. A mój mąż zorganizuje wywiezienie pana Ransoma z Londynu najszybciej, jak się da. Należy go zabrać w jakieś bezpieczne miejsce na czas rekonwalescencji.

– Obawiam się, że może pani przeceniać moje umiejętności – ostrzegła z powagą Garrett.

– Po tym, jak pani zoperowała Pandorę? Nikt z nas nie ma wątpliwości, że pani ręce potrafią zdziałać cuda.

– Dziękuję. – Garrett ze złością stwierdziła, że łzy znów napływają jej do oczu.

Kathleen serdecznie uścisnęła jej dłonie.

– Proszę działać, a potem los zdecyduje. Nie będzie pani mogła się winić, wiedząc, że zrobiła wszystko, co mogła.

Garrett wykrzesała z siebie słaby uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć, milady… ale niewiele pani wie o lekarzach.

– Kleszcze do tętnic – zaczęła Garrett, wskazując po kolei na wysterylizowane, błyszczące narzędzia ułożone na wyścielonej płótnem tacy. – Kleszcze skrętne. Kleszcze do ran. Kleszcze do szwów. Nóż do amputacji. Nóż catlin. Nóż do resekcji. Skalpel dwustronny, skalpel zagięty, proste i zagięte nożyczki…

– Będzie pani musiała mnie instruować na bieżąco. Pogubiłem się przy nożu do amputacji.

West Ravenel stał obok Garrett przy stole, na którym leżał nieprzytomny Ethan, nakryty czystym białym prześcieradłem i bawełnianym kocem. Garrett podawała mu chloroform, starannie odmierzając krople do cylindrycznego inhalatora wyłożonego sterylną gazą, podczas gdy West Ravenel przytrzymywał na nosie i ustach Ethana maskę połączoną z inhalatorem rurką oplecioną jedwabiem.

Złożyła prześcieradło, odsłaniając potężny tors pacjenta aż po pępek.

– Co za okaz – mruknął z podziwem West. – Ma mięśnie nawet tam, gdzie nie przypuszczałem, że występują.

– Panie Ravenel, proszę ograniczyć swoje uwagi do minimum – poprosiła, sięgając po irygator. Ostrożnie przepłukała ranę roztworem chlorku cynku i odłożyła urządzenie. – Proszę mi podać zgłębnik Nelatona… ten z nieszkliwioną porcelanową końcówką.

Po włożeniu zgłębnika do rany stwierdziła, że kula przeszła prosto, kierując się nieco w górę, ku zewnętrznej granicy pierwszego żebra. Narzędzie trafiło na coś twardego. Garrett wyjęła je i obejrzała niebieski ślad na porcelanie.

– Co to jest? – zainteresował się West.

– Porcelana zmienia kolor na niebieski w zetknięciu z ołowiem.

Kula utknęła w skupisku żył, tętnic i nerwów chronionych dużą ilością twardych, niepoddających się mięśni.

Na studiach medycznych uczono Garrett, by nigdy nie operowała członka rodziny ani osoby, z którą łączy ją więź uczuciowa. Chirurg musiał zachowywać obiektywność. Tymczasem, patrząc na nieruchomą twarz Ethana, uświadomiła sobie, że ma zacząć jeden z najtrudniejszych zabiegów w swojej karierze na człowieku, którego pokochała. Boże, pomóż mi, wzniosła w duchu bezgłośną modlitwę.

– Potrzebuję skalpela z owalnym ostrzem.

Ravenel ostrożnie podał jej narzędzie. Kiedy się przygotowywała do wykonania cięcia tuż pod kością obojczykową, spytał:

– Muszę patrzeć?

– Wolałabym, żeby mi pan podawał właściwe narzędzie, kiedy o nie poproszę, co wymaga trzymania oczu otwartych – odparła sucho.

– Tylko pytałem – bąknął. – Są otwarte.

Rozcięła skórę i znajdującą się pod nią tkankę włóknistą oraz powięź, po czym założyła klamry.

Kula utknęła w tętnicy pachowej wraz z czymś, co wyglądało na strzępek tkaniny z koszuli lub kamizelki. Tak jak Havelock przypuszczał, końce przeciętej arterii obkurczyły się i uszczelniły. Z drugiej strony zatykała je ołowiana kula.

– Powinien był się wykrwawić na śmierć w ciągu paru minut – powiedziała. – Ale kula na jakiś czas zatkała tętnicę, co w połączeniu ze zjawiskiem krzepnięcia krwi zadziałało jak wtyczka. – Nie odrywając oczu od rany, spytała: – Może pan nawlec nić do igły?

– Tak.

– Dobrze, proszę użyć kleszczy do wyjęcia ligatury z tej butelki i potem nawlec ją do najcieńszej igły na tacy. – Ułożyła ramię Ethana wyżej, by tworzyło odpowiedni kąt z klatką piersiową.

Widząc, gdzie zamierza wykonać kolejne cięcie, Ravenel spytał:

– Dlaczego zamierza pani ciąć pod pachą, skoro rana jest na piersi?

– Najpierw muszę podwiązać odległy koniec tętnicy. Proszę pozwolić mi się skupić.

– Przepraszam. Jestem przyzwyczajony do operacji na zwierzętach gospodarskich. Gdyby chodziło o chorą krowę, wiedziałbym dokładnie, co się dzieje.

– Panie Ravenel, jeśli nie przestanie pan mówić, uśpię pana chloroformem i będę operować sama.

West natychmiast zamknął usta.

Przez następnych kilkanaście minut Garrett z najwyższą ostrożnością podwiązywała tętnicę w dwóch miejscach, uważając, by nie uszkodzić sieci nerwów i żył w obrębie pachy. Wyjęła kulę i strzępek materiału, usunęła martwą tkankę i używając irygatora, wypłukała ranę z zanieczyszczeń i bakterii. Instruowany przez nią Ravenel przy użyciu specjalnej łyżeczki przemył odsłoniętą cięciem tkankę roztworem antyseptycznym. Garrett założyła gumowe dreny, dokładnie umocowała je w miejscu jedwabiem zamoczonym w kwasie karbolowym, po czym opatrzyła rany gazą namoczoną w kwasie bornym.

– Skończyliśmy? – spytał Ravenel.

Była zbyt pochłonięta ocenianiem stanu Ethana, by odpowiedzieć natychmiast. Jego kolana i stopy pokryły się cętkami, a twarz była śmiertelnie blada. Puls spadł mu do czterdziestu uderzeń na minutę.

Zmierzał ku zapaści.

– Jeszcze nie – powiedziała, starając się zachować spokój, choć strach skręcał jej wnętrzności. – Potrzebuję… potrzebujemy kogoś. Jednej osoby, która odda krew, i drugiej do pomocy. Aparat Roussela… gdzie on jest?

– Mówi pani o przetoczeniu krwi? – upewnił się West. – Czy to się zwykle udaje?

Nie patrząc na niego, odparła bezbarwnym tonem:

– Co najmniej połowa pacjentów umiera w ciągu godziny.

Z odległego kąta biblioteki dobiegł głos lorda Treneara:

– Mam tutaj to urządzenie.

Garrett nie zdawała sobie sprawy z tego, że obserwował przebieg operacji. Zbyt skupiona na swoim zadaniu, nie zauważyła jego obecności.

Trenear zbliżył się i postawił na stole błyszczącą kasetkę z drewna różanego.

– Co mogę zrobić? – spytał.

– Proszę to otworzyć, ale nie dotykać niczego w środku. Potrzebuję, żeby jeden z was oddał krew, a drugi pomógł mi przy transfuzji.

– Proszę użyć mojej krwi – zgłosił się szybko earl.

– Nie – zaprotestował West. – Nalegam, żebym to ja był dawcą. Jeśli przeżyje, to znacznie bardziej go rozzłości. – Uśmiechnął się, napotkawszy wzrok Garrett. Jego swobodne zachowanie trochę uśmierzało wzbierającą w niej panikę.

– Świetnie. – Odetchnęła głęboko. – Lordzie Trenear, proszę umyć ręce w miednicy po drugiej stronie stołu i polać je roztworem karbolu. Panie Ravenel, proszę zdjąć koszulę i usiąść na stole, tak by pańskie lewe ramię znalazło się przy prawym ramieniu pana Ransoma.

Aparat został zawczasu wysterylizowany. Wyglądał dość dziwnie – system rurek z niewulkanizowanej gumy sterczał ze szklanej bańki, co przypominało jakieś mechaniczne morskie stworzenie. Jedna

z rurek łączyła się z pochłaniaczem wody, druga z maleńkim kranikiem i kaniulą zakończoną igłą, a jeszcze inna z ciśnieniomierzem.

Nieporęczny sprzęt drżał lekko w rękach Garrett, kiedy ostrożnie wyjmowała go z kasetki. Wprawdzie już kiedyś asystowała przy transfuzji, ale chirurg operator korzystał wówczas ze znacznie prostszego, staroświeckiego sprzętu.

Że też Havelock z nią nie został i nie objaśnił jej, jak działa ten model…

Podniosła wzrok i zamrugała na widok obnażonego do pasa Westa Ravenela, który usiadł na brzegu stołu. Mimo wyrażonego wcześniej podziwu dla tężyzny Ethana sam też nie należał do ułomków. Miał twardą muskulaturę człowieka nawykłego do dźwigania i przenoszenia dużych ciężarów. Najbardziej jednak zaskoczyło Garrett to, że jego tors był opalony na ten sam odcień złotego brązu co twarz. W całości.

Który dżentelmen tak długo przebywał na słońcu bez koszuli?

Na widok jej miny Westowi drgnęły kąciki ust, a w oczach pojawiło się aroganckie rozbawienie.

– Praca na roli – rzucił tonem wyjaśnienia. – I czasem w kamieniołomie.

– Półnago? – zdziwiła się Garrett, ustawiając aparat do transfuzji na czystym płótnie.

– Ładowałem skałę na wozy… co doskonale odpowiada moim możliwościom intelektualnym. Ale w koszuli jest za gorąco.

Garrett wprawdzie się nie uśmiechnęła, ale doceniła przejaw humoru, który pomógł jej trzymać na wodzy rozedrgane nerwy. Jedna pomyłka – bańka powietrza w żyle – wykończyłaby Ethana w krótkim czasie.

– Co teraz? – spytał lord Trenear, podchodząc do niej.

Podała mu wysterylizowane szklane naczynie.

– Proszę tu nalać przegotowanej wody.

Podczas gdy earl spełniał jej prośbę, Garrett osłuchała Westa stetoskopem i sprawdziła mu puls. Miał serce wołu, o silnym, regularnym rytmie. Napełniła pochłaniacz aparatu i mocno obwiązała ramię mężczyzny chirurgicznym bandażem.

– Stroszyłbym pióra i pławił się w pani podziwie dla moich żył, gdybym nie widział siedmiocentymetrowej igły na końcu jednej z tych rurek – powiedział West.

– Będę tak delikatna, jak tylko się da – obiecała Garrett. – Ale obawiam się, że poczuje pan pewien dyskomfort.

– Cóż to jest w porównaniu z kulą w piersi? Tylko mięczak by narzekał.

– Wszyscy wiemy, że jesteś mięczakiem – odezwał się jego starszy brat. – Narzekaj, nie żałuj sobie.

– Może lepiej proszę nie patrzeć, panie Ravenel – poradziła lekarka. – I proszę zaciskać palce w pięść.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem West.

– Nie znam pana na tyle dobrze.

– Właśnie upuszcza pani życiodajną esencję z mojej środkowej żyły łokciowej – zwrócił jej uwagę. – Jestem po imieniu z kobietami, które znacznie mniej ze mną robiły… A niech to szlag! – wymknęło mu się, kiedy Garrett wsunęła w jego żyłę zakrzywioną, pustą w środku igłę. Zmarszczył brwi, widząc, jak jego krew płynie gumową rurką do aspiratora. – Ile tego będzie potrzebował?

– Prawdopodobnie nie więcej niż dwieście osiemdziesiąt gramów. Zasilimy jego naczynia na tyle, żeby przywrócić normalny puls. – Garrett założyła opaskę na bezwładne ramię Ethana i zaczęła szukać żyły. Żadna nie była widoczna. – Lordzie Trenear, mógłby mi pan pomóc, naciskając na jego ramię tutaj… i tutaj…

Earl przyłożył palce we wskazanych miejscach.

Nic. Żadnej żyły.

Brak pulsu.

Ethan wydał ostatnie tchnienie.

Odszedł.

O nie, nie ma mowy!, pomyślała ze złością. Chwyciła jego ramię i sięgnęła po nóż.

– Nie zrobisz mi tego, cholerny draniu! – Ścisnęła w palcach fałd zimnej skóry i wykonała szybkie cięcie, które odsłoniło zapadniętą żyłę. – Proszę mi podać ten spiczasty skalpel – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Lord Trenear na moment zawahał się nad tacą z narzędziami, po czym podał jej właściwy instrument.

W kilka sekund uniosła żyłę, nacięła ją poprzecznie i założyła kaniulę. Zleciła Trenearowi utrzymywanie kaniuli w miejscu, a sama połączyła ją z aparatem Roussela, po czym, używając pompki i aspiratora, usunęła powietrze i przepłukała urządzenie sterylną wodą. Jej ręce jakby same wiedziały, co mają robić, kierowane częścią mózgu, która myślała dziesięć razy szybciej niż zwykle. Przekręciła srebrny zaworek i krew zaczęła wpływać do żyły.

Dwaj mężczyźni byli połączeni hermetycznie zamkniętym kanałem.

Garrett naciskała pompkę, żeby wprowadzać krew do ramienia Ethana z niezbyt dużą prędkością i nie przeciążyć jego serca. Jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie: Wracaj, wracaj, wracaj…

Po mniej więcej minucie w pozbawionym życia ciele zaszła cudowna zmiana. Wrócił puls. Ustępowała trupia bladość. Pierś uniosła się raz, drugi, a potem Ethan zaczął głęboko oddychać, głośno łapiąc powietrze. Po kolejnej minucie zaczął się pocić, wstrząsały nim drgawki.

Westchnienie, które wyrwało się z piersi Garrett, zabrzmiało jak szloch. Czując wilgoć pod powiekami, jedną ręką zakryła oczy i próbowała ochłonąć. Wyrzuciła z siebie kilka niecenzuralnych słów, kiedy zdradziecka łza spłynęła jej po policzku.

– Pięknie pani przeklina – usłyszała cierpki głos Ravenela. – Niewiele kobiet umie to robić z taką swobodą i wdziękiem.

– Nauczyłam się na Sorbonie – odparła, nie odejmując ręki od oczu. – Powinien mnie pan słyszeć, kiedy klnę po francusku.

– Wolałbym nie, bo jeszcze mógłbym się w pani zakochać. A tak nawiasem mówiąc, czy Ransom ma już dość krwi? Bo zaczyna mi się kręcić w głowie.

Po umyciu narzędzi i sprzętu do transfuzji Garrett po raz dziesiąty sprawdziła życiowe parametry Ethana. Puls – sto uderzeń na minutę. Temperatura – 37,2 stopnia Celsjusza. Trzydzieści oddechów na

minutę. Mocno się pocił i rzucał niespokojnie na skutek ustępującego znieczulenia.

Zostawiwszy pacjenta pod opieką pani Abbot, Garrett chwiejnie przeszła w kąt biblioteki i przysiadła na małej rzeźbionej drabince. Pochyliła się i oparła głowę na kolanach. Jak przez mgłę docierało do niej, że cała się trzęsie, jakby dopadł ją jakiś atak. Nie wiedziała, co na to poradzić, więc tylko siedziała skulona i drżała, szczękając zębami.

Ktoś zjawił się obok niej i przykucnął. Duża ciepła dłoń spoczęła na jej plecach. Uniosła wzrok na tyle, by zobaczyć, że to West Ravenel. Żadnych dowcipnych uwag – tylko przyjazne, kojące milczenie. Dotyk Westa Ravenela przypomniał jej, jak Ethan czasami głaskał ją lub delikatnie chwytał za szyję. Zaczęła się odprężać, drżenie ustępowało. Nie ruszał się, dopóki z westchnieniem nie uniosła głowy.

Dopiero wtedy cofnął rękę. Bez słowa podał Garrett kieliszek z niewielką ilością whisky lub brandy – jakiegoś alkoholu – który przyjęła z wdzięcznością. Kiedy przytknęła kieliszek do ust, zęby zadzwoniły o szkło. Lekko piekący bursztynowy trunek jakby spłukał z niej napięcie.

– Minęła prawie godzina – odezwał się West. – Transfuzja się powiodła, prawda?

Garrett wypiła kolejny łyk.

– Nie umrze od postrzału – odparła słabym głosem. – Umrze od tego, co się dostało do środka otworem po kuli. Od wirusów, bakterii, śmiertelnych drobnoustrojów, trucizn chemicznych. Wolałabym go raczej zanurzyć w truciźnie niż w tej rzece. Tamiza wykończyłaby samego Neptuna, i to w pięć minut.

– Uważam, że śmiertelny finał nie jest przesądzony – zaoponował West. – Ransom należy do twardych osobników. Pochodzi z długiej linii bezwzględnych drani. Jak już pokazał, umie przetrwać rzeczy, z którymi inni by sobie nie poradzili.

– Zna pan jego krewnych? – spytała zaskoczona.

Spojrzał na nią pytająco.

– Zatem pani nie powiedział. Jego krewnymi są Ravenelowie. Jego ojcem był stary earl. Gdyby Ransom nie pochodził z nieprawego

łoża, byłby teraz lordem Trenearem zamiast mojego brata.

Rozdział 17

West uśmiechnął się, widząc zdziwienie w zielonych oczach Garrett.

– To tłumaczy podobieństwo – powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

Wydawała się mała i krucha, kiedy tak siedziała w kącie biblioteki, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Przez ostatnie dwie godziny pełniła funkcję dowódcy, skupiona i pełna energii, z twardym, nieruchomym spojrzeniem. Pracowała z milimetrową precyzją, wykonując drobne, lecz decydujące o życiu czynności. Choć West niewiele wiedział na temat chirurgii, miał świadomość, że jest świadkiem zabiegu przeprowadzanego z wyjątkową zręcznością i talentem.

W tym momencie jednak ta uzdolniona operatorka przypominała raczej zmęczoną i wystraszoną uczennicę, która zabłądziła w drodze ze szkoły do domu.

Bardzo mu się podobała. Żałował, że się opędzał, kiedy Helen chciała ich ze sobą zapoznać. Wyobrażał sobie kobietę lekarkę jako poważną matronę, prawdopodobnie nastawioną wrogo do mężczyzn, a zapewnienia Helen, że doktor Gibson jest całkiem ładna, wcale go nie przekonywały. Helen, ze swoją nieuzasadnioną miłością do wszelkiego stworzenia, zwykle przeceniała ludzi.

Tymczasem Garrett Gibson była nie tylko ładna, lecz także interesująca. Inteligentna, uzdolniona, miała w sobie coś, co kazało wierzyć w jej wewnętrzną delikatność… która mocno zaintrygowała Westa.

Ten wieczór zaskakiwał niespodziankami, jedną po drugiej. Najpierw dwaj przerażeni funkcjonariusze policji rzecznej przynieśli

półżywego Ethana Ransoma. Nie kryli, że woleliby nie mieć z całą sprawą nic wspólnego. Zatrzymali swoją łódź patrolową pod mostem Blackfriars, by wbrew wszelkim przepisom zaczerpnąć po łyku whisky prosto z butelki, i wtedy usłyszeli, co się dzieje nad nimi. Po tym, jak zabójca się oddalił, udało im się wciągnąć postrzelonego na łódź i przeszukać jego kieszenie w celu ustalenia tożsamości. Znaleźli jedynie wizytówkę Westa. Wiedzieli, że składając oficjalny raport, napytają sobie kłopotów, na które wcale nie mieli ochoty.

– Kto ci to zrobił? – West zadał to pytanie Ransomowi, który przypominał brudny, cuchnący tobołek złożony na kanapie.

– Jeden z ludzi Jenkyna – wykrztusił, z najwyższym trudem czepiając się resztek przytomności.

– Jenkyn zlecił zabójstwo?

– Tak. Nie ufajcie policji, Felbriggowi. Jeśli mnie znajdą…

– Nie znajdą cię.

– Przyjdą tu…

Niech tylko spróbują, pomyślał West, ziejąc wściekłością na widok tego, co zrobiono jego krewnemu.

Kathleen pochyliła się nad umierającym i miękką białą szmatką starała się zetrzeć z jego twarzy choć część zabrudzenia. Ransom na kilka sekund stracił przytomność, po czym znów się ocknął z głuchym jękiem.

– Mogę po kogoś posłać? – spytała cicho, na co wymamrotał kilka słów, które jakimś cudem zdołała zrozumieć. – On chce doktor Gibson – zwróciła się do Westa z niepokojem i smutkiem.

– Doktor Gibson mieszka na King’s Cross. Możemy wezwać naszego lekarza rodzinnego, będzie tu znacznie szybciej – odparł West.

– On nie chce jej jako lekarza. Prosi o przybycie kobiety, którą kocha.

Związek lekarki i rządowego agenta do zadań specjalnych wydał się Westowi wysoce nieprawdopodobny. Jednak widząc ich razem, doszedł do wniosku, że łączącej ich więzi nie musi rozumieć nikt poza nimi samymi.

Patrząc teraz z bliska na ściągnięte rysy Garrett, zauważył, że jest bliska załamania. Podniosła na niego puste spojrzenie, zbyt wyczerpana, by się odezwać.

– Pani doktor… – zaczął łagodnie. – Właśnie rozmawiałem z moim bratem, który zorganizował przewóz Ransoma do Hampshire. Wyjeżdżamy za parę godzin.

– Nie można go jeszcze ruszać.

– Nie jest tu bezpieczny. Wszyscy inni też nie. Nie mamy wyboru.

Garrett wzdrygnęła się, jakby wracała do rzeczywistości. Jej wzrok ponownie nabierał ostrości.

– Trzęsienie pojazdu może go wykończyć. Nie ma mowy.

– Przysięgam pani, że zostanie przewieziony szybko i ostrożnie.

– Po wyboistych wiejskich drogach? – rzuciła kpiąco.

– Zawieziemy go prywatnym wagonem kolejowym. Dotrzemy do rodzinnej posiadłości przed świtem. To spokojne miejsce na odludziu. Będzie dochodził do siebie, nieniepokojony przez nikogo.

West nie mógł się doczekać powrotu do Eversby Priory. Zaczynał nienawidzić Londynu – z bezdusznym chaosem ulic, budynków, pojazdów, z brudem, dymem, blaskiem i przepychem. Och, tęsknił do stolicy od czasu do czasu, ale już po kilku dniach był gotowy wracać do Hampshire.

Stara rodowa siedziba Ravenelów stała na wzgórzu, z którego rozciągał się szeroki widok, nikt więc nie mógł się zbliżyć niepostrzeżenie. Otaczające dom dziesiątki tysięcy hektarów gruntu należały do rodziny od czasów Wilhelma Zdobywcy. Wydawało się jak najbardziej właściwym, by Ethan Ransom, który był jednym z potomków – jakkolwiek pozamałżeńskim – znalazł schronienie przed wrogami w posiadłości swoich przodków. Zarówno on, jak i Garrett Gibson byliby tam bezpieczni. West zamierzał osobiście tego dopilnować.

Garrett pokręciła głową.

– Nie mogę zostawić ojca… jest stary i chory…

– Jego też zabierzemy. Proszę mi powiedzieć, czego Ransom będzie potrzebował w podróży.

West nie miał wątpliwości, że w normalnych okolicznościach Garrett nie przystałaby na jego plan. Teraz jednak patrzyła na niego bezradnie, jak sparaliżowana.

– Jeśli nie zechce pani z nami pojechać – odezwał się po dłuższej chwili – wynajmę dla Ransoma pielęgniarkę. Właściwie tak byłoby

lepiej. Może pani zostać w Londynie i zachowywać pozory…

– Potrzebna jest karetka z kliniki, żeby przewieźć go stąd na stację kolejową – przerwała mu z surową miną. – A potem ze stacji w Hampshire do waszego domu. Będziemy musieli zabrać ją ze sobą.

– Cały wóz? – spytał West, zastanawiając się, jak go zmieszczą w wagonie kolejowym. – Nie wystarczą nosze i porządny materac?

– Rama karetki jest wyposażona w specjalne elastyczne sprężyny, które amortyzują wstrząsy. W przeciwnym razie podwiązana tętnica się rozszczelni i nastąpi krwotok. Należy też zabrać pojemniki z wodą, skrzynię z lodem, lampy, wiadra, miednice, prześcieradła, ręczniki…

– Proszę sporządzić listę – przerwał jej.

– Musi też z nami jechać moja służąca, do opieki nad moim ojcem.

– Wszystko, co pani każe.

Garrett popatrzyła na Westa, mrużąc oczy.

– Dlaczego pan to robi? Pan Ransom nie lubi Ravenelów. Sam dźwięk tego nazwiska budzi jego niechęć.

– To dlatego, że stary earl Edmund źle potraktował jego matkę. – West podwinął luźno zwisający rękaw i zaczął odlepiać plaster, którym Garrett zakleiła rankę po igle. Krwawienie całkiem ustało, teraz tylko czuł w tym miejscu swędzenie. – Chcę pomóc Ransomowi, bo w przeszłości zachował się dobrze wobec Helen i Pandory. A także dlatego, że – czy mu się to podoba, czy nie – jest Ravenelem, a niewielu już nas zostało. Mój brat i ja bardzo wcześnie straciliśmy rodziców i w głębi duszy zawsze hodowałem idiotyczne fantazje o wielkich rodzinnych posiłkach, dzieciach i psach biegających po domu.

– Wątpię, by pan Ransom tego chciał.

– Być może nie. Ale my, mężczyźni, nie jesteśmy aż tak prosto skonstruowani, jak się wydaje. Kula w piersi może człowieka skłonić do zrewidowania swoich poglądów.

Garrett zauważała krzątaninę przy szykowaniu się do wyjazdu, ale sama nie brała w niej udziału. Siedziała przy Ethanie w niegdyś

eleganckiej bibliotece Ravenelów, która obecnie wyglądała jak ruina – z namokłymi sprzętami, brudną tapicerką i dywanami lepkimi od plam. Miała wrażenie, że sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Lord Trenear i West Ravenel podejmowali decyzje bez niej, a ona była zbyt zmęczona, żeby się włączyć, choćby myślami, w ich działania.

Ethan stopniowo się wybudzał, z wielkim bólem, zdezorientowany, targany torsjami po znieczuleniu i zatruciu toksycznymi ściekami z Tamizy. Prawie nie poznawał Garrett, a na pytania odpowiadał monosylabami. Robiła, co mogła, żeby ulżyć jego cierpieniom, dała mu kolejny zastrzyk z morfiny, przemywała jego twarz chłodną wodą i wsunęła mu pod głowę małą poduszeczkę. W końcu usiadła przy stole i oparła czoło na splecionych na blacie ramionach. Ledwie zamknęła oczy, poczuła, że zapada w sen.

– Pani doktor – obudził ją łagodny głos Kathleen.

Garrett poderwała głowę, próbując oprzytomnieć.

– Jak się pani czuje, milady? – zwróciła się do żony lorda Treneara.

– Znacznie lepiej, dziękuję. Wysłaliśmy dwie pokojówki, żeby pomogły pani służącej spakować siebie i pani ojca. Mamy z lordem Trenearem propozycję i chcielibyśmy, żeby ją pani rozważyła.

– Tak?

– Już wcześniej planowaliśmy wyjazd z miasta na lato. Jednak przed zaszyciem się w Eversby Priory przyjęliśmy zaproszenie na dwa tygodnie do Sussex, do teściów Pandory, księcia i księżnej Kingston. Mają cudowną posiadłość na wybrzeżu, z prywatną plażą nad zatoką i mnóstwem pokoi gościnnych. Myślę, że pani ojcu dobrze by zrobił wyjazd razem z nami, kąpiele w morskiej wodzie i trochę słońca. A pani mogłaby się skupić wyłącznie na pielęgnowaniu pana Ransoma.

– Milady, nie mogłabym się tak państwu narzucać, nie wspominając już o księciu i księżnej…

– Po tym, jak uratowała pani życie Pandorze, z wielką radością ugoszczą pani ojca. Będzie traktowany po królewsku.

Garrett przetarła piekące ze zmęczenia oczy.

– Opieka nad nim należy do moich obowiązków, więc nie sądzę…

– Istnieje jeszcze kwestia jego bezpieczeństwa – przerwała jej łagodnie Kathleen. – Gdyby wyniknął jakiś problem związany z obecnością pana Ransoma w Eversby Priory, z pewnością wolałaby pani trzymać ojca z dala od niego.

– Może ma pani rację. Muszę go spytać, co by wolał. Wątpię jednak, by mu się spodobał pomysł zamieszkania u obcych ludzi.

– Pani służąca by mu towarzyszyła, ma się rozumieć. – Kathleen patrzyła na Garrett z ciepłem i troską w oczach. – Przyprowadzę go do pani, jak tylko przyjedzie, żebyście mogli porozmawiać.

– Będzie chciał pojechać ze mną – powiedziała Garrett z przekonaniem. – Ma tylko mnie.

Jednak kiedy Stanley Gibson dotarł do Ravenel House i przedstawiono mu propozycję wyjazdu do Sussex, zachował się nieco inaczej, niż Garrett oczekiwała.

– Wakacje w nadmorskim kurorcie, do tego z księciem? – zawołał oszołomiony. – Ja, człowiek, który nigdy w życiu nie kąpał się w morzu? Zwykły policjant wśród arystokracji, jedzący ze złotej zastawy i popijający drogie francuskie wina?

– Rozumiem, papo – westchnęła Garrett. – Nie musisz…

– Na Jowisza, przyjmuję zaproszenie! Skoro książę pragnie mego towarzystwa, będzie je miał. Chyba dobrze mu zrobi, jak spędzi ze mną trochę czasu i usłyszy to i owo o latach mojej służby w policji.

– Papo… – zawahała się, zakłopotana entuzjazmem ojca. – Nie sądzę, żeby książę szczególnie pragnął…

– Zatem postanowione – wtrąciła się Eliza. – Nie wypada sprawić księciu zawodu, prawda? Będziemy musieli, pan i ja, zebrać się i pojechać do tego Sussex, żeby ucieszyć jego książęcą mość. „Rób dla innych, co tylko możesz”, mawiała zawsze moja mama. A teraz chodźmy, gospodyni przygotowała dla pana pokój, żeby pan odpoczął przed podróżą.

Zanim Garrett zdążyła powiedzieć choć słowo, Eliza pospiesznie wyprowadziła jej ojca z biblioteki.

Jakimś cudem Ravenelom udało się jeszcze przed świtem zgromadzić wszystkie rzeczy wymienione na liście Garrett. Ethan został ostrożnie przywiązany do noszy i wyniesiony na nich przez dwóch lokai i samego earla do czekającej na dziedzińcu karetki. Niebo było całkiem ciemne, uliczne lampy rzucały krzywe cienie na chodnik.

Siedząc u boku Ethana w zakrytym wozie, Garrett nie widziała, dokąd ani którędy jadą. West powiedział jej, że udadzą się na prywatną stację kolejową na południowych obrzeżach Londynu, gdzie wsiądą do specjalnego składu, niewidziani przez nikogo, i pojadą specjalnie wytyczoną trasą, omijając zwykłe wymogi i obostrzenia. Powzięto dodatkowe środki ostrożności w postaci strażników rozmieszczonych w rozmaitych punktach, którzy mieli zapewnić im bezkolizyjny przejazd, bez niepotrzebnych przystanków po drodze.

Karetkę ciągnął pojedynczy koń, poruszający się stałym tempem. Mimo niwelujących wstrząsy sprężyn Ethan odczuwał kołysanie i szarpanie i czasami wydawał z siebie tłumiony jęk. Garrett nie próbowała sobie wyobrażać, jak bardzo biedak cierpi; trzymała go za rękę i nie puszczała nawet wtedy, gdy z bólu zaciskał palce, niemal łamiąc jej kości.

W końcu wóz zwolnił. Dojechali na miejsce tak ciemne i ciche, jakby się znaleźli w środku lasu. Garrett wyjrzała spod płóciennej osłony i zobaczyła wysoką bramę porośniętą bluszczem, podobne do duchów rzeźby aniołów oraz figury mężczyzn, kobiet i dzieci z rękami pobożnie złożonymi na piersi. To były posągi nagrobne. Przerażona przeszła na przód karetki, gdzie West Ravenel siedział na koźle obok woźnicy.

– Dokąd, u diabła, pan nas zabiera, panie Ravenel?

Spojrzał na nią przez ramię i uniósł brew.

– Już pani mówiłem, na prywatną stację kolejową.

– Wygląda jak cmentarz.

– Bo to cmentarna stacja – przyznał. – Ze specjalną linią, którą pociągi z żałobnikami udają się na miejsca pochówku. Tak się składa, że jest połączona z głównymi trasami należącymi do firmy London

Ironstone Railroad, której właścicielem jest nasz wspólny znajomy Tom Severin.

– Powiedział pan o wszystkim Severinowi? Dobry Boże… Czy można mu ufać?

West lekko się skrzywił.

– To niewdzięczna pozycja musieć ufać Severinowi – przyznał. – Ale tylko on mógł tak szybko zapewnić przejazd pociągu na specjalnych warunkach.

Zbliżyli się do masywnej ceglano-kamiennej konstrukcji kryjącej peron. Nad łukowatym wjazdem zamontowano okazały kamienny szyld z napisem: *Ciche ogrody*. Tuż poniżej wykuto rysunek otwartej księgi, ze słowami: *Ad meliora.*

– „Ku lepszemu" – przetłumaczyła pod nosem Garrett.

West spojrzał na nią zaciekawiony.

– Uczyła się pani łaciny?

– Jestem lekarzem – przypomniała mu wymownym tonem.

Uśmiechnął się przepraszająco.

– No tak, oczywiście.

Karetka zatrzymała się na peronie, gdzie stał już powóz Ravenelów i dwa inne pojazdy. Natychmiast po wciśnięciu przez woźnicę hamulca lokaje i dwaj tragarze rzucili się do wyładowywania noszy.

– Ostrożnie – ostrzegła ich surowo Garrett.

– Ja ich dopilnuję – obiecał West. – A pani niech wsiada do wagonu.

– Jeśli nim potrząsną…

– Wiem. Proszę pozwolić, że się tym zajmę.

Wysiadła z karetki i rozejrzała się dokoła. Szklana tabliczka przy wejściu opisywała, co się mieści na każdym z poziomów budowli: kostnice, krypty, magazyny, poczekalnie trzeciej klasy w piwnicy, kaplica, ubieralnia, poczekalnie drugiej klasy na parterze, biura i poczekalnie pierwszej klasy na piętrze.

Druga tabliczka zawierała wskazówki dla żałobników: który wagon jest przeznaczony dla trumien pierwszej klasy, a które dla drugiej i trzeciej.

Zaskoczona Garrett pokręciła głową; właśnie odkryła, że zwłoki w pociągu dzielono ze względu na przynależność do warstwy

społecznej, tak jak żywych pasażerów. Dla lekarza pomiędzy jednym rozebranym ciałem a drugim – czy to żywym, czy martwym – nie było różnicy. Każdy człowiek, bogaty czy biedny, w stanie naturalnym był taki sam.

Rozbawiony głos z walijskim akcentem wdarł się w jej rozmyślania:

– A jakże, nawet zwłoki muszą znać swoje miejsce.

Garrett odwróciła się szybko.

– Pan Winterborne! – wykrzyknęła. – Nikt mi nie mówił, że pan tu będzie. Tak mi przykro, że sprawiam kłopot…

Pracodawca patrzył na nią z uśmiechem. Refleksy światła z pobliskich lamp gazowych błyszczały w jego ciemnych oczach.

– Żaden kłopot, pani doktor. Już prawie pora, o której wstaję co rano. Chciałem się upewnić, że wagon podstawiono i przygotowano na pani potrzeby.

Na twarzy Garrett odmalowało się zaskoczenie.

– To pański wagon?

– Salonka jest moja, ale lokomotywa i dodatkowe wagony należą do Toma Severina.

– Sir, zawdzięczam panu więcej niż…

– Nic podobnego. Lady Helen i ja uważamy panią za członka rodziny. A tak na marginesie, Helen przesyła serdeczne pozdrowienia. – Zawahał się, przez chwilę omiatał wzrokiem peron. – Powiedziano mi, że Havelock odmówił asystowania przy operacji. Przyznaję, że nie podoba mi się jego decyzja.

– Proszę go nie obwiniać.

– A pani czuje inaczej?

Garrett pokręciła głową.

– „Ciosy od przyjaciela są wyrazem wierności”[2] – zacytowała ze smutnym uśmiechem. – Prawdziwy przyjaciel powie ci, kiedy uzna, że popełniasz błąd.

– Prawdziwy przyjaciel będzie popełniał ten błąd razem z tobą – stwierdził sucho Winterborne. – A w ogóle to nie uważam, żeby robiła pani coś złego. Na pani miejscu dokonałbym tego samego wyboru.

– Naprawdę?

– Gdyby istniała jakakolwiek szansa na uratowanie kogoś, kogo kocham, wykorzystałbym ją i posłał do diabła wszystkich, którzy staliby na drodze.

Przyjrzał się jej z troską.

– Jest pani u kresu sił. W salonce są dwa osobne przedziały, niech pani spróbuje złapać choć chwilę odpoczynku, zanim dotrzecie do Hampshire. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął pękate skórzane etui. – Proszę to wziąć.

Garrett ostrożnie zajrzała do środka i zobaczyła plik stufuntowych banknotów. Nigdy w życiu nie trzymała w rękach tylu pieniędzy w gotówce.

– Panie Winterborne, nie mogłabym…

– Pieniądze nie rozwiązują wszystkich problemów, ale nie zaszkodzą – przerwał jej bezceremonialnie. – Proszę po mnie posłać, gdyby pani czegoś potrzebowała. A kiedy kondycja Ransoma poprawi się, proszę mi dać znać.

– Dobrze, sir. Dziękuję.

Kiedy Winterborne odprowadzał Garrett do pociągu, minęli robotników zdejmujących koła z podwozia karetki, żeby ułatwić jej transport. Nosze zostały już umieszczone w wagonie, który bardziej przypominał ruchomy pałac. Miał dwa przedziały – do każdego przylegała łazienka z gorącą i zimną bieżącą wodą – pomieszczenie przystosowane do doglądania pacjenta oraz salon z ruchomymi fotelami wyścielanymi aksamitem i lampami do czytania.

Cieśle Winterborne'a skonstruowali krzyżakowy stelaż do podwieszenia noszy, przymocowany do ściany solidnymi, metalowymi sprężynami. Garrett aż się wzdrygnęła, widząc, że sprężyny przytwierdzono wprost do pięknej dębowej boazerii. Istniała jednak nadzieja, że takie rozwiązanie zminimalizuje wstrząsy, kiedy już pociąg ruszy.

Kiedy umieszczono nosze na krzyżakach i odpowiednio zabezpieczono, Garrett przysunęła sobie do nich krzesło. Delikatnie dotknęła czoła Ethana, które było suche i gorące, a potem uniosła jego nadgarstek, żeby zbadać puls. Oddychał nierówno, skórę miał zaczerwienioną.

Winterborne stanął po drugiej stronie rannego i przyjrzał mu się z nieskrywaną troską.

– Zawsze wydawał się niezniszczalny – powiedział cicho. – Narobił sobie potężnych wrogów. Nie podoba mi się, że jest pani z nim powiązana.

– Jemu też się nie podobało. Próbował trzymać mnie na dystans.

– Wygląda na to, że nie dość skutecznie.

Garrett odpowiedziała słabym uśmiechem.

– Sama mu to utrudniałam. Potrafię być uparta.

– Zauważyłem – rzekł surowo Winterborne, ale jego oczy miały ciepły wyraz.

– Od początku podejrzewał, że do tego dojdzie – westchnęła Garrett, wpatrując się w twarz Ethana. – Uważał, że jego życie nie może się potoczyć innym torem.

– Może powinna mu pani udowodnić, że się mylił.

– Zrobię to – obiecała. – Zrobię to… jeśli tylko będę miała szansę.

2 Biblia warszawsko-praska, Księga Przysłów 27,6 (przyp. tłum.).

Rozdział 18

Pociąg zmierzał na południe, ku Hampshire. Szaroniebieskie barwy Londynu ustępowały miejsca palecie znacznie bardziej zróżnicowanych kolorów. Różowo-pomarańczowy wschód słońca roztopił się w nieskazitelnie czystym niebie. Dla oczu kogoś, kto całe życie mieszkał w mieście, Hampshire wyglądało jak kraina z książki, z wijącymi się strumieniami, puszczami i zielonymi pastwiskami okolonymi siatką niekończących się żywopłotów.

Ethan zapadł w niespokojny sen, kołysany monotonnym ruchem wagonu. Garrett musiała się pilnować, żeby nie sięgać ku niemu bezustannie, by czegoś dopatrzyć czy coś poprawić, jak ogarnięty twórczym szałem artysta pracujący nad glinianą rzeźbą. Przeniosła uwagę na Westa Ravenela, który siedział przy oknie i z zainteresowaniem oglądał mijany krajobraz.

– Jak się pan dowiedział o Ransomie? – spytała.

Miał ciepłe, nieco zuchwałe spojrzenie, zupełnie inne od przenikliwego wzroku Ethana. Sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie i będącego w dobrej komitywie z całym światem; taka postawa stanowiła wyjątkowy dar w czasach, gdy ludzie z jego klasy musieli stawić czoło ekonomicznym i społecznym zmianom, zagrażającym trwałości ich stylu życia.

– O jego powiązaniu z rodziną? – upewnił się, po czym kontynuował, nie czekając na odpowiedź: – Niedawno dowiedziałem się o potajemnym przekazaniu ziemi dokonanym przez starego earla według jego ostatniej woli. Długoletni służący rodziny potwierdził, że Ransom jest nieślubnym synem earla i irlandzkiej dziewczyny, prawdopodobnie prostytutki. – Skrzywił się. – Ponieważ Edmund nie

zapewnił utrzymania jej ani dziecku, w końcu wyszła za strażnika więziennego z Clerkenwell. Musiała mieć ciężkie życie. To, że Edmund porzucił dziecko i matkę na pastwę losu i sumienie go nie zagryzło, daje pewne pojęcie o jego charakterze.

– Może nie był pewien ojcostwa?

– Edmund wyznał swojemu kamerdynerowi, że to jego dziecko. A Ransom jest łudząco podobny do ojca. – West pokręcił głową w zadumie. – Mój Boże, nie spodziewałem się, że będę wiózł Ransoma do Hampshire. Kiedy go spotkałem w Londynie kilka tygodni temu, zachowywał się wobec mnie więcej niż wrogo. Nie chce mieć nic wspólnego z żadnym z nas.

– Był bardzo oddany swojej matce – powiedziała Garrett. – Może ma poczucie, że zbliżając się do Ravenelów, byłby nielojalny wobec jej pamięci.

West zmarszczył czoło, zastanawiając się nad jej słowami.

– Przykro mi z powodu krzywd, jakie stary earl wyrządził Ransomowi i jego matce. Jednak Ransom powinien wiedzieć, że nie tylko on był źle traktowany przez tego człowieka. Ulubionymi ofiarami Edmunda były jego własne dzieci. Proszę spytać którąkolwiek z jego córek, to usłyszy pani, że życie z nim pod jednym dachem bynajmniej nie przypominało pikniku.

Nagłe szarpnięcie pociągu sprawiło, że Ethan wydał z siebie przeciągły jęk. Garrett pogłaskała go po włosach, zwykle jedwabistych, a teraz szorstkich i sztywnych jak psia sierść.

– Wkrótce będziemy na miejscu – powiedział West. – Nie mogę się doczekać. Już kilka dni temu miałem opuścić Londyn, bo tak tęskniłem za Eversby Priory.

– Za czym konkretnie pan tęsknił?

– Za każdą rzepą, każdą belą siana, każdym kurczakiem na wybiegu i każdą pszczołą w ulu.

– Mówi pan jak urodzony farmer. A przecież w pana żyłach płynie błękitna krew.

– Czyżby? – West spojrzał na nią; zmarszczki w kącikach jego oczu wyraźnie się pogłębiły. – Wprawdzie starałem się nie patrzeć, ale wydawała mi się całkiem czerwona. – Wyciągnął przed siebie długie nogi i splótł dłonie na piersi. – Mój brat i ja pochodzimy z dalekiej

linii Ravenelów. Nikt nigdy się nie spodziewał, że przestąpimy próg Eversby Priory, a tym bardziej że Devon odziedziczy tytuł i wszystko, co się z nim wiąże.

– Jak doszło do tego, że zaczął pan zarządzać uprawą ziemi i farmami dzierżawców?

– Ktoś musiał. Devon bardziej się nadawał do ogarnięcia kwestii prawnych i finansowych. Wtedy moje pojęcie o uprawie ziemi sprowadzało się do przekonania, że siano należy suszyć w malowniczych kopach. Rzeczywistość okazała się trochę bardziej skomplikowana.

– A co się panu podoba w uprawie ziemi?

West dumał nad pytaniem, podczas gdy pociąg dziarsko wspinał się na szerokie wzgórze, porośnięte kwitnącym na złoto janowcem.

– Lubię oczyszczać nowe tereny pod uprawę, słuchać odgłosu wyrywanych korzeni i patrzeć, jak ostrze pługa wyciąga z ziemi ich fragmenty. Lubię świadomość, że jeśli wysieję trzy buszle pszenicy na hektar, przy odpowiednich dawkach słońca, deszczu i nawozu zbiorę sześćdziesiąt cztery buszle. Bardzo długo mieszkałem w Londynie i w końcu poczułem, że potrzebuję czegoś, co nada sens mojemu życiu. – W jego oczach pojawił się wyraz rozmarzenia. – Lubię żyć według pór roku. Lubię letnie burze nadchodzące od strony morza, zapach żyznej ziemi i skoszonego siana. Uwielbiam duże śniadania ze świeżo zniesionymi jajkami gotowanymi na miękko, maślanymi bułeczkami z miodem, plastrami smażonego bekonu i słynnej wędzonej szynki z Hampshire, miskami dojrzałych jagód, dopiero co zebranych…

– Proszę… – wydusiła Garrett przez ściśnięte gardło, czując, jak robi się jej niedobrze od drgań pociągu. – Niech pan nie mówi o jedzeniu.

– Po małym odpoczynku i paru dniach na świeżym powietrzu nabierze pani apetytu – zapewnił ją West z uśmiechem.

Zamiast zatrzymać się na publicznym dworcu w handlowym mieście Alton, ich pociąg pojechał dalej, na prywatną stację kolejową umiejscowioną na wschodnim krańcu rozleglej posiadłości Eversby Priory, czyli pojedynczy peron osłonięty drewnianym daszkiem na kutych żelaznych podporach. Piętrowa nastawnia, zbudowana z cegły

i drewna, miała drobno dzielone okna i dach kryty zieloną dachówką. Stacja obsługiwała pobliski kamieniołom hematytów, położony na ziemiach Ravenelów, dlatego obok postawiono kilka niewielkich budynków i urządzeń przeładunkowych. Widać było również wozy do przewozu urobku, kolejkę wąskotorową łączącą złoże ze stacją, parowe świdry, pompy i sprzęt wiertniczy.

Kiedy West otworzył drzwi salonki, do środka wdarł się łagodny strumień porannego wiatru.

– Wyładowanie i zmontowanie karetki zajmie kilka minut – zwrócił się do Garrett. Po chwili dodał przepraszająco: – Prawdopodobnie zechce mu pani dać jakiś dodatkowy środek przeciwbólowy na ostatni etap podróży. Nie wszystkie drogi są brukowane.

Garrett gniewnie ściągnęła brwi.

– Chce pan go zabić? – syknęła.

– Oczywiście, że nie. Wówczas zostawiłbym go w Londynie.

Po wyjściu Westa Garrett podeszła do Ethana, który zaczął się niespokojnie wiercić na noszach. Oczy miał zapadnięte, wargi suche i spękane.

Przytknęła mu do ust gumową rurkę, żeby mógł pociągnąć kilka łyków zimnej wody.

Uchylił powieki i popatrzył na nią zamglonym wzrokiem.

– Wciąż tutaj… – wychrypiał, jakby nie całkiem zadowolony z tego powodu.

– Niedługo poczujesz się lepiej. Musisz tylko spać i dochodzić do zdrowia.

Miał taką minę, jakby słyszał obcy język i z trudem próbował go zrozumieć. Słabość ciała najwyraźniej niosła ze sobą osłabienie ducha. Wstrząsały nim dreszcze, mimo że skórę miał rozpaloną od gorączki. Gorączka pourazowa, podpowiedziała ta fachowa, zawsze trzeźwo myśląca część mózgu Garrett. Choć zastosowała wiele płynów antyseptycznych, wdało się zakażenie. Do drgawek wkrótce miał dołączyć gwałtowny wzrost temperatury.

Zachęciła go do pociągnięcia jeszcze jednego łyka wody.

– Źle ze mną… – wyszeptał Ethan. – Potrzebuję czegoś… – Bóg jeden wiedział, ile go kosztowała ta skarga.

– Dam ci morfinę – powiedziała Garrett i szybko przygotowała strzykawkę.

Zanim zastrzyk zaczął działać, karetka była zmontowana i zaprzężona w masywnego spokojnego perszerona. Droga do Eversby Priory zdawała się nie mieć końca; jechali powoli, gumowe koła toczyły się miękko po nierównościach terenu.

Wreszcie dotarli do ogromnej jakobińskiej rezydencji na szczycie rozległego wzgórza. Wybudowana z cegły i kamienia, obfitowała w gzymsy, łuki oraz rzędy okien z drobnymi szybkami w kształcie rombów. Liczne kominy nadawały płaskiemu dachowi wygląd urodzinowego tortu ze świeczkami.

Karetka zatrzymała się przed wejściem. Zza dwuskrzydłowych dębowych drzwi wyszło czterech lokai i starszy wiekiem ochmistrz. Garrett bez zbędnych wstępów zaczęła im objaśniać, jak odpiąć nosze i wyładować je z wozu. Rozzłościła się, kiedy West przerwał jej w pół zdania:

– Są lokajami, pani doktor. Noszenie różnych rzeczy należy do ich podstawowych obowiązków.

– On nie jest rzeczą, tylko moim… moim pacjentem.

– Nie upuszczą pani pacjenta – zapewnił, prowadząc ją do holu. – Uwaga, doktor Gibson, ta przyjemna z wyglądu kobieta ze spojrzeniem generała brygady to nasza gospodyni, pani Church. A wszystkie te zręczne i bystre dziewczyny to pokojówki. Później się z nimi bliżej zapoznamy. Na razie musi pani jedynie wiedzieć, że mamy dwie Marthy, więc najlepiej wołać to imię, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Gospodyni dygnęła szybko przed Garrett, kazała lokajom zanieść nosze z rannym na piętro i sama ruszyła za nimi, pokonując schody ze zwinnością zadziwiającą przy jej korpulentnej figurze. Idąc na górę, Garrett tylko pobieżnie rozejrzała się po otoczeniu, zdołała jednak zauważyć, że dom, do którego przyjechali, choć wiekowy, zapewnia mieszkańcom całkiem dobre warunki życia. W dokładnie wysprzątanych i wywietrzonych wnętrzach powietrze miało zapach pszczelego wosku i żywicznego mydła. Pomalowane na łagodną biel ściany i sufity nie wykazywały żadnych śladów pleśni czy

zawilgocenia. Garrett zdarzało się bywać na oddziałach szpitalnych znacznie gorzej utrzymanych.

Ethana wniesiono do niewielkiego, ale schludnego pokoju. W otwartym oknie zamontowano ekran, który zatrzymywał na zewnątrz kurz i owady, a jednocześnie wpuszczał do środka powiew chłodzącej bryzy.

– Gospodarze wiedzieli zawczasu o naszym przybyciu? – zdziwiła się, widząc, że z błyszczących drewnianych posadzek usunięto dywany, a łóżko zamiast narzutą przykryto bardziej odpowiednim w ich sytuacji białym prześcieradłem.

– Telegram – odparł zwięźle West, pomagając lokajom w stawianiu noszy na podłodze przy łóżku. Na jego znak ostrożnie podnieśli Ethana, unieruchomionego w pozycji horyzontalnej. Kiedy pacjent spoczął już na posłaniu, West, pocierając obolałe mięśnie na karku, zwrócił się do Garrett: – Nawet nie zmrużyła pani oka. Niech pani Church posiedzi przy nim kilka godzin, a pani w tym czasie się zdrzemnie.

– Zastanowię się nad pańską propozycją – zbyła go, bynajmniej niczego podobnego nie biorąc pod uwagę. Pokój był czysty, ale przecież nie sterylny. – Dziękuję, panie Ravenel, teraz ja się zajmę rannym. – Wyprosiła go i zamknęła drzwi.

Pani Church pomogła Garrett ściągnąć z Ethana prześcieradła i koce, którymi był okryty w czasie podróży, i wymienić je na świeże. Miał na sobie cienką bawełnianą koszulę od lorda Treneara; później Garrett zamierzała go przebrać w szpitalny strój z kliniki, umożliwiający dostęp do ciała zarówno z przodu, jak i z tyłu.

Ethan ocknął się na moment i spojrzał na nią półprzytomnie; jego oczy kontrastowały żywym błękitem z czerwoną od gorączki twarzą. Trząsł się od stóp do głów. Przykryła go dodatkowym kocem i lekko dotknęła szorstkiego od zarostu policzka. Nie widziała go dotąd nieogolonego. Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby sięgnęła po przegub, żeby zmierzyć puls. Poruszył dłonią i wykręcił ją tak, że ich palce się splotły. Zamrugał raz, drugi i ponownie zapadł w sen.

– Biedny chłopak, taki przystojny… – westchnęła gospodyni. – Jak to się stało, że został ranny, pani doktor?

– Strzelano do niego – powiedziała Garrett i powoli wyswobodziła dłoń z uścisku.

Pani Church pokręciła głową.

– Ten charakter Ravenelów… – mruknęła ponuro. – Niejednego z nich za młodu wpędził do grobu.

Zaskoczona lekarka posłała jej pytające spojrzenie.

– Na pierwszy rzut oka poznam Ravenela – oznajmiła gospodyni. – Wysokie kości policzkowe i długi nos, no i te lekkie zakola. – Przyjrzawszy się Ethanowi z bliska, podjęła: – Romanse starego earla nie stanowiły dla nikogo tajemnicy. Domyślam się, że to jego nieślubne dziecko. Prawdopodobnie niejedyne.

– Nie mogę niczego potwierdzić – mruknęła Garrett, otulając Ethana szczelniej kołdrą. Nagle obudziła się w niej potrzeba, by stanąć w jego obronie. Nie dość, że w swym stanie był całkowicie bezbronny, to jeszcze omawiano przy nim jego najgłębsze sekrety. – Jednak ucierpiał nie z powodu swojego charakteru. Został zaatakowany po tym, jak ryzykował własne życie, żeby chronić niewinnych ludzi.

Pani Church wpatrywała się w Ethana przez długą chwilę.

– Czyli jest dobrym, dzielnym człowiekiem. Świat potrzebuje więcej takich jak on.

– Z całą pewnością – przyznała Garrett, choć wiedziała, że Ethan wyśmiałby takie zachwyty nad jego heroiczną postawą.

– Jakie są rokowania?

Garrett gestem odwołała gospodynię od łóżka i stanęła z nią przy oknie.

– Rana jest zakażona i zatruwa jego krew – powiedziała. – Gorączka będzie rosła, aż nastąpi kryzys. Musimy go utrzymywać w najwyższej czystości, żeby pomóc organizmowi w walce z infekcją i nie dopuścić do ropienia rany. W przeciwnym razie… – Urwała, strach ścisnął jej gardło. Odwróciła się do okna i patrzyła na schludnie utrzymany ogród oraz szeroką ścieżkę skręcającą za mur obrośnięty kwitnącym pnączem. W oddali stał rząd szklarni, szyby błyszczały w porannym słońcu. To miejsce, oddalone od Londynu, było takie uporządkowane i spokojne… Łatwo przychodziło uwierzyć, że nie może się w nim zdarzyć nic złego.

Gospodyni stała obok niej bez słowa, cierpliwie czekała na polecenia.

Garrett ruchem głowy wskazała na stół, udekorowany wazonem ze świeżymi kwiatami i oprawioną w ramkę miniaturą. Leżał też na nim stos książek i czasopism.

– Potrzebuję, żeby opróżniono cały blat. Proszę też przysłać stos wygotowanych ręczników i dzbanek gorącej wody, gotowanej na dużym ogniu przez co najmniej pół godziny. I niech lokaje jak najszybciej przyniosą z karetki cały sprzęt oraz leki. Potem nikt poza panią ma nie wchodzić do tego pokoju, chyba że na moje wezwanie. Nie wolno dotykać chorego bez uprzedniego wyszorowania rąk karbolowym mydłem. Ściany muszą być przemyte roztworem chloru, a podłoga posypana proszkiem dezynfekującym.

– Czy proszek McDougalla wystarczy? Używamy go w stajniach.

– Tak, doskonale się nada.

Pani Church zabrała ze stołu wazon i materiały do czytania.

– Dopilnuję, żeby wszystko było zrobione w okamgnieniu.

Garrett bardzo polubiła gospodynię, czuła, że może liczyć na bezcenną pomoc z jej strony w nadchodzących dniach. Nie wiadomo, czy to sympatia, czy zmęczenie rozwiązało jej język, ale powiedziała:

– Od razu pani zauważyła podobieństwo do Ravenelów, podczas gdy lady Helen i Pandora nigdy o nim nie wspominały. Ja też niczego się nie domyślałam.

Pani Church przystanęła w progu i uśmiechnęła się do niej.

– Służę w tym domu, odkąd skończyłam piętnaście lat, pani doktor. A służba ma obowiązek dostrzegać szczegóły. Uczymy się zwyczajów i upodobań członków rodziny. Czytamy z ich twarzy, żeby przewidzieć, czego będą potrzebować, jeszcze zanim o to poproszą. Ośmielam się twierdzić, że zwracam większą uwagę na Ravenelów niż oni na siebie nawzajem.

Gdy drzwi się zamknęły, Garrett jeszcze raz sięgnęła po rękę Ethana. Choć mocna, miała elegancką smukłość; skóra promieniowała ciepłem, jak kamienie nagrzane na słońcu. Gorączka szybko rosła.

W żyłach i tkance łącznej zachodziły mikroskopowe procesy, niewidzialne bitwy między komórkami, bakteriami, chemikaliami. Na

tak wiele rzeczy nie mam wpływu, pomyślała bezradnie Garrett.

Ostrożnie opuściła rękę Ethana na pościel i położyła dłoń na jego piersi, by przez koc ocenić tempo płytkiego, urywanego oddechu. Miała wrażenie, że jej uczucie do niego rozwija się we wszystkich kierunkach. Pomyślała o tym, co jej powiedział przed operacją, przekonany, że to jego ostatnie słowa. Nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem ona, praktyczna kobieta o naukowym umyśle, zdołała wzbudzić taką namiętność.

Jednak teraz, stojąc przy nim, wypowiadała słowa, które nigdy dotąd nawet nie przyszły jej do głowy.

– Jest moje. – Rozpostartymi palcami chłonęła uderzenia jego serca, jakby zgarniała rozsypane drogocenne perły. – Jesteś mój. Teraz należysz do mnie.

Rozdział 19

Drugiego dnia temperatura Ethana osiągnęła 39,5 stopnia, a jeszcze następnego podskoczyła o kolejny stopień. Wpadł w stan delirium, rozpalony mózg zmagał się ze wspomnieniami i koszmarami, co bardzo go osłabiało i wprawiało w nienaturalne pobudzenie. Majaczył, rzucał się na posłaniu i nawet dawka najmocniejszego opiatu nie była w stanie go uspokoić. Chwilami pocił się obficie, niemal płonął w środku z gorączki, by zaraz potem gwałtownie dygotać od dreszczy.

Garrett opuszczała jego pokój tylko na kilka minut w celu załatwienia własnych potrzeb. Spała na fotelu przy łóżku Ethana, z podbródkiem wspartym na piersi, i budziła się przy każdym, nawet najmniejszym odgłosie czy ruchu. Ufała jedynie pani Church, tylko jej pozwoliła pomagać przy zmianie pościeli i myciu pacjenta ręcznikami zmoczonymi w chłodnym roztworze środka odkażającego. Kiedy temperatura osiągała niebezpieczną wysokość, okładały go nieprzemakalnymi workami z lodem zawiniętymi w płótno. Garrett często drenowała i czyściła ranę, zmuszała go do picia wody i oczyszczającego toniku. Obrażenia zaczynały się goić, mimo to trzeciego wieczoru jakby zapadł się w otchłań, w której nie mogła go dosięgnąć ani ukoić.

– Mam siedem diabłów w czaszce… – mamrotał, próbując wstać z łóżka. – Wyrzuć je, nie pozwól mi…

– Ciii… – Chciała schłodzić mu czoło, ale odwrócił się od niej z jękiem rozpaczy. Bała się, że gwałtowne ruchy wywołają krwotok. – Ethanie, leż spokojnie. Proszę. – Starała się łagodnym naciskiem

ułożyć go z powrotem na poduszce, ale w malignie odepchnął ją tak mocno, że zachwiała się i poleciała do tyłu.

Nie upadła na podłogę tylko dlatego, że przytrzymało ją silne męskie ramię.

To był West Ravenel, w ubraniu pachnącym świeżym powietrzem, lasem i końmi; tego ostatniego zapachu w normalnych warunkach raczej nie lubiła, ale w tym momencie wydał się jej przyjemnie męski i orzeźwiający. Upewniwszy się, że Garrett stoi pewnie na nogach, West podszedł do spoconego, rzucającego się na posłaniu pacjenta.

– Ransom – odezwał się stanowczo, bez zwyczajowego ściszania głosu w pokoju chorego. – Nie ma żadnych diabłów. Wyniosły się. Leż i odpoczywaj, chłopie. – Dotknął jego czoła. – Gorące jak samo piekło. Łeb musi ci od tego pękać. Ja zawsze tak mam podczas gorączki. – Sięgnął po worek z lodem, zdjęty przed chwilą z piersi Ethana, i ostrożnie położył mu go na głowie.

Ku zaskoczeniu Garrett Ethan się uspokoił i zaczął głębiej oddychać.

– Umył pan ręce? – spytała Westa.

– Tak. Ale proszę mi wierzyć, żadne bakterie, które mogłem przynieść, nie umywają się do tych, które ma w sobie. – Powrócił spojrzeniem do napiętej, bladej twarzy chorego. – Jak wysoka jest temperatura?

– Czterdzieści i pół stopnia – odpowiedziała zgnębiona Garrett. – Przechodzi przez najgorsze stadium.

West skupił na niej uwagę.

– Kiedy pani ostatnio miała coś w ustach?

– Godzinę lub dwie temu. Chleb i herbatę.

– Dwanaście godzin temu według pani Church. Powiedziano mi też, że od trzech dni pani nie spała.

– Spałam – rzuciła sucho.

– Mam na myśli sen, w którym ciało przybiera pozycję leżącą. Drzemki w fotelu nie nazywam spaniem. Zaraz pani padnie trupem.

– Potrafię właściwie ocenić swój stan.

– Ledwie pani patrzy na oczy. Zapracowuje się pani na śmierć, podczas gdy cała armia pokojówek niecierpliwie czeka na szansę otarcia potu z czoła Ransoma. Jeśli nie pozwolimy głównej

pokojowej przynajmniej umyć go gąbką, wkrótce pewnie złoży wypowiedzenie.

– Gąbką? – oburzyła się Garrett. – Wie pan, ile groźnych bakterii siedzi w takiej gąbce? Są przynajmniej…

– Błagam, wiem już aż za dużo o bakteriach. – West patrzył z rezygnacją, jak Garrett zmierza do fotela przy łóżku. – Pani doktor, proszę… bez żadnych lubieżnych podtekstów, broń Boże, żeby pani poszła do łóżka. Chociaż na godzinę. Osobiście będę go w tym czasie doglądał.

– Jakie ma pan doświadczenie w pielęgnowaniu chorego?

– A liczy się owca wzdęta po świeżej koniczynie? – spytał po chwili wahania.

Garrett umościła się w fotelu.

– Dobrze mi zrobi filiżanka mocnej herbaty – powiedziała z uporem. – Nie mogę go teraz opuścić. Przeżywa kryzys.

– Pani też, tylko jest zbyt wyczerpana, żeby sobie z tego zdawać sprawę. – Wydał z siebie westchnienie bezsilności. – Dobrze zatem, zadzwonię po herbatę.

Po wezwaniu gospodyni i odbyciu z nią cichej narady przy drzwiach West ponownie podszedł do chorego.

– Jak wygląda rana? – spytał, obejmując luźno jeden ze słupków łóżka. – Goi się?

– Na to wygląda – odpowiedziała Garrett. – Ale niemal wszędzie, w całym ciele, mogą być inne źródła zakażenia.

– Coś na to wskazuje?

– Na razie nie. – Siedziała napięta, nienaturalnie wyprostowana, wpatrzona w leżącą na łóżku postać.

Przyniesiono herbatę. Garrett podziękowała, wzięła do ręki filiżankę, bez spodka, i opróżniła ją do dna, nie czując smaku.

– Czego pani używa do opatrywania rany? – spytał West, przeglądając zestaw buteleczek na stole.

– Gliceryny i kropli dezynfekujących. Na to idzie warstwa nasączonego oliwą muślinu.

– I trzyma go pani obłożonego lodem.

– Tak, próbuję go też zmusić do wypicia łyka wody przynajmniej raz na godzinę. Ale on nie… – Urwała, czując lekkie wirowanie pod

czaszką. Zamknęła oczy… co było błędem, bo wtedy cały pokój jakby się przechylił.

– Co się dzieje? – usłyszała niespokojny głos Westa, dobiegający jakby z oddali.

– Kręci mi się w głowie – wymamrotała. – Potrzebuję więcej herbaty albo… – Uniosła powieki, ale utrzymanie otwartych oczu sprawiało jej dużą trudność.

West stał przed nią. Wyjął z jej wiotkich palców filiżankę, żeby się nie stłukła, spadając na podłogę. Dopiero widząc czujność w jego spojrzeniu, domyśliła się, co zrobił.

– Co było w mojej herbacie? – spytała przerażona, próbując się podnieść z fotela. – Co pan do niej wlał?

Pokój zatańczył jej przed oczyma. Poczuła, że West ją obejmuje.

– Odrobinę waleriany – wyjaśnił spokojnie. – Nie zadziałałaby tak mocno, gdyby się pani nie doprowadziła do skrajnego wyczerpania.

– Zabiję pana! – krzyknęła.

– Pewnie tak. Ale żeby to zrobić, musi pani najpierw nabrać trochę sił, dobrze?

Spróbowała uderzyć go pięścią, ale bez trudu uchylił się przed wymierzonym ciosem. Kiedy kolana odmówiły jej posłuszeństwa, chwycił ją.

– Niech pan mnie puści! Muszę się nim opiekować… on mnie potrzebuje…

– Poradzę sobie z opieką, kiedy pani będzie spać.

– Nie, nie da pan rady – zaprotestowała słabo… i z przerażeniem usłyszała własny szloch. – Wszyscy pana pacjenci mają po cztery nogi. A on ma tylko dwie…

– Co oznacza o połowę mniej kłopotów – stwierdził rzeczowo West.

Garrett miotała się w bezsilnej złości; Ethan leżał na łożu śmierci, a ten człowiek lekceważył sytuację. Jej szamotanina nie robiła na nim żadnego wrażenia. Kiedy niósł ją korytarzem, rozpaczliwie starała się powstrzymać płacz. Oczy ją piekły, głowę rozsadzał ból i w dodatku stała się taka ciężka, że musiała ją oprzeć na ramieniu swego prześladowcy.

– No, już dobrze – mruknął. – To potrwa tylko parę godzin. Po przebudzeniu może się pani zemścić w dowolny sposób.

– Potnę pana na milion kawałków – chlipnęła.

– W porządku. Niech pani pomyśli, którymi narzędziami zacznie. Może tym dwustronnym skalpelem ze śmiesznym trzonkiem? – Zaniósł ją do przytulnej sypialni z tapetą w kwiaty. – Martho – zawołał i zawahał się. – A właściwie obie. Chodźcie tu usłużyć doktor Gibson.

Żadna mityczna wizja piekła, z płonącą siarką i zwęglonymi ludzkimi ciałami, nie mogła być gorsza od miejsca, w którym znalazł się Ethan. Demony o stalowych szponach atakowały go w ciemności. Rzucał się do ucieczki, ale przy każdym ruchu ich pazury wbijały się głębiej. Rozrywały go na kawałki, paliły żywym ogniem i śmiały się, kiedy je przeklinał.

Czasami uświadamiał sobie, że jest przykuty do łóżka, kiedy anioł o łagodnej twarzy pielęgnował jego zmaltretowane ciało, tylko dodając mu bólu. Chyba już wolał te demony. Zmęczony umysł nie umiał przywołać jej imienia, ale wiedział, kim ona jest. Uparła się, żeby trzymać go na ziemi tymi drobnymi, nieubłaganymi rękami. Chciał jej powiedzieć, że odszedł już za daleko, że nie ma dla niego powrotu. Ale jej wola była większa od jego słabości.

Ogień wznosił się z dołu i rozkwitał niebieskim żarem. Ethan jęczał i wstrzymywał oddech, napinał się, żeby uciec przed studnią splątanych płomieni. W górze był krąg światła, był też mężczyzna, który się nad nim pochylał. Widząc muskularne ramię ojca i jego sękate dłonie, rozpaczliwie próbował się unieść.

– Tato… – wychrypiał szeptem. – Ogień… wyciągnij mnie… nie pozwól, żeby mnie pochłonął…

– Już jesteś wyciągnięty. Trzymam cię. – Poczuł mocny uścisk.

– Nie puszczaj, tato…

– Nie puszczę. Leż spokojnie. – Ojciec wyciągnął go i ułożył na plecach, a potem otarł czymś chłodnym jego twarz i szyję. – Spokojnie. Najgorsze minęło. – Jeszcze nigdy wcześniej nie zwracał się do niego tak łagodnie, jakby te najgorsze cechy jego charakteru zastąpiła cierpliwość.

Ethan rozluźnił się, drżąc lekko pod cudownie chłodnym dotykiem, który przemieszczał się po całym jego ciele. Gdy nagle ustał, po omacku sięgnął po dłoń ojca, żeby przyciągnąć ją z powrotem do swojej twarzy. Głaskanie powróciło, a udręczony mózg Ethana zaczął się uspokajać.

Obudziło go światło poranka na powiekach; ktoś ściągał z niego bandaże, jakby obierał owoc ze skórki. Na jego ramię kapał jakiś piekący płyn, krople spadały stałym, jednostajnym rytmem, a w tle rozbrzmiewał męski głos. Mówił nie do niego, tylko o nim, lekkim tonem, wyraźnie nie oczekując odpowiedzi.

To było cholernie irytujące.

– …nigdy nie miałem tyle do czynienia z ciałem innego mężczyzny. Co więcej, z kobiecym chyba też nie. Nie wiem, czy po tym wszystkim nie będę musiał zostać mnichem.

Ten człowiek wprawnie owijał mu bandażem pierś i plecy; pochylał się nisko, żeby lekko unosić go przy nakładaniu każdej kolejnej warstwy.

– …ciężki jak tucznik rasy hampshire… Są bardziej umięśnione niż inne rasy, dlatego ważą więcej, niż na to wyglądają. Możesz mi wierzyć, dostałbyś pierwszą nagrodę za bekon. I uznaj to za komplement.

Ethan z wrogim pomrukiem odepchnął mówiącego, tak mocno, że omal go nie przewrócił. Następnie szybko się rozejrzał, przetoczył na bok w stronę stołu i wziął z blatu jedno z metalowych narzędzi. Nie zważając na ból w ramieniu, ułożony na boku spiorunował wzrokiem mężczyznę stojącego przy łóżku.

To był West Ravenel. Przyglądał mu się z ukosa.

– Lepiej się dziś czujemy, co? – rzucił z udawaną wesołością.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiał Ethan.

– W naszej zacnej, starej rodowej siedzibie, Eversby Priory. – West popatrzył na bandaż na piersi Ethana i zauważył, że zaczął się rozwijać. Chwycił za luźny koniec. – Pozwól mi dokończyć opatrunek albo…

– Dotknij mnie jeszcze raz – warknął Ransom – to cię tym zabiję.

West natychmiast cofnął rękę i zerknął na trzymany przez Ethana przedmiot.

– To łyżka.

– Wiem.

Wargi Ravenela drgnęły w kącikach, ale zrobił krok do tyłu.

– Gdzie jest Garrett? – spytał Ethan.

– Po przeprowadzeniu operacji, podróży do Hampshire i pielęgnowaniu cię przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy musiała trochę odpocząć. W nocy gorączka zaczęła ci spadać, co niewątpliwie ją ucieszy, kiedy się obudzi. Na razie ja cię doglądam. – West na moment zawiesił głos. – I chyba wolałem, jak byłeś nieprzytomny.

Ethan uświadomił sobie, że West Ravenel widział go w malignie, i ogarnął go wstyd. Boże, ten sen o ojcu… o chwilach ojcowskiej troski, tak upragnionej od człowieka, który go wychował. I to trzymanie za ręce… czyżby sobie wyobrażał, że…

– Spokojnie – rzucił lekkim tonem West. – Jesteśmy rodziną. – Po raz pierwszy otwarcie uznawał go za jednego z Ravenelów.

Ethan patrzył na niego bez słowa, czerwony z upokorzenia.

– Właściwie – ciągnął West – teraz, kiedy moja krew płynie w twoich żyłach, jesteśmy jak rodzeni bracia.

Ethan pokręcił głową, zupełnie zdezorientowany.

– Transfuzja – wyjaśnił zwięźle West. – Otrzymałeś około trzystu gramów Ravenela, rocznik czterdziesty dziewiąty… chyba całkiem przyzwoity, skoro przywrócił cię do życia, kiedy serce ci stanęło po operacji. – Uśmiechnął się na widok miny Ethana. – Rozchmurz się, najwyższy czas nabrać trochę poczucia humoru.

W spojrzeniu Ethana nie było już przerażenia ani niechęci, tylko… zaskoczenie. O transfuzjach wiedział tylko tyle, że cholernie niewielu ludzi je przeżywało. A West Ravenel, którego uważał za skończonego osła, dobrowolnie zdecydował się podjąć trud i ryzyko dla niego. Nie tylko oddał mu własną krew, lecz także zabrał go do Eversby Priory i opiekował się nim, choć dobrze wiedział, co mu za to grozi.

Patrząc w niebieskie oczy, tak podobne do jego własnych, Ethan zobaczył, że West spodziewa się jakiejś złośliwej odpowiedzi, świadczącej o niewdzięczności.

– Dziękuję – rzekł po prostu.

West zamrugał zaskoczony i przyjrzał się Ethanowi dokładniej, jakby chciał się upewnić co do jego szczerości.

– Bardzo proszę – odpowiedział w końcu. Po chwili milczenia, trochę niezręcznego, ale pozbawionego wrogości, podjął: – Jak chcesz, mogę cię doprowadzić do porządku przed przyjściem doktor Gibson. Zanim odmówisz, powinieneś wiedzieć, że twoja broda przypomina drucianą szczotkę i cuchniesz jak angorska koza… a wiem, o czym mówię. Jeśli wolisz, żeby to zrobił ktoś inny, mogę zdezynfekować mojego kamerdynera. Chociaż nie dam głowy, czy będzie zachwycony.

Garrett obudziła się dziwnie odrętwiała. Jeszcze zanim jej umysł odzyskał pełną jasność, ciało już przeczuwało nadchodzącą katastrofę.

Do pokoju wpadało dzienne światło; wciskało się szparami wokół zamkniętych okiennic i między ich szczebelkami. Gapiła się na pusty biały sufit.

Do tej pory naturalny proces gorączkowania powinien był dobiec końca. Źrenice będą rozszerzone, nieczułe na światło. Temperatura ciała zrównała się z temperaturą otoczenia. Może go wziąć w ramiona, ale nie sięgnie już tam, dokąd uleciała jego dusza.

Nigdy nie wybaczy Westowi Ravenelowi, że odebrał jej możliwość towarzyszenia Ethanowi w ostatnich minutach życia.

Sztywno i niezdarnie, jak stara kobieta, podniosła się z łóżka. Bolały ją wszystkie mięśnie i stawy. I każdy centymetr skóry. Udała się do sąsiadującej z pokojem łazienki, żeby skorzystać z toalety i obmyć twarz. Nie było już po co się spieszyć.

Na krześle zostawiono dla niej szlafrok z tkaniny w kwiaty, a na podłodze miękkie pantofle. Pamiętała jak przez mgłę, że dwie pokojówki pomagały jej się przebrać w koszulę nocną i rozpuściły jej włosy. Nigdzie nie widziała swojego ubrania, a na toaletce nie znalazła ani jednej spinki. Owinęła się szlafrokiem i zawiązała pasek. Pantofle były na nią za małe.

Boso wyszła z pokoju i podążyła w stronę otchłani żalu, która na nią czekała. Odtąd miała bezustannie przekraczać jej krawędź i spadać, raz za razem… Ethan wtargnął w jej życie i zniknął, zanim miała okazję w pełni odkryć, czego powinna żałować.

Słońce rysowało na podłogach szerokie jasne pasy. Wzdrygnęła się na dźwięk domowych odgłosów – służba krzątała się przy swoich codziennych obowiązkach. W tym momencie Garrett zrozumiała, dlaczego ludzie w żałobie obwieszają dom kirem – każda oznaka życia szarpała nerwy.

Zwolniła, słysząc rozmowę dobiegającą z pokoju Ethana. West Ravenel, z typową dla siebie bezceremonialnością, gwarzył z kimś swobodnie w obecności zmarłego.

Zanim złość wybuchła w niej pełnym płomieniem, Garrett stanęła w progu i ujrzała postać siedzącą na posłaniu. Musiała się przytrzymać framugi, żeby nie upaść.

Ethan.

Zrobiło jej się ciemno przed oczyma, a potem tę ciemność rozjaśniły snopy iskier, które wypełniły także płuca. Przez moment nie mogła złapać tchu. W głowie jej szumiało z nieopisanej radości… i ze strachu. Czy to się działo naprawdę? Nie mogła uwierzyć własnym zmysłom. Po omacku ruszyła w kierunku Westa. Musiała wiele razy zamrugać, nim go zobaczyła. A i wtedy kontury miał dziwnie rozmyte.

– Gorączka spadła, a pan mnie nie obudził? – wychrypiała.

– A po co? Potrzebowała pani snu, a wiedziałem, że rano nie będzie ani trochę mniej żywy.

– Za to pan będzie znacznie mniej żywy, jak już się z panem policzę! – wykrzyknęła.

West uniósł brwi i skrzywił się w chytrym grymasie.

– To znaczy, że co rano wy dwoje będziecie mnie odwiedzać i grozić mi śmiercią?

– To prawdopodobne – potwierdził z łóżka Ethan.

Głos miał taki jak dawniej, lekko kpiący i dźwięczny. Garrett w końcu odważyła się na niego spojrzeć, wciąż przerażona, że mógłby zniknąć.

Siedział wsparty na poduszkach, świeżo ogolony i umyty. Wyglądał zdumiewająco normalnie, zważywszy na to, że parę godzin wcześniej otarł się o śmierć. Patrzył na Garrett, na jej rozpuszczone włosy, szlafrok, palce stóp wystające spod rąbka kwiecistego aksamitu. Jego niebieskie oczy, jednocześnie jasne jak niebo i ciemne jak głębia oceanu, były pełne ciepła, troski, czułości… dla niej… tylko dla niej.

Podeszła do niego z takim wysiłkiem, jakby brodziła w wodzie sięgającej pasa; miała wrażenie, że nogi ledwo ją niosą. Gdy już znalazła się przy łóżku, Ethan chwycił ją za rękę i przyciągnął, tak że opadła na brzeg materaca.

– *Acushla…* – Przyłożył dłoń do jej twarzy i kciukiem delikatnie pogładził policzek. – Jak się masz?

– Ja… – Zaskoczona tym, że pierwsze pytanie dotyczy jej, poczuła, że zaczyna się zwijać w środku jak kulka z bibuły.

Ethan pociągnął ją na siebie i ułożył jej głowę na swoim zdrowym ramieniu. Ku swej irytacji wybuchnęła łzami ulgi, choć bardzo pragnęła zachować godną postawę. Objął ją i zaczął gładzić po włosach, mrucząc tuż przy jej uchu:

– No, to teraz dopiero czekają cię ciężkie czasy, kochanie. Chciałaś mnie, to masz.

Tuliła się do niego, przepełniona ulgą, od której czuła się słaba jak nowo narodzone dziecko.

– Trzymasz mnie za blisko – powiedziała po chwili, próbując się od niego odsunąć. – To może wywołać wtórny krwotok…

On jednak objął ją jeszcze mocniej.

– Sam zdecyduję, kiedy będzie za blisko. – Głaskał ją po plecach, tulił i szeptał jej czułości do ucha.

– Czuję się tu zbędny – oznajmił West od progu. – Chyba czas na mnie. Ale najpierw, pani doktor, pewnie zechce pani wiedzieć, że rana została opatrzona, a bandaże zmienione dziś rano. Nadal żadnych śladów ropienia. Podaliśmy mu kleik jęczmienny, ale odmówił jedzenia, potem dostał grzankę rozmoczoną w wodzie, ale tak gwałtownie domagał się normalnej, że w końcu musieliśmy ustąpić. Zażądał też herbaty do popicia. Mam nadzieję, że nie będzie z tego problemów.

– Zrobił ci jakąś krzywdę? – spytała Garrett z niepokojem.

– Nie – odpowiedział West. – Ale groził mi łyżką.

– Pytałam Ethana.

Ransom uśmiechnął się, wsuwając palce w jej włosy.

– Nie mam żadnych zastrzeżeń poza tą rozmokłą grzanką.

Spojrzał ponad głową Garrett na mężczyznę stojącego w drzwiach. Kiedy się odezwał, w jego głosie dało się wychwycić nutę ostrożnej sympatii:

– Dziękuję, Ravenel. I przepraszam za swoje zachowanie przy naszym pierwszym spotkaniu.

West wzruszył ramionami.

– „Bardzo w rodzinie, choć mniej niż rodzony".

Cytat wzbudził żywe zainteresowanie Ethana, na moment aż wstrzymał oddech.

– To z *Hamleta*, prawda? Macie tu egzemplarz tej sztuki?

– W bibliotece jest komplet dzieł Szekspira – odparł West. – Dlaczego pytasz?

– Jenkyn kazał mi ją przeczytać. Powiedział, że to lustro dla ludzkiej duszy.

– Mój Boże, nic dziwnego, że nie znoszę tego dramatu.

Garrett uniosła się, żeby popatrzeć na Ethana. Był blady i wyczerpany; znała go na tyle, by po minie poznać, że cierpi ból.

– Przez następny tydzień masz tylko leżeć i odpoczywać – zarządziła. – Czytanie *Hamleta* za bardzo by cię pobudziło.

– Pobudziło? – prychnął West. – Przecież to sztuka o zwlekaniu.

– To sztuka o mizoginii – sprostowała Garrett. – Tak czy inaczej, dam teraz panu Ransomowi zastrzyk z morfiny, żeby mógł zasnąć.

– „Dobranoc, słodki książę" – rzucił wesoło West, po czym zniknął za drzwiami.

Ethan chwycił Garrett za udo przez fałdy szlafroka i nocnej koszuli, zatrzymując ją na łóżku.

– Nie chcę jeszcze morfiny. Od kilku dni byłem nieprzytomny.

Mimo bladości i zmęczenia, które wyostrzyło mu rysy, wyglądał pięknie z tymi pałającymi błękitem oczyma. Żył, oddychał i należał do niej. Znów przepływała między nimi jakaś szczególna energia, łączyła ich więź, której nie czuła dotąd z nikim innym.

– Ravenel opowiedział mi z grubsza, co się stało, ale chcę całość usłyszeć od ciebie – poprosił.

– Jeśli mnie przedstawił jako upartą jędzę, to chyba nie będę zaprzeczać.

– Powiedział, że byłaś waleczna i mądra jak Atena. Ma do ciebie wielki szacunek.

– Doprawdy? – zdziwiła się szczerze Garrett. – Jeszcze nigdy tak bardzo w siebie nie wątpiłam jak przez ostatnie dni. Ani się tak nie bałam. – Popatrzyła na niego z niepokojem. – Kiedy już wydobrzejesz po operacji, może ci pozostać lekkie osłabienie i ograniczony zakres ruchomości po tej stronie. Nadal będziesz sprawniejszy od przeciętnego mężczyzny, ale jeszcze przez długie miesiące możesz czuć ból przy unoszeniu ramienia. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do tego rodzaju ograniczeń. Gdybyś się wdał w bójkę i został uderzony w miejsce postrzału…

– Będę uważał – przerwał jej. Po czym krzywiąc się lekko, dodał: – Na pewno nie będę szukał okazji do bójek.

– Będziemy musieli tu zostać, dopóki się nie wzmocnisz. Nie możesz się stąd ruszać przez co najmniej miesiąc.

– Nie mogę czekać tak długo – odparł spokojnie.

Oboje zamilkli, świadomi tego wszystkiego, co muszą omówić, i zgodni, że mogą z tym poczekać.

Garrett ostrożnie wsunęła rękę pod koszulę Ethana, żeby sprawdzić, czy bandaż jest dobrze założony. Chwycił jej dłoń i przytrzymał na swojej piersi. Sprężysty zarost, na który w ostatnich trudnych dniach nie zwracała uwagi, połaskotał jej palce i obudził motyle w brzuchu. Ethan wolną ręką objął ją za szyję i przyciągnął do siebie.

Pamiętając o jego delikatnym stanie, Garrett pilnowała, by pocałunek nie stał się zbyt namiętny. Usta miał suche i ogniste, ale nie od gorączki… To był ten sam męski żar, który tak dobrze zapamiętała. Nie zdołała się oprzeć, rozchyliła wargi pod lekkim naporem i wyczuła smak słodzonej herbaty… i jego… O Boże, nie sądziła, że jeszcze kiedyś będzie jej to dane. Próbowała zakończyć pocałunek, ale nie chciał jej puścić, a ona bała się go odsunąć, naciskając na klatkę piersiową.

W końcu, po dłuższej chwili, oderwała się od niego, żeby zaczerpnąć tchu.

– Na miłość boską, zaledwie parę godzin temu byłeś bliski śmierci! – zawołała.

Spod na wpół opuszczonych rzęs patrzył w miejsce na jej szyi, gdzie bił puls. Delikatnie pogładził je końcem palca.

– Jestem z tobą w jednym łóżku. Musiałbym być martwy, żeby się nie podniecić.

Garrett zerknęła na uchylone drzwi w obawie, że może ich zobaczyć przechodząca korytarzem służba.

– Zbyt wysokie ciśnienie krwi może cię zabić. Dla twojego dobra jakiekolwiek przedsięwzięcia seksualne są zakazane.

Rozdział 20

Ethan potrzebował około dwóch tygodni, żeby ją uwieść.

Garrett napisała szczegółowy grafik jego rekonwalescencji. Pierwszego dnia mógł siedzieć na łóżku, wsparty o poduszki. Czwartego lub piątego dnia wolno mu było wstać z łóżka i posiedzieć w fotelu, godzinę rano i godzinę po południu. Uprzedziła go, że minie miesiąc, zanim będzie mógł samodzielnie chodzić po domu.

Zwykle pozostawali we dwoje i nikt im nie przeszkadzał, jako że West musiał nadrobić zaległości w doglądaniu gospodarstwa, powstałe w czasie jego pobytu w Londynie. Odwiedzał dzierżawców w związku z wprowadzanymi na ich farmach usprawnieniami, a także nadzorował wykorzystywanie kilku nowo nabytych maszyn do zbierania siana. Zwykle wychodził z domu o wschodzie słońca i wracał dopiero na obiad.

Pozbawiona codziennych obowiązków Garrett miała więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek wcześniej w życiu, nie wyłączając dzieciństwa. Spędzała prawie każdą minutę z Ethanem, który dochodził do siebie w zdumiewająco szybkim tempie. Rana goiła się i zasklepiała bez śladu infekcji, a przy tym w pełni wrócił mu apetyt. Dietetyczne specjały przysyłane z kuchni – bulion, budynie i galaretki – zostały zamienione na normalne posiłki.

Z początku Ethan dużo spał, zwłaszcza po opiatach, które Garrett podawała mu na uśmierzenie bólu. Podczas godzin jego czuwania siadała przy łóżku i czytała mu na głos *Hamleta*, a także najświeższe numery „Timesa” i „Police Gazette”. Garrett z radością krzątała się przy różnych drobnych czynnościach, poprawiała kołdrę, sprawdzała, co i ile jadł, odmierzała porcje leczniczego toniku do małych

kubeczków. Czasami po prostu siedziała przy łóżku i patrzyła, jak śpi. Nie mogła się powstrzymać po tym, jak omal go nie straciła, cieszyła się, że jest bezpieczny, czysty i dobrze odżywiany.

Ethana, jak każdego mężczyznę w podobnej sytuacji, musiała nieco przytłaczać jej troskliwość, ale nie powiedział na ten temat ani słowa. Czasami przyłapywała go na tym, że obserwuje ją z uśmiechem przy rozmaitych zajęciach – porządkowaniu leków, zwijaniu świeżo wysterylizowanych bandaży, opryskiwaniu pokoju roztworem karbolu. Zdawał się rozumieć, jak bardzo ceni sobie poczucie, że nad wszystkim panuje.

W drugim tygodniu jednak zaczął mieć dość zamknięcia w jednym pomieszczeniu, więc Garrett, choć niechętnie, pozwoliła mu posiedzieć na zewnątrz, na tarasie z widokiem na ogród. Bez koszuli, z raną lekko osłoniętą gazą, drzemał na słońcu wyciągnięty w niedbałej pozie. Z rozbawieniem zauważyła, że kilka pokojówek stoi przy oknie na wyższym piętrze, skąd widać taras, dopóki pani Church ich stamtąd nie przegoniła. Trudno się dziwić, że chciały zerknąć na półnagiego mężczyznę o wyjątkowej męskiej urodzie i imponującej budowie ciała.

Kolejne słoneczne dni mijały przyjemnie i leniwie, więc Garrett, chcąc nie chcąc, musiała się przystosować do powolnego tempa życia w Eversby Priory. Nie miała innego wyboru. Czas jakby inaczej płynął w miejscu, którego grube mury stanowiły niegdyś dom dla ponad dziesięciu mnichów, a kominki w pokojach były tak duże, że dorosły człowiek mógł w nich stanąć wyprostowany. Rzadko słyszało się łomot pociągu na torach – hałas w Londynie wręcz nieustający, za to z żywopłotów dobiegał śpiew drobnego ptactwa, z pobliskiego lasu pracowity stukot dzięciołów, a z gospodarstwa rżenie koni. Z oddali niosły się czasem odgłosy młotków i pił stolarzy oraz innych rzemieślników pracujących przy południowej fasadzie domu, ale to było doprawdy nic w porównaniu z uciążliwością londyńskich prac budowlanych.

W Eversby Priory jedzono dwa wspólne posiłki dziennie: pożywne duże śniadanie i wystawny późny obiad. Pomiędzy nimi apetycznie podane produkty wykładano w formie bufetu w jadalni. Można było wybierać spośród wielu rodzajów śmietanki, masła i sera zrobionych

z mleka krów pasionych na łące. Soczysty, delikatny bekon i wędzoną szynkę podawano do prawie każdego posiłku – albo jako osobne danie, albo w formie dodatków do różnych potraw i sałatek. Nigdy nie brakowało jarzyn z kuchennego warzywnika i dojrzałych owoców z sadu. Garrett, przyzwyczajona do szybkich i raczej spartańskich posiłków, tu zmuszała się do powolnej degustacji i przesiadywania przy stole. Przy braku jakiegokolwiek zajęcia i odpowiedzialności nie było potrzeby z czymkolwiek się spieszyć.

Nabrała zwyczaju codziennego spacerowania po ogrodzie w czasie, gdy Ethan odbywał popołudniową drzemkę. Kwitnące rośliny specjalnie zgrupowano w nieregularnych kępach, gdyż dodawało to uroczego wrażenia swobody i dzikości starannie zaprojektowanej i pięknie utrzymanej całości.

W ogrodzie jakby łatwiej się myślało. Nie chodziło o zwykłe myślenie, lecz o takie sięgające kilku warstw w głąb. Przyszło jej do głowy, że pewnie dlatego Havelock radził jej pojechać na wakacje.

Mijając fontannę z rzeźbami dokazujących cherubinów i rabatę pełną pierzastych białych chryzantem, przypomniała sobie, co jeszcze Havelock wtedy powiedział: „Nasze istnienie, nawet nasz intelekt, kręci się wokół miłości – bez niej bylibyśmy jedynie częścią przyrody, niczym więcej".

W końcu usłuchała obu jego rad: pojechała na wakacje – choć na początku zgoła inaczej się zapowiadało – i znalazła kogoś do kochania.

Wszystko to było niezwykłe. Przez większą część życia uciekała od poczucia winy, że spowodowała śmierć matki, i nigdy nie zwalniała na tyle, by zauważyć, co może ją omijać. Nigdy nie liczyła na miłość… a ona jakimś cudem się pojawiła i zapuściła korzenie, jak dzikie fiołki rosnące w szczelinach miejskiego chodnika.

Havelock prawdopodobnie ostrzegałby ją, że nie zna Ethana wystarczająco długo, by mu ufać albo być pewną własnych uczuć. Większość ludzi mówiłaby, że to się stało za szybko. Ale kilku rzeczy dotyczących Ethana Garrett była absolutnie pewna. Wiedziała, że akceptuje jej wady tak samo bez zastrzeżeń, jak ona akceptowała jego niedoskonałości: każde z nich było bardziej wyrozumiałe dla ukochanej osoby niż dla samego siebie. Wiedziała też, że Ethan

kocha ją bezwarunkowo. Każde z nich dotarło do rozstaju w swoim życiu i mieli szansę pójść razem w nowym kierunku… jeśli wystarczy im odwagi.

W drodze powrotnej ze spaceru Garrett wybrała okrężną ścieżkę prowadzącą do grządek z warzywami i kurnika. Zamiast typowej szopy w Eversby Priory kurczaki miały do dyspozycji prawdziwy drobiowy pałac. Centralny budynek z cegły i malowanego drewna miał łupkowy dach z ogrodzonym balustradą gzymsem i białe kolumny od frontu. Między dwoma bocznymi skrzydłami znajdował się wybrukowany placyk i niewielki staw do użytku ptactwa.

Garrett przeszła na tyły zabudowań, gdzie w okratowanych wybiegach posadzono drzewa owocowe. W jednym z rogów stał starszy ogrodnik i rozmawiał z młodszym mężczyzną, który przykucając, naprawiał dziurę w ogrodzeniu.

Ten młodszy, rosły i atletycznie zbudowany, zręcznie łączył przerwane druty, posługując się obcęgami. Jeszcze zanim Garrett ujrzała twarz skrytą pod znoszonym kapeluszem, poznała Westa Ravenela po dźwięcznym, niskim głosie.

– Mój Boże, naprawdę nie wiem, czego potrzebują – mówił z rezygnacją. – Spróbuj je przesadzić z inspektu z powrotem do szklarni.

Garrett nie zrozumiała odpowiedzi starszego mężczyzny, usłyszała tylko jego płaczliwy ton.

– Orchidee – westchnął West. – Zrób, co możesz. Jakby co, wezmę winę na siebie.

Ogrodnik pokiwał głową i odszedł, powłócząc nogami.

Widząc nadchodzącą Garrett, West wstał i wciąż trzymając obcęgi, w geście uszanowania dotknął ronda kapelusza. Ubrany w robocze spodnie i zmiętą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, wyglądał bardziej na typowego farmera niż na wysoko urodzonego dżentelmena.

– Dzień dobry, pani doktor.

Garrett powitała go uśmiechem. Mimo że podpadł jej, dolewając waleriany do herbaty, musiała przyznać, że kierowały nim dobre intencje. Teraz, kiedy Ethan szybko dochodził do zdrowia, postanowiła mu wybaczyć.

– Dzień dobry, panie Ravenel. Nie będę panu przeszkadzać w pracy, chciałam tylko obejrzeć kurnik. Robi wrażenie.

West pochylił głowę, żeby otrzeć spoconą twarz o rękaw koszuli.

– Kiedy zamieszkaliśmy w Eversby Priory, kurnik był w znacznie lepszym stanie niż sama rezydencja. Ustalona tu hierarchia wyraźnie faworyzuje kury kosztem istot ludzkich.

– Mogę spytać, do czego służą te pawilony?

– Do znoszenia jaj.

– Ile… – zaczęła Garrett, lecz zamilkła gwałtownie, przestraszona, gdy para wielkich gęsi ruszyła ku niej z rozpostartymi skrzydłami, wściekle sycząc, gęgając i wydając odgłosy podobne do ogłuszającego świstu. Mimo że agresywne ptaki znajdowały się po jednej stronie ogrodzenia, a ona po drugiej, odruchowo odskoczyła do tyłu.

West szybko stanął między nią i gęsiami, po czym chwycił ją za ramiona, pomagając utrzymać równowagę.

– Przepraszam. – Niebieskie oczy skrzyły się wesołością. Odwrócił się w stronę ptaków. – Spokój, jedna z drugą, bo inaczej wypcham waszym pierzem materac.

Odprowadził Garrett nieco dalej od płotu; gęsi przestały hałasować, ale wciąż łypały na nią nieprzyjaźnie.

– Proszę wybaczyć tym nieokrzesanym głodomorom – powiedział West. – Są wrogo nastawione do każdej obcej istoty, która nie jest kurczakiem.

Garrett poprawiła nakrycie głowy – słomkowy kapelusik ozdobiony z boku wstążkami i bukiecikiem kwiatków.

– Ach, rozumiem, to gęsi obronne.

– Właśnie. Gęsi to stworzenia terytorialne, a do tego bardzo spostrzegawcze. Ilekroć zbliża się drapieżnik, podnoszą alarm.

Garrett zachichotała.

– Mogę zaświadczyć o ich skuteczności – powiedziała. Okrążając płot z zachowaniem stosownej odległości, dodała: – Przypadkiem usłyszałam pańską rozmowę z ogrodnikiem. Mam nadzieję, że nie macie kłopotów z orchideami Helen?

Jedna z czterech szklarni mieściła kiedyś jej kolekcję storczyków. Większość z tych egzotycznych roślin została przetransportowana do

Londynu, gdzie Winterborne zbudował dla nich oranżerię na dachu swego domu. Niektóre jednak zostały w Eversby Priory.

– Naturalnie, że mamy z nimi kłopoty – powiedział West. – Trzymanie orchidei to jedynie desperacka próba odwleczenia tego, co nieuniknione, czyli suchych patyków w doniczkach. Mówiłem Helen, żeby nie zostawiała tu tych przeklętych badyli, ale mnie nie posłuchała.

– Z pewnością Helen nie będzie utyskiwać – wyraziła przekonanie Garrett. – Nie słyszałam, by do kogokolwiek zwróciła się złym słowem.

– Nie, będzie jedynie sprawiała wrażenie trochę rozczarowanej, tak jak to ona potrafi. Mnie osobiście to nie wzrusza, ale nie lubię patrzeć, jak cała służba ogrodowa płacze. – West schylił się, żeby wziąć młotek ze skrzynki z narzędziami. – Rozumiem, że po powrocie do domu sprawdzi pani stan Ransoma?

– Nie, sypia popołudniami, kiedy ja spaceruję.

– Ostatnio nie.

Spojrzała na niego pytająco.

– Trzy dni temu poprosił o plan wszystkich pięter domu, wraz z zewnętrznymi elementami, z naniesionymi zmianami, które wprowadziliśmy do tej pory. I plany otaczającego terenu. Kiedy spytałem, po co mu to, wyglądał na poirytowanego i obiecał, że powie mi, jeśli będę musiał coś wiedzieć. – Zrobił krótką pauzę, po czym dodał: – Wczoraj wypytywał jedną z pokojówek o kwatery dla służby, pomieszczenia wspólne i miejsce przechowywania broni.

– Miał odpoczywać! – Garrett nie kryła oburzenia. – Nadal grozi mu wtórny krwotok.

– Mnie bardziej zmartwiło jego zainteresowanie domową bronią.

– Spróbuję się dowiedzieć, o co mu chodzi – obiecała z westchnieniem.

– Proszę mnie nie wydać, że naskarżyłem – ostrzegł West – bo i tak się wyprę, udając obrażonego. Nie chcę, żeby się na mnie złościł.

– Jest złożony niemocą – rzuciła Garrett przez ramię. – Co mógłby panu zrobić?

– Ten człowiek był szkolony do mordowania ludzi zwykłymi domowymi przedmiotami – zawołał za nią West, z trudem ukrywając rozbawienie.

Po powrocie ze spaceru Garrett przebrała się w lekką suknię w kolorze cytryny, wypożyczoną z garderoby Kathleen. Pani Church przyniosła jej całą kolekcję takich strojów, gdy zobaczyła dwie skromne suknie z czarnego sukna spakowane przez Elizę.

– Ugotuje się pani w tych ciemnych rzeczach – stwierdziła gospodyni. – Sukno nie nadaje się na lato w Hampshire. Milady nalega, żeby skorzystała pani z zawartości jej szafy. – Garrett przyjęła propozycję z wdzięcznością i natychmiast pokochała przewiewne, lekkie kreacje z jedwabiu i wzorzystego muślinu.

Udała się do pokoju Ethana. Przed wejściem zapukała do drzwi. Tak jak się spodziewała, leżał na łóżku z plikiem prostokątnych arkuszy, pokrytych dziwnymi wykresami i opisami.

– Miałeś odpoczywać – przypomniała mu z wyrzutem.

Opuścił trzymany przed oczyma papier i uśmiechnął się na jej widok.

– Jestem w łóżku – rzucił tonem usprawiedliwienia.

– Mój ojciec nazwałby to odwracaniem kota ogonem.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Serce zabiło jej szybciej, kiedy popatrzyła na Ethana z bliska. Był ubrany w pożyczoną od Westa koszulę i zbyt luźne spodnie, podtrzymywane skórzanymi szelkami, które krzyżowały się na plecach i z przodu sięgały do pasa. Stopy miał bose, włosy o barwie czekolady opadały mu na czoło. Popijał ze szklanki zimną herbatę z leczniczymi ziołami – wiciokrzewem i ostropestem plamistym.

– Jesteś śliczna jak żonkil w tej sukni – pochwalił. – Podejdź bliżej, niech cię obejrzę. – Nieskrywany zachwyt w jego oczach wprawił ją w zakłopotanie.

Suknia składała się z kilku warstw żółtego jedwabiu i jako strój do użytku wyłącznie domowego miała nader wygodne zapięcie – jedynie kilka guzików i szlufek. Zaprojektowano ją tak sprytnie, że

nieodmiennie trzymała elegancki fason z wąską talią, mimo iż nie wymagała zakładania pod spód gorsetu. Tego dnia Garrett miała nieco swobodniejszą fryzurę niż zwykle; czesała ją dziewczyna, która uczyła się na pokojówkę, i spytała, czy mogłaby na niej poćwiczyć. Skręciła włosy w miękkie fale, a potem upięła je w elegancki francuski kok.

Kiedy Garrett podeszła do łóżka, Ethan chwycił w palce fałd żółtego jedwabiu.

– Jak było na spacerze, *acushla*?

– Bardzo przyjemnie. W drodze powrotnej poszłam obejrzeć kurnik.

– Przy ogródku warzywnym.

– Tak. – Spojrzała na papiery, które trzymał w drugiej ręce. – Po co studiujesz plany posiadłości?

Chwilę zwlekał z odpowiedzią, z przesadną starannością zbierał rozrzucone po łóżku arkusze.

– Oceniam słabe punkty.

– Martwisz się, że ktoś mógłby wtargnąć do tego domu?

Wzruszył zdrowym ramieniem.

– Cud, że dotąd doszczętnie ich nie okradli. Nikt tu nie zamyka drzwi.

– To przez te prace remontowe – powiedziała Garrett. – Ciągle się tu kręci tylu murarzy i innych robotników, że wygodniej zostawiać wszystko pootwierane. Pan Ravenel mówił mi, że musieli zrywać podłogi, żeby zainstalować nowoczesną kanalizację, i wymieniali ściany zniszczone wadliwym odwodnieniem. Całe wschodnie skrzydło jest wyłączone z użycia, dopóki go kiedyś nie odbudują.

– Byłoby lepiej zburzyć cały stary dom i wybudować nowy. Co im każe wskrzeszać takie wielkie, zdewastowane domiszcze?

Garrett uśmiechnęła się pod nosem, słysząc tak miażdżącą krytykę eleganckiej, historycznej rezydencji.

– Duma z dokonań przodków? – zasugerowała.

Ethan parsknął lekceważąco.

– Z tego, co wiem o przodkach Ravenelów, mają raczej niewiele powodów do dumy.

Garrett przysiadła na brzegu łóżka, jedną nogę podwijając pod siebie.

– Są również twoimi przodkami – przypomniała mu. – A nazwisko jest znane i cenione.

– To nic dla mnie nie znaczy – oznajmił z irytacją. – Nie mam prawa nosić nazwiska Ravenel ani ochoty zwać się krewnym kogokolwiek z nich.

Starała się zachować neutralny ton, mimo to w jej głosie pobrzmiewała troska.

– Masz trzy przyrodnie siostry. Z pewnością będziesz chciał je poznać.

– Dlaczego miałbym chcieć? Co by mi to dało?

– Rodzinę?

Zmrużył oczy.

– Chciałabyś być z nimi spowinowacona, prawda? Powinnaś była pozwolić, żeby lady Helen zapoznała cię z Westem Ravenelem. Do tej pory byłabyś już pełnoprawnym członkiem rodziny.

Zaskoczona tym, jak szybko zmienił mu się nastrój, Garrett odpowiedziała spokojnie:

– Wielkie nieba, jaka złość bije z twoich słów. Nie chcę pana Ravenela. Chcę ciebie. Nie ma dla mnie znaczenia, jakie nosisz nazwisko ani jakie masz koneksje. Jeśli kontakty z Ravenelami sprawiają ci przykrość, nie będziemy ich utrzymywać. Twoje uczucia są dla mnie najważniejsze.

Ethan natychmiast się rozpogodził, wyciągnął do niej ręce i porwał ją w objęcia.

Garrett zaprotestowała, pamiętając o bandażach pod jego koszulą.

– Proszę cię, uważaj na ranę…

Nie zwolnił jednak uścisku i w końcu musiała spocząć na jego piersi. Wsunął jej palce we włosy, burząc luźno upiętą fryzurę. Leżeli przytuleni, oddychając jednym rytmem.

– Jak mógłbym twierdzić, że Angus Ransom nie jest moim ojcem? – odezwał się w końcu po długiej chwili. – Ożenił się z moją matką i wychował mnie jako własnego syna, nigdy nie dał mi odczuć, że jestem bękartem innego mężczyzny. Był przyzwoitym człowiekiem, choć pił więcej, niż powinien, i za bardzo lubił okładać mnie pięściami. Ale karmił mnie i nauczył pracować, a co najważniejsze,

dopilnował, żebym umiał czytać i liczyć. Pewnych rzeczy w nim nienawidziłem. Ale człowieka kochałem.

– W takim razie musisz czcić jego pamięć – powiedziała Garrett, wzruszona jego lojalnością. – Rób to, co uważasz za słuszne. Pamiętaj tylko, że nie należy winić pana Ravenela i lorda Treneara za wydarzenia z przeszłości, z którymi nie mieli nic wspólnego. Próbowali ci jedynie pomóc. Pan Ravenel posunął się nawet do tego, że oddał ci swoją krew. A to chyba zasługuje na wdzięczność, prawda? – Ostatnie zdanie wypowiedziała z wielką łagodnością.

– Owszem – przyznał mrukliwie Ethan, po czym zamilkł i przez chwilę tylko poruszał palcami w jej włosach. – A co do transfuzji… czy może zmienić człowieka… jego naturę… jeśli dostanie cudzą krew?

Garrett uniosła głowę i popatrzyła na niego z ciepłym uśmiechem.

– Uczeni wciąż debatują nad tym pytaniem. Ale nie, ja w to nie wierzę. Choć krew jest życiodajnym płynem, nie ma nic wspólnego z ludzkim charakterem, tak samo jak serce z uczuciami. – Uniosła rękę i leciutko postukała go palcem w skroń. – To, kim jesteś, co myślisz i czujesz, wszystko jest tutaj.

Ethan sprawiał wrażenie skołowanego.

– O co ci chodzi z tym sercem?

– To mięsień pusty w środku.

– To coś więcej – zaprotestował, poruszony jak chłopiec, który właśnie się dowiedział, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– Tylko symbolicznie. Uczucia wcale tam nie powstają.

– Właśnie że tak – upierał się Ethan. Chwycił jej dłoń i rozpostartą przycisnął do swojej piersi. – Miłość, którą do ciebie czuję… naprawdę czuję, że jest tutaj. Moje serce samo z siebie bije dla ciebie szybciej. Boli, kiedy cię przy mnie nie ma. Nikt mu nie każe tego robić.

To całkowicie wystarczyło Garrett, by zaniechać wszelkich dyskusji o fizjologii czy wyjaśnień na temat wpływu mózgu na działanie mięśni. Zdecydowanie wolała pocałunek.

Miało to być czułe cmoknięcie, tymczasem Ethan odpowiedział z wielką namiętnością, przywierając do jej ust na dłużej. Przez cały czas przyciskał jej dłoń do swojej piersi, co przypomniało jej

pierwszą noc po przybyciu do Eversby Priory, kiedy stała przy łóżku z ręką na jego sercu.

Całował ją łapczywie, wręcz żarłocznie, jakby nie mógł się nasycić, aż poczuła, że jego ciało jest gotowe do aktywności, na którą zdecydowanie jeszcze nie pozwalał stan zdrowia. Napierająca na nią twarda wypukłość włączyła dzwonek alarmowy w jej mózgu, pogrążonym w słodkich zmysłowych oparach. Próbowała się z niego zsunąć, ale chwycił ją mocno za biodra i przytrzymał na miejscu.

– Puść mnie… – wydyszała, kiedy w końcu zdołała wyswobodzić usta. – To ci zaszkodzi…

– Jesteś lekka jak płatek kwiatu.

Wybierając inną drogę ucieczki, zaczęła się zsuwać w dół… i utknęła z biodrami przyciśniętymi do jego bioder. Wszystkie mięśnie i nerwy napięły się w niej jak struny. Pożałowała, że rozdzielają ich warstwy ubrania, i natychmiast poczuła, jak wzbiera w niej dreszcz rozkoszy.

Spojrzała na Ethana i dostrzegła w jego oczach błysk wesołości. Zrozumiała, że jest świadomy tego, co się z nią dzieje, i zawstydzona spłonęła rumieńcem.

Jedną ręką chwycił ją za pośladek i uniósł biodra ku górze.

– Pozwól, że ci pomogę, *agra* – wyszeptał.

– Możesz mi pomóc, odpoczywając, zamiast narażać się na ponowne otwarcie rany nadmiernym wysiłkiem.

Potarł nosem o jej szyję i oznajmił zuchwale:

– Mam ci do zademonstrowania jeszcze sto osiemnaście pozycji.

Garrett odepchnęła jego ręce i w końcu się z niego zsunęła. Uwolnione od spinek pasma włosów opadały jej na plecy.

– Mowy nie ma. Już po pierwszej padłbyś trupem.

– Usiądź tutaj – zachęcił, poklepując się wymownie po udach. – Zrobimy coś łatwego i powolnego.

– Boję się, że zaszkodzi ci nie tylko fizyczny wysiłek, ale też podwyższone ciśnienie krwi. Zaledwie dwa tygodnie temu miałeś operowaną tętnicę, Ethanie. Musisz zachować spokój, dopóki całkiem się nie zagoi.

– Już się zagoiła. Czuję się prawie normalnie.

Spojrzała na niego z politowaniem i spróbowała upiąć niesforne kosmyki.

– Z całą pewnością jeszcze się nie zagoiła, chyba że znalazłeś sposób na obalenie praw biologii.

– Zagoiła się wystarczająco, żeby to zrobić.

– Jako lekarz się nie zgadzam.

– Udowodnię ci, że mam rację. – Nie spuszczając z niej wzroku, położył dłoń na wypukłości swojego krocza i zaczął je wolno pocierać.

Garrett wytrzeszczyła oczy.

– Chyba nie masz zamiaru… Przestań, natychmiast… – Chwyciła go za nadgarstek i zmusiła do cofnięcia ręki. Widząc jego rozbawienie, wymruczała ze złością: – No dobrze, w takim razie baw się tak dalej, a skończy się anewryzmem.

– Siedź i patrz – powiedział Ethan ze śmiechem, szokując ją jeszcze bardziej. Objął ją w talii i pociągnął na łóżko; kiedy oboje upadli bokiem na posłanie, z jego ust wyrwał się jęk bólu. – Au… A niech to.

– Dobrze ci tak – syknęła.

– Nie strofuj mnie – poprosił, wciąż chichocząc, i odwrócił ją do siebie plecami. – Poleż ze mną. – Musnął ją wargami po szyi. – Zostań w moich ramionach, gdzie twoje miejsce, *cushla macree*. – Wodził rękami po jej ciele, zatrzymując się tu i tam z dodatkową pieszczotą. – Nawiasem mówiąc, mam z tobą do omówienia pewną sprawę. – Skubnął wargami koniuszek jej ucha. – Nie dotrzymałaś obietnicy.

– Jakiej obietnicy? – Zaniepokojona, wygięła szyję, żeby na niego popatrzeć.

Wykorzystał ten ruch, by dosięgnąć ustami jej policzka.

– Tamtego wieczoru, kiedy odbyła się operacja… Moim ostatnim życzeniem było kilka słów od ciebie. Ale ty ich nie powiedziałaś.

– Och… – Zarumieniła się, onieśmielona. – Bałam się – wyznała. – Pomyślałam, że może pożyjesz dłużej, jeśli każę ci poczekać.

– Wciąż czekam.

– Nie chciałam… przepraszam, byłam bardzo… ale tak. Oczywiście, że tak. – Ostrożnie przekręciła się w jego ramionach i ułożyła twarzą

do niego. Odchrząknęła, po czym oznajmiła nieco zduszonym głosem: – Kocham cię.

W tym samym momencie Ethan zaczął:

– Chcesz powiedzieć, że…

Oboje zamilkli, zapadła niezręczna cisza. Garrett z westchnieniem przetoczyła się na plecy i zamknęła oczy, zbyt zakłopotana, żeby na niego patrzeć. Po raz pierwszy wyznawała mężczyźnie miłość i zrobiła to tak nieudolnie.

– Kocham cię – powtórzyła. Ale zabrzmiało inaczej, niż kiedy on to powiedział. Chciała coś dodać, jakoś ubarwić wyznanie, ale nie potrafiła, nic odpowiedniego nie przychodziło jej na myśl. – Ty ładniej to ująłeś, chociaż byłeś wtedy półprzytomny – westchnęła. – Żałuję, że nie umiem być bardziej poetycka, bo czuję… czuję… ale miałeś rację, nie mam w sobie ani grama romantyzmu.

– Kochanie… popatrz na mnie.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Zakręciło się jej od niego w głowie, jakby oślepiło ją słońce.

– Nie musisz być poetycka – powiedział. – Trzymałaś w swoich rękach moje życie. Kiedy byłem bliski śmierci, stanowiłaś kotwicę dla mojej duszy. – Pogładził ją po zaróżowionym policzku. – Nie śmiałem nawet marzyć, że usłyszę te dwa słowa. Pięknie brzmią wypowiadane przez ciebie.

Garrett uśmiechnęła się niepewnie.

– Kocham cię – powtórzyła znowu, tym razem swobodniej i bardziej naturalnie.

Obsypał pocałunkami jej nos, policzki, podbródek, zanim ponownie skupił się na ustach.

– Pozwól, że dostarczę ci przyjemności. Po tym, jak się mną opiekowałaś, niech będzie mi wolno zrobić dla ciebie choć tyle.

Pomysł bardzo jej się podobał, ale pokręciła głową.

– Nie po to zadałam sobie tyle trudu, ratując ci życie, żebyś je lekkomyślnie narażał.

– Chcę się tylko z tobą pobawić – kusił, rozpinając górną część jej sukni.

– To niebezpieczna zabawa…

– A to co? – Natrafił palcami na jedwabny różowy sznureczek. Pociągając go lekko, wydobył spod koszuli niewielki przedmiot – mały srebrny gwizdek, który od niego dostała. Trzymając w dłoni błyszczący metal, wciąż ciepły od jej skóry, spojrzał na nią pytająco.

– To coś w rodzaju… talizmanu – wyznała Garrett, rumieniąc się ze wstydu. – Kiedy cię przy mnie nie ma, udaję przed sobą, że wystarczy, bym go użyła, a zjawisz się za sprawą magii.

– Zawsze kiedy będziesz mnie potrzebowała, kochanie, natychmiast do ciebie przybiegnę.

– Nie przybiegłeś, kiedy ostatni raz próbowałam cię przywołać. Po dyżurze w przytułku stanęłam na schodach i zagwizdałam, bez żadnego odzewu.

– Byłem tam. – Pogładził ją po szyi zaokrągloną końcówką gwizdka. – Tylko mnie nie widziałaś.

– Naprawdę?

Potwierdził skinieniem.

– Byłaś ubrana w ciemnozieloną suknię z czarną lamówką. Miałaś opuszczone ramiona, widziałem twoje zmęczenie. Pomyślałem o innych londyńskich kobietach, siedzących bezpiecznie w swoich domach, podczas gdy ty stałaś w ciemności po tym, jak cały wieczór pomagałaś ludziom, których nie stać na opłacenie twoich usług. Jesteś najlepszą kobietą, jaką w życiu poznałem… i najpiękniejszą.

Ściągnął z niej koszulę i przyłożył rozpostartą dłoń do jej piersi; bok małego palca jakby przypadkiem zahaczył o delikatną różową brodawkę. Z gardła Garrett wydarło się westchnienie podobne do szlochu, kiedy zaczął ją pieścić, leciutko naciskając i skubiąc.

– Za wcześnie na to – zaprotestowała, odwracając się od niego.

Ethan jednym ruchem ułożył ją plecami do siebie i przygarnął do swojego podniecająco twardego ciała. Kiedy dotknął ustami jej karku, poczuła, że się uśmiecha, jakby jej całkiem słuszne obawy uznawał za zupełnie nieuzasadnione.

– *Acushla*, przez ostatnie dwa tygodnie to ty o wszystkim decydowałaś, a ja przestrzegałem twoich zasad…

– Próbowałeś je łamać, kiedy tylko mogłeś – obruszyła się szczerze.

– Piłem ten paskudny tonik, który mi dawałaś.

– Wylewałeś go do doniczki z paprotką, kiedy ci się zdawało, że nie patrzę.

– Smakuje gorzej niż woda z Tamizy – rzekł oskarżycielskim tonem. – Paprotka też tak uważała, dlatego zbrązowiała i uschła.

Garrett nie zdołała powstrzymać śmiechu, ale nie trwał długo, bo zabrakło jej tchu, kiedy Ethan swoją muskularną nogą rozsunął jej uda. Szybko włożył rękę pod spódnicę i odnalazł rozcięcie w majtkach. Poczuła delikatne głaskanie na gołej skórze tuż pod pachwiną i ogarnęła ją słodka bezwolność.

– Pragniesz mnie – stwierdził z zadowoleniem, czując jej drżenie.

– Jesteś niemożliwy – jęknęła. – Jesteś najgorszym pacjentem, jakiego kiedykolwiek miałam.

Jego kpiące parsknięcie połaskotało ją w szyję.

– Nie, jestem najlepszym – wyszeptał. – Pozwól mi pokazać, jak dobrym.

Garrett zaczęła się odsuwać, lecz po chwili znieruchomiała, tylko pierś jej falowała przyspieszonym, nierównym oddechem.

Jej kapitulacja także go rozbawiła.

– Bardzo dobrze, nie ma co się miotać. Mogłabyś mi zrobić krzywdę.

– Ethanie – zaczęła stanowczo – to dla ciebie za duży wysiłek.

– Wycofam się, jeśli poczuję, że ponosi mnie namiętność – obiecał. Zdjął z niej majtki, cały czas mrucząc jej przy tym do ucha, jaka jest miła w dotyku, jak bardzo tęsknił za tym, by ją całować, wszędzie… Wsunął dłoń między jej uda i pieścił ją, dopóki nie zrobiła się wilgotna i gorąca, a jej mięśnie nie zaczęły się napinać. Wtedy jego palec wśliznął się do środka, w jedwabiście gładką, pulsującą cieśń.

Garrett rozpaczliwie starała się leżeć nieruchomo, kiedy palec zataczał drobne kręgi, a potem wolno się cofał, by zaraz sięgnąć jeszcze głębiej.

– Ēatán… – jęknęła. – Poczekajmy, aż całkiem wydobrzejesz. Proszę. Proszę… To jeszcze tylko siedem dni.

Ciepły powiew jego śmiechu owiał jej gołe ramię.

– Nie wytrzymam nawet siedmiu sekund dłużej – stwierdził, rozpinając spodnie.

Poczuła twardą gładkość między udami, a zaraz potem mrowienie własnych mięśni, kurczących się pod naciskiem.

– Próbujesz mnie wciągnąć do środka – wyszeptał Ethan. – Czuję to. Twoje ciało wie, gdzie powinienem się znaleźć.

Wszedł w nią powoli na parę centymetrów i zastygł w bezruchu. Garrett nie miała pojęcia, ile minut po prostu tak leżeli, połączeni, ale jeszcze niezespoleni w jedność. Oddychała głęboko, stopniowo się rozluźniała… i wtedy wsunął się trochę głębiej. W przypominającym sen bezruchu czuła, że wypełnia ją coraz bardziej, ale działo się to tak powoli, że nie potrafiła rozróżnić, czy to on naparł mocniej, czy sama się na niego nasunęła.

Każde wrażenie ulegało wzmocnieniu przez panującą w pokoju ciszę. Czuła chłodne powietrze wokół swych odsłoniętych nóg, miękkość pościeli, sprężystość włosków na obejmującym ją ramieniu Ethana, żywiczny zapach mydła do golenia i ledwie wyczuwalną słonawą woń bliskości.

Zamknęła oczy, kiedy znalazł się w niej cały, wypełniał ją tak ściśle, że czuła każde jego drgnienie. Nadal nie wykonywali żadnych ruchów, natomiast w środku jej ciało dopasowywało się do jego kształtu, otulało go, jakby chciało na zawsze w sobie zatrzymać. Przyjemne dreszcze przebiegały ją od palców stóp po czubek czaszki i z powrotem, na co jego męskość odpowiadała rytmicznym pulsowaniem. Te wewnętrzne uściski, nabrzmiewanie i mrowienie, niemożliwe do kontrolowania jak bicie serca, nabierały mocy, aż w końcu rozpalona od środka cudownym żarem poczuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

– Ēatán… – Z jej gardła wyrwał się ni to szloch, ni to okrzyk.

Wygięta w łuk naparła na niego i dała się ponieść obezwładniającej rozkoszy, bezpieczna w jego ciasnych objęciach.

Nadal w pełni podniecony, Ethan przesunął dłonią po jej biodrze i udzie, żałując, że nie jest całkiem rozebrana. Była taka piękna, szczupła i gibka, delikatna i silna zarazem. Leżeli połączeni na fałdach żółtego jedwabiu; patrzył na jej odsłonięte piersi i nogi

skąpane w świetle, podziwiał cudowny kolor jej skóry, jakby leciutko zabarwionej różem kości słoniowej. Jej lśniące włosy miały wszystkie odcienie jesieni – kasztanowy, złocisty, rudy i brunatny. Widział, jak na przemian kurczy i prostuje palce stóp, małe, różowe, z krótko obciętymi paznokciami.

Błogo ociężała po doznanej rozkoszy tuliła się do niego, co chwilę napinała wewnętrzne mięśnie, żeby go w sobie zatrzymać. Ethan wiedział, że nie poddałaby się woli żadnego mężczyzny, gdyby tego sama nie chciała, a jemu oddawała się bez reszty, bo nie tylko go pragnęła, ale też mu ufała. Ostrożnie podniósł jej nogę i zaczepił stopą o swoją łydkę. Zaprotestowała słabo, wzbraniając mu wysiłku, ale uciszył ją, całując wrażliwe miejsce za uchem.

– Zaufaj mi – poprosił szeptem. – Miłość do ciebie na pewno mi nie zaszkodzi. Daj mi się jeszcze trochę tobą nasycić.

Korzystając z jej rozluźnienia, wsunął się w nią głębiej, na co głośno wciągnęła powietrze i chwyciła go za nadgarstek. Przestraszony, że zadał jej ból, chciał się wycofać, ale nie pozwoliła mu na to.

– Gorąca z ciebie kobieta – wymruczał rozbawiony. – Skoro tak, zostaję.

Zaczął się w niej poruszać, najpierw w wolnym, jednostajnym, potem w coraz szybszym rytmie, a ona chętnie dała mu się prowadzić. Wszystko wokół przestało istnieć, byli tylko oni, połączeni ze sobą w miłosnym akcie.

Poczuł, że ponownie wzbiera w niej fala rozkoszy, i sam również dał się jej porwać. Niesiony niewyobrażalnie intensywnym, oślepiającym doznaniem, w ostatniej chwili wysunął się z niej i przywarł do jej pośladków. Zaspokojone pragnienie i miłość wprawiły go w stan radosnego uniesienia. Ostrożnie przetoczył Garrett na brzuch, sięgnął po jej odrzucone na bok majtki i wytarł jej dolną część pleców.

Potem znów wziął ją w ramiona, wyraźnie zadowolony z siebie; drżenie torsu zdradzało, że wzbiera w nim śmiech. Skubnął zębami koniuszek jej ucha, a potem wyszeptał:

– Skoro to mnie nie zabiło, to już nic mnie nie zabije.

Rozdział 21

Następnego dnia, kiedy Garrett udała się na popołudniowy spacer, Ethan samodzielnie zszedł schodami na parter. Wiedział, co powiedziałaby na jego wyprawę… i miałaby rację, ale zaistniała sytuacja wyższej konieczności. W Eversby Priory stanowił łatwy cel, a wraz z nim Garrett, West Ravenel i wszyscy pozostali mieszkańcy rezydencji. A przecież nie mógł dokonać właściwej oceny zagrożenia ze swojej sypialni.

Po wizycie na górnym tarasie i paru krótkich wędrówkach po drugim piętrze dobrze znał swoje ograniczenia. Nadal odczuwał słabość i łatwo się męczył – nie odzyskał jeszcze pełni sił, zmysłu równowagi i mobilności. Dla człowieka przyzwyczajonego do funkcjonowania na najwyższym poziomie fizycznej sprawności kłopot z pokonaniem kilku stopni był niezmiernie irytujący. Rana po kuli nadal mu dokuczała, ból przeszywał go również przy pewnych ułożeniach ramienia i barku. Garrett zrezygnowała z unieruchomienia kończyny, żeby ta nie osłabła i nie zesztywniała.

Zmierzając na parter głównymi schodami, Ethan kurczowo trzymał się balustrady. Kiedy był w połowie drogi, lokaj – postawny młody chłopak o łagodnych brązowych oczach szczeniaka – przechodzący akurat holem zauważył go i stanął jak wryty.

– Sir? Czy… czy pan… mogę pomóc?

– Nie, dzięki – odparł lekkim tonem Ransom. – Staram się trochę rozprostować nogi.

– Tak, proszę pana. Ale schody… – Z niepewną miną wszedł na kilka dolnych stopni, jakby się bał, że mężczyzna zaraz runie prosto na niego.

Ethan nie miał pojęcia, co powiedziano służbie na jego temat, ale ten lokaj najwyraźniej wiedział, że nieznajomy gość nie powinien nigdzie chodzić w pojedynkę.

Co dodatkowo go irytowało.

Przypominało też, w jak niebezpiecznym był położeniu. Wystarczyło, by ktoś ze służby powiedział o jedno słowo za dużo w pobliskiej wsi albo któryś z dostawców czy robotników wygłosił niepotrzebną uwagę, by rozniosły się plotki.

„Wszyscy służący gadają – ostrzegł go kiedyś Jenkyn. – Zauważają każde odstępstwo od codziennej domowej rutyny i wyciągają wnioski. Wiedzą, jakie tajemnice mają przed sobą ich pracodawca i jego żona. Wiedzą, gdzie są cenne przedmioty, jak się gospodaruje pieniędzmi i kto z kim sypia. Nigdy nie wierz służącemu, który twierdzi, że czegoś nie wie. Oni wiedzą wszystko".

– Jeśli można, panie Smith – nie poddawał się lokaj – będę panu towarzyszył przez resztę drogi.

Panie Smith? Takie nazwisko mu wymyślili?

Niech to szlag!, zaklął w duchu.

– Nie ma potrzeby – odparł. Widząc jednak, że nie uda mu się odprawić namolnego sługi, dodał cierpko: – Ale skoro nalegasz…

Chłopak stanął przy boku Ethana i zaczął schodzić po stopniach w tym samym tempie, gotów rzucić się na pomoc w razie potknięcia. Jakby Ethan był małym dzieckiem albo staruszkiem.

– Jak ci na imię? – spytał Ransom.

– Peter, proszę pana.

– Peter, co w kuchni mówią na temat mojej obecności w rezydencji?

– Powiedziano nam, że jest pan przyjacielem pana Ravenela – odparł lokaj po chwili wahania. – I że ucierpiał pan w wypadku z bronią palną. Mamy zachować dyskrecję, jak we wszystkich innych sprawach dotyczących gości.

– I tyle? Żadnych plotek ani domysłów?

Tym razem wahanie trwało nieco dłużej.

– Są plotki – przyznał Peter ściszonym głosem.

– Powiedz mi, co gadają.

Stanęli u stóp schodów.

– Ja… – Lokaj opuścił wzrok, wyraźnie zmieszany. – Nie powinienem, sir. Ale gdybym mógł panu coś pokazać…

Zaintrygowany Ethan ruszył za nim długim korytarzem, który wychodził na wąską, prostokątną galerię. Ściany, od podłogi po sam sufit, były obwieszone solidnie oprawionymi malowidłami. Lokaj prowadził go wolno wzdłuż rzędu portretów – wszystkich przodków z rodu Ravenelów w strojach z epoki. Niektóre z obrazów miały dwa metry wysokości i ciężkie, złocone ramy.

Zatrzymali się przed wizerunkiem ciemnowłosego, niebieskookiego mężczyzny we władczej pozie. Namalowany w naturalnej wielkości człowiek miał na sobie długi do ziemi szlafrok z niebieskiego brokatu, przepasany złotym sznurem. Z jego twarzy biła pewność siebie graniczącą z arogancją. W dłoni o długich palcach, wspartej na szczupłym biodrze, i w chłodnym, taksującym spojrzeniu był rys dziwnej zmysłowości, a linia ust kazała się domyślać skłonności do okrucieństwa.

Zaskoczony i zdjęty odrazą, Ethan odruchowo się cofnął. Musiał dostrzec swoje podobieństwo do osoby na portrecie. Opuścił wzrok na perski dywan pod swoimi stopami.

– To sir Edmund – usłyszał głos lokaja. – Przyjechałem do Eversby Priory po śmierci jego lordowskiej mości, więc nigdy go nie poznałem. Ale starsi służący widzieli, jak pana tu przywieziono… i od razu wiedzieli, kim pan jest. Bardzo poruszeni, mówili, że wszyscy musimy dla pana robić, co tylko możemy. Bo jest pan ostatnim żyjącym potomkiem z krwi i kości…

Ethan milczał, więc lokaj po chwili podjął:

– Pańska krew wywodzi się od Branoca Ravenela, jednego z dwunastu paladynów Karola Wielkiego. Zasłynął jako dzielny wojownik, pierwszy Ravenel. Mimo że był Francuzem.

Ethan, choć wzburzony wewnętrznie, uśmiechnął się pod nosem.

– Dziękuję ci, Peterze. Chciałbym zostać sam na parę minut.

– Tak, proszę pana.

Po odejściu lokaja Ethan oparł się plecami o ścianę i z zamętem w głowie jeszcze raz spojrzał na portret.

Dlaczego Edmund kazał się namalować dla potomności w tak niekonwencjonalnym stroju? Wyglądało to na gest lekceważenia,

jakby mu się nie chciało wysilić, by włożyć stosowne ubranie. Sam szlafrok, elegancki i bogato haftowany, mógłby być noszony przez jakiegoś księcia z epoki renesansu. Podkreślał wyjątkowy charakter człowieka, który nie wątpił we własną wyższość, niezależnie od tego, co miał na sobie.

Wspomnienia cisnęły się Ethanowi do głowy, kiedy patrzył na wielkie malowidło.

– Och, mamo… – szepnął przez ściśnięte gardło. – Nie powinnaś była się zadawać z tym człowiekiem.

Jak matka mogła sądzić, że ta znajomość przyniesie jej coś dobrego? Musiała być zauroczona. Myśl, że pożąda jej mężczyzna o tak wysokiej pozycji, odebrała jej rozsądek. Do końca życia zachowała go w sercu, choć potraktował ją jak przedmiot, wyrzucony zaraz po użyciu.

Zamknął oczy, czując gorącą wilgoć pod powiekami.

Nagle tuż obok zabrzmiał swobodny męski głos:

– Widzę, że już na nogach. Cieszę się, że znaleźli ci jakieś ubranie.

Ethan zesztywniał, przerażony, że West Ravenel przyłapał go na chwili słabości. Z trudem skupił myśli na rozmowie. O ubraniu. Kamerdyner Westa i ochmistrz przynieśli mu sporo rzeczy w różnych rozmiarach, żeby spośród nich wybrał coś dla siebie. Niektóre z pewnością sporo kosztowały, świetnie skrojone, miały guziki zdobione złotem lub kamieniami takimi jak agat czy jaspis, ale okazały się na Ethana zbyt luźne.

– Owszem – mruknął. – Dzięki. – Szybko przetarł oczy rękawem i bez namysłu powiedział coś, co jako pierwsze przyszło mu do głowy: – Kiedyś byłeś całkiem przy kości.

West sprawiał wrażenie raczej rozbawionego niż urażonego.

– Wolałbym określenie „uroczo pulchny”. Byłem londyńskim hulaką, a musisz wiedzieć, że wszyscy prawdziwi hulacy są tędzy. Spędzamy cały czas w pomieszczeniach, pijąc i jedząc. Jedyna aktywność fizyczna to łóżkowe igraszki z jakąś chętną kobietą. Albo dwiema. – Westchnął nostalgicznie. – Boże, czasami żałuję tamtych czasów. Na szczęście w razie potrzeby mogę wsiąść w pierwszy pociąg do Londynu.

– W Hampshire nie ma kobiet? – wyraził zdziwienie Ethan.

West posłał mu wymowne spojrzenie.

– Sugerujesz, żebym brał do łóżka niewinną córkę miejscowego szlachcica? Albo jakąś urodziwą mleczarkę? Potrzebuję kobiety, która zna się na rzeczy, Ransom. – Oparł się o ścianę, przyjmując pozę identyczną jak Ethan. Podążając za jego spojrzeniem, popatrzył na obraz i skrzywił się w ironicznym uśmiechu. – Ten portret doskonale oddaje jego naturę. Członek klasy wyższej, gardzący maluczkimi.

– Dobrze go znałeś?

– Nie, widziałem go tylko parę razy, na dużych rodzinnych zgromadzeniach. Ślubach, pogrzebach i tym podobnych. Byliśmy ubogimi krewnymi i nasza obecność niekoniecznie uświetniała imprezę. Mój ojciec był raptusem, matka kokietką „bez piątej klepki". A ja i mój brat, ponure dzieciaki, wzniecaliśmy bójki z naszymi kuzynami. Earl nie znosił nas obu. Kiedyś złapał mnie za ucho i powiedział, że jestem złym, podłym smarkaczem, dlatego dopilnuje, bym wylądował jako steward na statku handlowym płynącym do Chin, na który z pewnością napadną piraci.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Żeby to zrobił jak najprędzej, bo piraci bez wątpienia wychowają mnie lepiej niż moi rodzice.

Ethan rozciągnął usta w uśmiechu, choć wcześniej mógłby przysiąc, że to niemożliwe przed tym cholernym portretem.

– Ojciec stłukł mnie potem niemal na śmierć, ale było warto. – West popadł w krótką zadumę. – To moje ostatnie wspomnienie o nim. Zmarł niedługo później, awanturując się o kobietę. Biedny papa, zawsze chętniej używał pięści niż rozumu.

Ransom zakładał dotąd, że West i Devon Ravenelowie zawsze mieli bezpieczne i wygodne życie. Odkrycie, że było inaczej, niespodziewanie wzbudziło w nim współczucie i… poczucie wspólnoty. Nie dało się nie polubić Westa, bezczelnego wesołka, pogodzonego ze sobą i światem, a przy tym posiadającego pewną twardość charakteru, typową dla człowieka, który zachował niewiele złudzeń. Z kimś takim Ethan mógł się porozumieć.

– A ty spotkałeś kiedyś starego earla? – spytał West, przechadzając się wolno wzdłuż ściany.

– Raz. – Ethan nigdy nikomu o tym nie mówił. Jednak teraz, w szczególnej, jakby wyjętej z czasu atmosferze galerii, zapragnął się podzielić wspomnieniem, które prześladowało go od lat. – Kiedy matka była młodsza, utrzymywał ją przez jakiś czas. Pracowała w sklepie i była bardzo piękna. Mieszkała w apartamencie, za który on płacił. Taki układ trwał do momentu, gdy się dowiedział, że zaszła w ciążę. Już jej nie chciał, więc dał jej trochę pieniędzy i wysłał do pracy, której nie mogła podjąć. Rodzina ją odrzuciła, nie miała dokąd pójść. Wiedziała, że gdyby oddała dziecko do sierocińca, mogłaby pracować w fabryce, ale postanowiła mnie zatrzymać. Angus Ransom, strażnik więzienny z Clerkenwell, zaproponował jej małżeństwo i wychował mnie jak syna. Ale nastały ciężkie czasy. Nadszedł dzień, gdy nie mieliśmy czym zapłacić u rzeźnika i brakło nam opału. Mama postanowiła zwrócić się do earla o pomoc. Uważała, że może poprosić o parę monet dla jego dziecka. Ale on nie miał w zwyczaju pomagać za darmo. Mama zachowała urodę, więc nadal miał na nią ochotę. Potem regularnie się z nim spotykała, kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy na jedzenie lub węgiel.

– Powinien się wstydzić – mruknął West.

– Byłem jeszcze małym chłopcem – ciągnął Ethan – kiedy mama zabrała mnie na przejażdżkę dorożką. Powiedziała, że jedziemy z wizytą do jej znajomego, dżentelmena, który chce mnie poznać. Weszliśmy do domu, który wydał mi się pałacem, z błyszczącymi podłogami i złotymi kolumnami po obu stronach drzwi. Earl zszedł po schodach, ubrany w aksamitny szlafrok, podobny do tego. – Ruchem głowy wskazał na portret. – Zadał mi kilka pytań: czy chodzę do szkoły, która przypowieść biblijna najbardziej mi się podobała, pogłaskał mnie po włosach i powiedział, że sprawiam wrażenie bystrego chłopca, chociaż mam akcent irlandzkiego łobuza. Następnie wyciągnął z kieszeni szlafroka woreczek słodyczy i mi go dał. To były jęczmienne cukierki. Mama kazała mi siedzieć w salonie, a sama poszła na górę, żeby z nim porozmawiać. Nie wiem, jak długo czekałem, jedząc te cukierki. Kiedy mama wróciła, wyglądała tak samo jak wcześniej, starannie ubrana i uczesana, ale jakby upokorzona. Byłem na tyle duży, by zrozumieć, że stało się coś złego, że on jej coś zrobił. Zostawiłem woreczek ze słodyczami pod

krzesłem, ale smak tych cukierków miałem w ustach jeszcze przez długie tygodnie. W drodze do domu mama powiedziała mi, że to bardzo ważny człowiek, wysoko urodzony dżentelmen, i że to on jest moim prawdziwym ojcem, a nie Angus Ransom. Widziałem, że jest z tego dumna. W jej przekonaniu coś zyskiwałem, dowiadując się, że jestem synem arystokraty. Nie rozumiała, że właśnie traciłem jedynego ojca, jakiego znałem. Później przez kilka miesięcy nie mogłem patrzeć na Angusa, wiedząc, że nie on mnie spłodził. Aż do dnia jego śmierci zawsze się zastanawiałem, ile razy, patrząc na mnie, widział bękarta innego mężczyzny.

West Ravenel długo milczał, na jego twarzy malowały się złość i rezygnacja.

– Przykro mi – powiedział w końcu.

– Nie miałeś w tym żadnego udziału.

– I tak mi przykro. Przez wieki Ravenelowie wydawali na świat kolejne pokolenia okrutnych, nieodpowiedzialnych drani. – West wcisnął ręce do kieszeni i powiódł wzrokiem po rzędach wyniosłych twarzy z przeszłości. – Tak, o was mówię – rzucił w przestrzeń. – Grzechy ojców spadały na was jak trujący deszcz, wy przekazywaliście je swoim dzieciom, a one robiły to samo. Nie było pośród was jednego przyzwoitego człowieka. – Odwrócił się twarzą do Ethana. – Tuż po tym, jak Devonowi urodził się syn, przyszedł do mnie i powiedział: „Ktoś musi zebrać w sobie całą tę truciznę płynącą przez pokolenia i ustrzec przed nią tych, którzy nastaną po nas. To musi się skończyć na mnie. Boże, dopomóż, zamierzam chronić moje dziecko przed moimi najgorszymi instynktami. Będę powstrzymywał każdy gwałtowny, samolubny odruch, który we mnie zaszczepiono. To nie będzie łatwe, ale niech mnie diabli, jeśli wychowam syna na kogoś takiego jak mój ojciec, którego nienawidziłem”.

Ethan wpatrywał się w Westa, porażony mądrością i siłą jego słów. Zrozumiał, że West i Devon wcale nie są próżniakami z towarzystwa, na których spadło nieoczekiwane dziedzictwo. Starali się jak mogli, żeby ratować nie tylko rodowy majątek, ale też rodzinę. I za to ich szanował.

– Twój brat może być pierwszym earlem zasługującym na ten tytuł – stwierdził Ethan.

– A zaczynał zupełnie inaczej – odparł ze śmiechem West. Wesołość szybko jednak go opuściła. – Rozumiem, dlaczego nie chcesz nic od Ravenelów. Edmund był nieczułym potworem, a do tego nikt nie lubi się przyznawać, że jest produktem sześciu wieków endogamii. Każdy jednak potrzebuje czasem wsparcia, a my jesteśmy twoją rodziną. Powinieneś nas poznać. Jeśli to cię zachęci, ja jestem najgorszy, wszyscy pozostali są ode mnie znacznie lepsi.

Ethan podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Dla mnie jesteś wystarczająco dobry – oznajmił mrukliwie, czym wywołał u Westa szeroki uśmiech.

Ich uścisk dłoni był jak złożenie obietnicy. Zobowiązanie.

– No dobrze. – Ethan przybrał rzeczowy ton. – Gdzie trzymacie broń?

Brwi Westa gwałtownie podjechały w górę.

– Ransom, bez urazy, ale wolałbym łagodniejszy sposób przechodzenia do nowego tematu.

– Zwykle się staram. Ale ostatnio łatwo się męczę i teraz powinienem ucinać sobie drzemkę.

– Mogę spytać, dlaczego chcemy się zbroić, zamiast spać?

– Bo dwa tygodnie temu omal nie zostaliśmy zamordowani i jesteśmy prawie pewni, że ktoś przyjdzie dokończyć robotę.

West natychmiast spoważniał.

– Gdybym przeżył to co ty, Ransom, też dmuchałbym na zimne. Ale nikt nie przyjedzie tutaj cię szukać. Wszyscy myślą, że nie żyjesz.

– Przecież nie znaleźli moich zwłok – przypomniał mu Ethan. – A dopóki ich nie znajdą, nigdy nie przestaną mnie szukać.

– Dlaczego mieliby podejrzewać, że tu jesteś? Nie będą cię łączyć z Ravenelami. Funkcjonariusze policji rzecznej, którzy cię przywieźli do Ravenel House, byli zbyt przerażeni, by pisnąć komukolwiek choć słówko.

– Wtedy prawdopodobnie tak było. Ale któryś z nich mógł wspomnieć o całej sprawie znajomemu albo ukochanej czy choćby wypić za dużo i zwierzyć się barmanowi w tawernie. W końcu zostaną wezwani na przesłuchanie, bo tamtego wieczoru mieli

służbę. Wzięci w krzyżowy ogień pytań, nie utrzymają długo tajemnicy. Co więcej, któremuś służącemu z Ravenel House mogło się coś wymknąć. Na przykład kucharka mogła powiedzieć coś sprzedawczyni warzyw na rynku.

West nie wyglądał na przekonanego.

– Naprawdę sądzisz, że kilka słów w tawernie czy plotki między kucharką i handlarką z bazaru mogą dotrzeć do uszu Jenkyna?

Pytanie, choć całkiem rozsądne, zdumiało Ethana. Uświadomiło mu też, że zbyt długo żył w pokrętnym, pełnym tajemnic świecie i zapomniał, iż większość ludzi nie ma pojęcia, co się wokół nich dzieje.

– Na długo przed tym, nim mnie zwerbował, Jenkyn zaczął tworzyć siatkę informatorów i szpiegów w całym Zjednoczonym Królestwie. Składała się ze zwykłych ludzi mieszkających w zwykłych miastach. Woźniców dorożek, karczmarzy, sprzedawców, prostytutek, domowej służby, pracowników fabryk, studentów uniwersytetu… Wszyscy oni stanowili część systemu zbudowanego w celu pozyskiwania informacji. Dostają wynagrodzenie z tajnych dotacji, które Jenkyn otrzymuje z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Premier wie o tym, ale woli nie znać szczegółów. Jenkyn uczynił ze zbierania i analizowania informacji dziedzinę nauki. Ma co najmniej ośmiu specjalnie wyszkolonych ludzi, gotowych wykonać każde zadanie, jakie im przydzieli. Prawo ich nie obowiązuje. Nie odczuwają strachu. Nie mają skrupułów. Nie szanują ludzkiego życia, również własnego.

– A ty jesteś jednym z nich – powiedział spokojnie West.

– Byłem. Teraz jestem celem. We wsi ktoś już wie, że para obcych mieszka w Eversby Priory.

– Moi służący nikomu nic by nie powiedzieli.

– Masz tu też stolarzy, malarzy i innych dochodzących pracowników. Wszyscy mają oczy i uszy.

– No dobrze. Załóżmy, że masz rację i Jenkyn kogoś za tobą wyśle. Mogę pozamykać drzwi na cztery spusty.

– Nie ma takiego zamka w tym domu, którego by nie otworzyli w niecałą minutę. A zresztą twoi służący w ogóle nie dbają o zamykanie drzwi.

– Zaczną, jeśli im każę.

– To byłoby już coś, na początek – przyznał Ethan. – W tydzień dojdę do siebie na tyle, by wyjechać do Londynu. Ale do tego czasu musimy zachować ostrożność, na wypadek gdyby ludzie Jenkyna mnie tu znaleźli.

– Pokażę ci szafkę z bronią.

– Na planie jest cały pokój z bronią. Na tym piętrze.

– Przebudowaliśmy to pomieszczenie na gabinet z przylegającą toaletą. Obecnie trzymamy nasz arsenał w szafce za przejściem dla służby, pod strażą ochmistrza. – Gdy Ethan spojrzał na Westa spod zmrużonych powiek, ten dodał z irytacją: – Wydaje ci się, że stać nas na długie, kosztowne przyjęcia z polowaniem? Sprzedaliśmy psy gończe. Nasz łowczy to starowina. Pozwalamy mu trzymać kilka ptaków, żeby miał jakieś zajęcie. Zwierzęta w tej posiadłości są wykorzystywane do jedzenia, pracy i przynoszenia dochodu, nie dla rozrywki. Zanim cię zaprowadzę na dół, żebyś zobaczył tę szafkę, powinieneś wiedzieć, że w większości strzelby są stare i zardzewiałe. I prawie nikt tutaj, poza mną, nie wie, jak się nimi posługiwać.

– Dobrze strzelasz?

– Umiarkowanie. Idzie mi doskonale, kiedy cel się nie rusza, ale to przecież rzadki przypadek.

Próbując ocenić sytuację, Ethan poczuł, jak ogarnia go zmęczenie.

– W takim razie zapomnijmy o szafce z bronią. Trzeba inaczej zorganizować obronę. Powiedz służbie, żeby zamykała te cholerne drzwi na noc, swoje kwatery też niech zakluczają na czas snu. Będziemy musieli zainstalować dodatkowe zamki na strychu, w piwnicach, komórkach na węgiel… we wszystkich przejściach, którymi można się dostać do środka. Każ też zdjąć rusztowania i podesty od południowej strony domu.

– Co? Nie, nie mogę tego zrobić.

– Rusztowanie zapewnia dostęp do okien i balkonów.

– Tak, Ransom, właśnie o to chodzi. Nająłem kamieniarzy do odnowienia wszystkich elementów fasady. – West jęknął pod nieugiętym spojrzeniem Ethana. – Wiesz, ile czasu zajęło im zbudowanie tego rusztowania? Wiesz, co mi zrobią, jak każę im je rozebrać i za tydzień postawić od nowa? Nie będziesz musiał się

przejmować zamachowcami z Londynu, bo moi robotnicy zamordują nas obu.

Ethan czuł, że zaczyna go obezwładniać coraz większa słabość, wiedział, że koniecznie musi się położyć. A niech to szlag, zaklął w duchu.

– Oszczędziłbym ci tego wszystkiego, wyjeżdżając natychmiast, gdybym tylko mógł – westchnął, przecierając czoło dłonią.

– Nie – rzucił West, już całkiem innym tonem. – Nie zwracaj uwagi na moje narzekania. Wszyscy już do nich przywykli. Tu jest twoje miejsce. – Przyjrzał się Ethanowi z bliska. – Wyglądasz, jakbyś miał się osunąć na ziemię. Odprowadzę cię na górę.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Miałbym ryzykować, że coś ci się stanie, i potem znosić gniew doktor Gibson? Jeszcze nie zwariowałem. Już chyba wolę stawić czoło kilkunastu zamachowcom.

Ransom pokiwał głową i skierował się do wyjścia z galerii.

– Przyślą najwyżej trzech ludzi – powiedział. – Zjawią się przed świtem, kiedy jeszcze panuje mrok, a służba mocno śpi.

– W Eversby Priory jest ponad dwieście pomieszczeń. Nie będą znali ich rozkładu.

– Owszem, będą. Plany poszczególnych kondygnacji wraz z ich opisem można pozyskać w biurze każdego architekta, przedsiębiorcy budowlanego czy geodety, który miał coś wspólnego z odbudową tego pałacu.

West westchnął ciężko.

– Nie zapominaj o moim londyńskim bankierze – mruknął ponuro. – Poprosił o kopie, kiedy załatwialiśmy pożyczkę.

– Nie będą chcieli dodatkowych ofiar – uprzedził przepraszającym tonem Ethan. – Chodzi im wyłącznie o mnie. Poddam się, zanim ktokolwiek inny ucierpi.

– Niech mnie diabli, jeśli na to pozwolę – żachnął się West. – Rodzinne motto Ravenelów brzmi: „Łączy nas lojalność”. Odstrzelę łeb każdemu draniowi, który będzie groził mojemu krewnemu.

Rozdział 22

Tak to wyglądało u panny Primrose? – spytał Ethan, kiedy dwaj lokaje pod okiem ochmistrza Simsa rozkładali obrus na ziemi w cieniu drzewa. Na obrusie znalazły się talerze z chińskiej porcelany, srebrne półmiski i kryształowe kieliszki.

Garrett pokręciła głową i z uśmiechem popatrzyła na wiaderka z lodem, z których wystawały butelki lemoniady, piwa imbirowego i klaretu.

– Nasze pikniki składały się z chleba, dżemu i kawałka sera.

To ona wpadła na pomysł, żeby zjeść z Ethanem lunch na świeżym powietrzu, pod bezpieczną osłoną muru otaczającego przydomowy ogród. Opowiedziała mu o takich wyprawach ze swoich czasów szkolnych, z koleżankami z klasy, na co odparł, że nigdy nie był na pikniku. Spytała gospodynię, czy może pożyczyć jakiś koszyk, żeby zapakować trochę produktów wystawianych codziennie w bufecie, tymczasem kucharka przygotowała coś, co nazwała „prawdziwym piknikiem", w dwóch dużych wiklinowych koszach i skórzanych torbach.

Po odejściu Simsa i lokai Ethan usiadł oparty o pień drzewa i patrzył, jak Garrett wyciąga z toreb jedzenie. Były tam jajka na twardo, oliwki, chrupiące łodygi selera, słoiki z marynowaną marchewką i kiszonymi ogórkami, kanapki zapakowane w woskowany papier, paszteciki ostrygowe, krakersy, słoiki drobno siekanych sałatek, spory krążek białego sera, wyłożone muślinem koszyczki z ciastkami, pudding w podłużnym kamionkowym naczyniu oraz butelka o szerokiej szyjce z owocami w kompocie.

Jedli bez pośpiechu pod gęstym zielonym baldachimem listowia; Garrett cieszyła się, że Ethan odpoczywa, tak jak powinien. Przez ostatnie pięć dni był bardziej aktywny, niżby sobie życzyła – razem z Westem zaglądał we wszystkie zakamarki Eversby Priory. Jak w większości starych rodowych siedzib w ciągu wieków dokonywano w niej wielu rozmaitych zmian i modyfikacji, przez co powstały pomieszczenia o dziwnych kształtach oraz dodatkowe schody i okna.

Mimo obaw Garrett, że wysiłek zaburzy proces rekonwalescencji, Ethan wszędzie musiał zajrzeć osobiście, żeby uzyskać pełny obraz sytuacji. Założono nowe zamki i zasuwy, a rusztowanie od południa zostało rozebrane. Obecnie drzwi były na noc zamykane, podobnie jak okna w piwnicy i na parterze. Służących poinstruowano, że jeśli usłyszą jakiekolwiek podejrzane odgłosy w nocy, mają wszcząć alarm, ale pod żadnym pozorem nie wolno im się zbliżać do ewentualnego włamywacza.

Choć stan Ethana poprawiał się w imponującym tempie, było jasne, że jeszcze przez długie tygodnie, a może nawet miesiące nie osiągnie formy sprzed postrzału. Wynikające z tego ograniczenia działały mu na nerwy, jako że przywykł do posiadania niewyczerpanych zapasów energii i siły.

Od operacji minęły prawie trzy tygodnie. W normalnych okolicznościach Garrett zmuszałaby go do odczekania kolejnych trzech przed opuszczeniem Eversby Priory. Jednak sytuacja bynajmniej nie należała do normalnych. Ethan oznajmił, że niezależnie od jej zaleceń musi za dwa dni wyjechać do Londynu. Nie mógł dłużej pozostać w posiadłości i swoją obecnością narażać jej mieszkańców na ryzyko. Nie mógł też pozostawać bierny wobec faktu, że Jenkyn przekazał osiem ton materiałów wybuchowych terrorystom, gotowym wysadzić w powietrze Izbę Gmin.

Sięgnął pod zimozielony krzew pod kępą buków i zerwał sztywny listek o miętowym zapachu. Leżąc na plecach, skubał go zębami, zapatrzony w niebo i zieleń nad głową. Buki stykały się konarami, jakby podawały sobie ręce. Powietrze miało zapach iłowatej ziemi, w ciszy dał się słyszeć jedynie szelest liści i od czasu do czasu śpiew pojedynczego ptaka.

– Jeszcze nigdy nie byłem w tak spokojnym miejscu, poza kościołem – powiedział.

– To świat daleki od Londynu – odparła Garrett. – Od tych wszystkich dzwonków strażackich, dudnienia pociągów i hałasów budowlanych… od powietrza zanieczyszczonego dymem i kurzem… i od wysokich budynków zasłaniających słońce…

– Tak – wszedł jej w słowo. – Ja też za tym wszystkim tęsknię.

Oboje się zaśmiali.

– Brakuje mi pacjentów i kliniki – wyznała. – Teraz, kiedy jesteś prawie zdrowy i nie muszę cię pielęgnować, potrzebuję jakiegoś zajęcia.

– Możesz zacząć pisać memuary.

Garrett pochyliła się nad nim tak, że niemal zetknęli się nosami.

– Moje życie nie jest na tyle sensacyjne, żeby te memuary mogły być ciekawe.

– Ukrywasz się razem z politycznym zbiegiem – przypomniał jej.

– To znaczy, że twoje życie jest interesujące, nie moje.

Ethan przesunął palcem wzdłuż krawędzi jej dość głębokiego dekoltu i zatrzymał się w ciepłym zagłębieniu między piersiami.

– Wkrótce wrócimy do Londynu i zapewnię ci wszelkie atrakcje, jakich tylko zapragniesz. – Dotknął jej ust suchymi, ciepłymi wargami. Pociągnął ją na siebie i pocałunek stał się głęboki i namiętny. Garrett napawała się jego smakiem i siłą powracającą do smukłego, sprężystego ciała mężczyzny.

W ostatnim tygodniu Ethan kochał się z nią jeszcze dwa razy, przezwyciężając jej obawy umiejętnie dawkowaną nonszalancją i pokusą. Zaiste był z niego złotousty diabeł. Potrafił tak długo szeptać do niej pośród pocałunków i pieszczot, że w końcu nieuchronnie poruszał w jej ciele strunę rozkoszy.

Teraz, starając się skupić na rozmowie, oderwała się od niego i spytała:

– Co zamierzasz zrobić po powrocie do Londynu? Pójść do lorda kanclerza? Do prokuratora generalnego?

– Nie wiem, komu mogę ufać – wyznał ponuro Ethan. – Chyba najlepiej będzie postawić ich wszystkich pod ścianą, upubliczniając wiadomość.

Podparła się na łokciu i spojrzała mu w twarz.

– Ale przekazałeś dowody komendantowi Felbriggowi. Będziemy musieli jeszcze raz włamać się do sejfu lorda Tathama?

– Zatrzymałem kilka stron. Tak na wszelki wypadek.

– Gdzie je ukryłeś? – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

Ransom uśmiechnął się pod nosem. Z cerą lekko złotawą od słońca i tymi niezwykłymi niebieskimi tęczówkami wyglądał bardzo pociągająco.

– Nie domyślasz się?

– Gdzieś w swoim mieszkaniu?

– Dałem ci je.

– Mnie? Jak… No jasne! – zaśmiała się Garrett. – Zapakowałeś je do obrazu z małpą!

– Przykleiłem kopertę z tyłu płótna – potwierdził. – Zawiera te strony i mój testament.

Wprawdzie zamierzała dowiedzieć się więcej o dowodach, ale zaintrygowało ją ostatnie zdanie.

– Sporządziłeś testament?

– Owszem. A ciebie uczyniłem jedyną spadkobierczynią.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła zaskoczona i szczerze wzruszona. – Ale czy nie powinieneś raczej zostawić tego, co posiadasz, krewnym?

– Moja matka została odrzucona przez swoją rodzinę. Nie dałbym im ani pensa. A każdy z Ransomów źle wykorzystałby spadek. Wszystko jest dla ciebie. Kiedy nadejdzie czas… miejmy nadzieję, że nieprędko, będziesz zabezpieczona. Moi prawnicy pomogą ci przenieść prawa patentowe, nie tylko w kraju, ale też za granicą. Wszystko przejdzie na ciebie i…

– O czym ty, na litość boską, mówisz? – zdumiała się Garrett. – Jakie patenty?

– Na projekty zamków. – Ethan zaczął się bawić lamówką jej sukni, wodząc końcem palca po szwie. – Mam ich ponad trzydzieści. Większość jest mało istotna i nie przynosi żadnego zysku. Ale kilka…

– Jestem pod wrażeniem! – wykrzyknęła, promieniejąc dumą. – Posiadasz tyle talentów… Kiedyś odniesiesz wielki sukces… mam na myśli dziedzinę inną niż szpiegostwo.

– Dzięki. – Pochwała wyraźnie sprawiła mu przyjemność. – Ale muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Bo wiesz…

– Tak! Powiedz mi wszystko. Kiedy to się zaczęło?

– Jeszcze kiedy praktykowałem u ślusarza w Clerkenwell. Wymyśliłem, jak zabezpieczyć zwykły zamek przed możliwością otwarcia wytrychem – zamontowałem dodatkową blokadę przy ryglu. Naczelnik więzienia i mój szef ślusarz kazali mi narysować plan i go opisać, a potem załatwili sobie patent na ten wynalazek. Nieźle na nim zarobili. – Krzywiąc się, Ransom dodał: – A że byłem jeszcze chłopcem, odcięli mnie od zysku.

– Łobuzy! – oburzyła się Garrett.

– Owszem. Jednak to doświadczenie skłoniło mnie do ustalenia, jak się zdobywa taki patent. W następnych latach ilekroć ulepszyłem istniejący zamek albo wymyśliłem nowy, rejestrowałem wynalazek pod nazwą anonimowej firmy. Niektóre z nich nadal przynoszą tantiemy.

– Cudownie. – Garrett instynktownie zaczęła rozważać różne możliwości. – Jeśli dodamy je do tego, co zarabiam, kiedyś będziemy mogli sprzedać mój dom na King's Cross i kupić większy.

Ten pomysł, nie wiedzieć czemu, wprawił Ethana w widoczne zakłopotanie.

Garrett spłonęła rumieńcem, uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedziała.

– Wybacz, nie chciałam sugerować… nie czuj się zobowiązany…

– Ciii… – przerwał jej, po czym przyciągnął ją do siebie w długim, zmysłowym pocałunku. – Wyciągnęłaś niewłaściwy wniosek, kochanie. Pozwól, że ci wyjaśnię…

– Nie musisz…

Uciszył ją, przykładając delikatnie palec do jej ust.

– Uzyskuję roczny dochód, sprzedając wytwórcom prawo do wykorzystania moich projektów. Czasami przyjmuję udziały w firmie zamiast gotówki. Posiadam sporo takich akcji i innych papierów wartościowych, więcej, niż potrafię wymienić z pamięci. Zarządzam wszystkim poprzez holding, żeby pozostać anonimowym. Zatrudniam trzech prawników na pełny etat tylko do śledzenia naruszeń patentowych, a dwóch innych mam w odwodzie.

Powoli docierało do niej, że „hobby” Ethana jest o wiele bardziej lukratywne, niż mogła przypuszczać.

– Mówiłeś, że twoje patenty są mało ważne.

– Większość z nich tak. Ale z kilkoma jest inaczej. Parę lat temu wymyśliłem zamek szyfrowy.

– Co to jest?

– System tarcz umocowanych na centralnym trzpieniu i otoczonych pierścieniem, który… – Urwał, widząc jej minę. – Rodzaj zamka z tarczą numerową zamiast klucza.

– Jak ten przy sejfie lorda Tathama?

– No właśnie. – Uśmiech pogłębił zmarszczki w kącikach jego oczu.

Może sprawiła to bliskość jego ciepłego ciała, a może dłoń wędrująca powoli po jej nodze, ale umysł Garrett nie mógł nadążyć za istotą fachowego wywodu.

– To twój wynalazek? – upewniła się z niedowierzaniem. – Dlatego wiedziałeś, jak go otworzyć?

– Owszem. – Dał jej czas na pełne przyswojenie wiadomości. – Takich zamków używają banki, firmy okrętowe i kolejowe, stocznie, magazyny, posterunki wojskowe, są montowane w budynkach rządowych… wszędzie.

– Ethanie – zaczęła i zawiesiła głos, nie wiedząc, jak kulturalnie zapytać o to, czego chciała się dowiedzieć. – Czy ty jesteś bogaty?

Potwierdził skinieniem.

– Po prostu bogaty – drążyła – czy bardzo bogaty?

Przysunął się do niej i wyszeptał jej do ucha:

– Obrzydliwie bogaty.

Zaśmiała się nerwowo, a następnie pokręciła głową, wyraźnie skołowana.

– To po co miałbyś pracować dla sir Jaspera? Przecież to bez sensu.

Teraz Ethan okazał pewne zakłopotanie.

– Jenkyn zwerbował mnie, zanim zaczęły spływać pierwsze tantiemy. Nie chciałem go zawieść. Traktował mnie po ojcowsku, jego uznanie i zainteresowanie… wiele dla mnie znaczyły.

– Przykro mi – powiedziała cicho. Serce jej się krajało na myśl o tym, jak bolesna musiała być dla niego zdrada Jenkyna.

Ransom zaśmiał się z goryczą.

– Jakoś nie miałem szczęścia do ojców.

– Sir Jasper wie o twoich patentach?

– Nie sądzę. Zawsze starannie zacierałem ślady.

– Dlatego mieszkałeś w pustych ścianach? Nikt nie mógł podejrzewać, że masz jakiś inny dochód?

– Po części. Ale też nigdy nie miało dla mnie znaczenia, w jakim łóżku będę spał albo na jakim krześle siedział.

– Ale to ma znaczenie. – Zdumiewało ją i trochę martwiło, że odmawiał sobie podstawowych wygód. – Powinno mieć.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę.

– Teraz już ma – powiedział cicho Ethan.

Garrett czule pogładziła go po policzku.

– Nie byłeś dla siebie dobry. Musisz się ze sobą obchodzić łagodniej.

Przywarł ustami do wnętrza jej dłoni.

– Mam ciebie. Ty będziesz dla mnie dobra. I możesz się ze mną obchodzić, jak zechcesz.

– Chciałabym cię troszkę udomowić. Ale nie za bardzo, żeby nie zrobić z ciebie kanapowego pieska.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – mruknął. – Wszystko zależy od tego, kto będzie ze mną na tej kanapie. – Przycisnął ją swoim ciałem do obrusa i drobnymi pocałunkami zaczął wyznaczać drogę od ramienia do szyi.

Przez moment zamigotała jej w oczach mozaika słońca, czystego błękitnego nieba i zielonych liści, a potem on przesłonił jej sobą wszystkie widoki.

– Ktoś może zobaczyć – usiłowała protestować, kiedy językiem nakreślił linię między jej piersiami.

– Jesteśmy schowani za koszami wielkimi jak rzeczne barki.

– Ale gdyby któryś z lokai wrócił…

– Już oni dobrze wiedzą, że nie powinni wracać. – Rozpiął jej stanik, odsłaniając różowe brodawki piersi. Bawił się nimi delikatnie, dopóki nie nabrzmiały w twarde guziczki.

Garrett zamknęła oczy. Jej ciało nauczyło się szybko odpowiadać na jego dotyk, wystarczyło dosłownie kilka muśnięć, by wszystkie

nerwy napięły się w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić. Nie przestając wodzić ustami i językiem po krągłych wypukłościach piersi, Ethan wsunął ręce pod nią i zaczął nimi manewrować, tak że po chwili fałdy sukni przestały ich rozdzielać.

Czasami pożądanie dodawało Garrett energii, miała ochotę oplatać go całą sobą, pieścić, nie opuszczając żadnego miejsca. Zdarzało się też, tak jak w tym momencie, że ogarniała ją dziwna, gorąca ociężałość i mogła jedynie leżeć pod nim bez ruchu, z dudniącym sercem, i tylko wewnętrzne mięśnie kurczyły się w niej w spazmach rozkoszy. Ethan między pocałunkami szeptał o tym, jaka jest piękna, jak uwielbia jej miękkość i siłę. Kiedy wsunął palce do przedsionka jej kobiecości i natrafił na najczulszy punkt, bezwiednie uniosła biodra.

– Cierpliwości – wymruczał. – Dostaniesz swoją rozkosz, kiedy będę gotowy ci ją dać.

Zaraz potem jednak zaczął poruszać palcami, wzbudzając w niej przyjemne mrowienie, które narastało stopniowo, aż przeszło w potężny dreszcz. Zbyt oszołomiona, by znaleźć w myślach słowa, wydała z siebie jedynie urywane westchnienie i naparła na niego, pragnąc poczuć go w sobie, głęboko, natychmiast…

Ethan wyszeptał jej do ucha, że jest cudowna w swej bezwstydnej żądzy i że z radością spełni jej życzenie. Wszedł w nią ostrożnie i zarazem pewnie; jego pocałunki miały smak mięty, pachniał słońcem i solą – cudownymi aromatami lata. Oczy świeciły mu błękitem na tle zaróżowionej od wysiłku twarzy.

Poruszał się naturalnie jak buzujący płomień czy marszczona wiatrem woda. Płynnie i niestrudzenie. Czuła go w całej sobie, we krwi i w kościach, kiedy zespoleni kołysali się w odwiecznym miłosnym rytmie.

– Zostań we mnie… – wydyszała błagalnie. – Nie uciekaj w ostatniej chwili, chcę wszystko…

Uciszył ją pocałunkiem.

– *Acushla*, kiedy już wrócimy bezpiecznie do Londynu, dam ci wszystko, czego zapragniesz.

– Chcę wspólnego życia z tobą. – I gromadki dzieci przy kominku, dodała w myślach.

– Moje życie należy do ciebie – powiedział dziwnie zduszonym głosem. – Każda minuta, jaka mi została, jest twoja. Wiesz o tym, prawda?

– Tak… Tak! – Tylko tyle zdołała powiedzieć, zanim rozkosz zawładnęła nią bez reszty. Wszystko wokół stało się zaledwie bladym tłem, istnieli tylko oni dwoje, rozgrzani słońcem i miłością, połączeni w jedno ciało i jedną duszę.

Rozdział 23

W ciągu trzech tygodni spędzonych w Eversby Priory Garrett odkryła, że wbrew powszechnej opinii spokojne wiejskie otoczenie wcale nie musi zapewniać głębszego snu. Pozbawiona znajomych odgłosów miasta, czuła się przytłoczona wszechogarniającą ciszą, do tego stopnia, że obudzona cykaniem świerszcza czy rechotem żaby ze strachem podrywała się na łóżku.

Nie miała przy sobie medycznych środków wspomagających zasypianie, więc próbowała je zastąpić czytaniem, z różnym skutkiem. Ciekawa książka wzmagała ożywienie, a zbyt nudna nie podtrzymywała jej uwagi na tyle długo, by wystarczająco się rozluźniła. Po rozejrzeniu się w wielkiej bibliotece na parterze w końcu znalazła *Dzieje Rzymu* Tytusa Liwiusza w pięciu tomach i ta lektura bardzo jej odpowiadała. Przeczytała już cały pierwszy tom, kończący się pierwszą wojną punicką i zburzeniem Kartaginy.

Tej nocy wyjątkowo się męczyła. Do północy przewracała się z boku na bok, zapadając jedynie w krótkie drzemki. W głowie kłębiły jej się myśli związane z planowanym za dwa dni powrotem do Londynu. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie pójść do pokoju Ethana po wsparcie, wiedziała jednak doskonale, czym by się to skończyło, a Ethan potrzebował odpoczynku jeszcze bardziej niż ona.

Żałowała, że nie zabrała ze sobą na górę również drugiego tomu *Dziejów Rzymu*. Nie była pewna, czy schodzenie w środku nocy do biblioteki jest dobrym pomysłem. Spulchniła poduszkę i próbowała się skupić na czymś monotonnym, na przykład na owcach wchodzących pojedynczo do zagrody. Na kroplach deszczu

spadających z chmury. Wyrecytowała alfabet, najpierw w normalnym porządku, a potem od tyłu. Powtórzyła tabliczkę mnożenia.

W końcu z westchnieniem rezygnacji podeszła do zegara na kominku, żeby sprawdzić godzinę. Była czwarta rano – jednocześnie za późno i za wcześnie. Pora dla pracowników obory mlecznej, górników, lunatyków… i drugiego tomu *Dziejów Rzymu.*

Ziewając, narzuciła na siebie szlafrok, wsunęła stopy w cienkie pantofle i zabierając ze sobą lampę naftową, wyszła z pokoju.

W korytarzach nocą było prawie ciemno – w gazowych lampach pozostawiano jedynie mały płomyk, bo przy całkowitym odcięciu dopływu gazu ich ponowne zapalanie byłoby zbyt ryzykowne i pracochłonne. Hol wejściowy i wielką klatkę schodową oświetlały jedynie dwa świeczniki z brązu w kształcie cherubinów, usytuowane na dolnych słupkach balustrady, oraz nieliczne ogniki w żyrandolu.

W przyjemnie chłodnych wnętrzach pachnących żywicą i politurą do mebli panowała cisza. Garrett przeszła przez hol i korytarzem ruszyła w stronę biblioteki. Już miała przestąpić jej próg, gdy jakiś dźwięk kazał jej przystanąć w pół kroku.

Usłyszała serię odległych jazgotów dobiegających… z zewnątrz?

Korytarzykiem prowadzącym na tyły domu dostała się do pomieszczenia służącego kamerdynerom i lokajom do czyszczenia butów i wierzchniej odzieży. Postawiła lampę na stole, otworzyła okno i zaczęła nasłuchiwać.

Hałas dobiegał od strony kuchennego ogródka. To gęsi agresywnie gęgały w zagrodzie przed kurnikiem, jakby odbywały jakąś wojenną naradę. Prawdopodobnie zobaczyły sowę, pomyślała Garrett. Jednak serce zaczęło jej bić szybciej i przez moment miała dziwne wrażenie, jakby podłoga usuwała się jej spod stóp. Schylona nad lampą, musiała się mocno wysilić, by zaczerpnąć dość powietrza do zdmuchnięcia płomienia.

Nerwy miała napięte jak struny; przypomniała sobie pacjenta, który skarżył się, że przez taką dokuczliwą przypadłość miał ochotę „wyskoczyć ze skóry".

Gęsi zaczęły się uspokajać; cokolwiek je rozjuszyło, musiało minąć. Garrett drżącymi rękami docisnęła ramę okna i zamknęła je na zasuwkę.

W tym samym momencie usłyszała inne odgłosy w tylnej części domu. Brzęk metalu. Cichy pisk zawiasu. Skrzypienie parkietu.

Ktoś dostał się do środka przez kuchnię!

Ogarnęła ją panika. Szybko uniosła rękę do szyi i wymacała jedwabny sznureczek, na którym wisiał srebrny gwizdek. Mogła nim wydać dźwięk słyszany z odległości co najmniej czterech miejskich przecznic. Gdyby zagwizdała parę razy w głównym holu, postawiłaby na nogi cały dom.

Zacisnęła palce na gładkiej metalowej rurce. Wyszła na korytarz i zaczęła się skradać do holu. Przystanęła za załomem ściany; nie widząc nikogo, puściła się biegiem, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu.

Nagle ciemna postać zastąpiła jej drogę; cios wymierzony w skroń powalił ją na ziemię. Zesztywniała zdezorientowana. W jej głowie narastał ból, ktoś mocno trzymał ją za podbródek i wpychał jej do ust zwiniętą szmatę. Próbowała zrobić unik, ale uchwyt skutecznie jej to uniemożliwił. Drugim kawałkiem płótna obwiązano jej głowę, mocując knebel.

Mężczyzna kucający obok niej był potężnej budowy, ale zwinny i szybki w ruchach. Cechowała go nadzwyczajna tężyzna fizyczna, a jego grubo ciosana, szeroka twarz wydawała się płaska, jakby czas stopniowo zacierał wyrazistość rysów. Oczy miały brzydki, zimny wyraz, a i tak już wąskie usta dodatkowo pomniejszał gęsty czarny wąs, tak starannie przycięty i nawoskowany, że musiał stanowić źródło dumy właściciela. Wprawdzie Garrett nie widziała noża, ale przeciął czymś jedwabny sznurek na jej szyi i owinął kilka razy wokół nadgarstków, mocno związując końce przy kciukach.

Szarpnięciem postawił ją na nogi. Następnie niedbałym ruchem rzucił srebrny gwizdek na podłogę i zmiażdżył go obcasem.

Garrett chciało się płakać na widok bezpowrotnie zniszczonego talizmanu.

Wtedy w polu jej widzenia ukazała się para butów; uniosła wzrok i zobaczyła Williama Gamble'a. Cofnęła się odruchowo i pewnie by upadła, gdyby ten większy mężczyzna jej nie przytrzymał. Poczuła wzbierające mdłości, przez moment bała się, że zwymiotuje.

Gamble przyjrzał się jej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym wyciągnął rękę i odgarnął kilka luźnych kosmyków z jej policzka. Obejrzał otarcie na skroni.

– Żadnych więcej śladów na niej, Beacom. Jenkynowi się nie spodobają.

– Co mu do tego, że potarmoszę jakąś pokojówkę?

– Ona nie jest pokojówką, idioto. To kobieta Ransoma.

Beacom popatrzył na Garrett z nagłym zainteresowaniem.

– Ta doktorka?

– Jenkyn kazał ją przywieźć do Londynu.

– Ładna sztuka… – Beacom przesunął dłonią po jej plecach. – Zabawię się z nią, zanim tam dojedziemy.

– Najpierw trzeba załatwić sprawę.

– Już prawie załatwiona. – Uniósł prawą rękę uzbrojoną w metalowy przedmiot wyglądający jak cztery połączone ze sobą pierścienie. W najbardziej wystających punktach sterczały zaostrzone bolce. Kciukiem odciągnął haczyk z boku i z przedmiotu wysunęło się ostrze podobne do pazura.

Garrett wytrzeszczyła oczy z przerażenia. Mechanizm przypominał jej lancet używany do puszczania krwi.

Beacom uśmiechnął się na widok jej miny.

– Tym małym nożykiem mogę wypatroszyć każdego, tak że będzie pusty jak kościół w dzień powszedni – odezwał się tonem przechwałki.

Gamble parsknął.

– Równie łatwo można to zrobić zwykłym scyzorykiem.

– Odwal się – rzucił mu niezrażony Beacom i ruszył na górę po schodach, bez trudu pokonując dwa stopnie naraz.

Z ust Garrett wydarł się stłumiony kneblem krzyk. Rzuciła się za Beacomem, ale natychmiast została złapana od tyłu przez Gamble'a. Starała się przenieść cały ciężar ciała na nogę postawioną na podłodze, dokładnie tak, jak uczył ją Ethan. Manewr zachwiał nieco równowagę Gamble'a. Garrett zrobiła krok w bok i skrępowanymi rękami wymierzyła cios w jego krocze. Niestety chybiła i to, co miało stanowić obezwładniające uderzenie, skończyło się na ukośnym szturchnięciu. Gamble poczuł jednak ból na tyle silny, że zwolnił

uścisk i zdołała mu się wyrwać. Pognała na schody, robiąc tyle hałasu, na ile pozwalał jej knebel.

Dogonił ją na piętrze i potrząsnął nią ze złością.

– Przestań – ryknął – bo skręcę ci kark tu i teraz, niezależnie od życzeń Jenkyna!

Garrett znieruchomiała zdyszana. Z różnych części domu zaczęły dobiegać odgłosy tłuczonego szkła i przewracanych mebli, a potem rozległ się pojedynczy głuchy łomot. Dobry Boże, pomyślała ze zgrozą, ilu ludzi Jenkyn mógł tu przysłać?

– Powinnaś była pozwolić Ransomowi umrzeć od kuli – powiedział Gamble, spoglądając na nią z pogardą. – To znacznie lepsza śmierć niż to, co zrobi mu Beacom. – Popchnął ją przed siebie. – Prowadź mnie do jego pokoju.

Gorące łzy spływały jej po policzkach, kiedy Gamble ciągnął ją korytarzem. Starała się pocieszać, że Ethan ma lekki sen. Może obudził się na czas, żeby przygotować jakąś obronę albo chociaż się ukryć. Wkrótce służba zorientuje się, że do domu wtargnęli intruzi, i zacznie schodzić z trzeciego piętra. Jeśli Ethan przeżyje do tego momentu…

Drzwi do jego pokoju stały otworem. Panujący wewnątrz mrok rozświetlały jedynie słabe ogniki lamp z korytarza i księżycowa poświata wpadająca przez okno.

Garrett załkała, widząc Ethana w łóżku, odwróconego plecami do wejścia. Leżał na boku i cicho pojękiwał, jakby coś go bolało albo jakby miał zły sen. Udawał inwalidę?

Gamble wepchnął ją do pokoju, trzymając za kark. Poczuła twardy nacisk na czaszkę i usłyszała szczęk odbezpieczanego pistoletu.

– Beacom – odezwał się spokojnie Gamble. Nie odrywając broni od głowy Garrett, wychylił się, żeby zerknąć na korytarz. – Beacom? – powtórzył.

Żadnego odzewu.

Skupił uwagę na postaci leżącej w łóżku.

– Ile razy mam cię jeszcze zabić, Ransom? – spytał cierpko.

Ethan wydał z siebie trudny do rozszyfrowania odgłos.

– Mam tu doktor Gibson. Jenkyn chce, żeby mu ją przywieźć. Kiepsko. Jego przesłuchania nigdy nie kończą się dobrze dla kobiet…

Kątem oka Garrett dostrzegła na ziemi wydłużający się cień, jakby rozlewano ciepłą smołę. Ktoś się do nich skradał od tyłu. Zwalczyła w sobie pokusę spojrzenia w tamtą stronę, nie odrywała oczu od łóżka.

– Mam jej posłać kulkę w głowę? – mówił dalej Gamble. – Jako akt litości dla starego przyjaciela? Z pewnością wolisz, żeby została zastrzelona niż torturowana. – Lufa pistoletu oderwała się od głowy Garrett. – Mam zacząć od ciebie, Ransom? Wtedy się nie dowiesz, co ją spotkało. Może powinieneś mnie błagać, żebym zastrzelił najpierw ją. – Wycelował w postać na łóżku. – No dalej, niech to usłyszę.

Gdy tylko wymierzył w leżącego, Garrett przystąpiła do działania – prawym łokciem uderzyła go w szyję. Cios zaskoczył Gamble'a i choć nie unieszkodliwił go całkowicie, trafiony w wole głośno wciągnął powietrze i wolną ręką chwycił się za gardło. Zachwiał się do tyłu, z trudem utrzymując w dłoni broń.

Mimo że miała związane nadgarstki, rzuciła się na rękę trzymającą pistolet. Jednak nim zdołała go dosięgnąć, zderzyła się z potężnym ciemnym kształtem, który wtargnął pomiędzy nią i Gamble'a. Miała wrażenie, że uderzyła w kamienny mur.

Wstrząśnięta i oszołomiona, cofnęła się, próbując zrozumieć, co się dzieje. W pokoju zapanował gwałtowny ruch, jakby wtargnął do niego powiew burzy. Tuż przed nią walczyli ze sobą dwaj mężczyźni, używając pięści, łokci, kolan i stóp.

Wciąż związanymi rękami udało się jej uwolnić od opaski na twarzy i wypluła namokłą szmatę. Znienacka pistolet przeleciał ślizgiem po podłodze, tak blisko niej, że zdołała go zatrzymać, wysuwając stopę. Podniosła go i szybko podeszła do łóżka.

Wymawiając zdrętwiałymi od knebla ustami imię Ethana, zsunęła kołdrę… i skamieniała.

W łóżku leżał Beacom. Ciężko pobity i półprzytomny, unieruchomiony kilkoma parami szelek i zwojami chirurgicznego bandaża.

Całkiem skołowana, obejrzała się na mężczyzn toczących walkę przy drzwiach. Jeden z nich upadł na podłogę, drugi stał nad nim okrakiem i wymierzał cios za ciosem, bezlitośnie, gotowy zabić.

Ubrany tylko w spodnie, z gołym torsem. Rozpoznała kształt głowy, szerokie ramiona…

– Ethan! – zawołała ze zgrozą. Każdy jego ruch napinał szwy i groził rozerwaniem świeżo zrośniętej tkanki. Każdy otrzymany cios mógł skutkować śmiertelnym krwotokiem. – Dość! Przestań! – krzyczała, ale on jakby jej nie słyszał, ogłuszony furią. – Proszę cię, przestań… – Urwała, dławiąc się szlochem.

Wtedy ktoś wpadł do pokoju. To był West, a za nim dwóch służących w nocnych koszulach. Jeden z nich wniósł lampę, która zalała pokój żółtawym światłem.

Oceniwszy sytuację jednym spojrzeniem, Ravenel rzucił się ku Ethanowi i odciągnął go od Gamble'a.

– Ransom – odezwał się, przytrzymując go z widocznym trudem. Ethan wyrywał się, parskając jak rozjuszony byk. – Ransom, on leży. Już po wszystkim. Opanuj się. Mamy w domu dość szalonych morderców. – W końcu Ethan zaczął się uspokajać. – No, już dobrze. Dobry chłopiec. – West spojrzał na gromadę służących zgromadzonych w korytarzu. – Ciemno tu jak w grobie. Niech ktoś pozapala lampy. I znajdźcie coś do związania tego łotra na podłodze.

Służący rozeszli się pospiesznie, by wykonać polecenia.

– Garrett… – wyszeptał Ethan, wyswobadzając się z uścisku Westa. – Garrett…

– Tutaj – odpowiedział Ravenel. – Jest w szoku i do tego trzyma odbezpieczony pistolet, co trochę mnie niepokoi.

– Nie jestem w szoku – sprostowała Garrett, choć cała się trzęsła jak osika. – Poza tym nie trzymam palca na spuście.

Ethan podszedł do niej szybko, zabrał jej broń, zabezpieczył i odłożył na gzyms kominka. Następnie sięgnął po nożyczki do przycinania knotów i usunął sznurek z jej nadgarstków. Wydał z siebie groźny zwierzęcy pomruk, widząc sine wgniecenia na skórze.

– Nic mi nie jest – zapewniła go pospiesznie. – Znikną po paru minutach.

Obejrzał ją, by się upewnić, że nie odniosła obrażeń. Kiedy znalazł otarcie na skroni, jego twarz skamieniała, a oczy nabrały wyrazu, który mroził krew w żyłach. Delikatnie odwrócił ją do siebie bokiem, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Który z nich to zrobił? – spytał z udawanym spokojem.

Zdobyła się na blady uśmiech.

– Chyba nie sądzisz, że ci powiem.

Popatrzył na Westa ponad jej głową.

– Musimy przeszukać dom.

– Lokaje już to robią, pokój po pokoju. – Ravenel stał nad rozciągniętym na podłodze Williamem Gamble'em. – Ransom, obawiam się, że nie będziemy wpuszczać twoich gości, o ile nie nauczą się grzecznie zachowywać. Nawiasem mówiąc, złapaliśmy trzeciego intruza.

– Gdzie on jest?

– W moim pokoju, związany jak kapłon przed włożeniem do brytfanny.

Ethan zamrugał z zaskoczenia.

– Sam dałeś mu radę?

– Owszem.

– Gołymi rękami?

West spojrzał na niego z politowaniem.

– Tak, Ransom. Może i jest wyszkolonym zamachowcem, ale popełnił błąd, budząc smacznie śpiącego Ravenela. – Gestem wskazał na drzwi. – Proponuję, byś zaprowadził doktor Gibson do jej pokoju, a ja tu posprzątam. Przetrzymamy twoich znajomych zamkniętych w lodowni, dopóki nie zdecydujesz, co z nimi zrobić.

Choć Garrett zawsze szczyciła się umiejętnością zachowania zimnej krwi w chwilach zagrożenia, teraz nie mogła opanować nerwowego dygotu. Gdyby się tak nie martwiła o Ethana, pewnie by ją rozśmieszyło, że idą jak dwoje staruszków, marudnych i roztrzęsionych.

W pokoju od razu sięgnęła do swojej lekarskiej torby po stetoskop.

– Muszę cię zbadać – oznajmiła, wciąż szczękając zębami; sprawność jej rąk też pozostawiała wiele do życzenia. – Wtórny krwotok występuje najczęściej pomiędzy drugim a czwartym

tygodniem po postrzale, ale to się dzieje zwykle w przypadkach, kiedy rana nie goi się prawidłowo, a u ciebie…

– Garrett. – Ethan chwycił ją od tyłu i obrócił twarzą do siebie. – Nic mi nie jest.

– Sama to ocenię. Bóg jeden wie, jak mogłeś sobie zaszkodzić.

– Później możesz mnie badać od stóp do głów, ale teraz muszę cię objąć.

– Nie potrzebuję tego – oznajmiła, wychylając się po torbę.

– Ja potrzebuję. – Nie zważając na jej protesty, usiadł na łóżku i pociągnął ją na swoje kolana.

Oparła się o szeroką pierś, porośniętą sprężystym zarostem; tuż przy uchu słyszała wyraźnie równe bicie serca. Wciągnęła w nozdrza przyjemny, dobrze już znany zapach. Ethan przytulał ją mocno, głaskał po włosach i szeptał słowa pełne miłości. Czuła, że powoli się odpręża, przestała dzwonić zębami.

Skąd znajdował w sobie tyle delikatności zaraz po tym, jak rozprawił się z dwoma zamachowcami? Na pewnym poziomie działania brutalność przychodziła mu równie łatwo jak tym dwóm mężczyznom, którzy wtargnęli do domu, żeby go zabić. Garrett była pewna, że nigdy nie oswoi się z tą stroną jego natury. Dowiódł jednak, że potrafi okazywać współczucie i wielkoduszność. Przestrzegał własnych zasad honoru. No i ją kochał. Wystarczyło aż nadto, żeby z nadzieją budować przyszłość.

– Kiedy usłyszałem jakiś odgłos na dole, od razu poszedłem do twojego pokoju. I zobaczyłem, że cię tam nie ma…

– Poszłam do biblioteki po książkę. – Opowiedziała mu o hałasujących gęsiach i o tym, jak złapał ją Beacom. – Zniszczył mój gwizdek – poskarżyła się i przycisnęła twarz do jego ramienia, by ukryć łzy wiszące na rzęsach. – Rzucił na podłogę i rozdeptał…

Ethan przytulił ją mocniej i cmoknął w policzek.

– Sprawię ci następny, kochanie – obiecał, gładząc ją po plecach ciepłą dłonią. – A potem wyrównam rachunki z Beacomem.

Garrett poruszyła się niespokojnie.

– Już go porządnie stłukłeś.

– To nie wystarczy. – Odchylił głowę, żeby popatrzeć na jej otartą skroń. – To on cię uderzył, tak? Przerobię go za to na krwawą

miazgę. Całego poza głową, bo głowy użyję jako…

– Nie chcę, żebyś to robił – szepnęła, trochę przestraszona jego zawziętością. – Zemsta w niczym nie pomoże.

– Mnie pomoże.

– Nieprawda. – Ujęła jego twarz w dłonie. – Obiecaj mi, że nie zbliżysz się do żadnego z tych dwóch mężczyzn. – Widząc jego milczące usta zaciśnięte w wąską kreskę, dodała: – Zresztą nie ma na to czasu. Musimy zaraz wyjechać do Londynu, zanim sir Jasper odkryje, co się stało.

Tym razem odpowiedział, przybierając neutralny ton:

– Najlepiej będzie, jak sam pojadę do Londynu, a ty zostaniesz tutaj.

Garrett spojrzała na niego, jednocześnie zaskoczona i wściekła.

– Dlaczego tak mówisz? Jak możesz nawet myśleć o wyjechaniu beze mnie?

– Kiedy zobaczyłem, jak Gamble trzyma ci pistolet przy głowie… Nigdy dotąd niczego się nie bałem. Ale gdybym cię stracił… Musieliby mnie dobić jak konia ze złamaną nogą – mówił urywanym głosem, przejęty do głębi. – Pozwól, że załatwię to, co konieczne, wiedząc, że jesteś bezpieczna. A potem wrócę po ciebie.

– Chcesz mnie zostawić, żebym umierała z tęsknoty? – spytała, patrząc mu w oczy. – Nie jestem bezradnym dziewczęciem, które trzyma się w wieży, Ethanie. Nie chcę też być wielbiona jak jakaś marmurowa bogini na piedestale. Chcę być kochana jako równorzędna partnerka, która stoi przy twoim boku. Poza tym potrzebujesz mnie tam.

Spojrzenie Ethana sięgnęło do najgłębszego miejsca w jej sercu, zarezerwowanego wyłącznie dla niego. Minęła długa chwila, zanim odwrócił wzrok, zaklął i przeczesał palcami krótkie, zmierzwione włosy. Czekając na ostateczną decyzję, Garrett przytuliła twarz do jego ciepłej szyi.

– No dobrze – odezwał się wreszcie. – Pojedziemy razem.

Odchyliła głowę i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Ale nie wyobrażaj sobie, że zawsze postawisz na swoim – ostrzegł, nie do końca zadowolony z wymuszonego przez nią rozwiązania.

– Wiem.

– I będę cię trzymał na piedestale… ale niezbyt wysokim.

– Dlaczego? – spytała, bawiąc się miękkimi spiralkami zarostu na jego piersi.

– Po pierwsze… jesteś dla mnie boginią i to nigdy się nie zmieni. Po drugie – chwycił ją za szyję i przyciągnął do siebie – jestem za wysoki, żebyś dosięgła ciekawych części mojego ciała.

Zaśmiała się cicho z ustami tuż przy jego ustach.

– Kochanie, wszystkie części twojego ciała są dla mnie ciekawe.

O świcie byli gotowi ruszać na stację kolejową w pobliskim Alton. West zaoferował, że będzie im towarzyszył aż do Londynu, ale uzgodnili, że bardziej się przyda w Eversby Priory, gdzie należało pilnować trzech pojmanych agentów Jenkyna. Trzymano ich w ziemiance do przechowywania warzyw pod czujnym okiem służby, pałającej zgodnym oburzeniem, że ktoś śmiał wtargnąć do posiadłości.

– Jeśli któryś z nich będzie sprawiał kłopoty, użyj tego – poradził Ethan, gdy we trójkę szli na podjazd, gdzie czekał na nich należący do rodziny powóz. Wręczył Westowi mały policyjny rewolwer. – To model z samonapinaniem, odciągasz kurek tylko raz i strzelasz za każdym pociągnięciem spustu.

West spojrzał podejrzliwie na broń.

– Jeśli któryś z tych drani będzie sprawiał kłopoty, to mam szopę pełną narzędzi rolniczych, którymi mogę ich potraktować. Tobie rewolwer bardziej się przyda, skoro planujesz konfrontację z Jenkynem.

– Będziemy uzbrojeni w coś znacznie potężniejszego niż kule – oznajmiła Garrett.

West spojrzał na Ethana z udawanym przerażeniem.

– Zabierasz ze sobą łyżkę?

Ransom uśmiechnął się pod nosem.

– Nie. Doktor Gibson ma na myśli słowa.

– Słowa… – powtórzył West bez przekonania, po czym schował rewolwer do kieszeni. – Zawsze sceptycznie podchodziłem do deklaracji, że pióro jest potężniejsze od miecza. Chyba że to pióro jest przyklejone do uchwytu niemieckiego kordelasa.

– Te słowa będą wydrukowane w gazecie – wyjaśniła Garrett. – Wybieramy się do redakcji „Timesa".

– Aha. W takim razie rozumiem. „Times" jest potężniejszy niż pióro, miecz i cała armia Jej Królewskiej Mości.

West wyciągnął rękę, żeby pomóc Garrett wsiąść do powozu. Stojąc na składanym schodku – z twarzą na wysokości jego twarzy – uśmiechnęła się do niego tak ciepło, że Ethan poczuł ukłucie zazdrości. Musiał sobie przypomnieć, że West sprawdził się jako przyjaciel i sojusznik Garrett w jednym z najtrudniejszych momentów jej życia.

– Może nie jest pan najlepiej wyszkolonym asystentem chirurgicznym, jakiego miałam – zwróciła się do Westa z błyszczącymi oczyma – ale na pewno moim ulubionym. – Nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

Kiedy zniknęła we wnętrzu pojazdu, West zaśmiał się, widząc minę Ethana.

– Nie piorunuj mnie wzrokiem – oznajmił lekkim tonem. – Doktor Gibson jest urocza, ale nie ma zadatków na żonę farmera.

Ransom uniósł brwi.

– Myślisz o ożenku?

Ravenel wzruszył ramionami.

– Noce na wsi są długie i nazbyt spokojne – przyznał. – Gdybym znalazł kobietę ciekawą jako towarzystwo i wystarczająco atrakcyjną w łóżku… to owszem, biorę pod uwagę małżeństwo. – Po krótkiej pauzie uzupełnił: – Jeszcze lepiej, żeby była wykształcona. A poczucie humoru byłoby wisienką na torcie. Rude włosy nie są wymagane, choć mam do nich wielką słabość. – Skrzywił się ironicznie. – Rzecz jasna, musiałaby przymknąć oko na fakt, że jeszcze jakieś trzy lata temu byłem rozpustnym pijakiem. – Przez twarz przemknął mu ledwie dostrzegalny grymas goryczy.

– Kim ona jest? – spytał cicho Ethan.

– Nie ma jej. To kobieta z moich fantazji. – West uciekł wzrokiem i końcem buta strącił luźny kamyk z podjazdu. – Która mną gardzi – dodał pod nosem.

Ethan przyglądał mu się ze współczuciem, ale też z rozbawieniem.

– Może uda ci się zmienić jej nastawienie.

– Tylko gdybym umiał podróżować w czasie i rozprawił się surowo ze swoim poprzednim wcieleniem. – West potrząsnął głową, jakby chciał się uwolnić od przygnębiających myśli, po czym zmierzył Ethana uważnym spojrzeniem. – Nie wyglądasz na gotowego na podróż – ocenił cierpko. – Za bardzo się eksploatujesz.

– Nie mam luksusu, jakim jest czas – wyjaśnił Ransom. Podniósł rękę, żeby rozmasować obolały mięsień na karku. Poza tym chcę się spotkać z Jenkynem jak najszybciej. Im dłuższa zwłoka, tym będzie trudniej.

– Boisz się go? – spytał West ściszonym głosem. – Każdy by się bał.

Ethan wygiął wargi w uśmiechu całkowicie pozbawionym wesołości.

– Fizycznie nie. Ale… nauczyłem się od niego więcej niż od własnego ojca. Niektóre rzeczy w nim podziwiam, nawet teraz. On rozumie moje mocne strony i słabości, a do tego ma umysł ostry jak brzytwa. Właściwie nie wiem, czego się boję… Mógłby powiedzieć kilka słów, które coś we mnie zabiją… wszystko zniszczą. – Obejrzał się na dom, który opuszczali, i odruchowo dotknął miejsca na torsie, gdzie pod ubraniem zagoiła się rana po kuli. – Poszedłem o świcie jeszcze raz popatrzeć na portret Edmunda. Przez okna wpadało szarosrebrne światło, w którym wydawało się, że postać z obrazu płynie mi przed oczyma. Przypomniałem sobie wtedy tamtą scenę z *Hamleta…*

West natychmiast pojął, o co mu chodzi.

– Tę, kiedy ukazuje mu się duch ojca, ubrany w zbroję?

– Tak, właśnie tę. Duch każe Hamletowi zamordować wuja, z zemsty. Nie podając nawet dowodu winy. Jaki ojciec kazałby synowi zrobić coś takiego?

– Mój z radością kazałby mi kogoś zabić. Ale ponieważ miałem zaledwie pięć lat, zapewne uznał, że brak mi do tego odpowiednich

umiejętności.

– Dlaczego Hamlet słucha ojca, który rozkazuje mu zrobić coś złego? Dlaczego nie ignoruje ducha i nie zostawia zemsty Bogu, wybierając własną drogę życia?

– Prawdopodobnie dlatego, że gdyby tak zrobił, przedstawienie byłoby krótsze o dwie i pół godziny – odparł West. – Czyli, według mnie, znacznie lepsze. – Przyjrzał się Ethanowi z ukosa. – Myślę, że sir Jasper miał rację, ta sztuka jest zwierciadłem dla duszy. Podejrzewam jednak, że wyciągnąłeś inne wnioski, niż zakładał, każąc ci ją przeczytać. Nikt nie ma prawa oczekiwać twojego ślepego posłuszeństwa, niezależnie od tego, co dla ciebie zrobił. Co więcej, nie musisz być synem swego ojca, zwłaszcza jeśli ten ojciec jest amoralnym draniem, spiskującym, żeby zabijać niewinnych ludzi.

Garrett wystawiła głowę przez okno powozu.

– Jeśli zaraz nie wyjedziemy, spóźnimy się na pociąg – zawołała.

West skarcił ją spojrzeniem.

– Odbywamy ważną dysputę, pani doktor.

Postukała palcami w ramę okna.

– Dysputy zwykle prowadzą do rozterek, a na te nie mamy czasu.

Ethan uśmiechnął się szeroko, widząc, jak jej głowa ponownie znika w powozie.

– Ona ma rację – powiedział. – Będę musiał najpierw działać, a później myśleć.

– Mówisz, jak przystało na prawdziwego Ravenela.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni skrawek papieru i podał Westowi.

– Jak tylko telegrafista otworzy swój kantorek, zechciej to nadać.

West przebiegł wzrokiem tekst wiadomości.

Telegram
Sir Jasper Jenkyn
43 Portland Place Londyn

Zadanie wykonane. Powrót z dodatkowym towarem, wymagającym pilnego doręczenia. Paczka zostanie dostarczona do pańskiej rezydencji dziś późnym wieczorem.

W. Gamble

– Osobiście zawiozę to telegrafiście – obiecał i wyciągnął rękę, żeby się pożegnać. – Powodzenia, Ransom. Dobrze się opiekuj swoją małą paczuszką. I daj znać, jak będziesz jeszcze czegoś potrzebował.

– Ciebie też to dotyczy – odparł Ethan. – Poza wszystkim jestem ci winien za pół kwarty krwi.

– Pal sześć krew, jesteś mi winien za rusztowanie, które musiałem zdemontować.

Uśmiechnęli się do siebie szeroko i wymienili uścisk dłoni, mocny i ciepły. Tak musi wyglądać braterskie uczucie, pomyślał Ethan – poczucie więzi i koleżeństwa. I niewypowiedziana pewność, że każdy z nich zawsze stanie po stronie tego drugiego.

– Ostatnia rada – odezwał się Ravenel, puszczając rękę Ethana. – Następnym razem, jak ktoś będzie do ciebie strzelał… spróbuj się uchylić.

Rozdział 24

Po północy Ethan i Garrett dotarli na Portland Place powozem dostarczonym przez Rhysa Winterborne'a. Towarzyszyli im dwaj dobrze wyszkoleni i znający się na rzeczy prywatni strażnicy, na co dzień odpowiedzialni za ochronę jego magazynów.

Eleganckie domy szeregowe prezentowały swe dostojne fasady w jasnym świetle ulicznych latarni. Dom Jenkyna, jeden z największych w okolicy, miał okna po obu stronach wejścia i stał pośrodku dwóch mniejszych, narożnych budynków. Omijając masywny frontowy ganek, powóz wjechał w wąską uliczkę na tyłach i zatrzymał się przed wejściem przeznaczonym dla służby i dostawców.

– Jeśli nie wyjdziemy za piętnaście minut – zwrócił się Ethan do strażników – postępujcie według ustalonego planu.

Obaj pokiwali głowami i sprawdzili czas na kieszonkowych zegarkach.

Ransom pomógł Garrett wysiąść z pojazdu; popatrzył na nią z troską i dumą. Była wyczerpana, tak samo jak on, ale zniosła ten długi, męczący dzień bez słowa skargi.

Zabrali z jej domu kartki stanowiące dowód i udali się z nimi na Printing House Square, do redakcji „Timesa". Ziemia w tym miejscu wyczuwalnie drżała od umieszczonych w piwnicach maszyn drukarskich, wypluwających niezliczone egzemplarze gazety. Od razu zaprowadzono ich do „jaskini lwa", czyli biura redaktora naczelnego. Spędzili tam osiem godzin w towarzystwie redaktora prowadzącego, który pisał artykuł wstępny, zawierający podawane przez Ethana fakty, nazwiska, daty i szczegółowe wyliczenia kryminalnych działań

inicjowanych przez Jenkyna i jego współpracowników z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Przez cały ten czas Garrett zachowywała stoicki spokój. Ethan nie znał kobiety, która dorównywałaby jej wytrzymałością. Mimo braku snu i właściwych posiłków zachowywała jasny umysł i gotowość do stawienia czoła temu, co nieuniknione.

– Jesteś pewna, że nie chcesz na mnie zaczekać na zewnątrz? – spytał z nadzieją. – Wrócę za kwadrans.

– Za każdym razem, gdy o to pytasz, mówię nie – odpowiedziała cierpliwie. – Dlaczego próbujesz wciąż od nowa?

– Sądziłem, że moja determinacja osłabi twój upór.

– Nie, tylko go wzmaga.

– Muszę o tym pamiętać na przyszłość – stwierdził cierpko Ethan, nasuwając rondo kapelusza głębiej na oczy. Podczas całej znajomości z Jenkynem odwiedził jego dom zaledwie trzy razy. Mógł zakładać, że przy odrobinie szczęścia służba nie będzie patrzeć zbyt uważnie i go nie rozpozna.

– Proszę – powiedziała Garrett, wyciągając rękę z białą chusteczką. Zatknęła mu ją za kołnierz koszuli, tak że powstała wypukłość podobna do wola Gamble'a. Następnie pogładziła Ethana po policzku i patrząc mu w oczy, szepnęła: – Wszystko będzie dobrze.

Ransom ze zdumieniem i irytacją odkrył, że widać po nim zdenerwowanie. Miał wrażenie, że jego ciało składa się z wielu odrębnych mechanizmów, nie do końca ze sobą zsynchronizowanych. Wziął głęboki wdech, wolno wypuścił powietrze z płuc i odwrócił Garrett tyłem do siebie. Następnie chwycił ją za przegub i ostrożnie wykręcił jej rękę na plecach, by wyglądało, że prowadzi ją siłą, wbrew jej woli.

– Mam przeklinać i się szarpać, kiedy będziemy przechodzić przez dom, dopóki mnie nie uciszysz? – spytała, wczuwając się w rolę.

Ethan uśmiechnął się, rozbawiony jej entuzjazmem.

– Nie, *acushla*, nie ma potrzeby aż tak się starać. – Pocałował ją za uchem i dodał szeptem: – Ale uciszę cię później, jeśli zechcesz. – Czując, jak przebiega ją dreszcz, potarł kciukiem wnętrze jej dłoni.

Moment później z nieprzeniknionym wyrazem twarzy zapukał do frontowych drzwi.

Wysoki, żylasty lokaj o gęstych pruskich brwiach i przetykanych siwizną włosach wpuścił ich do środka. Wnętrze domu przytłaczało wielością obłych kształtów: owalnych wnęk, sufitów w formie kopuł, krętych korytarzy. Ethan nie lubił tych komunikacyjnych serpentyn, zdecydowanie wolał przejrzystość prostych kątów i równych krawędzi.

Przeszli przez okrągły przedsionek do prywatnego apartamentu. Lokaj wprowadził ich do męskiego pokoju z ciemną tapetą, złotymi wykończeniami i ozdobami oraz grubym szkarłatnym dywanem. Na ścianach wisiały wypchane głowy egzotycznych zwierząt: lwicy, geparda, białego wilka i innych drapieżników. Na palenisku kominka buzował ogień, płomienie z trzaskiem obgryzały dębowe polano. W pomieszczeniu panowała nieznośnie wysoka temperatura.

Lokaj wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Serce Ethana podskoczyło niespokojnie, gdy zobaczył Jenkyna siedzącego przy kominku z plikiem papierów w ręce.

– Gamble – odezwał się, nie podnosząc znad nich wzroku. – Podprowadź bliżej gościa i przedstaw swój raport.

Ethan ukradkiem pogładził nadgarstek Garrett, zanim ją puścił.

– Misja poszła nie do końca zgodnie z planem – powiedział, wyciągając chusteczkę zza kołnierza.

Jenkyn poderwał głowę. Wbił w Ransoma nieruchome spojrzenie; źrenice miał rozszerzone do tego stopnia, że nie było widać tęczówek.

Kiedy tak na siebie patrzyli, w Ethanie odezwał się jakiś podły, brutalny instynkt. Przez kilka odrażających sekund czuł się zawieszony pomiędzy żądzą mordu a płaczem. Zakłuło go w piersi, w miejscu postrzału. Miał ochotę osłonić je dłonią, z trudem się przed tym powstrzymał.

Jenkyn odezwał się jako pierwszy:

– Gamble był pewny, że to on zostanie na placu boju.

– Nie zabiłem Gamble’a – oznajmił Ethan obojętnie.

To chyba zaskoczyło Jenkyna nie mniej niż widok zmartwychwstałego Ethana. Nie wstając z fotela, wyciągnął cygaro z kasetki na pobliskim stoliku.

– Szkoda – mruknął. – Gamble jest dla mnie bezużyteczny, skoro nie zdołał się ciebie pozbyć w dwóch podejściach. – Zachował chłodny ton, ale ręka trzymająca cygaro drżała.

Ethan uświadomił sobie, że żaden z nich do końca nad sobą nie panuje. Garrett natomiast sprawiała wrażenie wręcz zrelaksowanej – powoli przechadzała się po pokoju, oglądając książki na półkach, artystycznie wykonane sprzęty i obrazy. Ponieważ była tylko kobietą, Jenkyn nie zwracał na nią specjalnej uwagi, skupiony na osobie Ethana.

– Jakiej natury jest twój związek z Ravenelami? – spytał. – Dlaczego postanowili cię przyjąć?

Zatem nie wiedział. Ethan zdziwił się, że istnieją sekrety niedostępne Jenkynowi.

– To bez znaczenia – odparł.

– Nigdy tak do mnie nie mów – warknął Jenkyn, powracając do stylu ich dawnych rozmów. – Jeśli zadaję pytanie, to znaczy, że ma znaczenie.

– Bardzo przepraszam. Chciałem powiedzieć, że to nie pański interes.

Na twarzy Jenkyna odmalował się wyraz niedowierzania.

– Dochodząc do siebie – podjął Ethan – miałem okazję dokończyć lekturę *Hamleta.* Chciał pan wiedzieć, jakie odbicie w nim zobaczyłem. Dlatego tu jestem. – Urwał, widząc błysk zainteresowania w oczach dawnego zwierzchnika. Dotarło do niego, że w jakiś nieokreślony sposób Jenkynowi na nim zależy. A mimo to kazał go zabić. – Powiedział pan, że w upadłym świecie Hamleta nie ma dobra ani zła, wszystko jest kwestią oceny. Fakty i zasady się nie liczą. Prawda nie jest ważna. – Zawahał się, po czym kontynuował: – Jest w tym jakiś rodzaj wolności, czyż nie? Pozwala robić lub mówić, co tylko się chce, żeby osiągnąć swój cel.

– Owszem – przyznał Jenkyn; odbite płomienie migotały w jego miedzianych oczach. Twarz mu złagodniała. – Miałem nadzieję, że to zrozumiesz.

– Ale to nie jest wolność dla każdego. To wolność tylko dla pana. Oznacza, że może pan każdego poświęcić dla własnej korzyści. Może pan usprawiedliwić zabijanie niewinnych ludzi, nawet dzieci,

przywołując argument „wyższego dobra”. Ja tak nie mogę. Wierzę w fakty i rządy prawa. Wierzę w coś, co niedawno powiedziała mi mądra kobieta: każde życie jest warte ratowania.

Światło w oczach Jenkyna zgasło. Sięgnął po zapałkę i przytknął ją do obciętej końcówki cygara, odprawiając ten rytuał z nienaturalną pieczołowitością.

– Jesteś naiwnym głupcem – powiedział z goryczą. – Nie masz pojęcia, co bym dla ciebie zrobił. Jaką mogłeś mieć władzę. Uczyniłbym cię równym sobie, nauczyłbym cię widzieć świat takim, jakim jest naprawdę. Ale ty wolałeś mnie zdradzić, po tym wszystkim, co ci dałem. Po tym, jak cię stworzyłem. Jak każdy ograniczony kmiot wolałeś się trzymać swoich iluzji.

– Zasad moralnych – sprostował łagodnie Ethan. – Człowiek o tak wysokiej pozycji powinien znać różnicę. Nie powinien pan pracować dla rządu, Jenkyn. Żaden człowiek, który zmienia swoje zasady moralne równie często jak ubranie, nie powinien mieć władzy nad życiem innych ludzi. – Po tych słowach ogarnęło go poczucie lekkości i spokoju, jakby zrzucił okowy, pozbył się brzemienia, które dźwigał przez lata. Spojrzał z czułością na Garrett, która spokojnie oglądała przedmioty na gzymsie kominka. Ponad wszystko pragnął zabrać ją stąd i znaleźć gdzieś łóżko, gdziekolwiek. Nie dla namiętności… w każdym razie nie od razu… Chciał po prostu zasnąć, trzymając ją bezpiecznie w ramionach.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. Było wpół do drugiej w nocy.

– Gazety już się drukują – oznajmił rzeczowym tonem. – Jeden z redaktorów „Timesa” mówił mi, że mogą wypuścić dwadzieścia tysięcy egzemplarzy na godzinę. To znaczy, że będą mieć co najmniej sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt tysięcy na rano. Mam nadzieję, że nie przekręcili pańskiego nazwiska. Napisałem im je wyraźnie, tak na wszelki wypadek.

Jenkyn powoli odłożył cygaro na kryształową popielniczkę.

– Byłbym zapomniał, złożyłem im dziś wizytę – ciągnął Ethan. – Miałem dla nich sporo ciekawych informacji. A oni bardzo chcieli je usłyszeć.

– Blefujesz – wycedził Jenkyn, pociemniały na twarzy od wzbierającej furii.

– Cóż, wkrótce się przekonamy, prawda? – Ransom zaczął wkładać zegarek z powrotem do kieszeni… i omal go nie upuścił, zaskoczony nagłym świstem, po którym nastąpiło tępe uderzenie, trzask łamanej kości i krzyk bólu. Całe jego ciało błyskawicznie napięło się w gotowości do działania, ale powstrzymał go w miejscu uspokajający gest Garrett.

Z pogrzebaczem w ręku stała obok Jenkyna, który zgięty wpół trzymał się za ramię i wył z bólu.

– Chybiłam o co najmniej siedem centymetrów – stwierdziła, ściągając brwi w wyrazie niezadowolenia. – Prawdopodobnie dlatego, że to żelastwo jest cięższe od mojej laski.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zdziwił się Ethan.

Pokazała mu niewielki przedmiot, który podniosła ze stolika.

– Ta broń była w kasetce, wyciągnął ją, kiedy zapalał cygaro. – Oddając mu pistolet, dodała: – Sir Jasper chyba wierzy, że skoro cię stworzył, ma też prawo cię unicestwić. – Spojrzała na jęczącego mężczyznę wciśniętego w fotel i rzuciła tonem ostrym jak skalpel: – W obu przypadkach się myli.

Nagle do pokoju wpadli lokaj z ochmistrzem, a za nimi dwaj strażnicy z magazynów. Powstało zamieszanie – padały pytania, rozległy się krzyki. Garrett stała z boku, pozwalając, by Ethan sam wyjaśnił sprawę.

– Kiedy już tu skończymy, kochanie, moglibyśmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie chciał do ciebie strzelać? – spytała na tyle głośno, by ją usłyszał przez panujący w pokoju harmider.

Rozdział 25

W burzliwych dniach, które nastąpiły potem, Garrett znajdowała wiele powodów do radości. Ojciec wrócił z wakacji w nadmorskiej posiadłości księcia Kingston; słońce, świeże powietrze i kąpiele w słonej wodzie wpłynęły ożywczo na jego zdrowie. Przybrał nieco na wadze, zaróżowił się na twarzy i zyskał świetny nastrój. Według Elizy, również wypoczętej i kwitnącej, książę i księżna, podobnie jak cała reszta rodziny Challonów, traktowali Stanleya Gibsona z wielkim poważaniem i serdecznością.

– Śmiali się ze wszystkich jego żartów – opowiadała z przejęciem. – Nawet z tego starego o papudze.

Garrett skrzywiła się i zakryła oczy rękami.

– Opowiedział dowcip o papudze?

– Trzy razy. I wszystkim podobał się za trzecim razem tak samo jak za pierwszym!

– Nie podobał się – jęknęła Garrett, spoglądając na pokojówkę przez palce. – Po prostu okazali wyjątkową uprzejmość.

– I książę dwa razy grał z panem Gibsonem w dobieranego pokera – ciągnęła Eliza. – Chybaby pani zemdlała, gdybym zdradziła, ile wygrał.

– Książę? – spytała słabym głosem Garrett, dręczona wizją więzienia za długi.

– Nie, pani ojciec! Okazało się, że książę jest najgorszym pokerzystą na świecie. Pan Gibson za każdym razem porządnie go skubał. Pewnie doprowadziłby biedaka do ruiny, gdybyśmy tam dłużej zostali… – Eliza urwała, spoglądając z niepokojem na swoją pracodawczynię. – Pani doktor, dlaczego kładzie pani głowę na stole?

– Po prostu odpoczywam – westchnęła Garrett. Książę Kingston, jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii, był właścicielem klubu hazardowego, a w młodości sam go prowadził. Z całą pewnością nie był najgorszym pokerzystą na świecie i prawie na pewno wykorzystał grę jako pretekst, by zasilić pieniędzmi puste kieszenie jej ojca.

Skrępowanie Garrett faktem, że nadwerężyła wielkoduszność Challonów, szybko poszło w niepamięć, wyparte radością z powrotu do kliniki i pacjentów. Pierwszy dzień pracy zaczęła od naprawiania stosunków z doktorem Havelockiem, który podszedł do niej z nietypowym dla siebie wahaniem.

– Może mi pani wybaczyć? – spytał bez wstępów.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Nie ma czego wybaczać – odparła. I zaskoczyła go spontanicznym uściskiem.

– To bardzo nieprofesjonalne – wymruczał, ale bynajmniej nie próbował się odsunąć.

– Zawsze będę oczekiwać od pana szczerości – powiedziała, przyciskając policzek do jego ramienia. – Wiem, że wtedy próbował pan wybrać to, co dobre dla mnie. Nie zgadzałam się z pana stanowiskiem, ale je rozumiałam. I nie mylił się pan. Po prostu miałam nadzwyczajne szczęście, a do tego pacjenta mocnego jak rzemień.

– Myliłem się, nie doceniając pani umiejętności. – Havelock popatrzył na nią z sympatią, kiedy w końcu się od niego oderwała. – To się nie powtórzy. Ale owszem, pacjent okazał się niezwykle wytrzymały. – Uniósł białe jak śnieg brwi, przybierając nieco szelmowską minę. – Wstąpi może z wizytą do naszej kliniki? Bo chciałbym go przepytać o zamiary wobec pani.

– Z pewnością tu zawita, kiedy będzie mógł – odpowiedziała ze śmiechem. – Jakkolwiek ostrzegał mnie, że przez kilka najbliższych dni będzie bardzo zajęty.

– No tak – mruknął Havelock, nagle poważniejąc. – Dużo się dzieje, ten skandal, zamieszanie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i w stołecznej policji… A pan Ransom jest chyba w tej rozgrywce kluczową figurą. W ciągu zaledwie paru dni stał się

sławny. Obawiam się, że czasy, gdy mógł nierozpoznawany wędrować po Londynie, minęły bezpowrotnie.

– Pewnie ma pan rację, doktorze – odparła.

Ethan, tak przyzwyczajony do anonimowości i swobody, obecnie musiał sobie radzić w zupełnie odmiennych okolicznościach. Nie miała jednak okazji zapytać go, jak się odnajduje w nowej sytuacji, bowiem od dwóch tygodni ani razu jej nie odwiedził. Prawie codziennie przychodziła od niego wiadomość, składająca się z kilku pospiesznie napisanych zdań. Czasami dołączał do kartki świeży bukiecik albo koszyczek fiołków. Garrett musiała wertować gazety, żeby dowiedzieć się czegoś o nim z reporterskich doniesień. „Times" zszokował naród serią artykułów o nielegalnej siatce szpiegowskiej działającej na zlecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ethan był w ciągłym ruchu, jako że musiał uczestniczyć w rozmaitych przesłuchaniach i poufnych naradach.

Do pogrążenia Jenkyna wystarczyło odkrycie, że na własną rękę zwerbował, wyszkolił i wykorzystywał do zadań specjalnych grupę agentów. Jednak kiedy się wydało, że spiskował z niestroniącymi od przemocy radykałami i znanymi przestępcami – wszystko to, by zniweczyć perspektywy uzyskania samorządności przez Irlandię – rozpętała się prawdziwa burza. Tajną komórkę szpiegowską Jenkyna rozwiązano, a większość jego podwładnych została aresztowana.

Wkrótce potem odzyskano transport materiałów wybuchowych z Hawru i potwierdzono, że za jego wcześniejszym zniknięciem stali specjalni agenci zatrudnieni przez ministerstwo. Wtedy minister, lord Tatham, podał się do dymisji, a obie izby parlamentu powołały komisje śledcze do zbadania skali korupcji panującej na najwyższych szczeblach władzy.

Leciały kolejne głowy. Fred Felbrigg musiał opuścić stanowisko i poddać się dochodzeniu w sprawie nielegalnych działań i nieprzestrzegania obowiązujących procedur. W stołecznej policji zapanował chaos. Uznano, że konieczna jest gruntowna reorganizacja tej instytucji, choć nikt nie wiedział, jak ją przeprowadzić.

Dla Garrett liczyło się jedynie dobro Ethana. Po powrocie z Hampshire został wciągnięty w wir wydarzeń, podczas gdy

powinien się oszczędzać i jak najwięcej odpoczywać. Zastanawiała się, jak wzmożona aktywność wpływa na jego jeszcze nie całkiem zregenerowany organizm. I czy prawidłowo się odżywia. Nie miała jednak wyboru – mogła tylko zająć się pracą i cierpliwie czekać.

Czternastego dnia, po przyjęciu ostatniego pacjenta, stała przy blacie w swojej sali operacyjnej i uzupełniała notatki, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Pani doktor – dobiegł ją z poczekalni głos Elizy. – Ma pani jeszcze jednego pacjenta.

Garrett odłożyła na bok pióro.

– Nikogo więcej nie zapisywałam.

– To nagły przypadek – powiedziała po chwili wahania służąca.

– Jak nagły?

Zapadła cisza.

Garrett poczuła, że robi się jej na przemian zimno i gorąco. Zmusiła się do spokojnego kroku, choć miała ochotę pędzić do drzwi. Ostrożnie nacisnęła klamkę…

Ethan stał oparty o framugę i uśmiechał się szeroko. Z wrażenia zakręciło się jej w głowie. Wyglądał jeszcze przystojniej, niż go zapamiętała, jeszcze bardziej zniewalająco.

– Garrett… – odezwał się takim tonem, jakby wymawiał słowo oznaczające same najpiękniejsze rzeczy.

Miała wrażenie, że nogi zaraz odmówią jej posłuszeństwa i osunie się przed nim na ziemię.

Dwa tygodnie i ani jednej, choćby krótkiej, wizyty, powiedziała sobie w duchu, żeby nieco ochłonąć i zachować dumną postawę.

– Nie mam czasu na następnego pacjenta – oznajmiła, ściągając surowo brwi.

– Cierpię na bardzo uciążliwą przypadłość – oznajmił Ethan z powagą.

– Czyżby?

– Kość pistrzałowa znów daje mi się we znaki.

Musiała przygryźć policzek od środka, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Obawiam się, że będzie pan musiał sam sobie z nią poradzić – odparła z udawaną wyniosłością.

– Ale ona potrzebuje fachowego zbadania.

Garrett skrzyżowała ramiona na piersi i popatrzyła na Ethana, mrużąc oczy.

– Czekałam i martwiłam się przez dwa tygodnie, a ty nagle zjawiasz się tutaj bez zapowiedzi i chcesz, żebym…

– Nie, nie, *acushla* – wszedł jej w słowo, dosłownie pożerając ją błękitnymi jak niebo oczyma. – Chcę tylko być blisko ciebie. Bardzo za tobą tęskniłem, kochanie. Szaleję z miłości do ciebie. – Oparł rękę na drzwiach i poprosił szeptem: – Wpuść mnie.

Czując, jak wypełnia ją zdradliwe ciepło, otworzyła drzwi szerzej i cofnęła się, wciąż na miękkich nogach.

Ethan przestąpił próg, butem zamknął za sobą drzwi i od razu przyparł ją do ściany. Nim zdążyła zaczerpnąć tchu, by zaprotestować, zmiażdżył jej usta pocałunkiem, który wyrażał miłość, tęsknotę, marzenia. Z cichym jękiem poddała mu się, przywierając do niego z całych sił.

– Nie było minuty, żebym cię nie pragnął – szeptał, wodząc ustami po jej twarzy. W końcu odsunął się na tyle, by na nią spojrzeć. Oczy błyszczały mu radośnie. – Ale pomagałem przekształcać stołeczną policję, naprawiać to, co było zepsute, i składać wszystko od nowa. Zeznawałem też przed dwoma komisjami, a do tego omawiałem perspektywy nowej pracy… – Przerwał, żeby musnąć wargami jej szyję.

– Całkiem niezłe usprawiedliwienie – westchnęła, tym razem przejmując inicjatywę w namiętnym pocałunku. Po długiej chwili, nasycona gorącą pieszczotą jego języka, otworzyła oczy i spytała półprzytomnie: – Jakiej pracy?

Pochylił głowę, tak że zetknęli się nosami.

– Chcą mnie mianować zastępcą komendanta. Miałbym zorganizować nowy wydział śledczy, podzielony na różne sekcje. Szef każdej z nich podlegałby mi bezpośrednio.

Garrett patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Miałbym też swój własny oddział dwunastu detektywów. Mógłbym ich osobiście wybrać, wyszkolić i nadzorować. – Zaśmiał się nerwowo. – Nie wiem, czy się do tego nadaję. Zaproponowali mi to stanowisko tylko dlatego, że połowa ludzi Felbrigga zrezygnowała, a reszta siedzi w areszcie.

– Będziesz świetny – powiedziała Garrett z przekonaniem. – Pytanie, czy tego chcesz?

– Chcę – wyznał z trochę wstydliwym uśmiechem; na jego policzku ukazał się tak uwielbiany przez nią dołeczek. – Musiałbym pracować w bardziej regularnych godzinach. Propozycja obejmuje też ładny dom na Eaton Square i bezpośrednią linię telegraficzną ze Scotland Yardem. Po krótkich negocjacjach zgodzili się dorzucić faeton z parą koni dla mojej żony.

– Dla żony… – powtórzyła Garrett i natychmiast poczuła motyle w brzuchu.

Pokiwał głową i sięgnął do kieszeni.

– Zrobię to trochę niekonwencjonalnie – ostrzegł.

– Świetnie – ucieszyła się.

Włożył jej do ręki jakiś gładki, metalowy przedmiot. Uniosła dłoń do oczu i zobaczyła odlany ze srebra gwizdek z błyszczącym łańcuszkiem. Wytężyła wzrok, żeby przeczytać wygrawerowane na nim słowa: „Zawsze, gdy będziesz mnie potrzebować”.

– Garrett Gibson – zaczął uroczyście Ethan – masz wyjątkową umiejętność leczenia, czego jestem żywym dowodem. Ale jeśli za mnie nie wyjdziesz, będziesz musiała uleczyć moje złamane serce. Tak czy inaczej, obawiam się, że jesteś na mnie skazana, bo za bardzo cię kocham, żeby żyć bez ciebie. Czy zostaniesz moją żoną?

Patrzyła na niego oczyma wilgotnymi od łez, zbyt oszołomiona szczęściem, by wydusić z siebie choć jedno słowo.

Zaraz potem odkryła, że trudno gwizdać i uśmiechać się jednocześnie.

Ale i tak jej się udało.

Nota od autorki

Drogie Przyjaciółki,

wprawdzie wszystkie moje książki są tworzone z miłością, ale ta jest szczególnie bliska memu sercu, ponieważ do jej napisania zainspirowała mnie pewna wspaniała kobieta – doktor Elizabeth Garrett Anderson. Wbrew wielu rozmaitym przeciwnościom w 1870 roku ukończyła studia medyczne na Sorbonie, a w 1873 roku została pierwszą lekarką w Wielkiej Brytanii posiadającą uprawnienia do wykonywania zawodu. Zaraz potem Brytyjska Izba Lekarska zmieniła przepisy, uniemożliwiając na następne dwadzieścia lat innym kobietom pójście w jej ślady. Doktor Anderson prowadziła samodzielną praktykę, a następnie została współzałożycielką pierwszego szpitala z kobiecym personelem oraz pierwszym dziekanem brytyjskiej szkoły medycznej. Aktywnie działała w ruchu sufrażystek i była pierwszą kobietą burmistrzem oraz sędzią pokoju, służąc wspaniałemu miastu Aldeburgh.

Tamiza w czasach wiktoriańskich była tak zatruta ściekami i chemikaliami przemysłowymi, że dziesiątki tysięcy mieszkańców Londynu zmarły na cholerę. W 1878 roku parowiec wycieczkowy „Księżniczka Alicja” zderzył się z inną jednostką pływającą i zatonął. Zginęło ponad sześciuset pasażerów, przy czym wielu z powodu nie utonięcia, lecz uduszenia. Według opisów tamtej epoki woda w Tamizie „od zgubnych wyziewów syczała jak napój z bąbelkami”. Obecnie po oczyszczeniu Tamiza stała się najczystszą z rzek przepływających przez wielkie miasta na świecie i obfituje w ryby oraz inne dzikie stworzenia.

Wątek spisku w tej książce jest, rzecz jasna, wymyślony, ale rzeczywiście istniał specjalny oddział agentów nadzorowanych przez Edwarda George'a Jenkinsona. Prowadził on tajne operacje zlecane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i często współzawodniczył ze Scotland Yardem. Jenkinson został zdymisjonowany w 1887 roku, a jego drużyna zastąpiona przez oficjalnie działający Specjalny Wydział Irlandzki.

Jako osoba, której trochę miękną kolana na widok krwi, czasami miałam trudności z gromadzeniem materiałów o pracy doktor Garrett, ale ten temat zawsze mnie fascynował. Szczególnie historia przeprowadzania transfuzji. Pierwsze doniesienia mówią o próbach przetaczania baraniej lub krowiej krwi ludzkim pacjentom. Opisane eksperymenty kończyły się niepowodzeniem, mówiąc oględnie, więc przez następne 150 lat tego rodzaju praktyki były zakazane. Naukowcy i lekarze ponownie zaczęli zgłębiać ten problem w XIX wieku, z różnymi rezultatami. Wreszcie w roku 1901 doktor Karl Landsteiner z Austrii wyodrębnił trzy grupy ludzkiej krwi – A, B i 0. Odkrył też, że nie można ich mieszać. Wcześniej powodzenie transfuzji zależało od tego, czy pacjent miał wystarczająco dużo szczęścia, by otrzymać krew od właściwego dawcy.

Jak zawsze jestem Wam wdzięczna za życzliwość i motywację do pracy – to dzięki Wam pisanie sprawia mi tak wiele radości!

Lisa

Orzeźwiające lody cytrynowe Garrett

Niektórzy ludzie dziwią się, słysząc, że lody, sorbety i inne mrożone desery podawano do popołudniowej herbaty lub na przyjęciach w epoce wiktoriańskiej. W istocie lody zyskały w Anglii popularność już w połowie XVIII wieku dzięki francuskim i włoskim cukiernikom, którzy osiedlali się w Londynie. Znano cudownie różnorodne smaki, takie jak kwiat dzikiego bzu, ananas, morela, woda różana, pistacja, ba!, jadano nawet lody piernikowe. Oto prosty i łatwy przepis na ulubiony deser doktor Garrett Gibson: lody cytrynowe.

Składniki:

6 cytryn (albo 1/2 szklanki soku cytrynowego)
1 pomarańcza (albo 1/4 szklanki soku pomarańczowego)
2 szklanki wody
2 szklanki cukru

Wykonanie:

1. Zetrzyj skórkę z 1 cytryny (tylko żółtą część, biała jest gorzka).
2. Wyciśnij sok z pomarańczy i cytryn.
3. Wymieszaj wodę z cukrem i podgrzewaj, aż cukier całkiem się rozpuści.
4. Dodaj skórkę z cytryny, sok cytrynowy i sok pomarańczowy.
5. Wlej do metalowego naczynia (nam dobrze się sprawdziła foremka do ciasta).

6. Umieść w zamrażalniku i mieszaj widelcem co pół godziny – przez mniej więcej trzy godziny albo do osiągnięcia przez lody właściwej konsystencji.

Uwaga: Jeśli nie zależy ci na historycznej wierności, możesz zastąpić 1 szklankę cukru syropem kukurydzianym, dzięki któremu lody są znacznie gładsze.

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Nota od autorki
Orzeźwiające lody cytrynowe Garrett